Ksawery Pruszyński

Wspomnienia, reportaże, artykuły

1

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14

161175

Wspomnienia, reportaże, artykuły

WIELKI WÓZ.

Ksawery Pruszyński

Wspomnienia, reportaże, artykuły

1

Twój STYL
Warszawa 2000

Projekt okładki i karty tytułowej
Piotr Goliszek

Fotografia autora z archiwum
Mieczysława Pruszyńskiego

Edytor
Katarzyna Merta

Korekta redakcyjna
Barbara Brzezińska
Barbara Wiśniewska

© Copyright by Mieczysław Pruszyński
Warszawa 2000
© Copyright by Wydawnictwo Książkowe Twój STYL
Warszawa 2000

D 115/2000
Biblioteka Wojewódzka w Gdańsku – pedagogiczna
161175

ISBN 83-7163-191-X

Wydawnictwo Książkowe Twój STYL
Warszawa 2000
Wydanie pierwsze
Skład i łamanie: „Enterek", Warszawa
Druk i oprawa:
Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „POZKAL"

Przedmowa

W związku z przypadającą w roku 2000 pięćdziesiątą rocznicą śmierci Ksawerego Pruszyńskiego dokonałem wyboru niektórych Jego najcelniejszych utworów i zaproponowałem ich wydanie „Twojemu Stylowi" w dwu tomach, z których pierwszy obejmuje wspomnienia, reportaże i artykuły, a drugi – opowieści.

Wiele spośród zamieszczonych w niniejszym tomie wspomnień, reportaży i artykułów, pisanych i drukowanych jedynie poza granicami naszego kraju, jest prawie nieznanych polskiemu czytelnikowi.

Wspomnienie z dzieciństwa *Na czarnym szlaku*, które swego czasu Kazimierz Wyka nazwał „znakomitą gawędą autobiograficzną", Pruszyński napisał w bombardowanym, ponurym Londynie zimą 1941 roku. Ukazało się

tamże w książce pt. *Kraj lat dziecinnych*, zawierającej m.in. wspomnienia Kazimiery Iłłakowiczówny, Wieniawy, Zygmunta Nowakowskiego, Cata-Mackiewicza, gen. Kukiela.

Inne wspomnienie nawiązuje do wizyty w Belwederze w rocznicę nocy listopadowej 1931 roku. Przed pałacem pełnią wartę podchorążowie w historycznych mundurach. Delegację młodzieży akademickiej wprowadza generał Orlicz-Dreszer – najwierniejszy z wiernych. Jeden z dwóch przemawiających, Ksawery, zaczął od słów: „Panie Marszałku, twórco państwa polskiego". Piłsudski podziękował i dodał: „Jak patrzę na pana – ma pan twarz człowieka z moich stron". Ksawery wyjaśnił, że pochodzi z Ukrainy, ale zaraz dorzucił, że Kresy są wszędzie te same. Marszałek przytaknął: „Tak i jest [...]a śmiali się ze mnie ludzie, gdy mówiłem im, że Polska to taki obwarzanek, jej wszystko po brzegach". To powiedzenie Marszałka stało się później głośne. Mój brat doceniał rolę Piłsudskiego w Polsce, ale krytykował rządy piłsudczyków, zwłaszcza po śmierci Marszałka.

Wstrząsające wrażenie wywołuje wspomnienie z wizyty generała Sikorskiego w obozie tworzącego się wojska polskiego

w Rosji. Przy trzaskającym mrozie defilowali przed Naczelnym Wodzem żołnierze w najprzeróżniejszych łatanych mundurach, o ziemistych twarzach, postarzali przedwcześnie, przygarbieni, niekiedy z odmrożonymi stopami. „Ale mieli oczy rozpalone takim szczęściem, które trudno dostrzec nawet u żołnierzy zwycięskiej armii." Olbrzymi czarny drewniany krzyż, który „Polaki postroili" wznosił się na białym stepie w tym zapomnianym od Boga, nieszczęsnym kraju. Żołnierze spali pod namiotami. W nocy temperatura spadała do minus 52 stopni.

Opis wspaniałego bankietu, wydanego na Kremlu przez Stalina na cześć premiera Sikorskiego, mimo upływu pół wieku, stanowi fascynującą lekturę. (Polacy nie znali jeszcze wtedy prawdy o Katyniu). Pruszyński uczestniczył w nim nie jako dziennikarz, ale atache ambasady – na tego rodzaju uroczyste spotkania dziennikarzy nie zapraszano. W czasie bankietu Stalin okazywał nadzwyczajną uprzejmość nie tylko premierowi Sikorskiemu, ale również generałowi Andersowi, a premier Mołotow wzniósł w ręce adiutanta polskiego dowódcy toast na cześć młodych oficerów polskiej armii. (Obaj oni – i generał

Anders, i jego adiutant – niedawno wyszli z sowieckiego więzienia).

Mój brat opowiadał mi, że zapewne celem tak wspaniałego podejmowania polskich przywódców było nakłonienie ich do przeniesienia siedziby rządu emigracyjnego i naczelnego dowództwa z Londynu do Moskwy.

Z kolei inny obraz: pole bitwy pod Falaise, gdzie decydują się losy inwazji Europy, w której Ksawery uczestniczy jako strzelec przedni czołgu 10. pułku strzelców konnych.

Opisuje taką scenę. Grupą czołgów dowodzi rotmistrz G. Jest szczupły, ma delikatne rysy, nerwowy. Był w Polsce świetnym kawalerzystą i „ma w sobie ów sznyt kawaleryjsko-ziemiański. Rotmistrz stoi teraz na stratowanym polu. Przy nim oficerowie w hełmach – ciężkie amerykańskie hełmy czołgistów – on bez hełmu, z gołą głową. Przed nim czołgi – załogi w hełmach – zaraz wyruszą. Na tym tle rotmistrz G. wygląda jak człowiek z obrazu. Jacek Malczewski. Kto w Krakowie nie pamięta tylu portretów, na których stary Jacek malował krakowskich hrabiów, profesorów, dentystów, adwokatów w pancerzach, których nigdy nie nosili, na tle pól, gdzie wśród snopów zboża stały ja-

kieś chimery czy strzygi? Jacek tak samo malowałby rotmistrza G., z jego cienką, pańską twarzą minionych światów, a za nim – te jego ciężkie, takie nie jego czołgi".

I jeszcze jedno wspomnienie: powrót do Polski w jesieni 1945 roku. Samolot z Londynu ląduje na Okęciu. Najpierw ukazuje się „twarz uwieńczona zieloną czapką z orłem, i czapka jest stara najwidoczniej, i orzełek takiż, i twarz człowieka porysowana bruzdami, i wszystko to jest stareńkie takie, biedne, swoje, i obwieszcza z naiwnym namaszczeniem:

– Kontrola celna!"

A potem przejazd przez ruiny miasta: kościotrupy domów z oczodołami okien, domy zawalone od razu, nieboszczyki pochowane w mogile z własnego gruzu, na resztkach murów białe, koślawe napisy „Fryzjer goli i strzyże", „Węgle", „Piwo... kwas... herbata". A wieczorem w ocalałym hotelu „Polonia" bankiet dla gości z zagranicy. Wódka, wino, kawior, ludzie spoceni tańczą. A „za oknami tej sali jest noc warszawska, pełna ruin, jakichś krzyków znienacka, jakichś strzałów ni stąd ni zowąd, nawoływań, ciemności i ponurego, z gruzów tchnącego jak woń trupów, milczenia, jest jakiś cały świat, który żył i teraz żyć przestał, ale nie

odszedł, po nocach widmami straszy i otacza milczeniem tę niewielką, rozświetloną salkę, gdzie ludzie pogrążają swe mózgi w wódzie, wspomnieniu i tańcu. Warszawa. Warsaw. Najprawdziwsze, straszliwe, Warsaw concerto. Pierwszego wieczoru. Pierwszego dnia."

Przejdźmy do reportaży. Jeden z nich przedstawia przedwojenny Wołyń. „Był to niegdyś kraj bogaty". W szesnastym i siedemnastym wieku istnieli tam uczeni, kontaktowali się z ośrodkami kultury w miastach zachodniej Europy. W takim miasteczku Kisielin istniała wyższa uczelnia. Imć pan Ostafi Kisiel tłumaczył na język grecki dzieła Tomasza à Kempis. Z czasem rozkwitło liceum w Krzemieńcu, w rzeczywistości uczelnia uniwersytecka, jedyna na ówczesnej Ukrainie, po powstaniu listopadowym zlikwidowana, stała się zaczątkiem uniwersytetu w Kijowie.

A jaki Wołyń ujrzał Pruszyński w 1938 roku? 40 procent dzieci nie uczęszczało do szkoły, poziom życia ludności Wołynia, który przed paru wiekami dorównywał niemal Nadrenii, w roku 1938 był bliższy Abisynii.

W reportażu ze Śląska Pruszyński dowodził, że tamtejsi robotnicy czytają gazety, koń-

czą gimnazja, ci ludzie są nowocześni jak górnicy z Ardenów, jak robotnicy z Liverpoolu. Tych ludzi i synów tych ludzi „trzeba po prostu dopuścić". Nie narzucać im kasty rządzących.

Z kolei w reportażu z Łodzi Ksawery dowodził, że powstaje tam nowa klasa robotników bezrobotnych, którzy albo nigdy nie pracowali, bo pracy znaleźć nie mogli, albo pracowali, ale pracę stracili i nie mają widoków na znalezienie nowej. Nazywa się ich „żółtymi ludźmi", bo ich sytuacja życiowa podobna jest do sytuacji chińskich kulisów w San Francisco. Stąd tytuł reportażu: „Żółci ludzie z Łodzi".

W reportażu o budowie zapór wodnych na Podkarpaciu Pruszyński przedstawił nieprawdopodobną wprost nędzę najniższej kategorii zatrudnionych robotników, dla których minimalny koszt dziennego pożywienia w kuchni robotniczej – 90 groszy – był za wysoki i woleli się sami żywić, kupując u chłopów mleko, chleb i kaszę. Zamiast mieszkać w barakach robotniczych, płacąc po 40 groszy za nocleg, woleli mieszkać u miejscowych chłopów pokotem za 10 groszy!

Reportaż o ślubowaniu młodzieży akademickiej w 1936 roku w Częstochowie dowo-

dził, że było ono zorganizowane przez przywódców faszyzującej młodzieży „narodowej", aby uzyskać poparcie Kościoła.

Wreszcie reportaż na temat głośnych antysemickich zajść w Przytyku pokazał mechanizm, który do nich doprowadził.

Czesław Miłosz w swej wydanej w roku 1998 książce *Wyprawa w dwudziestolecie* przedrukował trzy przedwojenne reportaże Ksawerego Pruszyńskiego, co świadczy o ich nieprzemijającej wartości.

Ostatnia część I tomu zawiera różne artykuły, przeważnie o treści historycznej, ale związanej ze współczesnością: Pruszyński pasjonował się historią swej ojczyzny i znał ją znakomicie (również dzięki ojcom jezuitom w chyrowskim gimnazjum). Zasługuje na uwagę Czytelnika artykuł *Samotności Piłsudskiego*, opublikowany wkrótce po jego śmierci.

Niezwykłą okazała się trafność przewidywań Pruszyńskiego w sprawach międzynarodowych. Oto po krótkiej podróży w czerwcu 1939 roku do Stanów Zjednoczonych opublikował w krakowskim „IKC" artykuł, w którym przepowiedział, iż mimo chęci zachowania neutralności w nadchodzącej wojnie,

przystąpią one do niej. Ale, „aby Ameryka poszła jak jeden mąż na wojnę – potrzebny będzie wstrząs". I nastąpił: w Pearl Harbor!

Już w roku 1942 Pruszyński zdał sobie sprawę, że Zachód nas zdradzi, że Roosevelt i Churchill uznają „linię Curzona" za wschodnią granicę Polski, że Lwów i Wilno będą dla nas stracone, i w głośnym artykule *Wobec Rosji* wezwał do refleksji nad propozycją Stalina oddania nam w zamian za nie Szczecina i Wrocławia. Ksawery został wtedy odsądzony od czci i wiary przez „niezłomnych", a naprawdę ślepych emigrantów w Londynie. (Tu warto zaznaczyć, że publicyści paryskiej *Kultury* uznali konieczność utraty Lwowa i Wilna dopiero w 22 lata później).

* * *

W pozostałych po mym bracie papierach znalazłem skierowany do niego list następującej treści:

„Czytałam zdaje się wszystko, co Pan napisał i muszę powiedzieć, co myślę i czuję, chociaż to niepotrzebne Panu, ale chcę, aby Pan wiedział. Otóż przed wojną 1939 r., kie-

dy nieraz mierziło życie w Polsce, opanowywał wstręt do rodaków i rządu, na jakieś «pocieszenie duszy» mówiło się sobie: przecież nie wszyscy są marni, źli, są w Polsce ludzie szlachetni, są utalentowani, są ludzie wielkiej duszy i serca, jest taki Paderewski, mamy Szymanowskiego, Zofię Kossak-Szczucką, Dąbrowską i innych. A dziś, kiedy ogarnia zniechęcenie i złość, widząc jak dużo nieprawości, kiedy ogarnia wstręt do ludzi, których lata ciężkich doświadczeń losu niczego nie nauczyły i nie uszlachetniły, znów mówię do siebie: a przecież w tych czasach jest taki Pruszyński!... Odnajduję wiarę w Polskę i ludzi czytając Pana książki i artykuły. I za to dziękuję panu!

Łódź, 14 kwietnia 1948. Czytelniczka A.K."

W plebiscycie miesięcznika „Press", w grudniu 1999 roku, Ksawery Pruszyński znalazł się w gronie dziesięciu „dziennikarzy wieku" – obok m.in. Jerzego Turowicza, Jerzego Giedroycia, Cata-Mackiewicza, Melchiora Wańkowicza.

Mieczysław Pruszyński

Wspomnienia

Na czarnym szlaku

Przyszedłem na świat na rozdrożu światów i czasów, kultur i wiar, mów i ras, warstw i narodów, w grudniowy, śnieżny dzień, kiedy była zadymka, kiedy sanie, wysłane po żydowskiego „cyrulika" – lekarz już był, ale tradycja, no i grzeczność wymagały owego cyrulika – nadjechały w pełni dnia przy świetle kaganka, niesionego na długim jak lanca kiju przez konnego posłańca. W kuchni dworskiej i „ludzkiej", przy „kancelarii", „skarbowym" i czeladnej, na ganku od stajen cugowych czekali także od rana chłopi, olbrzymi, czarni chłopi w kożuchach baranich o silnym odorze skóry, łoju i potu.

– A po co oni czekali? – zapytywałem zawsze w tym miejscu rytualnej opowieści, którą znałem w każdym szczególe, bo matka moja musiała mi ją opowiadać tysiąc razy; dzieje własnych urodzin wydawały mi się zawsze niezwykle pasjonującym tematem.

Biblioteka Pedagogiczna w Gdańsku

– Bo chcieli cię, synku, zobaczyć – mówiła miękko matka.

To uspokajało moją ciekawość i tłumaczyło w sposób dostatecznie, zdaniem moim, zrozumiały zainteresowanie ludu. Ale w odpowiedzi musiało paść z mej strony jeszcze jedno dodatkowe pytanie:

– A jak Miś przyszedł na świat, to chłopi też czekali?

– Nie – odpowiadała matka.

– A czemu? – pytałem nieubłaganie.

– Już ci tyle razy mówiłam – słyszałem na to ten sam cierpliwy wywód matki – Miś był drugi, a ty byłeś pierworodny. Nie powinieneś być dumny, ale dawać dobry przykład...

Ten pedagogiczny werset puszczałem zawsze mimo uszu jak źle doklejoną całość, podczas gdy wszystkie złoża ambicji, niczym nie hamowanej u dziecka, wyżywały się w rozpamiętywaniu tych urodzin, na które czekali chłopi, w przeżuwaniu tego, że czekali na mnie, a nie spełnili tego obrzędu gdy chodziło o młodszego brata, bo jemu to nie przysługiwało, bo był mniej ważny. Zapytywałem jeszcze powtórnie, choć matka nigdy nie opuszczała tego szczegółu, czy zadymka rzeczywiście była duża, a na potakującą od-

powiedź popadałem zawsze w zamyślenie. Korciło mnie bowiem okropnie w tym właśnie momencie, żeby zapytać jeszcze, czy na urodziny mego biednego brata także była zadymka. Nie pytałem tylko dlatego, że wiedziałem, iż zostanę srodze zgromiony za głupie pytania; mój brat tym jeszcze był bity przez mnie, że przyszedł na świat w październiku, kiedy w ogóle nie ma zadymki...

– A chłopi, mamusiu, nie chodzą do kościoła?

– Przecież wiesz, że do cerkwi.

– A czemu?

– Bo oni są prawosławni, a my katolicy.

– Ale my też kiedyś, prawda, byliśmy prawosławni?

„My" odnosiło się do określonej grupy, do moich przodków po mieczu i kądzieli. To półlegendarne prawosławie – wcale nie takie pewne, w najlepszym razie bardzo częściowe – wałęsało się po dziecinnym mózgu, jak nić jakiejś łączności z tą masą ludzką wokół.

– Byliśmy – odpowiadała zamyślona nad czymś matka.

– To myśmy wtedy byli chłopami? – wnioskowałem logicznie.

– Nie. Myśmy zawsze byli szlachtą.

– To myśmy też kradli? – zapytałem po raz pierwszy wobec tej rewelacji.

– Co ty za głupstwa gadasz, dziecko – oburzyła się matka.

– No bo przecież ta szlachta z Orzechowiec i ta z Leszczyniec kradnie w lesie...

Było to echo stałych skarg leśników, skarg wyłapywanych w przelocie rozmów starszych przez wszystkiego ciekawe dziecko.

W ten sposób obraz ludzkości nie rysował mi się ani na moment jeden, nawet najwcześniejszego mego dzieciństwa, w sposób jednolity. W tym kraju była masa jak morze, albo raczej jak step, olbrzymia, chłopska, ta w kożuchach baranich, ta chodząca do cerkwi, potężna, nieruchoma, groźna, ale nie obca. Były w niej, jak intarsje z jakiegoś innego drzewa, wsie, a raczej zaścianki szlacheckie, zarazem bliskie jakieś i jednocześnie inne. Potem byli Żydzi. Była Chasia, trzymająca w arendzie wiatrak, wokoło którego pętało się pełno krzykliwych, chudych bachorów, prawie jak w Połonnem lub Starym Konstantynowie, Chasia, przysyłająca – w różnych, ustalonych jak święta liturgii, okazjach rocznych – jakieś szczególne ciasta, w tym i macę. Jedliśmy ją ze smakiem największym, ale

jakby uważając, że spożywanie jej należy do takich samych praw świata i przyrody jak owo czekanie chłopów i kradzieże leśne, jak nastawanie wiosny, jak zamarzanie hrybeneńskiego stawu. Dopiero bona (rodem z Warszawy) wniosła pewnego dnia popłoch:

– To przecież jest na krwi chrześcijańskich dzieci; oni zabijają takie dziecko gwoździami!

– Niech pani nie mówi głupstw – przerwała matka.

Utkwiło mi to w głowie, bo nigdy, przenigdy, nie pamiętałem jeszcze, by którąś z moich wychowawczyń zgromiono w taki sposób, i to w mojej obecności. Zdaje się, że owa nieszczęsna bona nie popasała u nas długo. Matka wzięła wtedy, pamiętam, kawałek białej pogiętej macy. Jadła demonstracyjnie, powoli. Po chwili i ja zacząłem jeść na nowo, jeszcze po trosze niepewny i przerażony. Maca smakowała jak przedtem. Z wolna wstrząs wrażenia począł się wygładzać, jak fala na wodzie jeziora. Dopiero w wiele lat później miałem zrozumieć, że przez oburzenie matki przemówił głęboki instynkt mieszanki tych ziem nieszczęsnych.

Wreszcie byli Rosjanie. Byli to policjanci i drobni urzędnicy, którym dawano jeść w kan-

celarii, dokąd szła wtedy herbata i konfitury smorodinowe. Owe konfitury o nieładnej nazwie degradowały prestiżowo ich spożywców; nawet w długie lata później, we Francji, gdy widziałem Francuzów zapijających się aperitifem z „cassis", który był właśnie ową smorodiną, było mi nieprzyjemnie. Uważało się ich za ludzi obcych, śmiesznych, czasem nie najgorszych, ale przede wszystkim nieskończenie niższych. Był jeszcze inny świat rosyjski, dostrzegany przez dziecko z bardzo daleka, świat wielkiej administracji, miast, guberni, czasem ziemiaństwa. Wreszcie jadąc do kościoła w niedzielę mijało się brzydkie długie koszary, „kazarmy", jak je nazywano, ceglane i posępne. Z wysokiej drogi i z wysokości powozu, widać było sołdatów ćwiczących posępnie salutowanie w miejscu i paradny krok. Dolatywała czasem dziwna, hukliwa piosenka, zawleczona tutaj chyba znad Oki czy Jeniseju, bezmiernie smutna i krajowi temu obca. Czasem sołdat, mijany po drodze, patrzył twarzą bezmyślną, zwierzęcą, azjatycką i smętną. Czasem przecwałował oficer na wspaniałym koniu, w łosiowych rękawiczkach, z kosmykiem włosów wystającym spod czapki. Wyglądał jakby na poły gwardzista brytyjski, a na

poły watażka. I w rzeczy samej był nieudanym połączeniem połapanych naprędce cech Zachodu z niezmienioną wschodniością natury. Piotr Wielki unosił się za nim na owym wołyńskim trakcie.

Wreszcie dojeżdżało się do kościoła. Było to w miasteczku historycznym, drzemiącym snem spokojnego zaniku. Stary kościół Dominikanów, gdzie były groby rodzinne rodziny, po której odziedziczyliśmy większość naszej w tych stronach krescencji, oszpeciły już od dawna zielone banie cerkiewne soboru. Ale biały, przytulny kościołek ojców kapucynów był polski. Celebrował nabożeństwa ostatni staruszek z tego zakonu, białobrody ojciec Cyrjak Truszkowski. Łączył on rubaszną bezpośredniość kwestarzy osiemnastowiecznych z patriotyzmem naszych księży z 1863 roku. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem opowieść o księdzu Marku z konfederacji barskiej, stanął mi w oczach ksiądz Cyrjak jak żywy.

Poza tym wszystkim nienawidził możnych tego świata. Na widok ziemian okolicznych, podczas kazania palił od razu oracje pod ich adresem, wytykając z osobistymi, dziennikarskimi aluzjami, właściwe danym osobom

grzechy, co przy kresowej naturze delikwentów, ich zamożności i nieskrępowaniu, nastręczało olbrzymie możliwości barwnego ilustrowania grzechów głównych i przykazań Bożych. Toteż mój ojciec z góry rezygnował z miejsca blisko ołtarza. Pozostawiał tam matkę, sam przemykał się ku bocznej nawie. Słuchał z tym większą radością, jak jego biedny brat Jan, który właśnie dostarczył księdzu do kościoła desek sosnowych zamiast dębowych, a siadł niebacznie w prezbiterium, słyszał takie kazanie o skąpstwie:

– I myśli sobie skąpiec: „Po co mam dawać na kościół do nowych drzwi deski dębowe, kiedy i sośnina wystarczy? Może ksiądz, stary już, nie zauważy, nie dostrzeże..." Ale mylisz się, mój Jasiu, mylisz, kochaneczku – grzmiał Cyrjak, rękę karzącą wyciągając niby to w przestrzeń, właściwie ponad biednego grzesznika. – Księdza może oszukasz! Ale Boga nie oszukasz! On sośninę od dębu rozpozna. Umrzesz, Jasiu, umrzesz – wołał jeszcze głośniej – a twoich dębów semerynieckich, choć takie piękne, na tamten świat nie zabierzesz!

Tu, przypomniawszy sobie, że Semerynki nie są majątkiem leśnym i że dęby stryjow-

skie rosły w sąsiednich Werborodyńcach, dodawał nieubłaganie, by poprawić ów ważny lapsus i zgnieść grzesznika do reszty:

– I werborodynieckie dęby zostawisz na tym świecie, zostawisz. Przed sąd Boży straszliwy ze sobą ich nie zabierzesz!

I schodził z kazalnicy, lokalny Skarga, ostatni z pokoleń owych księży-patriotów powstańczych, zsyłanych na Sybiry, wleczonych po turmach. Wlókł się za nim jakiś rankor do groszorobów szlacheckich, do epoki pozytywizmu uherbionego, kupowanych hrabiowskich tytułów i pogodzonych z „nowymi czasami" wnuków kasztelańskich.

Po czym wszyscy zgodnie śpieszyli do plebanii na kawę. (Herbata była uważana przez księdza za „trunek moskiewski"). Dwa wielkie, oczywiście żydowskie, „zajazdy", w jednej połowie poświęcone gościom, w drugiej ich pojazdom, dawały pomieszczenie okolicznemu ziemiaństwu. Właścicielami ich byli Szomstein i Gorenstein; zajazd Gorensteina, o ile pamiętam, był (z nieznanej mi bliżej racji) uważany za szykowniejszy. Moja matka stawała z nami u Szomsteinowej. Kiedyś, wiele lat potem, miałem w noc, w zadymkę, niepoznany, zawitać do Starego Kon-

stantynowa. Zapytany o owe zajazdy, nocny przechodzień popatrzył na mnie jak na człowieka z tamtego świata.

– Szomstein, Gorenstein? Czto wy? Kagda ich nietu! Ich pierestroili. Tiepier' jest tolko gostinnica Krasnawo Kriesta i Krasnawo Wietierana.

I właściwie wtedy dopiero odkryłem cały ogrom przemian światowych tej ziemi, dopiero wtedy, w owym grudniu 1933 r. zrozumiałem, że po raz pierwszy w moim życiu świat, z którego wyrosłem, zawalił się bez śladu. Trzeba było rozejrzeć się baczniej, aby przekonać się, że i owe „gostinnice", symbol innego ładu, są tak samo przejściowym zjawiskiem, narosłym na wewnętrznej ławie owej ziemi...

Msza niedzielna nie była już w moich czasach tym samym, czym była ongi w życiu okolicznej szlachty. Poświęcało się pobytowi w Starym Konstantynowie zaledwie jeden dzień. Wracaliśmy do domu już o zmierzchu, kiedy na przejeździe przez groblę rozmokłą kumkały żaby ukraińskie i niosły się silne wonie oczeretów. Starsze pokolenie, jak moi stryjowie i ojciec gdy żył, patrzyło na to z goryczą. Oni przynajmniej gnali do miasteczka

parafialnego już w sobotę wieczór, powrót zaś, jeśli tylko mogli, przeciągali co najmniej do poniedziałku. Poprzednie pokolenia, o których pamięć była właśnie w mojej rodzinie szczególnie silna, posunęły ten obyczaj znacznie dalej. Ostatnie i pierwsze dni tygodnia spędzały w miasteczku, wyczekując mszy niedzielnej lub odsiadując ją. Wielokrotnie miano nawet w miasteczkach własne domy; był i taki nasz na wprost kościoła, skromny, drewniany i niewielki, typowy zaściankowo-szlachecki. W nim dokonała ostatnich lat życia matka mojego ojca, której już nie znałem, ale o której dochowała się w domu, a zwłaszcza u służby, naprawdę niezatarta pamięć.

– Maksym babunię pamięta? – pytałem zawsze.

– Ho, ho, ho! – odpowiadał stary, olbrzymi Maksym. – O, pani marszałkowa to była pani! A chodziła po domu zawsze z łopatką u pasa...

– Dlaczego z łopatką?

– Do bicia psów, służby i dzieci – brzmiała zawsze ta sama odpowiedź.

„Łopatka" była, oczywiście, rodzajem klapsodawczego skórzanego narzędzia. Marszał-

kową – jak dziwnie brzmi mi teraz ten tytuł wówczas tak powszechny! – z szacunkiem wspominała służba, z respektem – szeroka okolica, a z trwogą – dawno już postarzałe dzieci. Tylko psie pokolenia, które mimo postępu czasów nie przestały brać batów, nie zachowały o groźnej pani żadnego wspomnienia. Ale o owych przedpotopowych dla mnie czasach po mszy św. szło się nie do księdza Cyrjaka, który jeszcze z paroma ostatnimi kapucynami urzędował w puściejącym z roku na rok klasztorze, ale do małego dworku, w którym odsunięta od spraw majątkowych, lecz światowym zawsze oddana, osiadła babka „na dewocji", celebrując towarzyskie asamble.

Spędzanie znacznej ilości czasu właśnie w miastach i miasteczkach, z wolna zanikające, nie było zresztą jedynie wilegiaturą towarzyską. Tu załatwiało się przecież rozliczne interesy majątkowe, tu odbywały się przeróżne handle, targi, kontrakty. Właśnie słynne osiemnastowieczne „kontrakty" dubieńskie, a po rozbiorach – kijowskie, były wyolbrzymieniem, na skalę kilku guberni, owych lokalniejszych i częstszych zjazdów. W owych czasach gospodarzenie było czynnością dość prymitywną, nie znającą rzepaków, buraków

cukrowych, zawiłych płodozmianów i superfosfatów. Natomiast handel i obroty pieniężne były kwestią zawiłą, w której trudno było zdawać się na ekonomów, ale trzeba było samemu kręcić głową. Owa szlachta kresowa miała poza tym cechę, o której mało się wie: oto olbrzymi, niepospolity u Polaków, zmysł handlowy. Wielkie fortuny Jaroszyńskich, Szczeniowskich, Trzeciaków, Lipkowskich, wyrosły już nie z królewskich nadań, jak Potockich czy Lubomirskich, już nie z obłowienia się w czasie rozbiorów, jak Branickich czy Sułkowskich, ale właśnie na wielkich biznesach, kubek w kubek przypominających biznesy Ameryki sprzed lat pięćdziesięciu, a Argentyny – jeszcze teraz. Szlachta kresowa negocjowała, handlowała, przeprowadzała transakcje z pasją niezwykłą. Posiadała do tego zamiłowanie olbrzymie, nieznane zupełnie szlachcie ówczesnego Królestwa, gdzie synowie ziemiańscy zajmowali się handlem chyba tylko po ostatecznym wyjściu z majątku, lub Galicji, gdzie nawet i tego nie było, bo zbankrutowany ziemianin biegł truchtem na urzędniczą posadę. Na odwrót, jeśli w Królestwie i Galicji Żyd był postacią nie lubianą, nawet uważaną w wielu kołach za wroga narodowego (co nie

przeszkadzało mu być jednocześnie ogólnym handlowym powiernikiem ziemiańskim) – to na tej olbrzymiej połaci ziem, narodowo, religijnie i rasowo mieszanych, gdzie antysemityzm przeradzałby się fatalnie w pogrom, pogrom – w anarchię, anarchia – w ruinę, było zupełnie inaczej. Żydostwo nie dyskwalifikowało. Natomiast Żydzi nie mieli wcale tego monopolu handlowego i finansowego, jaki zdobyli w bardziej antysemickich częściach dawnej Polski. Wielkie cukrownie, wielkie młyny, wielkie interesy zbożowe i leśne, były w bardzo wysokim stopniu właśnie w ręku polskim. Natomiast wszędzie splatały się ze współpracą żydowską, tym choćby zrozumiałą, że obok Polaków (odliczywszy nieliczną warstwę rdzennej inteligencji rosyjskiej w jeszcze bardziej nielicznych miastach) Żydzi stanowili jedyny bardziej oświecony element. Zmysł handlowy naszej warstwy niejednokrotnie wprawiał w przerażony podziw Żydów z innych dzielnic, mniej do tego zjawiska w Polsce nawykłych.

Niestety, ta żyłka przodków nie odezwała się we mnie. Mój brat młodszy jest za to jej klasycznym żyjącym dowodem. Latem 1940 r., gdy jako podporucznik (rezerwa, oczywiś-

cie) znalazł się po rozejmie francuskim w Tuluzie, radzono nad sposobem wydobycia z Francji kilku tysięcy polskich wojskowych.

Nieszczęsny Miś (ten, którego urodzin chłopi nie byli ciekawi i którego przyjściu na świat nie towarzyszyła zadymka) powiedział na zebraniu oficerów co następuje:

– Panowie! Żadnych komitetów, żadnych biur, spisywań, list. Po co? Należy po prostu, w którymś z portów, wyszukać jakiegoś armatora czy kombinatora. Najlepiej polskiego Żyda. I powiedzieć mu: „Jojne! Ile Jojne chce za każdego żołnierza dostarczonego loco Anglia? Trzy funty? Za dużo, Jojne. Dwa". Zgodzić się na dwa i pół. Bez komitetów, bez biur, bez biurokracji, gładko, sprawnie i nawet nie najdrożej przeprowadzi.

Oczywiście, zbesztano go w sposób hierarchicznie dostojny, za owe nieoficerskie dowcipasy. Wielorakie biura, komitety, agendy, wydziały, wywiady, sekcje, delegatury, rozpoczęły swą wspaniałą działalność. Ale mój brat chodził po Marsylii, i naraz otoczył go tłum Żydów. Wyławiał spośród nich co jednego. Siadali pod platanami i wywiązywała się taka rozmowa:

– Ma pan okręt?

– Mam.

– Na ile?

– Na osiemset.

– Mnie potrzeba na dwa tysiące.

Ja, potrącany, odpychany przez biznesmenów marsylskich cisnących się do mego brata jak do cadyka, patrzyłem z osłupieniem na szał tych wzajemnych targów. Jeśli Żyd miał taki okręt, o jaki chodziło memu bratu, rozpoczynały się zaciekłe targi o cenę. Targowali się o każdego szylinga, pół korony, niemal pensa. Umawiali każdy szczegół, jakby okręt już stał pod parą w tym porcie, gdzie władała niemiecka policja. Potem okazywało się, że okręt nie ma tylu łóżek i że trzeba wmontować łóżka. Potem znowu czegoś brakowało. Mój brat był nieubłagany. Patrzyłem z daleka, jak w miarę rozmowy stawał się coraz spokojniejszy, pewniejszy siebie i zdystansowany, podczas gdy marsylski armator tracił pewność, panowanie ruchów i wyniosłość. Ręce zaczynały mu latać, wychylał się z krzesełka, niemal grożąc upadkiem. Ci dwaj ludzie, których przodkowie mogli łatwo handlować gdzieś w Berdyczowie czy Mińsku, wchodzili naraz w skórę swoich dalekich przodków. Na bulwarze Cannebière pachniało dawną Odessą.

– Po co ty to robisz, szaleńcze? – mówiłem. – Nie masz niczyich upoważnień, pieniędzy, poparcia. Negocjujesz dla samej radości negocjowania, a oni to samo. Co ci z wprawiania tych Żydów w trans spekulacyjny, w gorączkę giełdowania?

– Poczekaj, poczekaj – mówił mój brat.

Nie czekałem i przedostałem się do Londynu. Po paru miesiącach przyszła depesza: „Jestem z moimi w Aleksandrii. Post-office taki a taki".

„Moi", to był pluton wyprowadzony spod Rennes i nie zdany jak tyle innych na łaskę losu. Pomyślałem, że jednak ów zew krwi przydał mu się na coś. Mój Boże, imperium angielskie powstało z dzieła awanturników i negocjatorów, a nie urzędasów. Kto wie, ja bym pewno wyrósł na ziemiańskiego „schöngeista", na zbieracza obrazów, książek, fundatora stypendiów, on by może wyszedł na wielkiego pomnożyciela majątku, spekulującego na pszenicy i na burakach Ukrainy, na rybach Leny, na tartakach Uralu, na winogronach Krymu. Gdyby w czerwcu 1914 r. nie zastrzelono w pewnym bałkańskim mieście pewnego austriackiego arcyksięcia...

Zabawne jest pomyśleć, jak bogatsze jest nasze życie dzięki celnym strzałom Principa!

Więź rodzinna, zanikająca zupełnie w wielkich miastach, nikła wśród tzw. inteligencji zawodowej, słaba na ogół wśród proletariatu miejskiego lub zubożałego włościaństwa, natomiast bardzo silna u górali, u zamożniejszych chłopów, w handlowym patrycjacie miejskim, tam, na szerokich kresach od bałtyckiej Połągi do czarnomorskiego Akermanu, była rzeczą ogromnie, wprost nieprawdopodobnie, silną.

Staroszlachecki snobizm rodowy, kilka pokoleń spokoju i zamożności, warunkujące, jak wiadomo, powstanie tradycji, atawizmy i dziedziczenie majątkowe, robiły swoje. Wyrosłem, jak tylu innych synów tej warstwy i owego kraju, w dokładnej znajomości dziejów mojej rodziny od co najmniej stu pięćdziesięciu lat, w świecie, gdzie sama w sobie tworzyła jeszcze jeden, osobny i ściślejszy, świat. Była to rodzina stara, ale poza dwoma kasztelanami i jednym stolnikiem koronnym niczym w dawnej Rzeczypospolitej nie wsławiona, wojennych wydarzeń, jako rzecz wtedy naturalną, nie licząc. Gdzieś koło króla

Stasia wyszła ze swoich prahistorycznych błot owruckich (wsławionych tym, że szlachta tego powiatu opowiedziała się w r. 1649 nie za królem, ale za Chmielnickim) i pierwszymi mariażami wkręciła się w bogaty powiat starokonstantynowski. Kiedyś, w Krakowie, prof. Stanisław Kot, zajęty wówczas tropieniem socynian i arian polskich, na Wołyniu ongi rozpanoszonych, odnalazł monografię tego powiatu. Miejscowy historyk z pietyzmem wyliczał, ile posagu wniosła memu dziadkowi babka, pradziadowi – prababka, prapradziadowi – praprababka! Jak talenty handlowe szlachty kresowej są na ogół w Polsce niedocenione, tak samo nie wie się i tego, że znakomitość rodzin dawnej Rzeczypospolitej miała swe podstawy istotne nie w tytułach, rzadkich wówczas i mało znaczących, nie w żadnej tam starożytności, którą lada jezuicki panegirysta bez wielkich kłopotów wyprowadzał od Lecha i Palemona, ale w solidnym, burżujskim trzosie*. Rodziny trzos

* Szlachta polska, chyba jedna jedyna w Europie, wprowadziła w ten sposób na długo przed wiekiem XIX – mieszczańską zasadę zamożności jako czynnika decydującego o znaczeniu danej jednostki. W stosunku do demokracji była to, oczywiście, zasada przestarzała. W stosunku

w Polsce uświetniał, rodziny obalał*. Pruszyńscy, szeregiem mariaży, w których majętność stanowiła główny powab, wybili się, jak tylu innych, lepszych i gorszych. Majętności ich nie zrujnowało nawet wielokrotne piastowanie godności, wielce sobie cenionej po rozbiorach przez szlachtę tych ziem, mianowicie marszałków szlacheckich. Wybieralny marszałek posiadał zadania minimalne, funkcje nikłe, ale rolę społeczną, towarzyską, nawet polityczną, ogromną. W kraju i w epoce, kiedy społeczeństwem było jedynie ziemiaństwo, wodził rej, urabiał umysły, przewodził. Wybory szlacheckie były ostatnim przedłużeniem owych sejmików, w których wyżywał się ongi temperament narodu i zatonęło dzie-

---

jednak do feudalizmu była to znowuż zasada głęboko nowoczesna. Być może, że dzięki niej właśnie, dzięki temu, że w Polsce wybicie się na wierzch nie było rzeczą tak obwarowaną kastowo, jak np. w Hiszpanii, szlachta polska lepiej niż w innych krajach przetrwała swoją epokę i później ustąpiła nowym warstwom.

* Różni Kazanowscy, Górkowie, Koniecpolscy, niegdyś magnaci lub na poły magnaci, nie tyle wygaśli, ile po prostu zbiednieli i stąd zeszli w cień. Potoccy, Radziwiłłowie czy Czartoryscy umieli swój majątek zachować, a np. Czetwertyńscy nawet go stworzyć, i temu zawdzięczają swe stanowisko.

dzictwo Jagiellonów. Podejmowanie kosztowało wiele, a spadało na barki marszałka, bo wynalazku „funduszy reprezentacyjnych" nie znano jeszcze! Ale dla Pruszyńskich myśl, że marszałkiem gubernialnym szlachty wołyńskiej może być nie Pruszyński, wydawała się już ogromnie przykra, a sam przebłysk, żeby wspaniałym, najzamożniejszym na owym Wołyniu powiatem starokonstantynowskim rządził choć przez jedną kadencję jakiś nie Pruszyński, kataklizmem nie do zniesienia. Z boleścią znieśli krótki okres, gdy po śmierci żałośnie lekkomyślnego Erazma, kawalera maltańskiego i wolnomularza, pod małoletniość jego synów, ziemiaństwo starokonstantynowskie szukało sobie pasterzy politycznych u Giżyckich i Rotharyuszy, oraz u mniej rażących, bo spokrewnionych, Chojeckich. Ale skoro wychowankowie Liceum Krzemienieckiego, Mieczysław i Bronisław, dojrzeli w leciech, ukrócili szybko ową niedolę i sprawowali kolejno rządy powiatem aż po rok 1863. Majętność, solidne wykształcenie, powinowactwa oraz granitowo konserwatywne przekonania – dziad Mieczysław był antagonistą Kraszewskiego w wyborach na kuratora szkół wołyńskich i pokonał znakomitego pi-

sarza – ułatwiały im zapewne zadanie. Kiedy „biali" przystąpili do powstania 1863 roku, obaj, jak tylu innych, złożyli swoje godności, rząd zaś zniósł obieralność marszałków. Odtąd urząd, piastowany przez Rosjan, stracił zupełnie na uznaniu. Do końca, Pruszyńscy uważali zniesienie owej godności za jedną z najbardziej zasadniczych klęsk narodowych, i zawsze sądzili, że pojednanie rosyjsko-polskie powinno się zacząć uroczystym przywróceniem starej godności jej dawnego blasku. Co do tego, jak by wypadła nowa elekcja w powiecie starokonstantynowskim, nie mieli najmniejszych złudzeń. Zabawne dla mnie są te wspomnienia, ale nie są niemiłe. Przeciwnie, cieszę się, że w owej społeczności i w mojej rodzinie ceniono nade wszystko nie łaski nadane przez władzę, ale godności przyznawane w wolnym obiorze współobywateli.

Lecz dzieje owej rodziny, której miałem być w jej zamysłach jedynie jednym słojem więcej, zawdzięczały swą pomyślność innej zgoła cnocie. Pruszyńscy byli skąpi, skąpi, arcyskąpi.

Wyda się komuś dziwne, że podkreślam tę cechę, ani nie tak ostatecznie rzadką w owych czasach i w owej warstwie, ani nie tak wspa-

niałą. Nie piszę tu jednak gloryfikacji, tylko daję obraz. Otóż skąpstwo Pruszyńskich – które słynęło naprawdę od Odessy po Rygę – było czymś innym niż zwykłą paskudną przywarą. To było coś jak z ową znaną, namiestnikowską rodziną Galicji, o której członkach powiadano we Lwowie (nie bez podziwu), że są impotentami od dziewięciu pokoleń. Pierwsi Pruszyńscy, których skąpstwo zapisali pamiętnikarze kresowi, żyli jeszcze w w. XVIII. Dosłownie za króla Sasa. Od nich, w sposób nieprzerwany, ciągnęły się pokolenia wielkich skąpców, którzy ze skąpstwa zrobili metodę, system, zasadę, cnotę i dewizę rodową. Nie niczym, niestety, nieuzasadnione „una lex voluntas", ale jakże trafniejsze „bądź skąpy" powinno wić się wstęgą wymyślną pod tarczą z panną na niedźwiedziu. Bywali Pruszyńscy rozrzutni. Nieskąpych nie było. Z przykazań Bożych niewątpliwe za najistotniejsze uważali te, które dotyczyły nietrwonienia darów Bożych. Ze wskazań narodowych poczytywali za najroztropniejsze te, które karciły trwonienie fortun, sprzedawanie ziemi Moskalom i „kurczenie" stanu posiadania. Wypłacanie posagu siostrom stanowiło operację tak dotkliwą, że wo-

leli je nakłaniać do poświęcenia się na wieczność Bogu, albo lepiej panieństwu, bo z Bogiem za pośrednictwem klasztoru szły jednak targi, w których co prawda klasztor wychodził nieco tak jak ksiądz Cyrjak na owych deskach sosnowych. Jeśli już wychodziły za mąż, to wyposażenie je w ziemię wydawało im się nieszczęściem, któremu trzeba było na gwałt zapobiec. Wypłacali posag w złocie, odkupywali majątek posażny, robili wszystko, byle ziemi nie dać. Ziemia była dla nich takim samym pożądanym skarbem, dobrem jedynym, miarą potęgi, jak dla chłopów z wielkich, po jarach się wlokących, wsi ruskich.

Nieświadoma czy podświadoma polityka rozrodcza łączyła się z owymi ambicjami rodowymi, z których wypływało i owo, prowadzące ich zdaniem do bogactwa, skąpstwo. Rozrodzenie się Pruszyńskich stało się niebezpieczeństwem, któremu moja linia postanowiła energicznie zapobiec. Albo się nie rozradzała, albo nie żeniła. Inne lekkomyślne linie, dużo dalsze, nie zawsze – z wyjątkiem galicyjskiej i Pustomyt – trzymały się tych zasad. Przeciwnie, rosły jak samosiejki, rozradzały się jak pnącze. Dwa pokolenia, trzy – i zamożność malała, a z nią stopień kultury, poloru, znacze-

nia. Była to, oczywiście, ta sama najprawdopodobniej rodzina, też wyległa z poleskiego Owrucza na bogaty Wołyń, pszeniczne Podole, czarnoziemną Kijowszczyznę. Ambicje wodzirejskie moich Pruszyńskich, wzgląd na głosy szlacheckie w elekcji marszałka, sprawiały, że podtrzymywano najdalsze pokrewieństwa z uboższą bracią szlachtą, z mniejszym ziemiaństwem, gorzej mówiącym po francusku, zadłużonym. Wystarczyło jednak, aby taki właśnie ziemianin nazywał się nie Pawski, ale Pruszyński, aby nie utrzymywano z nim w ogóle, albo tak jakby w ogóle, stosunków. O jednych mi znanych, i zresztą wcale zamożnych, wynaleziono jakoby ich ojciec narodził się przed legalnym ślubem swych rodziców. O innej linii twierdzono na odmianę, że przyszli na świat w dziewięć lat po śmierci swego ojca. O jeszcze innych – że są naturalnymi, usynowionymi dziećmi (czy potomkami dzieci) owego lekkomyślnego Erazma, po którym jako po wolterianinie, wolnomularzu (a nawet ponoć nie tak bardzo skąpym), można się było przecież i tego spodziewać... Biedacy, których zapewne główną winą była zbyt królicza rozrodczość i mniejsza od naszej inklinacja do cnót oszczędności, trzymali się

tym bardziej z dala, że istotnie, jeśli byli krewni, to jednak naprawdę bardzo dalecy. „*Splendid isolation*" od wszelkich innych, z małymi wyjątkami, imienników, rosła z roku na rok, jak procenty w banku.

Aż wraz z tymi procentami miała ulec zupełnej katastrofie.

Polityka bowiem ograniczonej rozrodczości, starokawalerstwa i staropanieństwa doprowadziła do odmiennego kryzysu. Oto naraz Pruszyńscy stanęli przed widmem braku męskiego potomstwa. Mój brat przyrodni, żonaty, nie rokował żadnych w tym kierunku nadziei. Moi stryjowie, bliżsi i dalsi, zapleśnieli w starokawalerstwie, jak wino w lochu. Potentaci na skalę powiatu stanęli zatem wobec nowego niebezpieczeństwa, w które wpędzili się sami. Kto miał dziedziczyć dęby semerynieckie stryja Jana i jego dęby werborodynieckie, kto miał dziedziczyć posagi Czeczelówien, Iwanowskich, Czarneckich, zbierane co pokolenia, a przechowywane z pietyzmem godnym Tartuffe'a?

– Brezowie! – podsuwali usłużni bliscy krewni z Siekierzyniec, gdzie co rok był prorok.

– Usynówcie jakiego Popiela! – doradzała jeszcze aktywniej moja przyrodnia bratowa.

– O kościele nie zapominajcie; będzie wam lepiej na tamtym świecie – zapewniali księża.

Pruszyńskich żadna z tak prostych myśli nie tylko nie pocieszała, ale doprowadzała do szczytu pasji. Perspektywa, że pszczela praca paru pokoleń pójdzie na korzyść krewnym innego herbu i nazwiska, że inni będą tuczyli się ich miodami, jak oni sami tuczyli się mieniem Czeczelówien i Iwanowskich, spędzała im sen z powiek. Aż naraz mój ojciec, niemal już w Jagiellonowym wieku, szaławiła, bałaguła, człowiek o dziwnym uroku i, niestety, nie odziedziczonym po nim przeze mnie szczęściu do ludzi i kobiet – ożenił się.

– W tym wieku! – próbowali stękać gotowi do skoku krewniacy.

Ale, niestety, kawalerskość bycia i życia mego ojca była zaprzeczeniem metryki. Stryjowie, wiekiem podeszli, przysiedli w ciszy i w napięciu oczekiwania. Mój ojciec, tylekroć karcony przez tych sensatów za lekkomyślność, nikłe objawy rodzinnej naszej cnoty, skłonność do grzechów głównych i zupełny brak poczucia rodowej wielkości, zadający się ze wszystkimi na świecie, a za to powszechnie popularny popularnością inną

niż wspaniali marszałkowie szlachty, stał się naraz, syn i brat marnotrawny, *ultima spes familiae*.

I pewnego grudniowego dnia nie tylko chłopi woliccy czekali na zaśnieżonym ganku, w dzień zadymki, przy stajniach i izbach. Czekał dziwak stryj Jan w Semerynkach, czekał stary stryj Bronisław w Rześniówce, czekali dalsi, ale równie bezdzietni, stryjowie z Brażyniec i Largi.

Telegram, wtręt nowych czasów, przyniósł wiadomość. Pewnie jeszcze w ową zadymkę:

„Syn!"

Nadzieje Brezów, plany mojej bratowej, rachuby księże, rozmiótł po polach starokonstantynowskich śnieg stepowej zawiei.

Natomiast Pruszyńscy rozczulili się w swym sercu, w którym rozczulenia rodowe były niemal jedyną formą ciepła.

„Nie na darmośmy skąpili!" – orzekli.

Wieś, w której w ową grudniową zadymkę przyszedłem na świat, w której w dwadzieścia lat później, w pełni Sowietów, w podobną grudniową zadymkę pojawiłem się powtórnie, jak widmo czasów co przeszły, nosiła nazwę, której wykładnia etymologicz-

na pociągała mnie zawsze, wydając się wprost symboliczna. Łamali sobie na niej zęby wszyscy spisywacze ewidencyjni; niech się potrudzą czytelnicy.

Nazywała się nazwą podwójną: Wolica Kierekieszyna.

Nazywała się Wolica – i dla każdego, kto zna choć trochę dzieje polskiego osadnictwa na wsi, ta nazwa mówi wszystko, nie ukrywa żadnych tajemnic. Wolami, Wólkami, a na kresach ruskich szerzej, groźniej, Wolicami, nazywały się wsie zakładane ongi na pustoszach jeszcze bezludnych, w borze, na stepie. Przychodził pan tej ziemi, może szlachcic przez króla obdarowany, może kniazik ruski, może starosta królewski, zatykał wiechy i pale i ogłaszał w tym miejscu „wolę". Wola oznaczała, że kto się tam osiedli, będzie zwolniony od podatków na tyle i tyle lat, od świadczeń, od danin, od posług i podwód, i ile ich tam znało średniowiecze. Powstawała tak osada, rodziła się wieś. Na olbrzymich ziemiach wschodnich poszedł siew takich właśnie, niezliczonych jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie, jak bodiaki na stepie – darujcie, że słowami ludowej pieśni to ujmę – takich właśnie Wolic. Przeszły Berezynę,

Sieniuchę i Dniepr, podeszły pod Połtawę, obiegły Smoleńsk. Jak podberlińska Nowawes – Nowa Wieś, jak wsie o słowiańskich nazwach pod Szczecinem i Dreznem, tak samo owe Wolice, zagubione dziś i zapomniane na stepie olbrzymiej Rosji, świadczą o dawnym zasięgu imperium, któremu było na imię: Rzeczpospolita.

Powiat starokonstantynowski leżał jednak na tzw. czarnym szlaku. Trzy wiodły na Polskę szlaki wypraw tatarskich; najważniejszy był właśnie ów czarny. Wytryskał z Dzikich Pól, opływał Kamieniec Podolski pana Wołodyjowskiego, spadał na Stary Konstantynów i jego klasztorne fortalicje, gdzie Jarema Wiśniowiecki pokonał Krzywonosa, gnał aż pod Krzemieniec. Toteż powiat obwarowano silnym osadnictwem.

Wolic było w nim ni mniej, ni więcej tylko jedenaście.

Każda, dla odróżnienia, posiadała nazwę. Nasza zwała się właśnie Kierekieszyną.

Albowiem jej najstarszy pamiętny właściciel, srogi pan, którego portret wisiał w cerkwi wiejskiej, nazywał się Kierekiesza. Był zaś z pochodzenia Tatarem, jak tylu innych Tatarów wiernych Rzeczpospolitej. Kiedyś przy-

niesiono ów portret. Patrzyła z niego przybrana w czerwony kontusz, podgolona z sarmacka, twarz wschodnia, mongolska, o kościach policzkowych wystających i oczach skośnych. „Terribilis facies" – pisali na ich widok przerażeni kronikarze dolnej Austrii, Śląska i Panonii w w. XIII. „Wygląda jak Azja Tuhajbejowicz" – powiedziała oczytana w Sienkiewiczu kuzynka. Ja patrzyłem na pierwszego pana na Wolicy jak na kogoś nieobcego zupełnie, a nawet po trosze swojskiego. Może dlatego, że nic i nikt z tej ziemi, nic, co się na jej historię złożyło, nie było mi obce. Może dlatego, że wiedziałem już wtedy, że w moich dziecinnych, nieuformowanych rysach jest już ten sam stygmat wschodni i kałmucki. I otóż owa nazwa podwójna, Wolicy Kierekieszynej, splata mi się zawsze w pamięci, jak powiązanie Wschodu i Zachodu, Polski i stepu, Europy i Azji, łaciny i jarłyku, szyszaka i buńczuka. Kiedy w naszych kościołach widziałem krzyże zawsze stawiane na półksiężycu, rozumiałem historyczne powstanie tego znaku lepiej może niż religijne. Dla mnie stał się on już znakiem podwójnym, zlał z dwóch w jedno, był jednym. Jak pas lity szlachecki, w którym dziergają się motywy wersalskie i arabskie...

By przemówić jeszcze silniej do wyobraźni dziecka, Wolica nie była, jak inne domy mojej rodziny, lamusem pachnącym wspomnieniami, pełnym gablotek ze zbiorami, muzeum ziemiańskim, biblioteką rzadkich druków. Był to majątek bez tradycji, kupiony przez dziada Mieczysława dla mego właśnie ojca, majątek, którego poprzedni właściciele, Czaccy, nadwyrężyli nieopatrznie, stawiając tu wspaniałą rezydencję. Rezydencja w środku wielkiego parku niszczała, nie dokończona przez Czackich; Pruszyńscy byli zanadto ostrożni, a mój ojciec o te rzeczy zbyt mało dbały, by ową budowę wykończyć. Mieszkaliśmy w dużym, szerokim i niskim dworze, rozsiadłym na grzbiecie wzgórza, który szedł garbem czarnoziemu, nosząc na sobie, jak słoń palankin, olbrzymi – dla dziecka przynajmniej – ogród. Nie był to znowu, a przynajmniej w przeważającej części, ogród pełen szpalerów, trawników, perspektyw i pseudo-Wersalu. Ginęły one w gęstwie przypominającej las i sad, w niesamowitych zaroślach, polankach, ścieżkach i drogach. Wiosna rozbielała się tu wiśniami jak morze różowej białości, podpływającej pod okna zapachem i kwiatem, orgią. Jesień pachniała

złotymi berami i olbrzymimi „gruszkami-funtówkami", brązowiała orzechem, osypywała się bursztynem ogromnych renklod, rozpękała się w ciszy południa kasztanami. Nigdy, nigdy więcej, nie widziałem, żeby coś w naszym europejskim klimacie polskim rosło z taką jurnością natury, z taką zmysłowością zieleni, wyuzdanością zapachu, zuchwalstwem urodzaju. Była to dżungla niesforna i żywiołowa, w której od dziecka ginęliśmy przed okiem francuskich guwernantek, uciekając się do ukraińskich, wiejskich Indianiąt. Dopiero zimą przychodziło opamiętanie śniegowe. Wszystko zasypywał śnieg biały, puszysty, wysoki. Drzewa, bezradnie gołe, grzęzły w jego edredonach. Pod oknem pokoju mojej matki, niskim oknem, chwiał się tylko melancholijnie dziwny stwór w miejscu, gdzie latem kwitły róże „Maréchal Niel". Miał słomiany kadłub i jakby krótkie łapy.

– Chochoł – mówiła matka zamyślona nad czymś – jak w Wyspiańskim...

Tajemniczość zawsze wrywa się najsilniej w pamięć dziecka. Pamiętam właśnie tajemniczość i zagadkowość owych słów: „Chochoł" i „Wyspiański". Były dla mnie tysiąckroć bar-

dziej egzotyczne od Tatara, właściciela Wolicy, od cerkwi wiejskiej, od dalekich wspomnień o wolnomularskim Erazmie. Był to niewątpliwie świat obcy zupełnie, inny. Przez matkę, która pochodziła z rodziny o jednym z najbardziej wojennych nazwisk dawnej Rzeczpospolitej, ale zbiedniałej, a za to o tyleż młodszej, wychowanej w nowszym świecie pojęć, padał tak powiew nowy, jak wiatr, który w zimowe wieczory zapędzał się w kominy poświstem niepokojącym. Chochoł zaglądał w okno i wartował, czuło się jego obecność wieczorami, kiedy ociężała i powolna Mania rozczesywała z miękkim szelestem długie, czarne włosy matki. Ojciec już nie żył, i tamta część domu była pusta. Skrzypiały w niej deski posadzek, opowiadano w czeladnej o czarnym psie, który leży i warczy. (Ten dom bez tradycji był widocznie za mało stary na przyzwoite ludzkie duchy: musiał kontentować się psim widmem). Mania, która żegnała się za skrzypnięciem w wielkim stołowym, lub za poświstem w kominie wieczorną porą, pochodziła właśnie z jednego z zaścianków szlacheckich. Nuciła cicho, wstydliwie, piosenkę starą, o dziwnie melodyjnej nucie, śpiewaną w jej zaścianku, ale wyśmiewaną po trosze we

dworze. W kraju dumek ruskich była to pewno pierwsza piosenka polska, jaka kołysała moje dzieciństwo. Były w niej niezupełnie zrozumiałe słowa o jakimś „zmienniku Filonie" i bardziej zrozumiałe o tym, że „psy się pośpiły" i że ktoś tam „klaszcze za borem". Za borem? – myślałem; pewno za dąbrową ku Leszczyńcom. Piosenka śpiewała, że „księżyc zaszedł" i mówiła o jakimś „umówionym jaworze".

Później życie zagubiło dla mnie ową piosenkę. Długo, długo później, kiedy już dawno nie byłem dzieckiem, miałem odnaleźć piosenkę w historii literatury polskiej prof. Chrzanowskiego. Miałem dowiedzieć się, że napisał ją Franciszek Karpiński, że słowami i nutą tej piosenki kochał się młody porucznik Tadeusz Bonawentura Kościuszko w hetmańskiej córce, Ludwice Sosnowskiej, i w panience z mego powiatu, Tekli Żurowskiej. Śpiewały ją jako młode panienki różne Radziwiłłówny i Potockie, i Maria Walewska, i Joanna Grudzińska, na najwytworniejszych salach wielkiego świata. Potem piosenka schodziła na dół, opadała społecznie, jak suknie donaszane przez pokojówki po jaśnie pani, jak modlitewniki średniowieczne królewien, które po stuleciach odnajdują się w przedruku na odpustowych kramikach. Aż

zeszła nawet nie do dworu, ale do zaścianka, i tam przetrwała najdłużej, dotrzymano jej wiary najwierniej. Wiatr hulał na owym garbie wzgórza, na którym nisko osiadł nasz dom, niełady, nieforemny, ale wygodny i przytulny, huczało za okiennicami po nocy, świece paliły się ciemno. Stara mademoiselle Marie kładła nas do snu mówiąc po francusku, dziewczyny przynoszące wodę gorącą w dzbanku odpowiadały po ukraińsku, a myśmy klękali do pacierza wieczornego, jednej z rzadkich chwil w domach tych czasów i kraju, gdzie wyłącznie trwał język polski. Zasypiając patrzyłem na szparę nie domkniętych drzwi pokoju matki, a w załomach myślenia, jak ćmy wkoło lampy, błąkały się uporczywe owe słowa niezrozumiałe o Chochole i nieznajomym Wyspiańskim, i owa, także niezrozumiana, piosenka, echo dalekie z dawnej, dawnej Rzeczpospolitej. Kto wie; może byłem ostatni, co ją słyszał śpiewaną, jak są ludzie, którzy ostatni zasłyszeli, w początkach XIX w., ostatki mowy dawnych Prusów spod Królewca, wytępionych przez Niemców?

Dwie Polski, w takie wieczory zimowe, unosiły się nad domem dzieciństwa, miękkim skrzydłem piosenki, wielkim wiewem proroctw Wyspiańskiego. Ta pierwsza, na każ-

dym miejscu w owym kraju wspomnieniem przytomna, Polska przeszłości, Polska Wolicy Kierekieszynej, tego Tatara i tej wiejskiej cerkwi, tysiąca rozsypanych osiedli od morza jednego do morza. Ta druga, której ponowne nadejście wieściło słowo niepolskie Wernyhory i w której dla mego kraju lat dziecinnych miało zabraknąć miejsca...

A czasem, kiedy pomyślę o pacyfikacjach Tarnopolszczyzny, Berezie i Łucku, o cerkwiach chełmskich burzonych w r. 1938, o Hrynkach i wielu, wielu innych rzeczach, o których przeciętny Polak nigdy nie dowiedział się nawet części prawdy, to jednak myślę, że lepiej, iż go zabrakło...

Wolica pachniała ziemią, sadem, oczeretami olbrzymiego stawu, prymitywem, koniem i chłopem w kożuchu; domy moich stryjów, objeżdżanych dokumentnie przez nas jak i innych krewnych co lata, pachniały lamusem, książkami, nieprzewietrzeniem, starzyzną i wiekiem przeszłym. Kolczugami i szafami gdańskimi, księgami i obrazami: na książki u nas nie skąpiono jednak. Były to piękne, wielkie dwory, na których piętno tej rodziny, o wyrazistym typie psychicznym,

osadziło się paropokoleniowym pyłem, tym grubszym, że spotęgowanym jeszcze zamiłowaniem do zbieractwa, bardzo powszechnym właśnie w tym kraju i w tej warstwie.

Niepolski, nieszlachecki, nieinteligencki także, pociąg do książki, tak samo obcy na ogół szlachcie polskiej innych ziem jak i zamiłowanie do handlu, przełamywał bowiem owe kry lodowe skąpstwa. Było w tym zbieractwie zapewne i nieco snobizmu (rzadko, niestety, występują takie właśnie, nienajgorsze jeszcze, objawy tej choroby polskiej!), było i wiele dyletanctwa, tym wszakże powściąganego, że wykształcenie, jako się rzekło, było prawdziwie solidne. Ale nade wszystko trwała pasja do historii i wszystkiego, co się z historią kraju łączyło. Byli to wreszcie ludzie starzy, bardzo już nawet starzy. Z dziećmi mówili jednak chętnie i opowiadali wiele. Jeśli w tym kraju panowała jakaś historyczna aura, jeśli z jarów Władynki dobrze mi znanych, z pól, gdzie walczył Krzywonos, z jarów Hanczarychy, o których mówił Wernyhora, szedł wiew sienkiewiczowski, to w tych domach panował prawdziwie historyczny zaduch. Pachniało historią. Historią były dzieje każdego majątku rodzin-

nego, naszych sąsiadów i krewnych. Oto tamte rzeczy były ostatnią pamiątką po regimentarzu Stempkowskim, wojewodzie kijowskim, który na rozkaz Stanisława Augusta tłukł konfederatów barskich i hajdamaków humańskich wbijał na pal: – prapradziad. To o nim pisał Słowacki. A puścizna czeczelowska poszła przecież po owym Pawle Czeczelu, pułkowniku kozackim, co po bitwie pod Połtawą, ukraińskich Maciejowicach, ostatni bronił kozackiej stolicy, Baturyna, przed wojskiem cara Piotra. To o nim pisał Taras Szewczenko. Oto nasze mienie było jeszcze po Dyzmie Tomaszewskim, sekretarzu generalnym konfederacji targowickiej; oto do nielicznych stronników Trzeciego Maja na Wołyniu należeli właśnie Pruszyńscy; oto Semerynki były kiedyś Ksawerego Chojeckiego, posła na Sejm Czteroletni (po którym poszło w owych paru rodzinach, z pokolenia przekazywane na pokolenie, moje właśnie imię). Nie były to żadne tradycje historyczne, wielkie wydarzenia dziejowe czy wybitne indywidualności. Ale w tej atmosferze domowej widziało się te wszystkie szczegóły z przeszłości doskonale zakonserwowane w pamięci, jak tyleż nitek złotych, krwa-

wych, białych, czarnych, którymi przeszłość nas, małych dzieci, wdziergiwała się w przeszłość wielkiego kraju. Były rzeczy, z których się było po dziecinnemu dumnym, i takie, które po dziecinnemu bardzo wstyd dławił wtenczas. Ale nad wszystko była świadomość, że przeszłość Rzeczypospolitej jest naszą własną przeszłością. Była to rzecz, którą się bardziej czuło, niż wyrozumowywało.

Historia Polski urastała z takich właśnie rodzinnych wspomnień, rozszerzała na całość kraju. Wyrastaliśmy w przekonaniu, że jesteśmy pogrobowcami wielkiej ojczyzny, większej nad wszystko, co mogły uzbierać owe pokolenia skąpców, która trwa, choć podbita, pomiędzy dwoma morzami. Gdyby nam powiedziano, że Gdańsk nie jest polski, zdziwilibyśmy się niezmiernie. Gdyby nam powiedziano, że Kijów nie jest polski, zdumienie nasze byłoby jeszcze większe. Ale gdyby nam powiedziano, że nasza ojczyzna jest jednolita narodowo, obsiada dorzecze Wisły od Karpat do morza, że nie ma w niej miejsca ani dla ruskich chłopów, ani dla cerkwi, ani dla starej Szomsteinowej, to byśmy się zapewne zdziwili najwięcej, my, którzy jednak wyrośli jeszcze, ostatni zapewne Po-

lacy, w świecie idei powstania styczniowego, Polski – Litwy – Rusi, którym opowiadano, że przedstawiciele wszystkich trzech wyznań kroczyli na przedpowstańczym pogrzebie pięciu poległych...

Prawdopodobnie, gdybyśmy byli nieco starsi, dostrzeglibyśmy to, co dostrzegali już i owi starzy, zupełnie wobec zmian nowych bezsilni. Oto gmach dawnej Rzeczypospolitej, dotąd zalany tylko obcym potopem, zaczynał kruszeć od dna. Szły zaskórne wody społeczne, nabrzmiałe rewolucyjnością przeludnionej wsi. Tryskały utajone nurty odrębnych, narodowych istnień. Rodziła się Litwa, Ukraina, Białoruś. Po raz pierwszy od stu lat niewoli, wielkie stronnictwa polityczne zachodniej Polski – Warszawy, poczęły mówić o Polsce „w granicach etnograficznych". Po raz pierwszy od paru stuleci ruch ukraińskiej niepodległości poczynał innymi drogami wdrążać się w grunt. Feudalna struktura owych ziem szerokich stawała się zbyt słaba, by podołać tym wszystkim zagadnieniom. Widziała je. Stała niema. Byli ziemianie, którzy wyprowadzając konsekwencje z założenia, że polskie parcie na wschód było „błędem", przenieśli się do Królestwa. Byli,

mniej liczni, którzy weszli w ruch narodowy, litewski na północy, ukraiński tutaj, w których żywiej zagrała krew tubylcza... Ogromna większość pozostała jednak bezradna, oszołomiona ogromem wypadków, jakie nadciągały, jak olbrzymia, od wieków tu niespotykana, w legendach o Humaniu i Korsuniu przetrwała, zadymka historii. Rewolucja rosyjska miała przynieść kres nie tylko dawnemu państwu carów, ale jeszcze temu, co pomimo rozbiorów pozostało strzępem wielkim dawnej Rzeczypospolitej.

Po latach nie umiałbym powiedzieć, co przetrwało we mnie z owego dzieciństwa, bardziej zbliżonego do przeciętnego dzieciństwa Polaków z XVIII niż z XX w. Otóż najpierw, prawdopodobnie, pewien duch dziejów Polski. Pojmowanie Rzeczypospolitej jako wielonarodowego imperium. Nie odraza do innych ludów, ale przeciwnie, pociąg. Nie traktowanie mniejszości narodowych jako „malum necessarium", ale jako cennych, poszerzających moją ojczyznę, bogacących wspólny dom, składników. Skłonność do szukania syntezy pomiędzy tradycją kozackiego Baturyna a ludźmi Trzeciego Maja, pedagogiczne memento w pacyfikatorskim regimentarzu i w se-

kretarzu generalnym Targowicy. Dążność do odnajdywania tej wspólnoty, narzuconej nam przez geografię i historię, a przekreślonej w ostatnim okresie szkodliwym wydęciem nacjonalizmów.

Kreślę to wspomnienie jeszcze dlatego, że zapewne takich dzieciństw jak moje już w Polsce nie będzie nigdy. Światy nowe, klasy idące, będą zawsze miały setki sposobności do opisania swoich kolebek! Mój – nie. A jednak sądzę, że w miarę wyżywania się nacjonalistycznych szałów ludzkości, w miarę zastanawiania się Polaków, nad wystawieniem narodowi swojemu takiego gmachu, by go nie zmiatały co drugie burze dziejowe, myśl polska, myśl młodych Polaków, podążać będzie, rad szukając, ku owej dalekiej i niedalekiej przeszłości. Będzie starała się odkryć z gruzów i wykopalisk historii, *jak* wzniesiono gmach tak wielki, który dał tyle wieków spokoju i tylu pokoleniom zapewnił wolność? Będzie próbowała rozpoznać, *jakim* to spoiwem potrafiła łączyć tak silnie różne cegły, kamienie, bele dębowe, owa budowa? Nasze rodzinne skąpstwo, zachłanność pokoleń zbieraczy, uzbierała i nie roztrwoniła niczego z owej zamarłej przeszłości,

przekazała jej zasady. To było dziedzictwo najtrwalsze. Za nie jestem wdzięczny.

Prędzej, później, pójdzie myśl polska uważna i skupiona ku tamtym szlakom i czasom. Wyjdzie na wielkie drogi czarnego szlaku, gdzie dziś wieje zadymka historii. Będzie iść w tej zadymce po wertepach oświecanych słabym kagankiem, potykać się, grzęznąć – i szukać.

Jakże to jest w pięknym wierszu Dębickiego na rocznicę wyprawy napoleońskiej na Moskwę?

Zawieja dzikie sypkie kopce,
A na dalekie drogi obce
Wychodzi smętna dusza wnuka
I w zaspach śladów sławy szuka.

Aż odnajdzie.

„Kraj lat dziecinnych" – praca zbiorowa, Londyn 1942.

W Belwederze

Jest może szósta wieczorem, zapada zimna, listopadowa noc. Przed nami dwudziestoma – delegacją młodzieży akademickiej z całej Polski przybyłej do Warszawy na Zjazd* – otwiera się powoli ze zgrzytem żelazna brama Belwederu. Honorowa warta podchorążych, którzy co roku w historycznych mundurach roku 1830 zaciągają tu wartę, przepuszcza nas bez przeszkód, skrzypi pod naszymi nogami żwir belwederskiego dziedzińca. I już jesteśmy w hallu. Wielkie, zbyt duże schody zajmują niemal całą jego szerokość, przypominają sień pańskiego, polskiego

* Mowa o Zjeździe Akademickiej Młodzieży Państwowej, zorganizowanym w ostatnich dniach listopada 1931. Wzięli w nim udział przedstawiciele Legionu Młodych i Myśli Mocarstwowej. Delegacja Zjazdu przyjęta została przez Piłsudskiego w 101. rocznicę wybuchu powstania listopadowego.

dworu. Jest chyba ten sam, co temu lat sto i jeden, gdy przez te białe oszklone drzwi wwalił się szturm podchorążych, przerywając sen wielkoksiążęcy...

Ale już dwóch adiutantów wprowadza nas do salonów. Niewielkie, przytulne pokoje. Idziemy cicho, uważnie, onieśmieleni jak dzieci. Stajemy wreszcie półkolem w większym, jasnym salonie. Wita nas postawny generał Orlicz-Dreszer. „Za chwilę – oznajmia – wyjdzie do panów Marszałek."

Czekamy. Generał Orlicz-Dreszer jest miły, uprzejmy. Z życzliwym uśmiechem mówi nam o historycznym Belwederze. Że tam na lewo były pokoje Konstantego. W tamtym, dalszym salonie padł pod pchnięciem bagnetów gen. Gendre. A tamtymi schodami znowu uciekł w ostatniej chwili wielki książę do pokojów niewieścich... Nie słyszymy prawie tego opowiadania. Legendę sprzed stu lat odrzuciła w cień myśl o tym, co się tu, zaraz, za minut parę, przed oczyma naszymi dziać będzie. Oczy patrzą uparcie w niewielki złoto-biały salonik o otwartych szeroko podwojach. Stąd przyjdzie do nas Marszałek. Zauważyłem rzecz jedną; salonik ma wielkie weneckie lustra: w tych lustrach zobaczę

Marszałka, jeszcze zanim do nas przyjdzie. W tym lustrze zobaczę go pierwszy, zobaczę na ułamek minuty wcześniej.

Nagle z saloniku wychodzi adiutant. Nie mówi nic. Niemieje. Jak na komendę wszyscy obecni wyciągają się w żołnierskiej postawie. Jest cisza, wielka cisza. W lustrze – mym lustrze – widzę przechodzącego ku nam. I stoi w progu.

Ma na sobie błękitny, swój dobrze znany mundur. Jest pochylony naprzód, z głową jak gdyby wyciągniętą ku nam, wielką, siwiejącą, silnie zarysowaną głową. Jest ten Marszałek z portretów Wojciecha Kossaka, ale starszy, ale jakiś bardziej rzeczywisty, żywy. Po raz pierwszy rozumiem to wszystko, co szary żołnierz Legionów zmieścił i ukochał w tym jednym najlepszym słowie: Dziadek.

Dziadek nas jakby widzi i nie widzi. Patrzy gdzieś przed siebie. Nie widać jego oczu. Z naszego szeregu mówi kol. Ślusarek z Legionu Młodych. Mówi, że stoimy przy nim twardo i wiernie, że liczyć na nas może i polegać. Mówi długo, złożonym, krasomówczym okresem. Kończy.

Teraz mam mówić ja. Ten Marszałek zapatrzony przed siebie onieśmiela, niepokoi. Od

długich lat gimnazjalnych, od lat dwunastu, marzyło się o tym, by go widzieć choć raz, raz jeden. Nie widziało go nigdy. A teraz w imieniu wielu takich jak ja trzeba mówić.

„Panie Marszałku! Twórco Państwa Polskiego!"

Wyrażało się to *credo* w szkole, gdzie nauczyciel uczył inaczej, a przecież do naszych mózgów nie trafił. Wyrażało je wobec wrogów i wobec przeciwników, i wobec obojętnych. I dziś, gdy się je powtarza w Belwederze, to już zwycięsko, na przekór tym wszystkim, z triumfem. Zaczynam głośno, silnie, stanowczym głosem... Może dlatego, że się boję, by ten głos nie załamał się we wstrząśnieniu wielkiej radości.

Przed oczyma mi stoi scena, gdy kilka godzin temu pochód młodzieży przybyłej na Zjazd dopominał się na belwederskim dziedzińcu o Dziadka. Staliśmy i nie chcieliśmy odejść, mimo mrozu, mimo strasznego zmęczenia nie przespanej w tłoku wagonowym nocy, kilkugodzinnych obrad, pochodu. Staliśmy i nie chcieliśmy odejść, czekając na nieobecnego Dziadka. I wreszcie powiedziano nam, że przyjąć może tylko delegację. Dwadzieścia osób na dwa i pół tysiąca! Tych dwa

i pół tysiąca, te tysiące rozsypane po całej Rzeczypospolitej zazdroszczą nam w tej chwili naszego zaszczytu – i radości.

Marszałek spojrzał stojącemu o dwa kroki przed nim po raz pierwszy głęboko w oczy. Spotkałem się z nie znanym mi, nie znanym tysiącom, prócz najbliższych, spojrzeniem Józefa Piłsudskiego.

Człowiek o twarzy pozornie starej, zniszczonej tak wielką pracą, musi mieć oczy wyblakłe, zmętniałe. Dziadek ma oczy niebieskie, jasno, silnie niebieskie, oczy żywe, młode, przedziwnie młode. Patrzy na mnie głęboko w źrenice spojrzeniem, w którym jest i siła, i rozkaz, i wola – ale oczyma, w których jest przede wszystkim wielka słodycz – i dobroć. I naraz między oczyma Marszałka i wpatrzonymi w nie mymi zasnuwają się moje bardzo niemęskie, bardzo radosne łzy. Przez łzy ze ściśniętej wielką nad siły radością krtani mówię dalej do Marszałka. Że my nie tylko wierni i karni, i oddani. Że my gotowi. My, młodzież akademicka, my „mocarstwowcy", gotowi na każde wezwanie, potrzebę, rozkaz. Że pójdziemy, gdzie nas poprowadzisz i gdzie nam każesz, czynem stwierdzimy naszą miłość, Panie Marszałku.

Dziadek dziękuje. Dziękuje za przybycie nas wszystkich. Mówi: „Ucieszyłem się." Mówi to charakterystycznym litewskim, kresowym akcentem. Dla mnie brzmi to swojsko, jak słowa kogoś najbliższego.

I zaczyna się rozmowa, która nas zbliża i ośmiela. Oto Dziadek zobaczył parę trzymanych w ręce korporantek. „Zabawne są te ich czapeczki" – mówi rozradowany do generała Orlicz-Dreszera. Korporanci kraśnieją. Niekorporanci też. Gdyby ktoś nazwał korporantkę „czapeczką", i w dodatku „zabawną", to niejeden komiliton nastroszyłby się godnie. Ale Marszałek!

Rozmowa idzie dalej, o uniwersytecie, studiach, zjeździe, o historycznych mundurach podchorążych trzymających straż. Mówi Marszałek. My słuchamy. Jest wesoło, przyjemnie, niefrasobliwie...

Jeżeli jednak nie mamy odwagi pytać się Marszałka, to wyręcza nas generał Orlicz-Dreszer. Pyta o zdrowie. Pyta wyraźnie dla nas. Słuchamy, wdzięczni. „Dobre – mówi Marszałek – ale widzicie, gdy grypa tak chwyci pod zimę, to potem nie chce i puszczać."

Patrzymy na niego. Jest siwy i pochylony; ale jest w nim także jakaś siła, żywość, coś

bardziej młodego niż te rysy żłobione głębokimi bruzdami na pięknej polskiej twarzy. Twarz jest szlachecko-sarmacka, o czystym kresowym typie. Ale ma w sobie i jakąś powagę, coś z zasumowania starego polskiego chłopa. I z tym wszystkim dobrze się tu zespala jakaś groza i siła – z wielką, bardzo ludzką dobrocią.

Naraz spotykam się znowu z oczyma Marszałka. Mam takie uczucie, jakbym cały się znalazł nagle w tych oczach. Marszałek patrzy chwilę i rzuca pytanie: „A Pan z jakich to stron?"

Gdym szedł do Belwederu, miałem nieprzepartą pokusę. Chciałem mówić o tym, cośmy czuli my, kresowcy, my, dla których wiosenna kampania 1920 roku była wyzwoleniem, była walką o naszą wolność. Pokrzyżowały się plany, zawiodły nadzieje... Ale pozostał nasz kresowy dług wdzięczności Naczelnemu Wodzowi. Mówić o tym długo? Powiedziałem sobie: nie można. Ale dziś, gdy Marszałek tak pyta, odpowiadam:

„Z Ukrainy, Panie Marszałku. Byłem, gdy Pan Marszałek szedł na Kijów mój kraj wyzwalać."

Ani słowa więcej. Słowo więcej to polityka, to „insynuacje", coś „niewłaściwego".

Mówię tylko tyle. Marszałek patrzy. Marszałek zrozumiał.

„Bo ja tak się patrzę na Pana – ciągnie – i Pan ma twarz człowieka z moich stron..." – Mówi to miękko, mówi coś trochę tak, jak ja przed chwilą mówiłem „mój kraj". Ale dla mnie Litwa czy Ukraina – to kresy. Mówię więc:

„Kresy są wszędzie te same, Panie Marszałku."

„Tak i jest – przytakuje. – A śmieli się ze mnie ludzie, gdy mówiłem im, że Polska to taki obwarzanek; jej wszystko to po brzegach."*

Mówi to tak, że żadnemu z synów Mazowsza nie przyjdzie na myśl się dąsać. Mówi to tak, że nam, kilku kresowcom, nam jednej z nim ziemi, duma rozpiera piersi. „No, chłopcy, bądźcie zdrowi – kończy jednak – ja już muszę odejść."

Wychodzimy z Belwederu. Jest noc. Przed białą kolumnadą ganku pręży się warta podchorążych w granatowych mundurach z żółtymi rabatami. Jest bowiem historyczny wie-

* To powiedzenie Piłsudskiego stało się głośne.

czór 29 listopada. Temu właśnie sto i jeden lat biła historyczna chwila belwederczyków.

Dla nas dziś ona nie istnieje. Nie widzimy, że nowy oddział piechoty Królestwa Kongresowego zaciąga właśnie wartę. Nie myślimy, nie wiemy, zapomnieliśmy zupełnie o tym, że upływa Nocy Listopadowej rocznica sto pierwsza. Stanęliśmy jednak i patrzymy chwilę, długą chwilę w jasno oświetlone okna jednego z parterowych pokoi. Tam znajduje się teraz Józef Piłsudski.

„Czas" 1931, nr 279.

Pogrzeb Józefa Piłsudskiego

Wieść rozbiegła się nagłym dzwonieniem telefonów, rzucona urywanymi, szybkimi zdaniami w kilka punktów miasta. Nie było cichszego wieczoru nad ten pogodny wieczór wiosenny, wieczór świątecznego dnia w wielkim mieście pracy, wieczór późny, ludzi do snu układający. Padła weń nagłością gromu, nie zostawiając jeszcze czasu i miejsca na żal, na ból i płacz, wywołując jedynie głęboki wstrząs. Z każdego miejsca, do którego dotarła, podrywała się dalej telefonami, gorączkowo, niepokojąco. Niosła się z miejsca na miejsce, przeskakując całe dzielnice, domy, warstwy społeczne z chyżością pożaru. Prochy, które mogła jedną skrą telefonu rozpalić, rozsypane były wszędzie. Ale w ten wieczór szła tylko podziemnymi przewodami, spalając się we wnętrzu zamkniętych mieszkań, nie buchając nad domy, na ulice.

Kiedy przynaglonym krokiem szliśmy przez Aleje, było cicho, ciemno i zupełnie pusto, jak w wielkim wiejskim parku nocą. Od Łazienek szła silna woń rozkwitającej w wilgoci zieleni, od miasta szumiało dalekim, ściszonym rozgwarem. Parę osób wracało powoli. Mała dziewczynka przed Inspektoratem Armii zabiegła drogę z kwiatami i z tym, że Pan Marszałek umarł. Ona wie o tym od pana generała Berbeckiego, który tu przechodził, i on właśnie jej to powiedział: „Idź, mała, Pan Marszałek życie skończył." Mała nie poszła. Podbiega oto do przechodniów wracających ku miastu z przechadzki i zawraca ich tymi słowami, jakby oni mogli odegnać to złe. Jeszcze tylko kilkadziesiąt, tylko kilkanaście metrów. Pałac belwederski stoi przed nami, wtulony w stare drzewa parku, biały i milczący, jak stary pański dwór o stanisławowskich tradycjach, z tych, o których się słyszy, że kiedyś zatrzymał się w nim Kościuszko czy książę Józef, w którego podkowiastych oficynach grzebią się dziwaki rezydenci, a szarą godziną schodzi duch ze starego portretu. Inne podobne dwory rozebrano po bankructwie właściciela na cegłę, rozniosły je granaty wielkiej wojny, zniszczyły czasy nowe. Do tego jedne-

go podeszło z tyłu wielkie miasto, zajrzały mu w dziedziniec siedmiopiętrowe kamienice, podpełzła asfaltem ulica, zagrodziły kominy fabryk widok na przedmieście, ale sam wiejski pałac stanisławowski, pomnik pogrzebanej epoki, pozostał taki, jak był. Nocą oddala się miasto, mrok odsuwa ogromne domy i nowe dzielnice, idzie mokry wiatr z łach wiślanych, podkłada wielką ciszę pod świergot zaszytych w szczeliny ścian świerszczy. Tego wieczoru biały Belweder nie śpi. Za storami jarzą się jasno okna całego parteru, poprzez żelazne sztachety widać nie osłonięte okna sieni, widać ludzi w mundurach i ludzi w czarnych ubraniach chodzących tam i sam. Widać całkiem wyraźnie dwie wielkie zbroje stojące w tym westybulu u wejścia na schody na górę, widać czerwony dywan tych schodów i nic więcej.

Kilkanaście osób przystanęło w cieniu po drugiej stronie ulicy, gdzie stoi biało-czerwony szlaban przed koszarami odwachu, taki sam jak na sztychach z czasów Konstantego. Patrzą na biały pałac rozświetlony a ciemny, pełen ludzi a martwy. Przyjechała jedna i druga limuzyna, warta otworzyła bramę, ludzie, wysiadając z samochodów, wbiegli po schodach ganku i znikli. Ludzie, którzy tu

stoją w cieniu kasztanów Alei, nie przestąpią progów białego pałacu. Przystanęli jak na wsi przystawali chłopi przed dworem, gdy oto poszła wsią wieść, że za jego zaczarowanym kołem parków i bram dzieje się coś niezwykłego. Będą jak chłopi czyhali na ochłap każdego słowa wieści stamtąd, o tę odrobinę więcej nad to, co sami już wiedzą. My pójdziemy, będziemy dzwonili po agencjach, będziemy w redakcjach rzucali to, co się stało, pod szczęk rotacyjnych maszyn na białe walce papieru. Gdy świtaniem wrócimy tu raz jeszcze, będzie tylko poranny ziąb od Wisły, świergot ptaków po drzewach i dopalanie się świateł w oknach białego dworu. Już odeszła fala rażonych straszliwą wieścią, jeszcze nie napłynęły następne, przed Belwederem jest cisza. Ale wiemy to dobrze, że nim światło znijdzie – mrucząc, kadząc, śpiewając, służba śmierci przyjdzie.

Wieść zbiegła z telefonów, wczepiła się w szare mury domów plakatami orędzia Prezydenta, podbiegła czarnymi obwódkami na pierwszych stronach pism porannych, wytrysła nad bramy domów sztandarami spowitymi w czerń. Poleciała w Aleje i na Pragę, na Wo-

lę, na daleki Żoliborz, Ochotę, Annopol, opóźniła kroki ludzi wstających do pracy, fabryki, urzędu, rzucała ich na gazety, przykuwała do plakatu. Dotarła już wszędzie. Sklepy spożywcze i szynki, hale targowe i rogi ulic, wszędzie, gdzie życie wielkiego miasta najsampierw rusza od nowa, pełne są tylko niej. I naraz tłum poczyna walić pod Belweder, bez sztandarów, bez pochodów i komend, bez pytania, jezdnia nie jezdnia, na przełaj, po wiejsku. Zagęszcza się zbitą masą głów przed kratami pałacu. Zagląda w każde oczy człowieka, który wychodzi stamtąd, który widział. Chwyta każde słowo z jego ust.

Marszałek umarł.

Warszawa pęcznieje tą wiadomością, rozpęka nią, wzbiera, wylewa. Gazety rozdzierają ciemność wczorajszej nocy, rozrywają zasłonę murów pałacowych, zasłonę zapuszczonych w oświetlonych pokojach stor. Na rogu ulicy chrapie głośnik radiowy. Padają nazwiska lekarzy i nazwy chorób, medyczne, uczone słowa mieszają się z patosem porannych artykułów w dziennikach, niosą opisy ostatnich chwil, niepewne, pogmatwane, ale pierwsze. Mówią o nominacjach. Tłum chce wiedzieć przede wszystkim to wszystko, co

koło tych Zwłok bezpośrednio krąży. Że spoczęły na białym jedwabnym całunie, że je balsamowano, że przypadnie im na Wawelu, między królami, miejsce stosowne. Głośnik mówi to wszystko, przerywając teksty depesz z zagranicy, wiadomości z kraju. Podchwytuje się jeszcze, że mózg oddany będzie nauce, że serce spocznie w Wilnie, tam, „gdzie przebywało zawsze", że je kazał złożyć u stóp trumny matczynej.

I wtedy po raz pierwszy ludzie płaczą.

Wielka rzeka życia, powolny nurt czasu znaczy swój przepływ pokoleń obrazem, który w starym rycie wiejskich, kolumnowych dworów, takich pańskich dworów jak stanisławowski Belweder, ma swoją niezmiernie prostą i niezmiernie piękną dostojność: są to chwile, gdy przez rozwarte na oścież podwoje, wyprężone prosto kolumny ganku, przesunie się cicho, odchodząc na zawsze, czyjaś trumna. Jest obyczaj, iż powinna wtedy raz jeszcze dotknąć progu, aby dom ten pożegnać na zawsze, nie musieć doń potem wracać w szarą godzinę Dziadów. Ludzie w Zułowie i Sugintach* będą się pytali,

* Zułów – miejsce urodzenia Piłsudskiego; Suginty – wieś będąca własnością rodziny Piłsudskich.

czy trumną pana Piłsudskiego dotknięto progu, czy będzie miał wieczny spoczynek, czy nie zwiększy liczby mar błądzących w legendach po starym domu? Pamiętać o litewskim zwyczaju nie było komu w tym żalu. W mroku cichego wieczoru, w blasku wschodzącego księżyca wysunęła się jak cień, biało-czerwonym całunem okryta, trumna Marszałka, dnem swoim nie tknąwszy progu. Ponad tłum wypełniający dziedziniec spłynęła na żelazne łoże lawety armatniej. Przepuściły ją bez słowa straże warty. Od Belwederu po „Święty Jan" wyrósł wokoło szpaleru piechoty mur ludu. Obrósł wokoło tamtego jak ciasto betonu okrywa cienkie stalowe pręty. Jak beton zastygł w długie godziny oczekiwania. Aż z jęków dzwonów warszawskich, z wieży na wieżę rzucając swe apele ponad dachy, wybił się daleki jeszcze, w mrok nocy i latarń krepę spowity, głuchy werbel bębnów. Stłumił kroki piechoty, szeroką ławą kroczącej, brzęk kopyt koni szwoleżerskich o asfalt Alei. Pokrywał tamto wszystko swym warkotem, jak pokrywał w Warszawie starej tyle śmierci, i samosądy insurekcji kościuszkowskiej, i śmierć Rylla, Jaroszyńskiego i Rzońcy, i stracenie członków ostatniego Rządu Narodowego. Teraz uciszył żywych wobec śmierci.

Pod domem księcia ordynata nieświeskiego, dziedzica Panie Kochanku, stanęła największa bieda z baraków annopolskich, bezrobotnych jeszcze przed bezrobociem, nędzarzy z nędzarzy warszawskich. Od Warszawy księcia-ordynata, radców ministerialnych z Ujazdowskich Alei, panów z poselstw i panienek z Łazienek jest ich Warszawa jeszcze dalsza niż światy leżące za dziesiątą górą i rzeką. Są wobec świata Alei złamani i nienawistni, uniżeni, a wrodzy. Ten dzień wyrzucił ich w samo serce obcego świata i kazał o tej obcości na kilka godzin zapomnieć. Pod pałacykiem ambasady, gdzie urzędnicy od dziesiątej doszlifowują sobie paznokcie, stanęła murem robotnicza Warszawa z Pragi, pewna siebie, pracę posiadająca, ale temu światu ambasad i cylindrów nie mniej jak ci z baraków, choć inaczej, obca, rozśmieszona nim, podrwiwająca z dokładnej pedanterii jego fanaberyjnych nawyczek. Teraz Powiśla nie śmieszą papuzie mundury dyplomacji. Nie widzi cherlawych „inteligentów", co w czapkach studenckich stanęli tuż obok. W tłumie narosłym wzdłuż szpaleru, w samym jego centrum, tuż pod kościołem Św. Aleksandra, stanął czarny, przygarbiony Żyd. Lata całe nie wychodził dalej

niż Graniczna, dalej niż koniec Bielańskiej, nie odważył się iść w tamtą Warszawę, taki jaki był, gettowy, czarny, żydowski. Lata całe tkwił w swym mateczniku ulic Dzikich i Gęsich, w mateczniku szkół rabinackich, w świecie uczonych komentarzy do Pisma, niczym żubr mickiewiczowski. Wieki całe przekazały mu lęk przed tłumem, przed większym skupieniem ludzi obcych. Przedwczoraj wieść zastała go nad księgami, wypłoszyła. Wyszedł na ulicę, a potem wrócił, pytając siebie cały dzień „was jytzt". Przesiedział tak, niepewny, pełen obawy o to, co teraz będzie. A dziś, po południu, wyszedł. Poszedł aż tu, w świat obcy, w tłum powiślaków i studentów, stanął pod samym portykiem kościoła. Kumochy, które tam stały, paniusie kruchtowe ani go dziś spostrzegły. Jego czarne, smutne oczy Żyda wypatrywały godzinami daleki mrok Alei. Nadciągnęła w tłumie żołnierzy, w roju białych księży komż trumna. Stary Żyd wepchnął się aż w samą gęstwę szpaleru. Żołnierze musieli go odtrącać. Żyd pchał się z powrotem. Nadjechała na lawecie armatniej, z szablą skrzyżowaną nad całunem, trumna. Stary Żyd, który nigdy nie widział Józefa Piłsudskiego, uczepił się oczami tej trumny. Może dziś wieczór ze swej

nory w głębi Czarnego Lądu wypowie słowa „kadiszu", hebrajskiej modlitwy, za zmarłego obcoplemieńca.

Tej nocy wieść rozpostarła się jeszcze szerzej, wieść, że złożono Go u „Świętego Jana". Ludzie stali w nie kończącym się wężu kolejki, stali do białego rana, aż ósemkami przeszli, nie zatrzymując się na moment, wokoło wysokiego katafalku w Katedrze, pod baldachimem czerwieni, bieli i czerni, spiętym koroną legionowych orłów. O świcie przed ruszeniem fabryk napłynęła fala robociarska, zaraz za nią urzędnicza, a potem przez dzień cały płynęła Warszawa, niosąc nurt ludzki różnych strumieni, z różnych spływając dzielnic. Nocą przed ostatnim nabożeństwem ludzie walczyli na pięści, tratowali jedni drugich, rozbijali kordony policji i rozbijali się sami o zamknięte drzwi Katedry.

Dwunastoletni Władysław Lachowicz spędził wtedy swą drugą już noc pod ławką wagonu, kuląc się głębiej, ilekroć ktoś otworzył drzwi przedziału, zamierając na głos konduktora. Ta sama siła, która owej pierwszej nocy poderwała nas na nogi i kazała iść ku Belwederowi, zastała go w dalekim Stanisławowie

i poderwała, jak brzeg podrywa powódź wiosenna, jak dom podrywa kra. Mały Lachowicz wsłuchuje się w nocne rozmowy ludzi w przedziale, wsłuchuje się w to, co opowiadają, słyszy, że na Mokotowie stanie wśród Pola trumna Wodza i że przed nią defilować będzie wojsko. Mały Lachowicz nie był nigdy w wielkim mieście Warszawie, nie wie, jak iść na ten Mokotów. Powtarza cicho jego nieznaną nazwę, aż do zapamiętania: Mo-ko--tów, Mo-ko-tów, Mo-ko-tów. Wystukują mu je koła pociągu toczącego się w tę noc tłoku przed Katedrą warszawską. Blade światło zimnego dnia zajrzało już w szyby przedziału, spłynęło aż w cień pod ławą. Koła wagonu jak tryby zegarka odstukują ostatnie godziny, Warszawa coraz bliżej, coraz bliżej. Zobaczysz Go jeszcze, Chłopaku!

Spod strony Dekerta na Starym Rynku na sam głos bicia dzwonów Katedry ruszyła wielka laweta, zaprzężona w szóstkę karych koni, opasana szeroką szarfą Virtuti. Ruszyła za nią pochodem pod Katedrę masa wojskowych. Okna Starego Miasta, nabite od głów, wypatrują, aż z odrzwi Katedry wyjdzie trumna i zjedzie na lawecie działa na Plac Zamkowy,

w miasto nowe. Środkiem ulic oczyszczonych szpalerem wojska, jak pług śniegowy oczyszcza zawiane śnieżycą tory, płynie powolnym krokiem pochód na Mokotów. Olbrzymi, olbrzymi stanął tam amfiteatr trybun i widowni. Pół dnia wystawali ludzie, aby doczekać się początku defilady, wsłuchiwali się w bicie dzwonów całej Warszawy, rozpoznawali głosy dzwonów własnych dzielnic. Aż wreszcie z lewego końca trybun wysunęło się czoło pochodu, ciężkie od niesionych ogromnych wieńców. Wyszło wojsko i biali księża, biskupi, i wysoko, wznosząc swój biało-czerwony ciężar, stanęło działo. Amfiteatr widowni, trzysta tysięcy ludzi zamarło w bezruchu i ciszy. Jak w starych sagach germańskich, wniesiono ciało zmarłego wodza na wyniosły kopczyk wśród błoń. Defilada przed Umarłym przeszła wielkim łopotem skłonionych chorągwi i znaków, miarową ławą piechoty, czernią zwiniętych proporczyków ułańskich, hukiem toczących się armat. Płynęła jak wielka rzeka, która się nigdy nie skończy. Tak obyczaj wojenny wszystkich ludów żegnał w zamierzchłej przeszłości swych wodzów.

Na oczach tłumów ludzi i tłumów wojsk podeszli na kurhan okryty w kwiaty złożo-

nych wieńców generałowie. To był koniec. I teraz, gdy ich ręce dotknęły trumny, aby odpasać ją z lawety i znieść na platformę pogrzebnego wagonu, z trąb milczącej orkiestry pułkowej pod ciemne, schmurzone deszczem niebo runęła „Jeszcze Polska..." Nuta zrodzona w dniach najczarniejszych, każdym tonem swym wołająca wiarę w siłę życia nad śmiercią, poszła falą przez tłum. Ludzie zaczęli płakać, ocierać łzy, dusić w sobie wzbierający szloch. Tłum patrzał z kamienną, nieruchomą twarzą. Trumna Wodza schodziła z kurhanu, jakby to ta pieśń bojowa ją podjęła, znosiła swą falą, ruszyła z nią naprzód. Orkiestra grała ciągle na nowo; jeszcze i jeszcze, jakby po to, aby pieśń trumnę niosąca nie zamarła ani na jeden moment. Wniosła ją i odprowadziła na wielką płaszczyznę odkrytego wagonu, złożyła na trzecią już z rzędu lawetę działa. Wtedy przeszła, bez chwili milczenia, w tony *Pierwszej Brygady.*

Tam za trybunami, przy torze dochodzącym aż dotąd, pod szpalerem biało-czerwonych masztów w żałobie, towarzysze broni uchwycili za sznury wagonu. Pod deszczem, który naraz z niskiego nieba lać począł, stoją tłumy nieporuszone, zapatrzone w tę trumnę.

Jest teraz tak blisko, że widzimy doskonale siwą maciejówkę, starą, komiśną, a leżącą na sztandarze Rzeczypospolitej. Wóz drgnął i począł się toczyć wolno, wolniusieńko. *Pierwsza Brygada* płynie cichym tonem nad głowy ludzi. Wolno, wolniusieńko odjeżdża trumna. Odsuwa się z tego placu ćwiczeń, poza to pole, te pułki, ten tłum. Szara maciejówka rozpłaszczała się na niej ostatnią pamiątką prostego, wielkiego życia. Deszcz siecze w nią po raz ostatni strugami słoty, jak siekł przez lata frontu, okopów, ziemianek w lasach wołyńskich. Jak siec nie będzie już nigdy.

Cały ten dzień dzieci miechowskich szkół powszechnych zbierały kwiaty w wąwozie. O tym wąwozie słyszały dzieci dawno, że na polu obok była za powstania wielka bitwa z Moskalami, a powstańcy przyszli byli od Krakowa. O tym wąwozie mówiono potem, że jego załomami podsuwał się pod same Kielce od Słomnik Komendant Piłsudski. O tej porze jest jeszcze w wąwozie mało kwiatów, ale dzieci pozrywały je wszystkie i rwały całe popołudnie tarninę. Starsi chłopcy, harcerze, poszli z przysposobieniem woj-

skowym przygotować ogniska na polu nad torem kolejowym. Przez całe popołudnie padał deszcz i dlatego naręcza tarniny i wiązki smolaków są zupełnie mokre. Głośnik radiowy mówi o tym, jak trumnę Marszałka żegnano pod Warszawą. Jak powoli posuwa się ona przez noc drogą rozświetloną łunami ognisk. Wieść, coraz bliższa, zapala żałobne znicze.

Wstaje wreszcie ranek zimny, dżdżysty i wczesny. Dzieci ze Słomnik i Miechowa, dzieci z wsi bliskich i dalekich, ludzie, co widzieli poprzez jary miechowskie inny przed laty pochód, wystają od północy wzdłuż toru. Gdy pociąg nadjeżdża, rozpalają się ognie na wzgórzach, koło toru, na polach, po prostu na drodze. Dymią się nisko ogromne kadzielnice ognisk. Pociąg z wysoką trumną na lawecie armatniej przejeżdża tak, jakby swoim przechodem rozpalał ognie po polnych drogach i łęgach i swym przejazdem te ognie gasił. „Z każdego wzgórza, gdy przechodzi trumna, wytryska ognia strzelista kolumna." Czarne ślady dopalenisk znaczą przejście Wodza. Lud żegna Go ogniem, jak żegnał swych wodzów dawno, dawno temu, gdy sypano im kurhany pod niebo i gdy ognie były święte.

Na krakowskich ulicach stoją jeden przy drugim wysokie maszty, całe w czerni, jak smolne pochodnie, czekające, aby zapłonąć. Srebrne orły legionowe siadły na ich szczycie. Wolno, w szpalerze piechoty, otoczony rojem księży, zakonników, zakonnic, posuwa się kondukt od dworca. Wchodzą w ulice stare, którymi od długich wieków ośmiu kroczyły pogrzeby królów. „A idą posępni, a grają im dzwony, ze wszystkich kościołów, żałobne." Ludzie płakali w Warszawie, płakali w Krakowie, gdy przyszła wieść. Ale żałość krakowska ułożyła się teraz w ceremoniał pogrzebny, królewski, wypełniła go sobą, nie przelała się przez jego brzegi. Z „Panny Marii" powiewają czarne fale kiru, hejnał wyrywa się w niebo skargą, alarmem trwogi. Piłsudski przemierza miasto, w którym każdy kamień pamięta jego boje przedpierwsze, gdy jego idea wojska była w tym mieście „jak małe dziecko, popychane i potrącane przez starszych".

Dzwon ulany przez mistrza Behama z dział wołoskich przerwał swe bicie na chwilę: jego olbrzymie serce rozgrzało się od uderzeń, jak rozgrzewa się lufa działa po strzale. Od brony pierwszej bramy wawelskiej pod

Katedrą ciągnie się szpaler samych chorążych wszystkich pułków Polski. W Katedrze ludzie czekają. Kondukt idzie już plantami, tam gdzie na ruinach murów obronnych twierdzy Olbrachta wyrosły stuletnie kasztany. Jest coraz bliżej. Z bastionu Władysława IV w chmarze krakusów racławickich spiżowy Kościuszko spina konia.

Książę – arcybiskup krakowski, zszedł z komnat nad murami obronnymi. Prałaci i klerycy gotują wszystko do uroczystości. Nic się w tym nie zmieniło przez wieki całe od pogrzebu ostatniego Piasta... Otworzono, jak wtedy, na właściwych miejscach stare, ciężkie mszały, księgi hymnów. Przygotowano w srebrnych misach wodę do ostatnich święceń. W sklepionym obronnie skarbcu, gdzie w dębowych szafach leżą dary królów i wielmożów, od Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka, ukląkł przed krucyfiksem metropolita. Odmawia te same co ongi modlitwy żałobne przed Mszą świętą, modlitwy przygotowania, skupienia. W ciemnym skarbcu klerycy chodzą na palcach. „Zygmunt" bije na nowo tuż nad głowami tych ludzi, gniotąc stropy kaplic. To znak, że wielkie koła lawety armatniej wtoczyły się na wzgórze zamkowe.

Dobiega końca msza łacińska, śpiewana u niewidzialnego ołtarza, skrytego za srebrną trumną św. Stanisława, za wysuniętym na wprost niej, czerwonym jak monarsze katafalki, wezgłowiem ze zwłokami Józefa Piłsudskiego. W czerwono-złotej mitrze władczej ruski biskup Przemyśla odprawia swe egzekwie i płynie na cały Wawel „wiecznaja pamiat' " śpiewana u śmiertelnych szczątków Wodza, tak samo jak ją władycy Kijowa śpiewali u szczątków Włodzimierza i Jarosława Mądrego, jak ją metropolici ruscy śpiewali u zwłok Jagiełłowej żony, królowej Sonki, u zwłok księżniczki moskiewskiej Heleny, żony Aleksandra. Słuchając tych słów na dziedzińcu chłopi spod Doliny i Stryja, spod Mołodeczna i Ostroga, żegnają się po trzykroć. I naraz zniesiona na barkach schodzi trumna z purpurowego katafalku. Na jeden moment zrównała się z kamiennym sarkofagiem Jagiełły. Jakby się zatrzymała i ruszyła dalej. Oto jest tuż przed nami. Sierżant z Belwederu stoi u otwartych w posadzce odrzwi, zasępiony, poważny, służbisty. Na barkach generałów trumna opuszcza się powoli w królewski loch. Schodzi za nią cała w czerni Aleksandra Piłsudska, schodzą córki, Pre-

zydent, generałowie, rząd. Wystrzały armatnie targnęły powietrzem, wypychają stare szyby witraży. Jeden, drugi, dziesiąty. Na dnie krypty, pochodzącej z jednej z pierwszych katedr wawelskich, wsuniętej wiekami w głąb ziemi, zamienionej w sanktuarium martwych, w kowanej trumnie srebrnej spoczął Józef Piłsudski wśród królów wielkich i małych, obok snującej mądre plany Cecylii Renaty, arcyksiężniczki rakuskiej, obok splatającej małe intrygi Marysieńki, obok drobnej trumienki królewicza Zygmunta Kazimierza, który do grobu zabrał ze sobą dynastyczne nadzieje Wazów, obok bezpotomnej, spalonej w sobie, sławy Sobieskiego. Popioły swoje dorzuci do tamtych.

A Belweder stoi w blasku słońca, spokojny, jak ktoś, co długo płakał, aż wreszcie nie stało mu łez. Warty zelżały u jego bramy; pilnować nie mają kogo. Warszawa mija go jak dom żałoby. Dziwnym zrządzeniem losu chciały wypadki, aby nie raz jeden w niskich pokoikach tego białego pałacu snuły się wielkie sny dziejowe, aby nie raz jeden w jego ścianach gotowały się wielkie prace. Potem Belweder zamierał na lata całe. Ten pański

dwór, wtulony w wielkie nowe miasto, obkarczowany z drzew, pól i łęgów, przez wiek cały nie chciał umrzeć, swą legendą kusił jednych po drugich nowych władców czasu. Dziś ostatni z panów tego dworu zmarł. Głęboko i na zawsze w głuszę kościelnego lochu zapadły ostatnie echa żałobnej wieści, która przeszła oto krajem i ludźmi. Możecie ją, odchodząc, widzieć raz jeszcze rankiem, jak szorstkimi dłońmi stróży zdziera znad domów waszych ostatnie chorągwie żałoby. Rozsnuwa się polami szeroką, polską mgłą.

„Wiadomości Literackie" 1935, nr 22.

W śniegu na stepie

Śnieg, biały, gęsty śnieg pada na ziemię, płaską, wyzutą ze wszystkiego, pustą. Niebo nad tą ziemią jest niskie, szare i ciężkie od chmur, które zastygają nad światem nieruchomą skorupą. Nikła nitka wijąca się przez step: kolej. Niewielkie napęcznienie zabudowań i dworzec. Potem wzdłuż paru drożyn, szerokich, ale w śniegu ginących, nieco domów drewnianych. Są one niskie, zagrzebane w śniegu do połowy okien. Step podnosi się stopniami ku górze. Cerkiew, w której dawno odłupano kopuły, naga, z odartymi ścianami, z wybitymi otworami okien, sterczy nieco wyżej pod niebo, jak czaszka ludzka, której czerep odrąbano pociskiem czy mieczem. Step podnosi się od tej cerkwi coraz wyżej i wyżej, jak brzeg talerza, aż kończy się linią niewysokiego długiego wzgórza. Wzgórze jest tak samo białe, śnieżne i puste; jest to ta-

ka sama Rosja i ten sam step. Ale u jego szczytu odcina się kształt, który dla ludzi w Rosji nie jest dzisiaj ani czysty, ani codzienny, a raczej taki właśnie jak ten, bardzo rzadki. Tego kształtu nie było tu jesienią, gdyśmy tu byli po raz pierwszy. Ten kształt dźwignął się teraz. Wyrósł ostro jak symbol, pod niebo. Widać go nad tym całym stepem, na tle tego śniegu, a ludzie, którzy jadą tędy albo mieszkają w tych domach, pokazują go sobie i mówią jedno jedyne słowo. Szeptem. Szeptem, który ma coraz to inne, zależne od tego, kto mówi, zabarwienie:

– Chrest.

– Krzyż.

Gen. Sikorski, narkom Wyszyński, ich świty polskie i rosyjskie, pojechali saniami.

Polacy długo przebywający na Zachodzie zatęsknili do zimy śnieżnej, z gęstym śniegiem, za saniami o szerokich płozach i za jazdą tymi saniami przez drogi, które nie znają ani asfaltu ani bruku, a tylko głębokie koleiny, zawiane śniegiem, ugrzęzy. Ładuję się z Ilją Erenburgiem w inne sanie; konie z sąsiedniego kołchozu. Są to dobre, silne rosyjskie konie, niskie, przysiadłe, stepowe. Tu nad Wołgą od stuleci udeptują te drogi. Przy

mnie paru dziennikarzy sowieckich patrzy w kierunku, w którym jedziemy, i jeden mówi do drugiego:

– Smatri, chrest.

A woźnica głosem wyjaśniająco-informacyjnym powiada:

– Jewo Poliaki postroili.

I dalej, jakby to właśnie uzupełnienie było dlań konieczne:

– Dlatego on taki nowy. Dlatego on taki wielki.

Byłoby niesłuszne, gdyby ktoś sądził, że krzyży dzisiaj nie ma zupełnie w Rosji Lenina i Stalina. Krzyży w tym prawosławnym kraju jest jeszcze bardzo dużo, aczkolwiek ostatnie ćwierćwiecze gasiło je i łamało, jak wiatr nocny gasi świece płonące na ołtarzach, jak rozgania jesienią opadłe liście. Krzyże, które dziesiątkami całymi złociły się ze złotych i zielonych kopuł cerkiewnych, przestały się złocić, a nieraz przestały nawet i sterczeć. Tak samo jak niejedne kopuły. Powaliły się dwuramienne krzyże przydrożne, drewniane, jak ten w górze. (Wiele, wiele rzeczy zmieniło się w tym kraju, który zwał siebie kiedyś Rusią Świętą). Krzyże dzisiaj – to nawet symbolicznie wygląda – pochowały się

na cmentarzach. Miejsce umarłych jest miejscem, gdzie się chroni dzisiaj krzyż. Nawet i tam jest zresztą wypierany. W bezdrzewnych okolicach Rosji drzewo jest łupem zbyt łakomym. Na wielu cmentarzach pojawia się nagrobek bezkrzyżny, podobny do mahometańskich czy żydowskich, zwykle z gwiazdą sowiecką. Takie groby są to zazwyczaj groby nowsze, a zarazem groby bogatsze. Przypomina to niejeden cmentarz baskijski, na pograniczu pirenejskim, w tym kraju góralskim i arcystarym, który się rozsiedlił pomiędzy francuską Bajonną a hiszpańskim Santanderem; tam groby z krzyżem sąsiadują z grobami ozdobionymi dziwnego rodzaju znakiem, ponoć zaczerpniętym jeszcze ze starej religii Basków, ponoć przypominającym kult słońca. Tam, u stóp Pirenejów, krzyż wypierał; tu, za Wołgą, krzyż z kolei jest wypierany. Nie ma najmniejszej wątpliwości: krzyż w tym kraju znajduje się w odwrocie. I naraz nad taki step nadwołżański wytryska ku górze nowy, olbrzymi, wyprostowany, nie przygarbiony jeszcze ciężarem lat. Z daleka nawet patrząc ma się od razu wrażenie, że drzewo tego krzyża jest jeszcze świeże, nie ściemniało na powietrzu. A ludność okoliczna mówi:

– To Polacy go wznieśli. Dlatego jest – taki nowy. Dlatego jest – taki wielki.

Obóz wojskowy, do którego dojeżdżamy przez wikliny nad jakąś niedużą, wżłobioną w step rzeczką, to olbrzymi poligon letni Armii Czerwonej, kiedyś jeszcze, dawno, armii carskiej. Wojsko tu było zawsze; legenda ludowa utrzymuje uparcie, że tutaj chan zbierał kiedyś swoje wojska. Jaki chan? Co za chan? Nie wiadomo. Ludność tych stron za Wołgą zachowała słabą pamięć cara, cóż dopiero chanów tatarskich, którzy kiedyś gdzieś tu władali. Nazwy niejednej miejscowości są zresztą nie słowiańskie, ale turkmeńskie; ich etymologię wykładał mi kiedyś obszernie sekretarz ambasady tureckiej w Moskwie. Wojsko tu było zawsze, ale nie w zimie, tylko w lecie. Na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych mieszkało w namiotach letnich, odbywało ćwiczenia; wzniesiono tu kilkadziesiąt budynków drewnianych, ale także letnich, o ścianach prowizorycznie skleconych. Kantyny żołnierskie, kinoteatr, dwa teatry żołnierskie. Właśnie sanie nasze przejeżdżają wokoło obozu, zdążając ku bramie. Brama jest wysoka; powiewają na niej sztandary: angielski, sowiecki, amerykański, czechosłowacki i polski. Alianckie.

Oficer polski, który nas podwozi, kręci się niespokojnie na koźle. – Niech pan powie panu Erenburgowi, że, niestety, nie mieliśmy ani trochę materiału granatowego. Toteż gwiazdy na sztandarze amerykańskim występują na tle czarnym... I te pasy, które na fladze brytyjskiej powinny być granatowe, też są czarne... Bardzo nam było wstyd.

Oficer jest młody, ale o twarzy dziwnie wyszarzałej i ziemistej. Nad karkiem widać wiele siwych włosów. Jego płaszcz mundurowy to dawny płaszcz mundurowy oficerów armii polskiej, obcisły, wytworny, widać, że krojony ma miarę i przez dobrego krawca. I widać, że znoszony – do niemożliwości. Do granic wytrzymałości munduru. Nie zdejmował go przez te dwa z górą lata. Na łokciach misterne, uważne wycerowania. Na kołnierzu też. Cały płaszcz wyremontowany jak zabytek: istotnie, zabytek. Dłużyły się pewno dni za kratami, długie dni w obozie jeńców.

– Pan ze Starobielska? – pytam.

– Nie – odpowiada oficer. – Z Kozielska.

– To ciężka rzecz obóz jeńców – powiada pojednawczo Erenburg.

– Nie – powiada oficer – łagier cięższa.

– To panowie tu albo z więzienia, albo z łagru?

– Tak, albo z więzienia, albo z łagru.

– A takich, co byli na wolności, nie ma?

– Są; wielu było na zesłaniu; to nie jest więzienie, ale nie jest i wolność.

– Ale takich, co byli na pełnej wolności, nie ma?

Oficer milczy. Szuka w pamięci. I powiada:

– W tej dywizji nie ma. W Kołtubiance też. Ale podobno w Tatiszczewie, w naszej piątej dywizji, jest takich trochę. Tak słyszałem.

A ponieważ rozmowa zapada w milczenie, poprawia nieco:

– Ale tamto wszystko to było. Nie ma. Skończyło się. Przeszło. (Słowem po słowie przekonywa sowieckiego pisarza). Teraz jest jedna rzecz: wojna z Niemcami. Jedna tylko rzecz: wojna.

– Dawno pana wypuścili?

– O, mnie już dawno: w październiku. Ale wielu jeszcze trzeba wypuścić.

Oficer znowu przerywa, aby czym nie urazić rosyjskiego gościa. A my już jesteśmy w obozie. W śniegu rzędami obok siebie, jak szeregi żołnierskich czworoboków, sterczą pomiędzy niskimi drzewami wkopane głębo-

ko namioty. Kiedy patrzymy na nie, mróz na dworze staje się nam mroźniejszym.

– To wszystko tak w namiotach, w grudniu? – pyta Erenburg.

– Nie, nie wszystko – odpowiada oficer – 90 procent, reszta w tych barakach. Trochę w ziemiankach.

I znowu, aby nie zapadło nieprzyjemne milczenie, dodaje:

– W każdym namiocie zbudowano piecyk. Niski, szeroki piecyk z cegieł. Rozebraliśmy tu nawet w tym celu jeden niewielki budynek. Wszystkie cegły poszły, ale co było robić? Namioty wkopało się nie tylko w śnieg, ale i w ziemię. Gdzie można było, oddzielono ich „ściany" deskami. Ale o drzewo tu bardzo trudno, zwłaszcza dla takiej masy. Przecież w tym jednym obozie jest blisko 10 000 ludzi...

Zeszliśmy z sań i idziemy teraz, wraz ze wszystkimi gośćmi, w pośrodku owych namiotów. Z każdego wysuwają się ludzie w najrozmaitszych strojach: mundury polskie, z Polski jeszcze, jak u mego oficera, rosyjskie ciepłe kurtki zimowe, tzw. tiełogrejki, czasem jakieś mundury ni to polskie, ni to rosyjskie. Co to takiego? Oficer wyjaśnia:

– Wielu otrzymało mundury estońskie albo łotewskie. To po republikach bałtyckich wcielonych do ZSRR w roku 1940. Tymczasem. Stąd taka pstrokacizna.

I w pewnej chwili, odciągnąwszy mnie na bok, pyta:

– Prawda, ten pan to Ilja Erenburg, sławny pisarz? Czy on nie wie czasem, kiedy otrzymamy broń? Pisarze w Sowietach wiele mogą, a zwłaszcza ten...

Nie; Erenburg nic nie wie o broni. Przyjechał nawet, zdaje się, w przekonaniu, że broń już dawno jest. Tymczasem broni właściwie nie ma. Bardzo mało, dla utrzymania porządku, dla jakich takich ćwiczeń.

Już do wykładów porobiono sobie broń drewnianą. Pokazują nam „moździerz" bardzo dokładnie odrobiony z drzewa, ze wszystkimi szczegółami. Pokazują nam drewniane działko przeciwlotnicze. Drewniany karabin maszynowy. Tylko przed barakiem dowództwa pręży się żołnierz w długim polskim płaszczu, mocno sfatygowanym, w futrzanej czapce sowieckiego żołnierza i z karabinem o długim rosyjskim bagnecie. To jest prawdziwa broń.

– Jak oni będą defilowali bez broni? – pyta jeden z dziennikarzy angielskich.

Powtarzam to pytanie młodemu polskiemu podchorążemu, który jest przy nas, u stóp trybuny. Odpowiada:

– Niech mu pan powie, że trzeba było, by tu przyjechał w październiku. Wtedy nie było jeszcze nic. W ogóle nic. A w defiladzie szli ludzie bosi... jak szli! O, teraźśmy daleko odeszli od tego, co było na początku! I odchodzimy coraz dalej. Powoli może, ale coraz dalej.

Defilada się spóźnia, bo jest msza, katolicka msza polowa, odprawiana przez kapelana Armii Polskiej. Kapelanów jest tu zresztą kilku, co jak na trzy obecne dywizje – niebawem urosną do ośmiu – nie stanowi na pewno nadmiaru. Przeszli tutaj to samo, co my wszyscy. Msza jest na dworze, zwyczajem stosowanym zawsze w wojsku polskim; tylko że w Polsce mrozy czterdziestostopniowe nigdy się nie zdarzyły. Msza jest na dworze, bo żaden barak nie pomieściłby tej masy. Szczęściem, był tu drewniany teatr wojskowy Armii Czerwonej, z widownią pod gołym niebem. Ten teatr został zajęty przez kapelana wojskowego. Z dachu teatru sterczy teraz niewielki drewniany krzyż.

Kapelan, gdyśmy tu byli na jesieni, powiadał mi:

– Myśmy się zastanawiali, czy to czasem nie rozzłości bolszewików. Ale powiedziałem sobie: wolność religii w zasadzie jest, autonomia wojska polskiego w pełni przyznana. Tyle się w tym kraju świątyń Bożych zamieniło na teatry czy kluby, że gdy jeden ich teatr stanie się tymczasowo kościołem, niesprawiedliwości nie będzie.

Defilada jest czymś, co doprawdy pozostanie pamiętne na zawsze. Czwórkami wojskowymi, oddział za oddziałem, przemaszerowali żołnierze, jakich nie zna żadna inna armia świata. Tylko pędzel Goi mógłby oddać to wszystko. Naprawdę, żołnierze starej gwardii napoleońskiej, gdy ze śniegów Rosji dobrnęli do rogatek Montmartre'u, nie byli jeszcze tym, czym to zmartwychwstające wojsko.

Szła zbieranina mundurów, wytartych, wyszarzałych, cudem jakichś nieprawdopodobnych cerowań, łatań, nie kończących się naprawek przywrócona do jakowegoś stanu. Szli ludzie, którzy niemal nie mogli stąpać – końce stóp, czasem całe nogi poodmarzały im na północy w ciągu owych lat dwóch niewoli w Rosji. Byli postarzali przedwcześnie,

pogarbieni, zszarzali na twarzach. Ale mieli oczy rozpalone takim szczęściem, jakie trudno dostrzec u najbardziej zwycięskiej armii.

Na trybunie, spowitej w polskie barwy narodowe, stał Sikorski, ambasador Kot, sowiecki minister Wyszyński. Przed nimi przechodził oddział po oddziale, w mundurach, bez mundurów, w kurtkach więziennych, rzadko z bronią, zwykle bez broni – i ginął w ulicy namiotów. Na dworze tego dnia był czterdziestostopniowy mróz. Wieczorem tego dnia rozszalała się zadymka. Była to owa „purga" czy też „burian", którym na tym orenburskim stepie straszy się małe dzieci, w którym ginie wzrok i nie widać niczego.

Tego dnia zwiększone były racje żywnościowe dla wojska i każdy żołnierz w talerzu swej wodnistej zupy odnalazł rzadkie, cenne zjawisko: autentyczny kawałek żylastego mięsa. Naprawdę był to wyjątkowy dzień. Po namiotach krążyły same szczęśliwe wieści; podobno wojsko odejdzie na południe, w głąb stepów Azji, gdzie mrozów już nie ma; podobno mają tworzyć nowe polskie dywizje w Rosji, podobno już przyszły transporty z mundurami z Anglii, podobno...

I największa nadzieja... Szeptana... jako wielka, najpiękniejsza wieść: – Podobno otrzyma się broń. [...]

Wieczorem zaś, mimo zadymki, rozpaliło się wielkie ognisko opodal wzgórza nad obozem wojska polskiego w Rosji, niemal u stóp owego krzyża nad nim. Tam właśnie step pocięło już kilkadziesiąt równych mogiłek. Każda z nich odznaczała się niewielkim krzyżykiem drewnianym, starannie wyciosanym. Nad nimi w stepie rosyjskim stróżował ów polski krzyż.

W tym bowiem miejscu, równolegle z polską dywizją, powstał polski cmentarz wojenny. Zazwyczaj cmentarze wojenne powstają nie przed pierwszą bitwą, lecz po niej. Ale to wojsko, jakie tu było, było naprawdę niesamowitym wojskiem. W kraju ateistycznym było to wojsko wierzące, jak nie wierzy dziś w Boga żadne inne wojsko na świecie. Armie nieraz kończą na obozach jeńców; ta właśnie z niego wyszła. Żołnierze innych armii mają za sobą dom rodzinny; ci mieli obce więzienie. Nie ma dziś na świecie armii, w której procent chorych, kalek, osłabłych, wycieńczonych byłby choć w przybliżeniu tak wielki jak w tej; nie ma na pewno armii, która by bardziej tęskniła do frontu.

Wielki, wysoki krzyż, wniesiony przez Polaków, odcinał się blaskiem ogniska nad ciemnym niebem stepowej nocy. Jaśniał tym blaskiem jak jeszcze jedno niespodziewane zjawisko. Był owego wieczoru jak latarnia morska, która okrętom w czas mglisty i burzliwy pokazuje drogę.

Pod wieczór mróz wzmógł się jeszcze silniej. O dziewiątej doszedł do 52 stopni, a wtedy, kiedyśmy odjeżdżali z obozu, gdzie 10 000 ludzi spało pod płachtami namiotów, było już na pewno i więcej. Jacyż to dziwni ci polscy ludzie, którzy w ową noc zimową, w śniegu, w mrozie, pod namiotami, rozgrzewali się snem, że już są wojskiem, że jutro będą mieli z powrotem broń i że z tą bronią pójdą w świat po Polskę!

„Wiadomości Polskie" 1942, nr 42.

Krzyż

Rok cały byłem obecnie w Rosji, przy armii polskiej gen. Andersa, wśród naszych rodaków, daleko, i teraz przez ten mikrofon* chciałbym jak najkrócej powiedzieć wam coś, co o tej Rosji mówiłoby jak najprawdziwiej i jak najpełniej. I oto, gdy myślę o tym roku i o tych setkach tysięcy Polaków, którzy wracali do życia, wolności i Ojczyzny, w myśli urasta mi naraz wielki, prosty krzyż. Gdzie widziałem ten krzyż, dlaczego myśląc o Polakach w Rosji krzyż mi przed oczami wyrasta? Widziałem ów krzyż w Tockoje, za Wołgą, w jednym z pierwszych obozów wojska polskiego w Rosji. Kiedy na jesieni, po porozumieniu polsko-sowieckim, tłumy Polaków z najdalszych stron Rosji przyciągnęły tutaj, ów krzyż, wysoki jak tylko w Polsce krzyże wysokie być mogą, wyrósł na

---

* Przemówienie przeznaczone dla radia.

kurhanie wysokim, na stepie rosyjskim. Polacy wznieśli go opodal obozu, w miejscu, gdzie rosnąć począł polski cmentarz wojenny. Albowiem wielu z nich po dwóch latach niewoli nie miało już sił więcej. Dopełzli, doczołgali się niemal, do tego miejsca cudownego, gdzie naraz, z takich jak oni nieszczęsnych powstawała armia polska. Ucieszyli swoje oczy raz jeszcze widokiem polskiego munduru, polskiego orła na czapce, i polskiego sztandaru, wysoko powiewającego nad stepem Rosji. Ucieszyli raz jeszcze swe uszy dźwiękiem polskiej mowy, głosem polskich komend wojskowych, śpiewem polskich pieśni religijnych. Ale nie mieli już sił, ani by walczyć, ani by żyć. Umierali cicho, wokoło tego wojska polskiego, które na ich oczach powstawało z martwych. Tak, obok pierwszego obozu polskiego wojska w Rosji, rósł pierwszy polski wojenny cmentarzyk, na ziemi rosyjskiej, na stepie dalekim. Zwyczajem, który w tym kraju odchodzi już w przeszłość, ale w Polsce żyć będzie zawsze, wzniesiono im nad tym cmentarzem na ziemi obcej wysoki polski krzyż. Niewiele jest dzisiaj krzyży na ziemi rosyjskiej. Nowych się nie wznosi, a nie wznosiło się nigdy takich wysokich. Może dlatego właśnie, gdy myślę o Pola-

kach w Rosji i gdy o Polakach w Rosji mówię teraz do Was, w Kraju, wyrasta mi przed oczami ów wysoki, wysoki krzyż.

Polacy w Kraju, wy, myśląc o Polakach w Rosji, pamiętajcie o tym krzyżu w Tockoje. On symbolizuje wszystko. On rozpiął swoje ramiona wysokie nad wszystkimi nieznanymi mogiłami rozsianymi na ziemi obcej. On wyrósł z wszystkich nędz i cierpień i mąk Polaków. On urósł i uciosany został z drzewa polskiej niewoli, polskiej krzywdy. Ale on urósł także jako „znak" polskiego wybaczenia. Polacy, biorąc za karabin, aby na ziemi rosyjskiej, obok żołnierza rosyjskiego, walczyć przeciw Niemcom, o wolność Polski, nie na darmo wznieśli ów krzyż. Nie na darmo postawili wielki, wysoki, z dala widny znak przebaczenia, znak zapomnienia, znak pojednania. Wykrzesali ów znak z tego wszystkiego, co przeszli. Raz jeszcze to wszystko, co przeszli, składali na ołtarzu Polski, jak największą ludzką ofiarę: ofiarę z własnej krzywdy. I odchodząc pozostawili na tej ziemi obcej właśnie ów znak pokoju, by pomiędzy dwoma narodami, z ich ofiary największej pokój przecież nastał.

„Wiadomości Polskie": 1942, nr 41, Londyn

*Noc na Kremlu**

[...]

Parę minut przed ósmą wyszliśmy z generalskiego apartamentu. Samochody oczekiwały na nas przed hotelem w całkowitej już ciemności. Niedawno przebudowane olbrzymie ulice były całkiem puste. Miasto wydawało się wymarłe, ponieważ skrupulatnie przestrzegano zaciemnienia. Kreml wydawał się teraz całkiem bliski, bardziej tajemniczy, średniowieczny i azjatycki, niż za dnia. Dziwne sylwetki jego wież, zagadkowy układ ścian – jakby w kolorze sepii – wszystko to na srebrzystym tle oświetlonego księżycem

* W grudniu 1941 r. Stalin wydał na cześć Sikorskiego bankiet, w którym jako attaché prasowy ambasady w Moskwie uczestniczył Ksawery Pruszyński. Oto jego współczesna relacja zawarta w wydanej w Stanach Zjednoczonych książce *The Russian Year*.

śniegu. Nasze samochody przemknęły pustymi ulicami i nie zatrzymały się, aż osiągnęliśmy wysoką wieżę, nieco gotycką w wyglądzie, która znajdowała się około stu metrów przed samym Kremlem; była to pierwsza brama. Zatrzymaliśmy się przed nią i strażnicy sprawdzili papiery naszego kierowcy. Silne światło latarki omiotło wnętrze naszego samochodu, powoli i starannie penetrując każdy kąt. Następnie przejechaliśmy przez most przerzucony nad dawną fosą. Później była kolejna wieża, druga brama i nowa inspekcja, równie dokładna jak pierwsza. Cichy snop światła wędrował po wnętrzu samochodu przez dobrą chwilę. Kiedy ruszyliśmy, dał się słyszeć dźwięk silników niewidocznej eskorty motocyklowej, która towarzyszyła nam jak czarna demoniczna straż.

Wjeżdżaliśmy na wzniesienie, zajęło nam to tylko parę sekund. Później zatrzymaliśmy się, a motocykle ucichły.

Nagle olbrzymie drzwi stanęły przed nami otworem, łuna oślepiającego światła rozjaśniła ciemność. Była to prawdziwa orgia blasków. W wielkiej jasności ujrzeliśmy wielkie i wysokie schody, całe w złoceniach i bieli. Środkiem tych schodów biegł czerwo-

ny dywan, jak szkarłatna rzeka. Świetliste kule i lampiony przypominały gmach paryskiej opery. Milczący i zastygli w bezruchu agenci NKWD stali po obu stronach schodów. Znajdowaliśmy się w hallu Bolszego Dworca. To była uwertura do właściwego spektaklu. Na szczęście po obu stronach hallu znajdowały się szatnie, będące w stanie pomieścić ubrania tysięcy ludzi. Ich ściany pokryte były ciemnym drewnem, które tłumiło blask światła; świat wydawał się tu bardziej normalny. W pobliżu ogromnych luster leżały szczotki do czyszczenia ubrania i do włosów. Zaskoczyło mnie to, jako że zwyczaj wykładania szczotek jest raczej angielski i rzadko praktykowany na kontynencie, a już najmniej w Rosji. Ten element kultury współczesnej Anglii w ponurym zamku Iwana Groźnego był bardzo krzepiący.

Opuszczenie tego hallu, który przytłaczał nas swoimi światłami i proporcjami przyniosło ulgę naszym oczom. Wielki pałac kremlowski przebudowywano mnóstwo razy i zaznał on wiele pożarów, tak że jego poszczególne fragmenty straciły już dawno swój oryginalny charakter. Chociaż Katarzyna Wielka ustanowiła Petersburg swoją rezy-

dencją, to jednak zdecydowała się przydać bizantyjskiej i orientalnej skorupie tego zamku pewnych cech XVIII-wiecznej Francji. Rozkazała, aby Bolszoj Dworiec został przebudowany w stylu Ludwika. W późniejszym czasie dokonano tu jeszcze parę innych, mniej szczęśliwych zmian. Pierwsza z sal, do której weszliśmy, była przebudowana znacznie później i w lepszym guście, już za czasów Stalina. Mieści się w niej parlament ZSRR. Adaptowano do tego celu bardzo długą i przytłaczająco niską, wyłożoną drewnem, starą komnatę świętego Andrzeja. Znajdują się tu rzędy ław, zajmowane w czasach posiedzeń przez reprezentantów 160 narodów, znanych oficjalnym radzieckim statystykom: Uzbeków, Czuwaszów, Zyrian, Buriatów, Mordwinów, Kazachów. Nazwisko każdego z delegatów jest wygrawerowane na metalowej tabliczce, przed każdym siedzeniem znajduje się mały głośnik ułatwiający słuchanie przemówień, które są wygłaszane w drugim końcu sali, bez używania wielkich megafonów. Bolszewicy lubują się w takich zabawkach. Radziecki parlament wyglądał jak jeden z tych luksusowych hoteli w eleganckich uzdrowiskach, w których życie to-

czy się tylko przez kilka tygodni każdego roku, i które pogrążają się w długim śnie na wiele miesięcy.

Przez następne pokoje przeszliśmy tak szybko, że mielibyśmy duże trudności z odnalezieniem drogi powrotnej. Przypominały nam one na przemian wiktoriańskie hotele pałacowe, puste korytarze w zimnych budynkach urzędów i antyczne salony, zagubione w dużych, wiejskich rezydencjach. Bolszoj Dworiec stawał się coraz bardziej okazały w miarę jak posuwaliśmy się naprzód; zastygłe sylwetki NKWD-zistów w ich szarych, bezstylowych mundurach oraz w walonkach z białego filcu pojawiały się w coraz większym zagęszczeniu. Spogladali na nas z bezosobową, pozbawioną wszelkiego zainteresowania obojętnością.

W końcu zatrzymaliśmy się pod rozległym sufitem, pełnym złota i światła. Olbrzymie lampiony skrzyły się kryształami. Długie, białe stoły zastawione były szkłem, srebrem i czerwonymi kwiatami. Zauważyłem gdzieś filary z niebieskiego marmuru lub malachitu. Był to kolorowy, bogaty obraz nazbyt pełen przepychu. Później ponad głowami generała Sikorskiego, ambasadora Kota i generała An-

dersa, którzy stanowili czoło naszego orszaku, zobaczyłem grupę mężczyzn. Zbliżali się do nas poprzez amfiladę pokoi z drugiej strony tego bankietowego hallu.

Szli stłoczeni razem – albo tak się to przynajmniej wydawało – wyglądali z daleka jak grupa robotników, przybywających na zmianę. Większość z nich nosiła ciemne ubrania, tak że postać barczystego mężczyzny średniego wzrostu w jasnym garniturze zapiętym aż po szyję na tym tle stawała się szczególnie wyrazista. Duże czarne wąsy, szczotka siwiejących, krótko ostrzyżonych włosów nad czołem – Stalin.

Często zdumiewamy się, gdy rzeczy, które znamy z tysięcy ilustracji okazują się być takie same w rzeczywistości, Karol Czapek miał rację, kiedy mówił, że w zdumienie wprawiały go widok krzywej wieży w Pizie, gondole w Wenecji oraz Łuk Triumfalny w Paryżu, które udowadniały, że pocztówki jednak nie kłamią. Jaki jest Stalin? Otóż, jest on dokładnie taki, jakim malują go portrety, których są tysiące w całej Rosji, lub taki, jak w karykaturach Lowa. Istnieje rozdźwięk pomiędzy obrazem Związku Radzieckiego w świadomości ludzi mieszkających za granicą, a rzeczywistością,

ale nie ma wcale rozbieżności między popularnym obrazem Stalina i prawdą. Jego włosy są mocno przyprószone siwizną, ale nie jego brwi i charakterystyczne wąsy. Być może jest odrobinę grubszy niż wydaje się na większości portretów. Nie widziałem jego fajki, ale wypalił wiele papierosów. Ale jakie to ma znaczenie?

Ambasador Kot przedstawił nas po kolei, a Wyszyński dodał parę słów po rosyjsku. Nie zwróciłem uwagi na prezentację mego poprzednika, tak że poczułem się raczej zaskoczony, gdy wielki człowiek uścisnął moją dłoń i po prostu przedstawił się, mówiąc: „Stalin". Nie wiedziałem, czy w tym momencie powinienem wypowiedzieć swoje nazwisko, z którym Stalin był zapewne mniej zaznajomiony, niż ja z jego. To zaskoczenie było charakterystyczne dla przemieszanej ze sobą prostoty i pompy tego wieczoru na Kremlu.

Później wymienialiśmy uściski dłoni z ludźmi, których nigdy wcześniej nie spotkaliśmy, ale których twarze były nam bardzo dobrze znane. Portrety członków potężnego Politbiura, zdobiące ściany wielu urzędów pomiędzy Odessą a Władywostokiem, obrazy noszone na czele pochodów pierwszomajowych, fotografie z pierwszych stron „Praw-

dy" i „Izwiestii" ożyły, przemówiły i uścisnęły nam dłonie. Wszyscy bogowie ateistycznej Walhalli i czerwonego Olimpu, którzy objawiają się tłumowi raz do roku w świętej Mekce Moskwie, na placu Czerwonym, u grobu proroka Lenina, znajdowali się w tej sali. Hitler mógłby poprawić swoje szanse, gdyby bezpośrednio mierzył w to miejsce tej nocy. Był tam Mołotow, który wyglądał dużo starzej niż na zdjęciach; spokojny, opanowany Kaganowicz w mundurze radzieckiego kolejarza; rodak Stalina, śniadoskóry Mikojan; mały i rumiany, z błyszczącymi oczami Beria, szef NKWD. I jeszcze kilku oficerów wysokiej rangi, ale wydawali się odsunięci na dalszy plan.

Tak się złożyło, że stałem obok generała Andersa, który był chyba najwyższym mężczyzną wśród obecnych. Pełnił on rolę tłumacza w polsko-rosyjskiej konwersacji między Sikorskim a Stalinem. Po chwili Mołotow i Wyszyński zajęli się generałem Sikorskim, a Stalin zaczął rozmawiać z ambasadorem Kotem.

„...Zdarzało się czasem – powiedział Stalin – że pewne narody zostały wyparte ze swoich odwiecznych siedzib. Na przykład

Prusy Wschodnie. Sądzę, że połowa Prus Wschodnich była zamieszkiwana przez Polaków, druga połowa przez Litwinów".

Ambasador Kot, w sposób oczywisty nawiązując do początku ich rozmowy, zapytał Stalina, co się stanie z Serbołużyczanami po wojnie. Są oni plemieniem słowiańskim, liczącym kilkaset tysięcy ludzi i żyjącym w środku obecnych Niemiec, nieco na północ od Czechosłowacji. Stanowią oni rezerwat słowiańszczyzny na starych ziemiach słowiańskich, które podbili Niemcy. W 1919 roku plemię to stanowiło przedmiot rozmów w Wersalu, a Czesi wykazali dla nich stosunkowo duże zainteresowanie. Ale Stalin, jeżeli nawet wiedział o tych Słowianach, nie wydawał się być szczególnie zainteresowany ich losem. Niestety, właśnie gdy konwersacja wkraczała na ciekawsze tory – dzięki uwadze Stalina o Prusach Wschodnich – zostałem odwołany na stronę przez jednego ze współpracowników naszej ambasady. Kończyli oni w sąsiednim pokoju pracę nad tekstem polsko-radzieckiej deklaracji o przyjaźni. Byłem wściekły z powodu konieczności dopełnienia moich obowiązków dyplomatycznych właśnie w momencie, gdy zaistniała fascynująca

dziennikarsko sytuacja. Z drugiej strony jednak nigdy bym tam nie dotarł jako reporter, a jeżeli, to na pewno w tłumie setek ludzi.

Jednakże po powrocie, a przed zajęciem miejsc przy stole, miałem kolejną okazję przyjrzeć się jednemu z największych żyjących mężów. Zawsze wierzyłem, że nawet na pozór nieistotne detale mają pewne znaczenie w przypadku wielkiego człowieka. Stare zainteresowanie mało znaczącymi drobiazgami z życia wielkich ludzi, kiedyś rozpowszechniane przez plotkę, obecnie przez prasę, nie wydaje mi się być tak bezsensowne, jak można by początkowo sadzić. Anegdoty, maniery, przyzwyczajenia często wydobywają na wierzch prawdę o człowieku. Z braku innych informacji mogą one pomóc w tworzeniu obrazu charakteru i umysłowości. Jest to praca odkrywania i rekonstruowania całości z fragmentów. Trudno wyobrazić sobie, abym miał lepsze zajęcie tej nocy, niż obserwowanie dyktatora współczesnej czerwonej Rosji, na tle zabudowań Kremla starej Rosji. Nieprzystępność obydwu tylko zaostrzyła moją ciekawość.

Obserwowałem Stalina przez parę minut. Mówił mało i spokojne. Słuchał uważnie. Od

czasu do czasu opuszczał grupę rozmówców i stawał na uboczu. Wtedy palił papierosa w osamotnieniu, na swojej pustyni. Nikt nie śmiał przerwać jego ciszy i samotności. Stalin był zawsze tym, który sam je kończył. Żartem lub uwagą adresowaną do kogoś imiennie. Osoba, do której się w ten sposób zwrócił, odbywała z nim krótką rozmowę, po czym Stalin powracał do swego gościa, Sikorskiego.

Jego sposób zachowania, charakteryzujący się prostym sposobem przedstawiania się słowem „Stalin", był skromny i bezpretensjonalny, ale wyraźnie na tych, którzy go otaczali robił wrażenie, jak Gigant na Pigmejach, albo Bóg na śmiertelnikach. Oni wszyscy widzieli go, choć nie patrzyli, myśleli o nim, nawet gdy rozmawiali o czymś innym. Czuło się, że byli gotowi wypełnić jego rozkazy w każdym momencie. Sam Stalin zdawał się być człowiekiem życzącym sobie, aby jego myśli i pragnienia były odgadywane jeszcze zanim przyjdą mu do głowy, zamiast konieczności wydawania poleceń. Całkowity spokój, determinacja, zdolność do nieobawiania się niczego, oto cechy, które dawały się w nim wyczuć tego wieczoru.

Zgodnie z tym, co mówią Francuzi, ubiór świadczy o człowieku. Stalin był ubrany w swój zwykły strój; zapiętą na ostatni guzik bluzę i spodnie wpuszczone w duże, rosyjskie cholewy. Można było też zaobserwować pewne rzeczy, które pozostają nie zauważone na fotografiach. Jego ubranie, chociaż na pozór proste, było doskonale skrojone. Beżowy materiał, z którego uszyto go, był w oczywisty sposób najwyższego gatunku i faktury. Spodnie, chociaż na sposób rosyjski wpuszczone w cholewy, były pięknie zaprasowane, a jego buty znakomicie zrobione. Nawet jego ciężkie, mocne ręce, starannie utrzymane, miały swoją własną ekspresję. Dostrzegało się w tym wszystkim przesadną nawet pedanterię. Jeden z moich przyjaciół, który mieszkał w Berlinie i widział parę razy Hitlera powiedział mi, że jego ubranie wyglądało jakby kupił on kilka kawałków gotowej konfekcji i nie zadbał o złożenie ich w sensowną całość. Nikt nie mógł powiedzieć tego o Stalinie.

W końcu zasiedliśmy do obiadu. Z łatwością znalazłem wizytówkę z moim nazwiskiem, której szukałem z bezbłędnym instynktem w mniej ważnej części stołu. Stalin usiadł na drugim końcu, po przeciwnej stro-

nie, tak że byłem w stanie prowadzić dalej swoje obserwacje. Po jego prawej ręce siedział generał Sikorski, po lewej ambasador Kot, a Mołotow naprzeciw. Moimi sąsiadami byli radzieccy generałowie. Jeden z nich to ważna figura, generał Żukow, służący zarówno w armii, jak i w NKWD, z którym generał Anders miał wiele do czynienia.

Stół zastawiony był z wyszukaną prostotą; na przepięknych obrusach z holenderskiego płótna widziałem talerze hotelu „Moskwa": stary wypłowiały już nieco wzór winogron i liści pochodził z Cesarskiej Manufaktury z Petersburga. Tylko carskie monogramy były różne. Kilka sztuk porcelany miało monogram N II, ostatniego cara Mikołaja II, zwieńczony koroną carską, a inne sztuki nosiły monogram A III, przywodzący na myśl tego straszliwego brodatego olbrzyma, Aleksandra III. W centrum stołu postawiono stare kryształowe flakony oraz ciężkie srebrne dzbany, znakomitej roboty. Natomiast sztućce były współczesne, ozdobione sierpem i młotem. Przed każdym z nas znajdowało się menu, wydrukowane po rosyjsku i francusku. Każdy gość miał również swoją własną tacę z przekąskami oraz swoje własne butelki przeróżnych trunków.

Bywalcy międzynarodowych bankietów z pewnością nie uważaliby obiadu na Kremlu za nudny lub monotonny. Pomiędzy usługującymi do stołu rozpoznałem kilku kelnerów z hotelu „Moskwa". Oczywiście, nie jest to hotel w pełnym tego słowa znaczeniu, ale specjalny gościnny dom rządowy, zarezerwowany tylko dla wybranych. Kelnerzy nie nosili żadnych liberii, tylko białe marynarki stewardów. Paru z nich mówiło po francusku.

Później dowiedziałem się, że Kreml nie miał własnej służby, tylko wypożyczał ją w razie potrzeby na wielkie przyjęcia z rządowego hotelu. Było też coś innego, co sugerowało, że zawód pikolaka nie ma jasnej przyszłości w tym kraju: każdy z nas miał bowiem przed sobą swoje własne „zakuski", jak również i własne napoje. Oznaczało to, że zasada „obsłuż się sam" nie była nieznana na kremlowskich bankietach. Kompromis w stosunku do zachodnich zwyczajów stanowiło to, że te same „zakuski" i napoje były podawane przez kelnerów w białych marynarkach. W ten sposób istniały dwie możliwości uzyskania różnorodnych sałatek i innych rosyjskich ryb – łososia, bieługi, siomgi oraz oczywiście kawioru, we wszystkich możli-

wych kolorach i najlepszej jakości. Popijano je rosyjską brandy, gorzkawą żubrówką, moskiewską wódką oraz najlepszą ze wszystkich „Riabinowką" – czerwoną wódką.

Nadszedł teraz najlepszy moment do rozejrzenia się po sali przed przemówieniami, pomiędzy jednym podaniem kawioru a drugim. Sala, w której siedzieliśmy, nosząca niegdyś miano świętej Katarzyny, należała do ufrancuzionej, luksusowej części Bolszego Dworca. Miała ona bogate rokokowe sklepienie ze złota i stiuku, a jej ściany pokrywała nieco już wypłowiała tkanina w kolorze truskawek. Każdą ze ścian zdobił u góry owalny medalion, otoczony wstęgami koloru izabelowatego, z rosyjskim napisem „Za lubow' k'otieczestwu" (za miłość Ojczyzny). Domyśliłem się, że była to sala orderu św. Katarzyny, ustanowionego przez carycę jako odznaczenie dla wyróżniających się dam dworu. Przytłumiona czerwień i złoto przyjemnie odbijały światło, które sączyło się na wspaniały parkiet i spływało wzdłuż mocnych, zielonych kolumn. Później znikało w głębi niezliczonych sal, w czerwonej poświacie. Był to Wersal, któremu jednak brakowało znakomitej delikatności i lekkości francu-

skiej sztuki. Tak jak Poczdam i Sans-Souci, które choć francuskie w stylu, są naznaczone pruską sztywnością i ponuractwem, tak ten kawałek Francji przywleczony do serca Rosji przez niemiecką księżniczkę wydawał się całkowicie niefrancuski. Wyglądał on jak francuski strój wykrojony jednak nie z lekkiego lionskiego jedwabiu, ale z ciężkiego wschodniego brokatu szat pontyfikalnych prawosławnych patriarchów i hieratycznych strojów opasłych bojarów starej Moskwy. Było to wspaniałe, robiące wrażenie, olśniewające; a zarazem ciężkie, pompatyczne, przytłaczające. Uczyniono wszystko, by uczynić z tego Wersal. Był to jednak tylko Kreml.

Gargantuiczne masy żywności dopełniały tego obrazu. Kaukaskie i krymskie wina, brandy i likiery znad granicy perskiej, wydzielały unikalne aromaty. Potrawy – oznaczone wprawdzie francuskimi nazwami w menu – pochodziły jednak z tradycyjnej rosyjskiej kuchni, bogatej, ostrej i ciężkiej. Podawano je bardzo szybko, jedna po drugiej, albo nawet powinienem powiedzieć, że równocześnie. Właściwy obiad rozpoczął się dwiema zupami do wyboru: wspaniałym polskim barszczem,

który jest przezroczysty i rzadki, w przeciwieństwie do jego rosyjskiej odmiany, znanej jako „szczi", oraz rosyjską zupą rybną. Mój gastronomiczny patriotyzm nie pozostawił mi żadnego wyboru.

Po zupach nastąpiły mięsa, potrawy z drobiu, ryby i dziczyzna, wszystko w bogatym wyborze. Pierwsze butelki zostały zastąpione kolejnymi, kieliszki napełniano raz po razie. Rozmowa stawała się głośniejsza, wspomagana swobodną gestykulacją, kończąc się najczęściej wybuchami śmiechu. Polscy i rosyjscy oficerowie wydawali się tymi, którzy najwcześniej osiągnęli wzajemne porozumienie. Sala św. Katarzyny widziała teraz więcej życia niż dane jej to było od dłuższego czasu.

Zapamiętałem tylko niewiele z niezliczonych toastów, które nastąpiły w drugiej części bankietu. Wydawały się epizodami, zagubionymi w bogatym i przesłodzonym obrazie tej dziwnej, wystawnej uczty, w której proletariacka prostota była przemieszana z cieniami rzucanymi przez umarłe imperium; uczta odbywała się gdzieś między Europą a Azją. Mołotow mówił nieustannie, niestrudzony we wznoszeniu toastów pod adresem wszystkich polskich gości po kolei. Ostatni z tej serii toa-

stów został wzniesiony na cześć młodej generacji polskich oficerów. Mołotow bardzo delikatnie skierował go pod adresem jedynego polskiego oficera niższej rangi, rotmistrza Klimkowskiego, adiutanta generała Andersa. Nieoczekiwanie wyróżniony bohater, typowy oficer kawalerii, był absolutnie oszołomiony, gdy usłyszał swoje nazwisko w oficjalnym toaście. I całkiem słusznie. Parę miesięcy wcześniej przebywał on bowiem jako więzień polityczny na Łubiance, teraz znajdował się w tej samej Moskwie, ale na Kremlu, siedząc w pełnym umundurowaniu, przy tym samym stole, z władcami sowieckiej Rosji i polskimi ministrami, czczony toastem przez premiera Rosji, Mołotowa. Nieco za dużo jak na dzielnego rotmistrza. Końcówka toastu wprawiła go w jeszcze większe zakłopotanie, Mołotow bowiem wzniósł swój kielich w jego kierunku, co oznaczało, zgodnie z lokalnymi zwyczajami, że Klimkowski powinien dotknąć swoim kieliszkiem kieliszka sowieckiego premiera. Znajdował się przynajmniej o dwanaście krzeseł od niego, tak że musiał wstać i przemaszerować przez całą salę. Klimkowski właśnie rozpoczął swój ceremonialny przemarsz, kiedy stanął twarzą w twarz z nowym problemem.

Stalin powstał bowiem również ze swego miejsca i uczynił parę kroków w kierunku Klimkowskiego. To było okropne. Stalin znajdował się po przeciwnej stronie stołu, tak że Klimkowski miał dylemat, czy powinien kontynuować swój marsz w stronę Mołotowa, czy też zawrócić w stronę Stalina? Wybrał to ostatnie i zobaczyłem dzielnego rotmistrza, jak ostrożnie, być może nawet nieśmiało zmierza po śliskiej, wyfroterowanej podłodze w stronę Stalina i trąca się z nim kieliszkiem. Potem w swoich kawaleryjskich butach, które jakoś nie zadziwiły nikogo na tym obiedzie, rozpoczyna nową podróż dookoła stołu, w stronę Mołotowa, aby powtórzyć ten sam rytuał. Po tym wszystkim nasz przyjaciel mógł szczęśliwie powrócić na swoje miejsce, co też uczynił, zapewne z wielką ulgą.

Punktem kulminacyjnym wieczoru stało się oczywiście przemówienie Stalina. Jego sposób mówienia był tak niekonwencjonalny jak on sam. Stalin to osobliwy mówca stosujący specyficzną metodę. Zadaje sobie sam pytania, a następnie na nie odpowiada, używając obrazowych przykładów i anegdot. Przemawia jak nauczyciel, który częściowo naucza swą klasę, a po części naprowadza na

pewne konkluzje. Zajął się stosunkami pomiędzy Polską i Rosją. Było – mówił – wiele kłótni, konfliktów i wzajemnych roszczeń. Był czas, kiedy Polacy okupowali Moskwę, później Rosjanie zajęli Warszawę...

„Dobrze" – wtrącił się ambasador Kot, który jako historyk znał dzieje polskiej okupacji Moskwy w XVII wieku. – „Polacy przebywali w Moskwie tylko przez parę miesięcy, natomiast Rosjanie utrzymywali Polskę w swoim ręku przez ponad sto lat. Dlaczego byliście u nas tak długo?"

Wtedy Stalin przeszedł do dwóch tematów, do których, jak mówią, ma on szczególną słabość: jego młodości rewolucyjnej i Lenina.

„Rosjanie – powiedział – nie zdają sobie sprawy z wrażliwości Polaków, narodu tak prześladowanego przez carską Rosję, że nauczył się nienawidzić wszystkiego, co rosyjskie". „Nie rozumiałem tego ja sam" – powiedział Stalin. – „Ale Lenin rozumiał". – Po czym opowiedział nam historię, której wszyscy słuchali w absolutnej ciszy, podobnie jak i całej jego mowy.

„Polacy pomogli mi przekroczyć granicę pomiędzy rosyjską a austriacką częścią Polski, parę lat przed 1914 rokiem. Odwiedza-

łem wtedy Lenina, który ukrywał się w południowej Polsce. On rozumiał Polaków. Ja nie. Pewnego razu, gdy podróżowałem przez Galicję, pociąg zatrzymał się na stacji w porze obiadowej. Byłem głodny i miałem kwadrans wolnego czasu. Udałem się więc do restauracji, gdzie zamówiłem obiad. Usiadłem przy stole i czekałem. Mój sąsiad z prawej strony został obsłużony, drugi z lewej także, a ja nie. Nawet ludzie, którzy przyszli dużo później niż ja, dostali już swoje posiłki, a ja dalej nie. Było to w sposób oczywisty zamierzone. Na koniec na dwie minuty przed odjazdem pociągu przyniesiono mi mój talerz zupy. Jestem Gruzinem o gorącym temperamencie. Rzuciłem dwie korony austriackie na stół i przewróciłem talerz z zupą. Wyszedłem, nadal głodny. W Zakopanem opowiedziałem Leninowi o tym incydencie, oskarżając Polaków. Lenin – kontynuował Stalin – wysłuchawszy mojej historii zapytał: – A w jakim języku mówiłeś? – W jakim języku? Oczywiście, po rosyjsku."

„Wtedy Lenin zaczął się śmiać. Śmiał się ze mnie przez długi czas: – Nie rozumiesz tych rzeczy. Czy nie widzisz, że po tym wszystkim, co wycierpieli z rąk rosyjskiego zabor-

cy Polacy muszą nienawidzić języka rosyjskiego? Jak każdy represjonowany naród, i oni mają słuszny powód do swoich uprzedzeń. Oto dlaczego byłeś ostatnim, którego obsłużono".

„Zrozumiałem – Stalin kończył swój toast – lekcję Lenina znajomości uczuleń innych narodów i szacunku dla nich. Oto dlaczego wznoszę teraz toast za generała Sikorskiego i jego współtowarzyszy, naszych gości, za ich pomyślność, za honor sławnej polskiej armii i za oswobodzenie Polski z rąk nieprzyjaciela. Polska powstanie po tej wojnie większa niż kiedykolwiek."

To był koniec bankietu. Deser, zgodnie z rosyjskim zwyczajem, został podany w innym pokoju, w dużym salonie, umeblowanym w stylu Ludwika Filipa. Dwugłowy carski orzeł nadal rozpościerał swoje czarne skrzydła nad złoconymi odrzwiami pomiędzy salami. Polscy i radzieccy dyplomaci nadal trwali w swoich banalnych dyskusjach na temat sformułowań polsko-radzieckiej deklaracji, którą miano wkrótce podpisać. Deklaracja, ściśle mówiąc, nie była wcale międzynarodowym układem, a jedynie ogólnikowym stwierdzeniem poprawy stosunków pomiędzy obydwoma państwami. Niemniej formaliści po obu

stronach upierali się przy czysto literackich szczegółach. Musiałem poruszyć tę sprawę z Mołotowem. Po wysłuchaniu obu stron rozpoczął on ciąg swoich reminiscencji:

„Ach, kiedy podpisywaliśmy pakt z Niemcami..."

Miał na myśli oczywiście słynny pakt Mołotow-Ribbentrop, pakt podpisany na Kremlu 23 sierpnia 1939; nie było to szczególnie przyjemne dla nas przypomnienie. Przerwałem mu i powiedziałem: „Nie sądzi pan, panie komisarzu ludowy, że sowiecko-niemieckie porozumienie nie należało do najszczęśliwszych traktatów, podpisanych przez rząd radziecki?"

Mołotow, który oczywiście uczynił tę uwagę bez ukrytego motywu, bez uświadomienia sobie, jak delikatną materię poruszył – zaprotestował z dobrymi intencjami.

„A poza tym – dodałem – mam nadzieję, że nasz obecny układ będzie bardziej trwały, niż ten podpisany przez pana Ribbentropa..."

Ostatecznie literackie trywium zostało rozwiązane, najwyższy był czas po temu, aby wszyscy podnieśli się już ze swoich foteli. Przeszliśmy do czarnej otchłani nie kończących się sal Bolszego Dworca, z których członkowie Politbiura poprzednio się wynu-

rzyli, aby spotkać się z nami w sali świętej Katarzyny.

Rewolucja nigdy się tutaj nie przetoczyła. Stare meble w stylu Ludwika XVI, pociemniałe płótna mistrzów holenderskich, zmatowiałe nieco weneckie lustra w złoconych ramach – wszystko to gnuśniało w nudzie zapomnienia. Ta jedna z wielkich rezydencji, wzniesionych olbrzymim kosztem – została później opuszczona przez nowe pokolenia dziedziców, którzy woleli mniej antyczne i wspaniałe domy. Ponad sto lat przed rewolucją październikową Bolszoj Dworiec został porzucony przez dwór na rzecz pałaców Sankt Petersburga. Rewolucja przywróciła Moskwie stołeczność, ale nie przywróciła Kremlowi wspaniałości pierwszych Romanowów. Nadal znajdowały się tutaj cesarskie meble, tylko cisi agenci NKWD uzbrojeni po zęby, wtopieni w tło wielkich mrocznych komnat reprezentowali tu nową władzę. Prostota z pewnością nigdy nie była cechą charakterystyczną rosyjskiej architektury. Po przejściu przez niezliczone sale i salony minęliśmy dziwne korytarze, schody, pasaże z nieoczekiwanymi zakrętami i ukrytymi drzwiami, najprawdopodobniej dużo starsze

niż wersalska część pałacu, być może pochodzące z czasów starej Moskwy, Moskwy bojarów jeszcze przed Piotrem Wielkim. Był to labirynt tak tajemniczy, jak labirynt Minotaura i z pewnością nie mniej złowrogi.

Później powróciliśmy do współczesności. Znaleźliśmy się w małym pokoju z białym ekranem i głębokimi, miękkimi fotelami. Stalin usiadł koło generała Sikorskiego, Kot obok Mołotowa, a inni zajęli pozostałe miejsca. Służący wnieśli cygara, kawę i słodycze. Stalin i Sikorski rozmawiali nad białym kawałkiem kartonu. Nie była to mapa ani też szkic porozumienia międzynarodowego, ale program projekcji. Światła zgasły i na ekranie ujrzeliśmy kronikę filmową, zawierającą sceny z niedawnego pochodu październikowego w Moskwie, przemówienia Stalina, a później przyjazd Sikorskiego do Rosji, oraz powitanie go w Kujbyszewie i Moskwie...

Bolszewicy w ich zwykłej ambicji naśladowania tempa Ameryki, sfilmowali też najświeższe wydarzenia, pokazując nas na ekranie aż do momentu samego obiadu, praktycznie do chwili, kiedy weszliśmy do tej sali projekcyjnej. Kreml więc niewiele może nauczyć się od Hollywood. Prześcignął on nawet Hollywood

w efektach dźwiękowych, ponieważ gdy tylko zajęliśmy miejsca – w milczeniu oglądając film – bardzo wyraźnie usłyszeliśmy odległy, dudniący odgłos: Uhuuu, uhuuu...

Gwar i hałas sali bankietowej już ucichły i dlatego słyszeliśmy te grzmoty bardzo dobrze. Po trzech latach praktyki nie mieliśmy żadnej trudności w ich rozpoznaniu. Spojrzeliśmy na siebie znacząco – a projekcja trwała dalej. Pomimo wszystko front nie był oddalony o więcej niż 15 mil. Niemcy tego dnia ze szczególnym nasileniem parli w kierunku Moskwy. Ciężkie działa biły mocno tej nocy, a ich dudnienie wstrząsało grubymi murami Kremla i przedostawało się do prywatnej salki kinowej Stalina.

Dochodziła już północ, gdy podnieśliśmy się ze swoich foteli i rozpoczęli drogę powrotną do głównego wejścia, przemierzając stare komnaty, teraz nawet bardziej wymarłe i senne niż poprzednio. Stół w sali świętej Katarzyny został już uprzątnięty i życie, którym była ona wypełniona jeszcze przed chwilą, gwar uczty i zapach potraw, należały już do przeszłości, co uczyniło ją tak samo wymarłą, jak reszta pałacu. Tylko światła w hallu wejścio-

wym były nadal tak jasne jak poprzednio, a bliskość wejścia zwiastowała zwiększająca się liczba uzbrojonych i nieruchomych postaci, znajdujących się wzdłuż naszej drogi.

Noc nie była już tak ciemna, jak poprzednio. Księżyc w pełni wisiał wysoko na niebie. Widok rzeki Moskwy w jej granitowym korycie, śpiącego, opustoszałego miasta i białych ulic pod pokrywą śniegu był niesamowity i fantastyczny. W celu podpisania polsko-radzieckiej deklaracji musieliśmy przejść do innego pałacu kremlowskiego, w którym mieściło się prywatne biuro Stalina. Znajdowało się ono zbyt blisko, aby używać samochodów. Przyjemnie było przespacerować się przez dziedzińce Kremla, głębokie i czarne jak kaniony pomiędzy cerkwiami, kaplicami i soborami. Wszystkie te świątynie stały zamknięte i w sposób oczywisty nie używane lub być może przemienione w muzea. Widziane z pewnej odległości z ich gruszkowatymi kopułami o różnych wymiarach i kształtach, nadawały Kremlowi pozór wizji miasta z tysiąca i jednej nocy. Z bliskiej odległości wyglądały one bardziej prawdziwie i wyraziście, ale nie mniej fantastycznie. Było coś groźnego i złowieszczego, majestatycznego i melancholijnego w tym zam-

kowym sanktuarium religii, której przeznaczano zagładę, w świętym mieście, skazanym na milczenie. W świetle księżyca, na skrzącym się śniegu, pod czarnym jak smoła niebem, Kreml soborów wyglądał jak legendarne miasto zatopione zaklęciem czarnoksiężnika, tylko od czasu do czasu ukazujące szczyty swoich wież, głęboko spod wody czarnego, magicznego jeziora. Nie był to już ten sam Kreml – sowieckiego parlamentu i Stalina. Nie był to także Kreml Wielkiej Katarzyny i francuskich dworzan, ani nawet nie stary ciemny labirynt Kremla moskiewskich bojarów. Było to hieratyczne, tajemnicze miasto, święte jak Lhasa, Mekka lub umarłe miasta pagód i świątyń w Indochinach. Odzyskało ono całą swoją wielkość jako kolebka kultury, być może jeszcze wzbogaconą przez dramatyzm historii.

Wyjechaliśmy na górę windą, a Stalin spotkał się z nami już tam, na piętrze. Nie przyszedł z Bolszego Dworca z nami, a mimo to wyprzedził nas. Jak? Tajemnica. Sekret znajduje się w tradycji Kremla, tradycji Rosji, w tradycji Sowietów. W dużym pokoju z dwoma wielkimi stołami konferencyjnymi, o ścianach pokrytych mapami – zrolowanymi i rozpostartymi jak zasłony okienne – oczeki-

wali nas fotoreporterzy, oraz dokumenty, już gotowe do podpisania. Mężowie stanu przyłożyli swoje pióra do papieru, błysnęła magnezja i ceremonia była skończona.

Nasi gospodarze pożegnali nas na dole, gdy wsiadaliśmy do samochodów. Warkot silników sprawił, że zdałem sobie sprawę z tego, iż na zewnątrz prostokąta czerwonych murów istnieje inne życie, mniej monastyczne i monarchiczne, mniej intensywne i tajemnicze, mniej fascynujące i bardziej normalne. Wieczór na Kremlu się skończył, skończyła się również baśń Szeherezady. Zapadając w sen w moim wygodnym współczesnym pokoju hotelowym miałem nieświadome uczucie satysfakcji z tego, że to widziałem, że w tym uczestniczyłem i że już z tym wszystkim skończyłem. Czułem się jak widz, który podnosi się ze swojego fotela po wspaniałym, dramatycznym przedstawieniu, pięknie odegranym i wystawionym, i który odczuwa zadowolenie, że jednak nie musi żyć w pałacu lady Makbet, czy też w Elsinorze Hamleta.

„Noc na Kremlu", Warszawa 1989.

*Na polu bitwy w Normandii**

Nasz stały współpracownik, Ksawery Pruszyński, przydzielony do Pierwszej Dywizji Pancernej, uzyskał przydział do 10 PSK i brał udział w walkach tego pułku w Normandii jako strzelec przedni w czołgu. Dnia 15 sierpnia jego czołg został rozbity, przy czym Pruszyński doznał szeregu ran: piersi, ramienia i boku oraz pęknięcia jednego z kręgów. Niniejsze wspomnienia pisał dla „Nowej Polski" już ze szpitala w Wielkiej Brytanii.

[...]

Dopiero o paręset jardów od katedry rozumiemy, dlaczego Caen jest wyludnionym miastem. Wjechaliśmy do śródmieścia, a zarazem do tego, co było nowoczesną częścią miasta. Po Madrycie, Warszawie, Londynie, nie myślałem, że mogę zobaczyć jakieś bardziej zbombardowane miasto. Co za dziecin-

* Tytuł oryginału: „Wspomnienia normandzkie".

na naiwność! Tu nie tylko nie ma domów, ale i nie ma ulic. Jedziemy poprzez jakąś bardzo pagórkowatą pustynię, pokrytą szaroczarnym, miałkim i lotnym pyłem, spod którego wystają jakieś złomy. Widok ruin domów jest rzeczą niezwykle rzadką. Zazwyczaj są to złomy, przywalone gruzem, przesypane tym pyłem. To, czym jedziemy, nie jest wcale ulicą, nigdy nawet nie było ulicą. Po prostu przez tę pustynię wytyczono wijący się, nierówny szlak, tak samo kręty, jak brzeg rzeczułki wiejskiej, którędy było najłatwiej przejechać ku mostom na rzece Orne. Napisy na tle gruzów głoszą: „Tędy do mostu Winstona". „Most Winstona" jest oczywiście nowym mostem – postawili go pionierzy. Tego samego pochodzenia jest i drugi most: *Euston Bridge*. Nie wiem, czy Winston i Euston zyskają w Caen na popularności.

Po drugiej stronie rzeki jest nieco lepiej. Tu Niemcy nie przygotowali obrony, nie mieli składów, uzupełnień, załóg. Gdzieś, w jakichś centrach wysyłających bombowce, odkreślono tę część miasta od reszty, podobnie jak określono tamtą, tę z katedrą. Tu działała tylko artyleria. Ale i tu jest pustka. Domy puste, choć jest już chyba po ósmej – przejazd przez

Caen zabrał nam dobrą godzinę. Natomiast wzdłuż chodników leży pełno żołnierzy angielskich. Zasunęli swe płaskie hełmy na oczy – i śpią. Śpią wszędzie. Na chodnikach, we wnękach bram, na ciężarówkach i w cieniu ciężarówek, na podwoziach długolufych dział. (To także tylko w bliskości frontu tak wielkie ilości ludzi mogą spać w tak niewygodny sposób tak twardym snem. Na froncie ludzie żywi będą spali koło trupów, upodabniając się wzajem swym znieruchomionym spokojem. Nawet gdy trupy są już parodniowe. Nie szkodzi.)

Przedmieście ścieśnia się w szosę – szosę na Falaise. Naraz z lewej i prawej błyski i huk – trzeba w uszy wtykać watę, gumowe zatyczki. To zmasowana artyleria aliancka jakieś dwadzieścia parę pułków – obrabia stąd pozycje niemieckie. Jak na szerokiej szachownicy stoją działo za działem. To nie żadne baterie, to po prostu pole porosłe działami, olbrzymi kwadrat, którego końca stąd nie widzę. Właściwie nie ma oddzielnych salw. Jeden strzał zazębia się w czasie o drugi i jest to nieustanny błysk odpaleń, przebiegający polem, jak dreszcz, i nieustanna fala huku. Kiedy będziemy dalej, będzie to jak długi, letni grzmot. Skończył się żywot indywidualny

działa, ich masowość zagnała je w kolektyw. Tam, gdzieś przed nami, także pociski nie zwalają się jeden po drugim. Spadają naraz, jak gołębie, całą masą.

Gdzieś przed nami? Krajobraz zmienił się bardzo od okolic Bayeux. Zamiast łączek, sadów, drzew, coraz większe, szersze przestrzenie. Kraj jest pofalowany, ale są to coraz dłuższe fale i coraz bardziej płaskie. Oto jedna tuż przed nami, pełno na niej wozów – czołgów. Tu, jeśli wszystko poszło wedle planu, powinien być w tej chwili generał ze sztabem i pułkiem czołgów. I istotnie – jest. Przed nim olbrzymim prostokątem, z działami na południowy wschód w kierunku otwartego horyzontu – stanęły czołgi.

Będzie ich chyba paręset. Dzień zrobił się piękny. (Jeden z takich, którymi późne lato przechodzi we wczesną jesień.) Kraj też się zrobił piękny. To już nie jest ogródkowa zieloność tamtej części Normandii, to nie jest szarość zniszczenia Caen. Jesteśmy na garbie wzniesienia. Widać stąd szeroko. Po lewej ugina się kraj w lekką kotlinę i dopiero daleko podnosi się nieco z powrotem sinymi grzywami lasów. Przed nimi spłaszcza się niemal – niemal – w step. Ta sama pszenicz-

na płowość. Ta sama olbrzymiość równiny. Gdzieś daleko jakieś drzewa, znak jakby futoru. Po prawej prosto wytknięta szosa – drzewa – słupy telegraficzne. W żaden sposób to wszystko nie mogłoby być hrabstwem Perth, York czy Stafford. Jakże łatwo mogłoby być Podolem! Już za szerokie, za potężne na Konin czy Kościany. Tarnopol? Tak. Trembowla? Tak. Kopyczyńce. Jampol. Połonne. Może... Stary Konstantynów.

Czołgi zatrzymały się nad tym. (Dawno już porzuciłem gościnnego jeepa.) Stoją właściwie już poza samym garbem, z lekka na stoku, jakby już wjeżdżały w to wszystko. Czy wojna ma swój patos? Oczywiście, że ma. Czy maszyna ma swoje piękno? Oczywiście, że ma. Ale tu działa przede wszystkim moc tego. Mnogość! Gdyby to spływało ze wzgórza jedną falą, to byłby prawdziwy zalew. Silniki grają. Maszty radiowe chwieją swe smukłe pręty. Z wież wyglądają ludzie.

– Pruszyński!? Co pan tu robi? Skąd tu?

Tak przemówiła wieża na czołgu z lewej. Toteż niezależnie od słabych talentów akrobatycznych już jestem na czołgu z lewej.

– Jestem Rożek, podporucznik, z Guer, pan pamięta, z Coëtquidanu? Spotykaliśmy

się u Lipskiego! Z Adolfem Bocheńskim! O, szkoda Bocheńskiego, szkoda... Tak się naprawdę zmartwiłem, gdy przeczytałem, że pod Ankoną... Co pan tu robi? To spotkanie!...

Wszystko zaczyna się tak, jak myślałem (i tak, jak bym napisał w powieści). Nawet z Coëtquidanu. (Tylko znajomościami można w Polsce gdzieś zajechać, nawet do czołgów także, i byle te znajomości odnaleźć, to już wszystko idzie.) Tylko tak dalej.

– Zabierze mnie pan do czołgu?

– Coś jest takiego w oczach porucznika Rożka, że czuję, że by mnie zabrał. (To już dobrze.) Ale potem przychodzi opór:

– Ale jak, miejsca nie mam.

– Nic się nie znajdzie?

– No, jak?

I otrzymuję (znane mi już) wyliczenie, gdzie kto w czołgu siedzi, ani miejsca więcej. Ale jednocześnie widzę wyraźnie, że i on ochotę ma. Wprawdzie coś bąka o szkodzie, o potrzebności, o pisaniu, ale ktoś, co za chwilę będzie sam głowę nadstawiał, nie przejmuje się zbytnio cudzą.

Wreszcie ukazuje się furtka.

– Niech pan pomówi z dowódcą pułku. Może on co wynajdzie... O, ten czołg, tam...

– A jaki wy jesteście pułk?

– 10 PSK!

Wiadomość ta niespodzianie mnie cieszy. Już Maczek mówił o tym 10 FSK, teraz akurat na niego trafiam, widać tak już sądzone. Idę ku czołgowi. Nim doszedłem pół drogi, czołg zachwiewa się, zakiwał się w miejscu i rusza. Za mną czołgi, płazy żelazne, zakołysały jeden po drugim wieżami i zjeżdżają po kolei na drogę. Jadą szerokim, stratowanym jak klepisko szlakiem. Biegnę. Nie ma mowy dogonić. Mija mnie czołg porucznika Rożka, który daje ręką jakieś skonfundowane ruchy. W odpowiedzi macham w kierunku jego drogi. On też. Znaczy: dogonimy się. Jeszcze nic nie stracone. W każdym razie jedno już teraz wiem. Będę szukał szczęścia w tym dziesiątym PSK.

Na razie nawet sytuacja zaczyna się poprawiać. Oto naraz za czołgami pokazują się ciągniki – wsiadam na pierwszy z nich, jedziemy. Teraz można spokojnie przyjrzeć się wszystkiemu. Przed nami polem jadą wydłużonym pochodem czołgi, wozy, ciągniki. Za nami zostało Caen, artyleria „Agry", reszta dywizji, z boku od nas droga pusta zupełnie – łupie w nią za to co chwila artyleria niemiec-

ka. Byle nie zaczęła skręcać, wszystko dobrze. Ze wsi w drzewach przed nami wznoszą się dymy, widać ogień w dwóch miejscach, słychać zupełnie blisko karabiny maszynowe. Przed wsią pszenica się kończy, jest jakieś pole, zielone, jakby buraki. Widać w nim zbliżające się skokami do wsi plamy khaki. Tę wieś, jeśli dobrze pamiętam, mieli zająć Szkoci. Nasze czołgi pójdą dalej.

Tymczasem raz za razem pochód się usztywnia. Wieś przed nami odszczekuje się coraz częściej urywanymi „krótkimi seriami" karabinów maszynowych. Najwidoczniej działanie artylerii nie było tak znowu straszliwe, jak nam to obiecywano. Droga po prawej jest też coraz częściej „macana" niemiecką artylerią. Ciemnosine słupy wybuchów wykwitają między jej drzewami i człowiek mimo woli sobie myśli: wszystko to jest bardzo dobre, ale przecież wreszcie jakiś niemiecki obserwator zauważy, że cała kolumna pojazdów posuwa się równolegle do drogi – i skróci ogień o tych dwieście czy trzysta jardów. Zupełnie wystarczy.

Tymczasem nowa trudność. Waleczne ciągniki nie jadą dalej. Mają tu czekać na jakieś dalsze rozkazy. Czołgi są przede mną o pół kilo-

metra; też stoją. Mogą jednak ruszyć. Nie ma co, zabieram się i idę ku nim. Idzie się jak klepiskiem, złota słoma kłosów została wdeptana gąsienicami w rudą, gliniastą ziemię. W jednym miejscu wyrwa: czołg – niemiecki – rozbity oraz pod strażą dwóch drągali angielskich dwaj niemieccy jeńcy. Siedzą, plecy mają do siebie, przyglądają się, jak tyraliera brytyjska podchodzi pod tę spaloną, już bez ziarnka, wieś. Anglicy, ucieszeni, mówią do mnie:

– O, ten stary jest Polakiem!

Starszego jeńca zagaduję po polsku. Nic nie odpowiada. Pytam drugi raz, on nic, już myślę, że to przez jakiś swoisty fason, gdy ten mówi:

– *Ich verstehe nicht...*

– *Sie sagten Sie sind ein Pole?*

– *Jawohl, Leutenant, ich fürchte...*

I pokazuje na żołnierzy angielskich. Drugi jeniec ogląda się na niego, na mnie. Ma przymrużone, pogardliwe oczy. Objaśniam Anglików, co to za rodzaj „Polaka". Idę dalej.

Na boku nieco stoi oficer polski. Major. Patrzy się na mnie, skąd się biorę na piechotę tutaj, ja na niego – melduję się.

– Aaa... Pruszyński... – powiada ze zrozumiałym u majorów brakiem zapału.

– Pan major mnie zna?

– Tak... Z czytania...

Ton nie jest szczególnie zachęcający, ale najlepiej jest brać byka za rogi.

– Z czytania – powtarzam – no to już wyobrażam sobie!...

– Dlaczego – mówi major pojednawczo – rozmaicie...

W pewnych rozgrywkach wyniki remisowe już należy uznać za zwycięstwo, pcham więc rzecz dalej. Mówię, jaki mam przydział i po co zawędrowałem aż tu, mówię o spotkaniu z porucznikiem Rożkiem i że szukam 10 PSK, i czemu szukam 10 PSK. Major słucha tego dziwnie cierpliwie i wreszcie mówi:

– Zabiorę pana moim rzutem A 1, por. S. wsadzi pana do scoutcaru. Do scoutcaru – myślę – i przypomina się generał i wczorajsza rozmowa. Okazuje się zatem, że można dostać się do scoutcaru! Może nie jest czołg, ale zawsze lepiej niż ciągnik.

– Ale gdzie jest 10 PSK? – pytam jeszcze. Major wyjaśnia:

– Jestem dowódcą 10 PSK.

Zbyt krótko jestem w tej dywizji, żeby wiedzieć, że tu majorowie dowodzą pułkami. Sądząc po bliżej mi znanych i liczniejszych

okazjach, mógłbym się łatwo spodziewać na tym stopniu pełnych generałów. Idzie coraz lepiej. Porucznik S. podwozi mnie do owego mitycznego jeszcze dla mnie „rzutu A 1". Jest to nieco w tyle. Sympatyczny lwowianin, podchorąży G., wita mnie bardzo ciepło. Okazało się, że uprzedza wypadki, myślał, że jestem ranny. Sam, biedak, był ranny, i ciężko, w dwa dni potem.

Podchorąży G. dokonywa też mojej intronizacji do pojazdu zwanego scoutcarem. Oczywiście znałem z widzenia to blaszane zamknięte pudło na kołach, z karabinem maszynowym na dachu. (Nawet w moich oczach nie jest to zbyt groźny potwór, ale niewątpliwie znacznie bardziej niż jeep.) W każdym razie – niewątpliwy awans. Czuję się nieco jak poddany Jego Królewskiej Mości, który marzył o tym, aby zostać lordem, ale zostaje na razie tylko sirem. *„I do like it too"* – powiada sobie licząc, że na lordostwo też przyjdzie kolej. Od scoutcara, jak od sira, należy zacząć, nie należy tylko na tym i skończyć.

Kierowca scoutcaru, przyjemny blondyn z Wileńszczyzny, ma tu rozgałęzione stosunki rodzinne. W tej armii jest dwóch jego szwagrów, trzeci poległ. Szwagrów nie zabrał

ze sobą z Polski, to już tutejszy nabytek – jest bowiem żonaty ze Szkotką. Jedziemy wciąż w tempie dość wolnym, tak zwanym kalwaryjskim. Zostawiamy na boku ową wieś, do której już zdążyła wejść tyraliera angielska. Teraz tylko od czasu do czasu jakiś krótki strzał oznacza, że regulują tam ostatnie rachunki. Z kolei artyleria niemiecka domacowuje się wsi. Pociski mamy teraz po obu stronach, bo drogę obrabiają także. Jedziemy środkiem. Jakiemuś czołgowi spadła gąsienica, wlazł na minę, pożyteczna przestroga. Odtąd jedziemy takim tylko szlakiem, gdzie przeszły co najmniej trzy czołgi. Po drodze z sanitarki ktoś macha ręką: to spotkany tu onegdaj Walentynowicz. Ale zawsze, co *scoutcar*, to nie sanitarka. Patrzę z góry na bohaterskiego autora *Przygód Koziołka Matołka i Fiki Miki dalsze dzieje.* Za chwilę to Walentynowicz jest wygrany. Wprawdzie dalej jedzie sanitarką, ale jego waleczna sanitarka przegania nas, nie wiedzieć czemu. Wreszcie jeszcze jedno spotkanie. Zbożem podjeżdża szykownie *jeep*, w nim Horko i korespondenci wojenni – Kiersnowski i Feldhusen. Bardzo pożyteczne spotkanie, bo przywożą mi przyjemny list z Anglii.

Tymczasem robi się popołudnie, podjeżdżamy pod las i huk strzałów jest już bardzo blisko. Za las przed nami poszły czołgi naszego (to jest, oczywiście, 10 PSK) pułku, za lasem z lewej bije się pierwszy pancerny. Tymczasem skraj lasu i oba lasy są pod ogniem jakiejś dalekiej artylerii niemieckiej. Bije gęściej niż tamta na drodze. Jakiś *carrier* dostał i pali się, farma pod lasem – duży piętrowy budynek – dostaje raz za razem, toteż wozy robią tam duży wykręt w pszenicę, gdy trzeba tędy objeżdżać. Tamten skraj lasu też jest unikany. Systematyczność niemieckiej artylerii ma swoją dobrą stronę. Dzięki niej po dwóch pierwszych pociskach można się zorientować, na co kolej, i odpowiednio zmienić własne miejsce postoju.

Od pułku w przedzie dochodzą krótkie wiadomości radiowe, które rozchodzą się tym szybciej, żeśmy pod lasem zeszli z wozów i leżymy wśród ściętych pociskami wielkich gałęzi. Poczta pantoflowa może działać. Pierwszy pułk ma olbrzymie straty... natrafił na niemieckie „tygrysy" pod lasem... Nasz (to jest dziesiąty) stracił kilka czołgów. Zginął rotmistrz Leliwa... Mija godzina, druga, trzecia. Cień drzew robi się dłuższy, jest

mniej gorąco. Siadamy w dole niemieckiej roboty i zabieramy się do jedzenia. Jużeśmy mieli herbatę robić – co by się bardzo przydało – gdy nagle wiadomość:

– Porucznik Sz. do bacy!

Domyślam się, że „baca" – to dowódca pułku, ten sam major, który mnie przyjął do rzutu A 1. Istotnie, wyglądał na bacę. Milczący, zamyślony, uważny. Nie wszystko na wojnie składa się najlepiej; właśnie lizjera lasu, którą z porucznikiem Sz. będziemy przejeżdżać, spodobała się artylerii niemieckiej. Już łupnęło tam w jakiś ciągnik – o, przez pole, środkiem, niosą rannych i prowadzą jednego. Po chwili nowy słup wybuchu wyrasta na tej samej lizjerze. Siadamy we trzech do scoutcaru.

– Jedź uważnie – upomina kierowcę Sz. – Po wykrotach zapylamy przez lizjerę. – Uważnie – przypomina Sz. – Uważam, uważam, panie poruczniku – zaręcza wilnianin. Wszyscy na pewno myślimy, jak by to szybko być poza lizjerą. Drzewa, rów, nasyp, trzeba zwolnić. Jest! *Scoutcar* wyjechał na równe, przed nami znowu pole. Dajemy gazu w zboże, jakby to był asfalt.

Pole, na którym teraz jedziemy, jest jakby wielką polaną. Ze wszystkich stron bądź

drzewa, bądź lasy. Pszenica na poły stratowana – wyrwy pocisków – na skraju, na tle nowej jakiejś wsi, wielki ogień. To dopala się czołg angielski. Jeszcze niekiedy wybucha amunicja i kawały żelaza furcząc – lecą w powietrze. Na tym polu zbierają się szwadrony pułku. Jest por. Rożek.

– Dobrze, że pan nie był, nasz czołg dostał!

(Dziś już nie pamiętam, jak dostał, zdaje się, że w ciągu tego krótkiego tygodnia czołgi dosiadane przez por. Rożka dostawały stale – i załoga też.)

Major jest też.

– Jest pan. Dobrze.

Jak dobrze, to dobrze. Pod czołg zeszli się dowódcy szwadronów. Odprawa. Jak się okazuje, przyczajone za tamtym stokiem „pantery" i „tygrysy" pokazały, co potrafią. Straty są duże i wszyscy są małomówni. Pułk musiał być zżyty. To, co dla mnie jest pozycją straconych czołgów, dla nich – to tyle ludzi, z którymi zżyto się jak w rodzinie, w klasie, w dywizjonie.

Zbliża się wieczór. Nagotowano jakichś konserw ze świeżymi, ukopanymi obok, ziemniakami. Czołgi rozstawiają się na noc po po-

lu. Odnajduję jednego znajomego z Krakowa, drugiego nie wiem już skąd. Z niskim, ruchliwym por. S. o niemieckim nazwisku jedziemy w kierunku, gdzie sztab dywizji *is supposed to be* – tam gdzieśmy przejeżdżali rano. Na jeepie, który mnie dowiózł za Caen, mam przecież wszelkie manele. Leica nie zastąpi mi śpiworu, żyletki i szczotki do zębów.

Kiedy wracamy – z kwitkiem zresztą, bo *jeep* pozostał pod Caen – jest noc, ale jasna. Pod wsią dopala się, jak stos ofiarny, tamten angielski czołg, od wschodu coraz to zapalają się pąsowe „flary"; to niemiecka metoda. Z lasu za nami wytryskają dwa sine słupy w kształcie jakby litery „V"; to Anglicy. Okazuje się, że major zabrał jeszcze raz czołgi i poszedł na rozpoznanie po nocy. Późno powraca.

Nacinamy sobie zboża jak słomy na pościółkę, załoga jakaś odstępuje życzliwie swój koc, S. – swój płaszcz i zasypiam. Inni dawno już śpią, kto tylko mógł. Zatem jestem już pół-nogą w tym pułku. Byle tak dalej!

ROZPOZNANIE NA ST. SYLVAIN

Załoga por. S., z którym wieczorem jeździłem do sztabu dywizji, już przygotowała śniadanie: herbata (z puszki), chleb – rzad-

kość – suchary, margaryna, dżem. Są to ludzie gościnni. Noszą przeważnie kombinezony, swetry, wyglądają bardziej na szoferów i robociarzy w naszym starym pojęciu, niż żołnierzy. W ogóle w czołgach i w linii *battle dress* jest w zaniku. Szare, zielonkawe kombinezony, spodnie i kurtka – jedna całość, albo drelichy zupełnie do tamtych podobne – oto właściwy mundur. Jedynie naramienniki, czasem krój kieszeni na piersiach przypominają, że to jest wojsko. Tak, czy mniej więcej tak, chodzą wszyscy, zaczynając od dowódcy pułku, gwiazdki giną na tym szarym tle. Teraz, gdy tak jedzą, w polu, w zbożu, wyglądają na zespół robociarzy. Jacyś traktorzyści, którzy zaraz zaczną robotę. Twarze są robotnicze, szoferskie. Piją z różnych kubków, jakby unikali uniformicznych manierek.

O kilkanaście kroków dalej stoi czołg por. Rożka. Jego i czarnego podchorążego, który z nim razem siedzi w wieży, znam z wczoraj; mają jakby wyrzuty sumienia, że wtedy mnie nie zabrali. Moja pozycja jest też dziś mocniejsza, skoro przyjął mnie dowódca pułku. Na początek, goląc się żyletką por. Rożka i mydłem jego towarzysza, przedstawiam im możliwie wymownie, ile tracą czołgi, że za-

den pisarz jeszcze nimi nie jeździł, oraz jak ogromnie wiele zyskaliby pisarze, gdyby mogli oglądać świat Boży nie tylko z okien redakcji, Strattonu, sleepingu, Dorchesteru, „Polski Walczącej", ale jeszcze i Cromwella czy Stuarta. Cóż, kiedy rutyna tych wojskowych!... A potem wymyślają, że się nie tak pisze! Gdyby ci nowi z Coëtquidanu bardziej choć rozumieli! Ale gdzie tam! Tacy sami. Wiem, że Rożek jest z Coëtquidanu. Jego szeroka twarz patrzy teraz na mnie z wyrzutem. Lubię go coraz bardziej, ale wyrzut ten mnie cieszy. Widać, że moje słowa dosyć celnie trafiły w pancerz jego oporu.

Major jest już gdzieś na przodzie. Dwa pozostałe szwadrony zbierają się pod lasem. Dowodzi tu poznany już wieczorem rotmistrz G. Nosi nazwisko ziemiańskie, znane dobrze w Lubelskiem, na Wołyniu i Kieleckiem (co zaraz zanotowałem sobie jako jeszcze jeden możliwy „uchwyt", aby się w tym pułku zahaczyć – tak samo jak to, że major jest żonaty z wilnianką – znam dobrze Wilno, jak to, że Rożek jest brat łata z Coëtquidanu. Wkręcenie się do bojowego pułku w Polsce podlega niejednej z tych reguł, za pomocą których uzyskiwano posady w Polsce, a „prace

zlecone" w polskim Londynie. Tylko że starań nie przelicza się na pieniądze.) Rotmistrz G. jest zresztą interesujący. Żyw czy Topolski zaraz by go rysowali. Stanowi fizyczny kontrast z moim przyjacielem – czy mogę go już tak nazwać? – por. Rożkiem. Por. Rożek jest mocny w sobie, przysadzisty, spokojny. Rotmistrz jest szczupły, ma cienkie rysy, nerwowy. Był w Polsce świetnym kawalerzystą i ma w sobie ów sznyt kawaleryjsko-ziemiański (w pełnym tych obu słów znaczeniu). Daleko odszedłem od ziemiaństwa, ale jakiś wspólny język z nim znajdę. Na razie rotmistrz mi wypomina moje artykuły (wojskowe, nie rosyjskie), ja tłumaczę, jak bardzo chcę mieć przydział frontowy. Jedno nie jest oczywiście żadną odpowiedzią na drugie, ale odchodzę z – może mylnym – wrażeniem, że znajdę jednak język porozumienia z tym ziemiańskim rotmistrzem. Nie, to nie jest bohater mojego romansu. (Bohater mego tutejszego romansu – mam go już. Od wczoraj rana). Ale jest to człowiek z gatunku mi znanego. A przy tym...

A przy tym jest strona malarska tej sprawy i ta zawsze do mnie przemawia. Choćby teraz. Rotmistrz G. stoi teraz w polu, na strato-

wanym zbożu. Przy nim oficerowie w hełmach – ciężkie, amerykańskie hełmy czołgistów – on bez hełmu, z gołą głową. Przed nim czołgi – załogi w wieżach – zaraz jedziemy. Na tym tle rotmistrz G. wygląda jak człowiek z obrazu. Jacek Malczewski. Kto w Krakowie nie pamięta tylu, tylu portretów, na których stary Jacek malował krakowskich hrabiów, profesorów, dentystów, adwokatów w pancerzach, których nigdy nie nosili, na tle pól, gdzie wśród snopów zboża stały jakieś chimery czy strzygi? Jacek Malczewski malowałby tak samo rotmistrza G.* z jego cienką, pańską twarzą minionych światów, a za nim – te jego ciężkie, takie nie jego, czołgi.

Ale pierwsze czołgi już poszły, a ja tymczasem, myśląc o Malczewskim, a gawędząc z Rożkiem wgramoliłem się na jego czołg. Por. Rożek lubi bowiem pytać i słuchać. Czasem rzuca pytanie, na które musiałbym odpowiadać co najmniej do końca wojny. Co myślę o Rosji? Co sądzę o Kocie? Czasem są

* Rotmisrz Michał Gutowski, obecnie generał zamieszkały w Kanadzie, wkrótce po bitwie w czasie podróży służbowej do Londynu znalazł chwilę czasu, aby przy whisky u Ritza opowiedzieć mi o przygodach mego brata pod Falaise. (Przyp. M.P.)

bardzo konkretne. Czy myślę, że lepszym ambasadorem w Rosji byłby zawodowy dyplomata? Rożek jest znany z tego, że zadaje wiele pytań. Muszę przyznać, że nie zadaje błahych ani plotkarskich. Nie zapyta, czy to prawda, że Pudlikowska żyje z majorem Cwoniem, ani czemu zawdzięczać, że żona Szczypienia dostała wcześniej porucznika od Wrażyniny. (A i takich pytań słyszy się wiele.) Podchorąży nie pyta, ale słucha. Ranne wiadomości były, że Niemcy cofnęli się o parę mil – mijamy z boku Kanadyjczyków – co będzie, to się zobaczy. Na razie jest tak, że siedzę w wieży czołgu, po stronie podchorążego, który opuścił się do wnętrza. Nogi mam opuszczone do wieży – siedzę na jej skraju – w razie nierównej drogi kopię z musu podchorążego w plecy, bardzo przepraszając za każdym razem. Na osłodzenie i przynętę opowiadam co mam najlepszego w moim repertuarze: o Sikorskim na Kremlu, Stalinie tamże, Rosji w ogóle, dużo szczegółów. Widzę, że nie wysadzą mnie w zbożu w połowie tego opowiadania.

Objechaliśmy las, drogę, jakichś Kanadyjczyków, naszą piechotę – miło jest pokiwać swojakom z wysokości stuarta! Pod lasem

postój. Major – dogoniliśmy go tu – wyjaśnia raz jeszcze sytuację na mapie. Ja przychodzę najpóźniej – nie bardzo wiem, czy mogę, czy nie, być na odprawach? – tak że poza ogólnym kierunkiem niewiele jeszcze wiem. I zaraz z powrotem „do czołgów!" Siadam za podchorążym, jak uprzednio. Powoli wyjeżdżamy za las. Na skręcie trup niemiecki, twarzą w ziemię. Rozjechały go czołgi, hełm – ciężki hełm niemiecki – spłaszczony elipsoidalnie. Trochę paskudne uczucie. Początek widać, że coraz bliżej. Czołgi trzema szlakami wjeżdżają w pszenicę.

Cokolwiek by przyszło potem, ten jeden moment na pewno nie wyjdzie z mej malarskiej pamięci. Ranek wczesny – taki o lekkich mgiełkach, z charakterystycznym zawoalowaniem horyzontów, co zawsze zapowiada parny dzień. Kraj przede mną – pofalowany, ale łagodnie, gdzie łan ugina się w drugi łan i tylko miedze, krzakami i drzewami porosłe, plamią monotonię. I właśnie przed nami, w dół nieco ugięte – takie olbrzymie pole pszenicy. I jakiej pszenicy! Najwspanialszej, jaką chyba widziałem w życiu. Olbrzymie, wysokie kłosy strzelają prosto, zasiane równo. Kłosy mają aż rudawe przebłyski, jak

czasem włosy kobiece, są ciężkie, naładowane ziarnem, stężałe. Dawno już powinna była tędy pójść żniwiarka, ale ludność uciekła, farmy, wsie stoją puste. Nie doczeka się pszenica żniwiarek. Ziarna jej rozsypuje wiatr. Wtratowują się w nią czołgi...

To Jan Tarnawski, pół-malarz, mówił mi o tym, że wjeżdżając w zboże, czołgi wyglądają jak jakieś olbrzymie bawoły czy paleontologiczne potwory, które poszły się wypasać. Ach, jakie to prawdziwe! Z naszego czołgu widzę inne, jak uważnie, jeden za drugim, paroma zagonami wpierają się w nieruchomy mur tej pszenicy, grzęzną w niej do połowy wysokości, brodzą jak w jakiejś płowej wodzie. Wrażenie paleontologiczne – przedpotopowe – powiększa jeszcze zupełna pustka i milczenie przed nami. Widzimy teren na kilometry i kilometry wokoło, przed siebie, wszędzie – i ani śladu żywej istoty. Wciąż lekki skłon, wciąż ta dziewicza nietkniętość pszenicy i tylko za naszym przechodem szerokie się pasy znaczą. Tu uświadamiam sobie, jak bardzo jest potrzebne, aby pisarz czy malarz sam przeżywał te rzeczy. Dla mego dowódcy w czołgu i jego załogi nie ma już nic nowego w tych wrażeniach. Dla

nich jazda łanem pszenicy jest tym samym, co dla innych jazda asfaltem. Jedyna refleksja, jaką mają, to ta może, że w pszenicy, tak gęstej, mniejsza obawa o miny. (Tu dostrzeże się łatwiej, że coś ruszano, wkopywano, zakładano).

W ten sposób zjeżdżamy aż w dół nieckowatej płaskiej doliny – coraz więcej żywopłotów i drzew – bliski skraj horyzontu przed nami – na lewo jakaś wioska. Dostrzegli nas – parę pocisków pada z tyłu i z lewa od nas i ciemne plamy wyrw pozostają już na dobre w płowej jednolitości pszenicy. Przystajemy za żywopłotem. Czekamy.

W tym momencie moje marzenia czołgowe wkraczają na najlepsze drogi. Zjeżdżając czołgiem po stoku, nie tylko podziwiałem piękno pszenicznego łanu, krajanego żelazem gąsienic. Moje nogi, zwieszone do środka wieży, wybijały takt jazdy na plecach zastępcy por. Rożka – podchorążego. Był to człowiek obdarzony niewątpliwie nader łagodnym usposobieniem i bardzo wytrzymałymi plecami, było jednak jasne, że będzie to miało swój kres. Ale kiedy i jaki? Wszystko wskazywało, że prędki. Przestał już nawet kwitować grzecznym słowem moje przepra-

szania nadawane regularnie za każdym nowym kopnięciem. Kataklizm się zbliża. I istotnie: – Panie poruczniku – zwraca się do Rożka – właściwie, gdyby porucznik Pruszyński chciał, mógłby pojechać jako strzelec przedni...?

Strzelec przedni? Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale bardzo mi odpowiada ta inicjatywa.

– Mógłby – waha się Rożek – ale co zrobimy z Semeniukiem?

– Pójdzie do sanitarek? On się zgodzi.

W czołgach są napisane prawa załóg, mocniejsze niż rozkaz, o czym się jeszcze przekonam. Z czeluści stuarta pod nami wywołujemy Semeniuka. Otwiera swą klapę nad głową. Okazuje się, że jest z Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, zaczynam więc i z tej beczki, wspominam Matuszczaka, Antka Kochanka, Kowaczka. Milczy sceptycznie czy ostrożnie; z tej strony nie idzie. Zdaje się, że należy do ludzi, częstszych niż się zdaje, w których ogień rewolucji wystygł na zupełny popiół. Już myślę, że nic nie pomoże – może sto franków? – ale okazuje się, że nie. Roztropny Semeniuk był pod Guadalajara, był kilka lat w Legii Cudzoziemskiej, i to w zupełności zaspokoiło jego osobiste zapo-

trzebowanie na wojnę. Nie, nie ma nic przeciwko temu, jeśli ten porucznik chce, on, Semeniuk, wróci w tył do sanitarek, ustąpi swe miejsce.

W chwilę potem już jestem w czołgu, zapoznaję się z otwieraniem i zamykaniem klapy, z manewrowaniem peryskopem, z karabinem maszynowym. Ostatecznie wszystkie karabiny maszynowe na świecie są do siebie w zasadzie podobne – ten jeden ma tylko tę jedną szczególną właściwość, że nie ma celownika. Strzela się „na kierunek", patrząc przez peryskop, świetlne pociski ułatwiają celowanie. Po prawej – skrzynki z amunicją. Tędy się je ładuje. Tu się wyrzuca łuski i zużyte taśmy. Tu jest woda do picia. W tej manierce – kawa. Cenne informacje. Ludzie myślący o odnawianiu swych sił za pomocą jedzenia zawsze sprawiali na mnie solidne wrażenie.

W chwilę potem klapa zamyka się nade mną, nakładam słuchawki i czekam. Bardzo złożone są te pierwsze wrażenia. Z pola znalazłem się w maszynie, zapach zboża zamienił się w zapach smarów, benzyny, spalin, powiew w duszność i gorąco, jasność – w ciemności. Człowiek z trudem przyzwyczaja się do ciem-

ności. Ale główna zamiana polega właściwie na tym, że zaczynam posługiwać się w znikomym stopniu wzrokiem, za to w nieproporcjonalnie zwiększonym – słuchem. Zasięg mego wzroku został niepomiernie skurczony. Widzę tylko tyle przed sobą, ile można widzieć przez prostokątną, podłużną szparę peryskopu. Jakiś ułamek ułamka. Natomiast słuch rozszerzył nieskończenie swe możliwości. Wprawdzie jest to słuch syntetyczny, sztuczny. Po prostu sieć radiowa łączy wszystkie czołgi pułku, szwadronu, plutonu, ba, łączy je ze sztabem, ze światem, z BBC, z Anglikami w innych czołgach o parę mil stąd, z Niemcami gdzieś przed nami. Radio gada i gada. Z bliska i z daleka. Mieszają się fale, rozkazy i języki. Radio jest naprawdę wielką rzeczą w czołgu.

Ruszyliśmy, czołg się zachwiał, gałęzie leszczyny posiekły rozpaczliwie szkło peryskopu, wstrząs, i znowu jedziemy jakimś ścierniskiem. Człowiek wraża oczy peryskopem w najbliższą przestrzeń przed nami – czy te nowe zarośla w lewo nie kryją czasem czego? Instynktownie człowiek zaczyna wyczuwać, że bestia, której stał się częścią, nie cierpi właśnie takich komyszy, że z ulgą

patrzy się na otwarte pole. Rogacz idący o zmierzchu do wodopoju pod lasem musi mieć podobne niepokoje. Ale jednocześnie uchem chwyta się wszelkie rozmowy na sieci. Niestety, są one szyfrowe.

– Barbara 17, mieliście iść w lewo od Chaty. Słucham, Zygmunt.

– Dobrze, Karol, ten sam kierunek, gdy co zauważycie, meldujcie. Ominąć Hamak.

– *Nelly, hello, twenty seven, twenty seven.*

– I gardłowy:

– *Sieben, wir kommen, wir kommen. Sieben, acht. Zehn Uhr zwanzig Minuten... Zehn Uhr...*

– Hallo, poruczniku Pruszyński, słyszy pan Niemców?

To porucznik Rożek dba, abym nie stracił żadnej z wielorakich rozkoszy, jakie nastręcza czołg. Już zdołałem nabrać trochę wiadomości o systemie naszego radiowego kodu, ale jednak jestem na wpół ciemny. Na tyle jednak nie, że kiedy za chwilę słyszę: – Ksawery jedzie za wami – nie przypuszczam, żeby to odnosiło się do mnie. Skąd jednak skrót: Ksawery? Po namyśle domyśliłem się. (Ciekawym, czy Czytelnicy domyślą się także...)

Ruszamy jednak ostrzej w przód, trzymam silnie karabin maszynowy, oczy w peryskop,

uszy w słuchawkach. Teraz wszystkie wołania obce zastąpił głos mego dowódcy, który mówi dość rozkazodawczo, jakimś podejrzanym szyfrem:

– W lewo Mikołajczyk, w lewo. Bardziej w lewo, Mikołajczyk!... Jeszcze bardziej w lewo... Jeszcze. Mówię wam na lewo, Mikołajczyk, a wy ciągle na prawo, Mikołajczyk!

Stanowczo nie myliło mnie przeczucie, gdy mi się ten chłopak z miejsca spodobał, myślę, mówi wcale rozumne rzeczy! (Ja sam je mówiłem, tylko mniej energicznie i nie w czołgu.)

– Jeszcze na lewo, Mikołajczyk – powtarza por. Rożek, i czołg skręca tym razem tak silnie na lewo, że nabijam sobie guza. Ze skręcaniem w lewo też trzeba czasem uważać. Ale coś niecoś się wyjaśnia. Po prostu to kierowca, mój sąsiad najbliższy, nosi nazwisko Mikołajczyk. Wskazania udzielane przez radio przez młodego porucznika nie były skierowane do polskiego premiera będącego właśnie w drodze do Moskwy. Odnosiły się do innego Mikołajczyka, operującego dzielnie, ale ze spóźnioną reakcją, w lewo od drogi na Falaise.

W miarę jazdy temperatura się podnosi, radio jest znacznie mniej szyfrowe:

– Ludwik, czy widzieliście, skąd padły te strzały? Stać i obserwować. – Słucham, Zygmunt, słucham.

Przed naszym czołgiem; o mniej niż sto jardów, wybucha naraz pocisk. Artyleria albo duży jakiś moździerz? Widziałem błysk ognia przez peryskop, widziałem, jak wierzchołek brzozy zachwiał się i spadł, ale nie słyszałem huku. Pancerz czołgu – słuchawki – wszystko to wyłącza tego rodzaju odgłosy. Gdyby ten pocisk padł jeszcze bliżej, ale poza polem widzenia peryskopu, w ogóle bym o niczym nie wiedział.

W lewo od nas pali się stóg siana. Jest tam łąka, dotarliśmy przecież do samego dna – płaskiej zresztą – doliny. Nie wiem, czyj pocisk ten stóg zapalił, nasz czy niemiecki?

– Karole, skrócić ogień, czy mnie słyszycie, Karole?

– *Sieben, wir kommen, wir kommen. Achtung, neun, Pankratz, Achtung, neun, Pankratz.*

Znowu ten gardłowy, nieprzyjemny głos niemiecki! (Szczególnie ostro brzmi wymowa: *„Pankratz"*. Akcent długi na „a", a potem na „tz").

Tymczasem coraz częściej wola się jakiegoś Pawła. Wydaje się, że znam głos, który woła – czyżby major? Tak, pewno major. Głos, który odpowiada jako „Paweł", ze stałym refrenem: – Odebrałem, Paweł, odebrałem, Paweł, słucham, Paweł, słucham – to głos por. Rożka. W istocie, wykonujemy rozkazy nadawane dla Pawła. Podjechaliśmy teraz za te drzewa w dole, zakrzewione. Wspominam rozkaz („Halo, Paweł. Czy mnie słyszycie? Zjedźcie z waszego kierunku dwieście jardów w kierunku na kanapa. Pod tamtą osłonę. Tam czekajcie. Pojedziecie na zadanie.")

– Panie poruczniku Pruszyński. Może pan klapę otworzyć.

Uf, pięknie jest jednak na bożym świecie, w bok od drogi na Falaise, w samo sierpniowe południe! Nosem stuarta tkwimy w krzaku, horyzont przed nami teraz faluje pod górę, ale zawsze coś niecoś widać.

Rożek tymczasem gada długo przez radio. Po czym mówi:

– Mamy samodzielne zadanie. Pojedziemy w lewo ku tamtym domom rozpoznać, czy tam jest nieprzyjaciel.

Konfrontujemy kraj i mapę. Istotnie, o milę może od nas, w samym załomie doliny wi-

dać białe ściany, czerwony dach, szare dachy, drzewa jakby sadów. Na mapie zaznaczone są czarno domki osady – znacznie więcej, niż stąd możemy dostrzec – i nazwa St. Sylvain. To St. Sylvain przylega do nieco większej wsi, stąd ukrytej za garbem i drzewami, ale widocznej na mapie. Nazywa się coś jak St. Martin des Bois. Pamiętam ją, bo rano z Rożkiem studiowaliśmy mapę i zwróciliśmy uwagę na owo St. Martin des Bois. Leży ono bowiem na lewo od kierunku, w którym idziemy, i przylega do dużych lasów, w których – jak się już wie – są Niemcy. Wedle naszej wspólnej opinii, z tego właśnie kierunku można się spodziewać jakiejś niespodzianki; „tigry" albo „pantery" są w lasach za tym.

W chwilę później zostawiamy inne czołgi za tą osłoną i skręcamy ku St. Sylvain. Znowu wjeżdżamy w bujny, wysoki łan. Teraz jednak jestem wewnątrz czołgu i nisko. O szkło peryskopu walą teraz roztrącane kłosy, widzę, jak ziarna się sypią, furczą w powietrzu. Takie dziwne zestawienie, ten czołg taki wojenny i to ziarno złote, które na przekór wojnie osypuje się jak przy omłocie. Czołg jedzie ostro naprzód. Mikołajczyk daje dobrze gazu. Tylko z kierunkiem jest nie-

zdecydowany. Ale gdy go Rożek naprowadził, wszystko już idzie dobrze. Skok jeden, drugi – i przed nami domy, jakieś ogrody, murki kamienne. Południe i pustka. St. Sylvain.

Jesteśmy o dwieście jardów od jego domów, podjechaliśmy od strony pól. Nie widać nic.

– Kierowca, zawracać ku drodze.

Czołg zawraca w zbożu. Odjeżdżamy od wsi o jakieś dwieście jardów. W zakręcie mignęła mi w perspektywie owa droga, teraz stoimy frontem do niej. Zaraz w nią wjedziemy. Ale ponieważ jest niżej od pola i jest tu zjazd, Mikołajczyk uważa.

Może uważa nie tylko dlatego... Nieprzyjemna to dróżka. Taki typowy, bretońsko-normandzki *chemin creux.* Jest nawet taka piosenka z refrenem: *„par le chemin creux".* Ładna, sentymentalna piosenka. Ale z czołgu *chemin creux* wygląda mniej ponętnie. To droga, wżłobiona w grunt jak koleina. Jak mały jar. I z obu stron obrosła krzakami. Człowiek w czołgu nie lubi krzaków.

– Gazu, Mikołajczyk! Prosto tą drogą!

Mikołajczyk daje istotnie gazu mocno. Już jesteśmy w drodze. W peryskopie z boków zachwiały się krzaki, roztrącone stuartem. I naraz, w tej wąskiej szparce perysko-

pu, wskakuje na drogę coś, co nie jest krzakiem. Czerwony, opalony kark, włosy podgolone. Plecy w zielonkawej, nie naszej kurtce, przekreślone na X szelkami. Buty wysokie. Jeden, drugi, trzeci. Pozeskakiwali z tych krzaków, plecami do nas. Niemcy!

Nie ma niczego bardziej automatycznego nad to, że czołg zaczyna się trząść od huku. Działko, dwa karabiny maszynowe, to zupełnie dosyć. Jest tylko jeden huk, pierwszy huk, jaki zagłuszył motor, dym odpaleń, kurz na drodze. Nigdy nie widziałem jeszcze z tak bliska padającego człowieka. Jakby go w kolanach sznurem ściągnięto.

–W tył!

Znowu jesteśmy na polu. St. Sylvain znowu przed nami. Jakie dalej ciche! Teraz wiemy.

– Ognia po tych krzakach!

Naciskam spust jak przed chwilą, ale mniej automatycznie. Wtedy cel był przed nami. (Co za durnie – mówi każdy z nas do siebie – że nie wytrzymali! Po tych skrajach drogi, wyższych nad drogę, w krzakach, nigdy byśmy ich nie byli dostrzegli. Mogli nas mieć, jak nic, mogli się skryć, przesiedzieć. Wbiegli nam wprost na strzał. Nerwy). Dziwne są te

pierwsze refleksje. Ma się prawie pretensje do Niemców.

Wjeżdżamy w tamto zboże, bliżej do wsi. Strzelamy dalej, od działka zakurzył się tamten dach. Widać, jak podskakują wyłupione wystrzałem czerwone dachówki. Ale inne wrażenie jest bardziej przejmujące. Sam nawet nie wiem zrazu, choć poczułem tę dziwność jeszcze tam, nim ten Niemiec się zwalił. Coś tak dziwnego... Co? Ach...

Tak. Na drodze nie było to tak przejmujące. Po pierwsze, była walka. Po drugie, nie było zboża. I ziarna. Asocjacja przedziwnych wrażeń powstaje dopiero teraz, gdy brodząc przez pola pszenicy, otwarłszy ogień do tej wsi, widzimy w szkle peryskopu, jak nasze pociski lecą przez powietrze...

Widzieć lot kuli? Literacka imaginacja? Skąd! Po prostu – techniczny postęp. Przecież pociski karabinu maszynowego są świetlne. Widać idealnie lot każdego z nich, jak takiej złotej, świetlistej pszczoły, która leci lekką elipsoidą, a za nią trzecia, dziesiąta, piętnasta. Jak z ula. Cały rój.

I właśnie te świetlne pociski kojarzą mi się jeszcze z czymś innym. Z ziarnem. Tak samo, podobnie, ziarna przejrzałej pszenicy tryskały

z roztrącanych czołgiem kłosów, bijąc o szkło peryskopu. Za chwilę, jeśli podjedziemy tym polem dalej, jeśli nie przerwiemy ognia, będzie się to synchronizować razem. Jakby dosłyszawszy tę refleksję, Mikołajczyk znowu daje gazu. Coś się poruszyło w tamtych opłotkach. Naciskam znowu spust. W szklanej szczelinie peryskopu mieszają się teraz i tańczą świetlne pociski cekaemu i złote pociski ziarna. I jest jakaś bolesna niesamowita asocjacja w tym podobieństwie rzeczy, co niosłyby życie, i rzeczy, co niosą śmierć.

Poprzez rozpoznanie w St. Sylvain, tę zasadzkę nieudałą niemiecką, te trupy w *chemin creux* i całe późniejsze popołudnie i wieczór – tamto wrażenie owego tańca ziaren i kul pozostaje najsilniejsze. Nic je już nie zatrze. (Zresztą potem było inne zadanie, gdzieśmy stali raczej z flanki, za skłonem, gdy cromwelle podeszły pod wieś, spod której musiały odejść).

Był już zupełny zachód, gdy zawracaliśmy na noc. Czołgi zbierały się przed jakąś pustą, zieloną farmą, jechały po kolei, mówiono o stratach. Otworzyłem klapę. Było przyjemnie odetchnąć.

– Ale ziaren tu naleciało – dziwiłem się – w każdym załomie czołgu, z zewnątrz, leżało tego pełno.

– Nie tylko ziaren – uśmiechał się porucznik Rożek – także i takich rzeczy...

Tuż nad moją klapą, przed wieżą, leżał podłużny, wypolerowany wybuchem, odłamek pocisku.

Kiedy mógł się tam dostać – nie wiedzieliśmy. Czołg ma świadomość tylko takich pocisków, które trafią wprost w niego.

Owej nocy, pod czołgiem, w bok od drogi, spaliśmy dobrze pomimo artylerii.

„Nowa Polska" 1944, t. III, z. 9.

Lot do kraju

Część I

Wszystko miesza się naraz i troi, wszystko staje się jakieś pomieszane, uroczyste i inne. Będę w Polsce, Polsce, za dwa, za trzy, za cztery dni. Pozwolenie Naczelnego Wodza i brytyjskie wizy na odnowionym paszporcie, wąski pasek depeszy z kraju, nadanej w Warszawie, po polsku, podejrzanie uprzejmi majorowie w korytarzach Ashley Gardens i od rana samego telefony, telefony, telefony. Więc nie zabierze mi pan tych dwu koców do Kraju? Panie Ksawery, do tych trzech paczuszek jeszcze jedna... Bardzo mi zależy na tym, żeby dowiedzieć się u mecenasa Hojera, czy mojego domu na Czerniakowskiej nie można by... Pan nie zapomni. Zawsze podziwiałem pańskiego *Wielopolskiego*... Czy nie myśli pan, że w ambasadzie dałoby się coś dla mnie... Albo przy konsulacie... Pan wie,

jak mąż pana zawsze bronił... Nie miałby pan wolnego lunchu...? Grapichoński chciałby pana poznać... Nie wie pan który? No, ten z GISZ-u, z Reginy... Telefon jest chwilami pełen oślizgłego, z daleka cuchnącego rodactwa. Ale czasem jest jeszcze inaczej. Są prośby ciche i proste, wdzięczne, miłe, najprostsze, a czasem nie ma ich wcale, tylko życzenie i zadziwienie zazdroszczące. Więc jedzie pan, jedzie, do kraju? I wróci pan? No, to nam pan opowie. Żebyśmy wreszcie wiedzieli, jak to tam jest. Przez czarne wygięcie telefonu przepływa tak po prostu cały Londyn polski i tylko nachylając ucha do tej czarnej słuchawki, można by odczytać sejsmograf emigranckich wahań. Nie tylko telefonują. Także przychodzą. I są tacy sami. Wytworna, podstarzała pandzicha wyciąga łapsko pod nos i coś tam gmerze, że to straszne, że jedziemy, że to okropne, że ona już Słonimskiemu powiedziała, że to ohydne, ale skoro już jedziemy, to żebym wziął ten flakonik Chanela. Dla Zazy. Pan nie zna Zazy? Skutki pilnej lektury „Ciemnika Polskiego" i „Ciemnika Żołnierza" też dają nam się we znaki. Słonimskiego obarczono jakimiś zapasami grysiku czy mączki Nestle'a – tam oni w kra-

ju tylko chlebem żyją, mnie ktoś przyniósł paczkę tytoniu fajkowego, co prawda bez adresu. Słonimski bił jednak rekord. Ktoś mu przyniósł dla brata w kraju butelkę angielskiego piwa. Widocznie wyczytał już tragiczną wiadomość, że Okocim wywieźli Kałmucy do Kazachstanu, a Haberbuscha na Kamczatkę. Za karę Słonimski będzie jechał do Polski objuczony kiepskim piwem z pubu.

Ludzie się pytają, jak człowiek się czuje przed taką jazdą, i pytanie nie jest wcale niemądre, przeciwnie, i człowieka ogarnia coś w rodzaju tremy. Lecimy samolotem, śniadanie zjemy jeszcze tutaj, *lunch* w Berlinie, na podwieczorek będziemy już w Polsce. Wygląda to bardzo, bardzo prosto, prozaicznie i turystycznie, ten wielki dzień, zupełnie nie tak, jak się myślało. Składam uważnie mundur khaki ze znakiem dywizyjnym i z czarnym naramiennikiem, wdziewam jakiegoś przypadkowego cywila i zaraz przypomina się Budapeszt, jesień 39, przeświadczenie radosne „do Polski powrócimy w mundurze". Jakieś pakowanie się, niepakowanie, jakieś sprawy drobne, głupie a potrzebne wypełniają czas. Jednocześnie człowiek jest podniecony, dokonywa się w nim jakiś proces, jakby

przeszedł zastrzyki jakieś. Odlot odłożony z wtorku, odlot odłożony z czwartku, odlot odłożony znowu – o Boże! może wcale nie będzie tego odlotu. W myśli perspektywa powrotu gdzieś w oldenburskie piaski, pomiędzy jakoweś Meppen i jakoweś Haren, gdzie cromwelle niebohatersko ugrzęzły w błocie ogrodów i pułk dobrze znany ugrzązł w rozłogach powojennej nudy. Brrr. Ale tymczasem telefon, jeszcze jeden, angielski i krótki. Jutro. Naprawdę jutro. Naraz wydaje się, że tak tkwić po tym hauście nadziei będzie już nie sposób. Myślami człowiek przyzwyczaił się, że nie będzie już widział za niebawem tych tu ludzi, a za to będzie widział tamtych, gdzieś daleko. Twarze londyńskie, widziane dziś i teraz, poczynają jakby zasnuwać się mgłą, stają się niewyraźne i nieistotne, gdy zarazem twarze faktycznie zapomniane, o których uświadamiano sobie tylko, że gdzieś są i są ważne, wymaterializowują się w mroku. Byłoby bardzo dziwne, gdyby potem nie miało się lecieć.

Auto zajeżdża punktualnie, tak jak w telefonie mówiono, jest Słonimski, po drodze zabieramy Gottlieba, jest Hendon, zielona roztocz lotniska, ktoś z ambasady, Anglicy i cała

angielska wycieczka, która jedzie do Polski. Wysoki czarny Val Gielgud, łagodna Strom Jameson, tamten dobrotliwy grubas, nie wiem, jak się nazywa, ta starsza, wyschła pani to Mrs Chesterton, dalsi zupełnie nierozpoznani. Trochę czekania, formalności komory celnej, samolot z bagażami odlatuje pierwszy, potem my. Zataczamy jeszcze koło, wielkie, pochyłe koło nad czerwonymi, ustawionymi też w półkole domkami Hendon, potem wyżej i zielono, potem połyska morze. Jak po zastrzyku zapada senność. Zasypiam. Budzę się, kiedy jeden z pilotów, granatowy Australijczyk, mówi: Haarlem; słońce świeci w stalową tarczę wód Zuider Zee, porucznik Sztumpf prowadził tam niedawno pułkową wycieczkę. Zbyszek Sztumpf, który wszystkie sanskryckie gramatyki pojadł. Zbyszek Sztumpf. Staram się wyglądać przez grubą i zapaćkaną szybę. Wiem, że w dole pod nami jest tylko nudna równina brabancka, płaskość niesamowita, porozsypywana, czerwone farmy, drogi wąskie jak nitki poprzedziergiwane przez wielkie płaty zieleni szarawej, nieładnej. Wiem. Tu gdzieś będą pograniczne fryzyjskie wrzosowiska i gdybyśmy dobrze lecieli, to gdzieś tam byłoby Niederlangen, Oberlangen, tamten

świat wokoło dywizji. Gdzieś, jedna z tych dróg nam na wskos, jakaś większa, to będzie szosa, nasza szosa, szosa, którą po *armistice* przedudniły czołgi dywizji od Wilhelmshaven. Jedna z tych dróg. Musimy ją przeciąć. Tylko w jakim miejscu? Te zagruzlenia jednostajnych domów to może być równie dobrze Papenburg co Lingen, Meppen czy co tam jeszcze – kto to może powiedzieć? A jednak, głupi, szukam wytrwale, wiem, że na darmo, prostokątów długich budynków po jednej stronie szosy, z placem zielonym w środku, z kanałem nie dokopanym po drugiej stronie. Co się tam teraz dzieje? Stuarty muszą stać, jak stały, pod ścianą, może rotmistrz Salwa prowadzi ostre strzelanie na poligonie, może hałas – to Szymborski, kapral z cenzusem, przyjechał z pocztą, ksiądz kapelan wolnym krokiem podąża w kierunku obiadu, Jaś Kordyl porusza się kaczkowatym chodem, nie, co ja mówię, przecież jest na urlopie. Tak, to tam musi być wszystko, i gdzieś tam, sam nie wiedząc jak, przelatuję nad kawałkiem czegoś, co już nigdy więcej nie będzie moim życiem.

Słońce bije właśnie w same szyby, nadchmurne, nieziemskie słońce, wszyscy się pospali w douglasie, i sam wśród tych śpią-

cych zagubiam się w owej niedawnej przeszłości. Powróciwszy tam u schyłku wojny, tkwiąc przez miesiące powojennego czekania, przeżywałem pułkowy dzień po dniu z jakimś tajonym przekonaniem, że należy się bardzo temu przyjrzeć, głęboko to w sobie zapamiętać, bo już niebawem tego więcej nie będzie i bo kiedyś trzeba będzie o tym mówić, pamiętać i pisać. Pamiętam różne pułkowe picia, pieśni, jakie się śpiewało, kawały odstawiane, pamiętam uroczystości i święta, pamiętam, jak stałem sam, w takim tłumie, gdzieś w drzwiach niskich pokoi i patrzałem, bardzo patrzałem, aby to właśnie zapamiętać. Trzeba. Polskie wysiłki wojenne mają to do siebie, że nikt ich nie umie wziąć w dłoń, nie umie lepić z nich narodowego bytu, lepszego jakiegoś jutra, że z tylu śmierci żadnych się nie ukrzesza podwalin, ale potem, o, potem, potem kiedyś rozromantycznia się kokarda legionów, roztacza się wszystkimi blaskami legendy i będzie z nich szło ciepło dla nas starych i światło dla tych młodych, najmłodszych, od ziemi dzisiaj ledwo odrastających, którzy po nas przyjdą i będą pewno aż złoszcząco tacy sami, jak byliśmy my i ci przed nami, i ci jeszcze wcześniej,

i jeszcze wcześniej przed nami. A my, piszący, cośmy nie umieli odwrócić biegu narodowych spraw, cośmy byli za słabi przeciwko wszystkim, za wątli przeciw tragicznemu nurtowi, jakim płynie nasza historia, będziemy kiedyś zbierali i przekazywali tamto wszystko, i pęd cromwelli po szosie abbewilskiej, i rozważanie kaprala Flisa, i noce zimne pod Bredą i piosenkę śpiewaną na „dziesiątkować".

Wszystko się budzi, ziewa, przeciera oczy, kiedy samolot zniża się nad Berlinem, Anglicy pragną sprawdzić, czy istotnie Berlin odebrał należytą porcję klapsów. – *Look* –wołają zachwyceni, rezultaty operacji RAF-u całkowicie ich zadowalają. Pełni poczucia dokonanego dzieła idą, gdy samolot stanął, zielonym trawnikiem do messy oficerskiej – *cup of tea and some sandwiches* dobrze zrobi. Usługują Niemki, duże, grube, mięsne kariatydy. Są potulne i układne. Wśród nas jest rabin o wybitnie semickim wyglądzie. Niemki patrzą się na niego długo, milcząco i nieprzyjemnie. Spojrzenie zwierząt dzikich w Zoo.

Jest odlot i podniecenie. Można było spać nad Haarlem, nad Hanowerem i nad Meppen,

teraz nie można spać. Mapa rozwija się pod nami, jakieś miasta, żółte wstęgi dróg szerokich bardzo – autostrady pewno – ciemne plamy lasów świerkowych wokoło Berlina, jasne roztocza jezior pocięte białymi żaglami, znowu miasta, znowu środkowa Europa odmienia się bardzo powoli, za powoli, zanadto powoli, a człowiek szuka na mapie pod nim płynącej jakichś znaków znajomych Polski. Gdzieś przegapiamy Odrę – zawsze byłaby wskazówką, potem pewno omijamy większe miasta, a może też większe miasta nikną z tej wysokości, i wreszcie nie wie się nic. Zachodnia i środkowa Polska od dawna nie są krajem zagęstwionych wsi, anarchicznych strzeszych czap nad błękitnie wymalowanymi chatami, drogi poprowadzone są proste, obsadzone kulkami drzew – wszystko to widać z samolotu i wszystko to może być wszystkim. Z kajuty pilota przychodzi strzępek papieru. Dwa słowa. *Over Poland.* Pomorze? Poznańskie? Kongresówka? Gostyń? Koło? Łęczyca? Nic nie wiemy. Polska.

Klęcząc, nachylony, człowiek nachylony daremnie stara się coś odczytać z tego kraju pod nim. Gdzieś z boku napotyka nie rozumiejące, zdziwione oczy Anglików, otulili się

w pledy i drzemią dalej, a także rozumiejący wszystko to uśmiech Val Gielguda. Jego pradziad był z Polski, generał w Listopadowym. Może i w jego oczach jest taki połysk wilgotny. Potężny jest odzew krwi. Tak, pradziad. Człowiek nachyla się znowu nad tą Polską, ścielącą się pod nami, nad tymi drogami, szosami, domami, polami, posiekanymi w zagony, nad tym właśnie, co jest materialnie tą Polską, Polską, o której się tyle mówiło, pisało, gadało, myślało, za którą było to wszystko przez te wszystkie lata; więc tak, to jest to, Polska. Jakieś prawie zdziwienie. Polska. Oto właśnie, to pod nami, co zmienia się niby wciąż będąc płatem ziemi na tym globie wirującym w wszechświatach, tak, właśnie to, to Polska.

Powoli ogłuszenie przemija. Co to może być ten węzeł kolejowy? Miasto? Miasto takie sobie, ale węzeł zdaje się duży? Kutno? Już Kutno? Czyżby. Val Gielgud ma mapę – angielską, niedokładną. Jakieś rzeki. O ta! Niewielka, wije się przyciszenie przez łęgi jakieś, rozlewa się płasko. Bzura. Bzura, Bzura. Rok 1939. Smutna rzeka Bzura. I naraz coś poczyna wiązać tę mapę żywą pod nami z włóknami naszego serca. Samolot skręca i oto w samolot wszystkimi oknami lewego boku napływa olbrzymie, ośle-

piające słońce, słońce popołudnia, słońce ostatnich letnich dni. Twarze pieką, oczy się mrużą, aluminiowe przęsła lśnią srebrnie, czujemy ciepłe plamy słońca na zewnętrznej stronie dłoni, na pledach, na kolanach, na policzkach. Jednocześnie za oknem łyska blaskiem szeroki błam, coś świeci ci się, leżąc na ziemi, jest bliżej, jest rzeka, samolot spływa ku niej, naraz wiemy wszystko:

– Wisła!

Tak, to jest naprawdę Wisła i jakoś głupio się cieszę, że taka wielka, potężna, że tak się paliła słońcem, że tak wszyscy od razu poznali. Wisła, Wisła! Teraz mamy słońce z innej strony, a koryto pod nami, obniżyliśmy się jeszcze i naraz widzimy, poznajemy biały piach urwisk brzegowych, płowe plamy mielizn przeświecające przez wodę, jakieś wikliny marne, jakieś ścieżki wśród nich wychodzone, swojskie naraz. Potem samolot podrywa się, rzeka znika, pod podwozie zaczynają podpływać domy, wielkie sześciany i bloki poszczerbione, zamarłe. Teraz widzimy. Bloki, szerzące swe oczodoły bezszybne słońcu albo wprost płoworóżowa pustynia, sfalowana, ugięta, czasem przekreślona jakimś nie zawalonym zrębem, czasem prze-

kreślona czymś, co było ulicą, znowu jakieś bloki, tylko że szare tym razem, znowu jakieś różowopłowe wzgórki, i w tym wszystkim jakaś martwota senna, jakieś znieruchomienie księżycowych krajobrazów. Znowu wszystko znika spod podwozia i zamienia się na zieleń, skąpą, biedną zieleń podmiejską, inną od angielskich soczystości. Samolot spływa w dół, w dół, zakolebanie, jedno, drugie, stuk w tyle, toczymy się, potem wszystko zwalnia, staje, stanęło. Potem są tylko drzwiczki kabiny, wgięte w kadłub. Nasze oczy są na tych drzwiczkach zamkniętych, nie chcących się otworzyć przez potwornie długie sekundy, aż wreszcie w smary i wydechy wdziera się ostrą strugą zimne, świeże powietrze i blask zachodzącego dnia, i jakieś twarze, a wśród nich, najpierwsza, twarz uwieńczona zieloną czapką z orłem. I czapka jest stara najwidoczniej, i orzełek takiż, i twarz człowieka porysowana bruzdami, i wszystko to jest stareńkie takie, biedne, swoje i obwieszcza z naiwnym namaszczeniem:

– Kontrola celna!

„Nowa Polska" 1945, t. V, z. 9.

Część II

Auto dyrektora Polskiego Radia wywozi nas, Słonimskiego i mnie, z lotniska. Dyrektor Radia jest to p. Wilhelm Billig, stary znajomy z Kujbyszewa. On prowadził tam polską sekcję miejscowej radiostacji; ja trzy razy na tydzień miałem audycje polskiej ambasady, porozumiewaliśmy się doskonale – znacznie lepiej niż tu, w Londynie, z nadętymi purchawami miejscowego polskiego radia. Pan Billig jest spokojny, cichy człowiek, mówiący cichym głosem, nawet w angielskim boardinghousie nie obudziłby nikogo. W aucie siedzi z nami wysoka panienka o smutnych, dziecinnych trochę oczach, bardzo polska z tą dziecinnością, krótką czuprynką, smutkiem błękitnym. Jest bardzo, bardzo szczupła i odziana... (ach, po co ją peszyć, może kiedy to przeczyta), bardzo, bardzo skromnie, przedsmak tego, co w kraju będzie. Panience na imię Alicja i jest to staroświeckie trochę znowu, i jakoś mi jest naraz dobrze w tym aucie, które nas wiezie z lot-

niska. Auto podskakuje – wyboje, oczywiście, wyboje, już od Okęcia – i przypominam sobie głupie, megalomańskie, a jednak prawdziwe porównanie. Otóż kiedy mnie pytano w Londynie, przed tym wyjazdem: „Jak pan się czuje przed tym lotem?", odpowiadałem zawsze: „Wie pan, mam takie wrażenie, jakbym miał tam skakać ze spadochronem i bałbym się, czy spadochron się otworzy." Głupie to było, bo lot był przecież najzupełniej „ceperski", jak by powiedzieli górale zakopiańscy; gdzie mu tam było do spadochroniarskich wyczynów! A jednak było coś z tego lęku, czy spadochron psychiczny emigranta otworzy się w tym zetknięciu z ojczystą ziemią. W szpitalu, w którym leżałem rok temu, było wielu spadochroniarzy, nasłuchałem się też od nich historii najrozmaitszych. Wiedziałem, jak to jest, gdy mijają stuletnie sekundy nieotwierania się spadochronu, walenia głową w dół, szumu w uszach i nad głową rosnącej, wynurzającej się ziemi. Odtwarzałem sobie, jak to jest, gdy potem następuje zbawcze szarpnięcie sznurów pod ramiona i jak coś zaczyna podnosić i kołysać tobą w przestrzeni; i jak ziemia zbliża się wolniej, i od stóp tym razem; wiedziałem, jakie nie-

bezpieczeństwa przynoszą zdradliwe wiatry; i co to jest, gdy zwiną nad tobą rozdętą czaszę spadochronu, i co to jest, gdy człowiek zapląta się w sznurach czy ugrzęźnie w nich nogą. Z nie kończących się opowiadań szpitalnych, łóżko o łóżko, rozcieńczonych w szpitalnej regularności, bieli i nudzie, wiedziałem to wszystko. I teraz miałem właśnie takie uczucie. Skok nastąpił: szum w uszach, lecimy w dół. Czy spadochron się otworzy – nie wiem.

Spadochroniarza ogarnia sekundowe zdziwienie, że ziemia wygląda właśnie tak a nie inaczej, rozpłaszczona tłustą, płaską plamą, porysowana drogami, że pęd wiatru, że szum, że tysiące innych rzeczy; mnie ogarnia teraz inne zadziwienie, od tamtego jeszcze głupsze. Samochód podskakuje na nieszerokiej, sypanej dróżce w bok od szosy, objeżdżamy lotnisko, i patrząc na to pastwisko nierówne, mówię sobie z zadziwieniem: Więc to jest Okęcie? Nie wiem, czy kiedy byłem na Okęciu, słyszałem głównie o nim, wyrosło w moich myślach jako wielki port lotniczy Warszawy, warszawski Croydon, warszawski Le Bourget czy co tam. Och, oczywiście, nie szukałem tu betonowych bieżni czy asfaltów,

amfiteatru hangarów i czego tam jeszcze; to jasne, ale tak na żywo, patrząc na to mizerne pole, nie wyrównane nawet, o brzydkiej, niesoczystej zieleni podmiejskiej, szarej, kretowinami porytej, jeszcze raz powtarzam sobie: To jest Okęcie? Przez wspomnienie miga niedawny list brata: „Chciałbym – pisze – siadać moim *mosquito,* z moim dywizjonem na lotnisku w Okęciu" i widzę teraz to pole z jakimiś maszynami na nim, z tą drogą sypaną drzewami mizernymi daleko, jakimiś domkami skleconymi naprędce, które naraz robią się swoje bardzo z tym właśnie skleceniem i prowizorium i domawiam sobie raz jeszcze: Okęcie, Okęcie... Okęcie. Jesteśmy już na szosie, i Polska, która tak naraz skrystalizowała się tym Okęciem, krystalizuje się, odmgiela dalej. Szosa, jakieś brukowania nierówne, wyboje znowu, pył, pył, pył. Przehuczała przed nami ciężarówka z sowieckim znakowaniem, jakieś chałupinki wysokodache wybiegły do drogi, jakieś brzuchate dziecko z zasępioną twarzyczką i bosymi szczapkami nożyn, gęsi, krowa dychawiczna, żołnierz sowiecki. Auto jedzie szybko, załapuje tylko kontury wrażeń. Jakieś wozy jadą od miasta, wszystkie jednokonne, koń ugięty

pod kabłąkiem wysokiej, zgiętej jak los, duhy. Jadą wolno, jest ich dużo, dużo, znużeni, nieskończenie dużo, jadą z obojętną jakąś powolnością, powolnością sprzed całych stuleci temu albo z tysięcy kilometrów stąd, powolnością średniowiecza lub dalekich stepów Azji. Słupy telefoniczne drewniane mnożą się i mnożą, jest ich dużo i wiatr na drutach gra swoje jesienne melodie, i naraz przypomina się wojenny Kujbyszew i żółty step, i drogi rozwleczone po stepie, i melodie na drutach rozgrywane także, i znowu kłęby pyłu się wzniosły z ciężarówki, jaka nas mijała, i dziwnie zamajaczyły w tym pyle postacie w długich, polskich płaszczach i polowych rogatywkach z dziwnym orłem – jakaś kontrola u rogatek. Mówili po polsku i wyglądali tak, jak generał Kutrzeba na filmie niemieckim ze zdobycia Warszawy w 1939 r., i właściwie byli właśnie tacy, jak żołnierze z jakiejś wojny, co to była kiedyś tam dawno, trochę z muzeum, trochę z historycznego filmu, przedzieleni od nas, przybyłych z Londynu, całymi pokoleniami wrażeń. Stało się naraz boleśnie. Może gdy spadochron się rozwija i targnie, także coś naraz silnie zaboli koło serca.

Potem nastąpiło coś, co mnie przynajmniej przypomniało Caen, Antwerpię, Kolonię, Wesel, wszystkie zbombardowane miasta mijane w wojennym przechodzie Pierwszej Dywizji Pancernej, a jednak nie było Caen, Kolonią, Wesel nadreńskim. Po obu stronach szosy, która zwężała się w ulice, stawała się trudno rozpoznawalną Filtrową, Jerozolimskimi czy czymś jeszcze (bo to było naprawdę trudno rozpoznawalne), wyrastały kościotrupy domów z oczodołami okien, takie czaszki domów, szczerzące swe białe zęby, odsłaniające swą betonową kość. Miasto domów nieboszczyków. Potem były domy zwalone od razu, nieboszczyki pochowane w mogile z własnego gruzu, były jakieś szyny tramwajowe odgięte i jakiś tramwaj z pogiętej blachy, smętnie oparty o mur, potem były inne, zwalone jak pogruchotanych stos kości i u stóp tego ludzie, dużo ludzi, właśnie nie tak jak w Caen, w Anvers, w Wesel, i napisy białe, koślawe na tych murach osmolonych ogniem. „Fryzjer goli i strzyże"... „Deski i papa"... „Węgle"... „Piwo, kwas, herbata"... I coraz więcej ludzi. Potem odróżnialiśmy już, że te domy, które widać, że stoją z daleka, to takie same czerepy, takie same widma,

że co najwyżej sterczą ściany zewnętrzne, a wszystko inne przepaliło się i zwaliło do środka w głąb, że to zewnętrzne tylko tak mami. Stawało się głośniej od aut i ludzi, po prawej stronie – tak, to już były Jerozolimskie – wyrosły zręby kamienic i nawet w oknach było dziwne zjawisko – szyby. Naprawdę wydały się dziwnym zjawiskiem. Tylko po lewej stronie był jakiś wąwóz rumowisk, prawdziwy wąwóz, i przypomniałem sobie, że tym wąwozem jedenaście torów kolejowych dobiegało kiedyś do rzeczy, która była Dworcem Głównym. I auto skręciło, zwróciło naraz i stanęło. Wysiadaliśmy nieporęcznie i dziwnie. Był hotel „Polonia".

Jedno z najprzykrzejszych przeżyć.

Część III

„Polonia" jest w pojęciu mieszkańców Polski oazą dobrobytu, luksusu, komfortu, wygody, przepychu i dobrego tonu. „Pan mieszka oczywiście w «Polonii»" – ludzie mówią i mówią to tak, jak zapewne w jakichś kołach high life'u angielskiego (których, rzecz jasna, nie znam) mówi się *„You stay probably at Ritz, or Mayfair"* czy jak tam. Nie, ludzie, co tych sześć lat spędzili w kraju, wzruszą tylko ramionami na to uczucie przykrości. Ludzie z emigracji zrozumieją je lepiej. Na czym ono polega? Oto po sześciu latach lądujemy w hallu hotelowym, wrzaskliwym jak kram ormiański po sakramentalnej ciszy londyńskich hallów, i jesteśmy w tej gwarliwości zagubieni akurat tak samo – ach, co za przykre stwierdzenie – co Storm Jameson, łagodna i ufna, co trzęsąca głowa globtroterska Mrs Chesterton, co inni Anglicy, zgubieni przez nas na lotnisku, a wypadli naraz z burberrysowych objęć gościnnego szefa protokołu, p. Gubrynowicza. Ktoś chodzi,

potrąca, nie przeprasza, jakaś walizka ginie, jakiegoś windziarza nie ma, jakiś klucz od pokoju nie działa, jakiś kran nie funkcjonuje, bardzo przepraszają, jakiś bankiet – bankiet?! – ma być o ósmej, ktoś z hotelu się obraża – „u nas nic nie ginie", jacyś ci sami kelnerzy z przedwojennej „Polonii" postarzeli nie o sześć, ale o osiemnaście, nieszczęśni, lat. „Majdanek, panie redaktorze, Majdanek..." Jakieś przepraszanie, że nie ma tego pokoju, co miał być, i skarga na kogoś, że czegoś na czas, a my nie chcemy tego słuchać i nam jest wszystko jedno, a oni znowuż tłumaczą i myślą, widocznie, że to jest właśnie ważne, tak jak ważne jest dla Mrs Chesterton. Z pewną ulgą przenoszę się do sąsiedniego hotelu Centralnego, nieufny portier, za to pięknie wybielony pokój, pięć łóżek rzędem, świeża pościel, gruba, polska pokojówka przeprasza – za co? – przynosi blaszany, emaliowany dzban z wodą i imbryk duży z „kipiatkiem" i miednicą fajansową jak ze dworu i ogląda mój angielski plecak. Lepiej. Oblewam się wodą, wychodzę na ulicę i przechodzę kilka pierwszych niepewnych kroków, sam, absolutnie sam. Słonimski i Gottlieb jeszcze są na górze. Anglicy pewno

w „Polonii" bezradnie szamotają się z kurkami od wody bieżącej, dobry Billig i miła panna Alicja pojechali do siebie; sam. Człowiek chodzi niepewny, ni tędy, ni siędy, trapiony jedną myślą, czy „od razu" widzą w nim etranżera, czy też nie, zlewa się już z tłumem, jest swojakiem. Ach, być swojakiem! Niestety, wredny typ podlatujący z przycichłym szeptem „dolary, dolary twarde, miękkie" – psuje iluzje. Może niesłusznie? Handel dolarowy bynajmniej nie jest specjalnością czy wyłącznością przybyszy. Ale ta myśl przychodzi później dopiero, utrwali się jeszcze później, na razie jest tylko nowe psychiczne szarpnięcie i człowiek chroni się przed nim, skręcając w tłum. Jezdnia. Z powrotem. Uczucie ulgi: nie, ci ludzie teraz nie patrzą, nie zauważają.

Jest to wielkie uczucie ulgi, jakby się było tropionym i zmylało naraz pogonie. Stoję oto przed wystawą jakiegoś sklepu z wszelkimi możliwymi rzeczami, ale z pewną przewagą zakurzonych aparatów fotograficznych, plecyma do wystawy, patrzę w tłum. Warszawski tłum. Więc tak wygląda warszawski tłum? Jest już po szóstej wieczór, nawet całkiem dobrze po szóstej, i zza dworca – czy miej-

sca, gdzie stał dworzec – zza przedłużenia Chmielnej i innych zapomnianych ulic pada różowawa, krwawa nawet, poświata zachodzącego słońca. Po raz pierwszy widzę ludzi Warszawy. Dużo cyklistówek, niewiele krawatek, uderza ilość ludzi w wysokich butach; prowincja, pomyślelibyśmy przed wojną. Jakaś nerwowość, ostrość w ruchach, albo znowu, u innych, jakaś apatia. Czegoś pośredniego, spokojnego, równego chodu, jakby nie było. Jedno bądź drugie. Napięcie w twarzach. Czyjeś badawcze spojrzenie. Jakaś gazeciarka. „Głos Ludu", „Rzeczpospolita", „Wolność". Chłopak zachwala papierosy o nie mniej nieznanej nazwie. Nie znam ani warszawskich gazet, ani papierosów warszawskich, nie znam, nie znam warszawskiej ulicy. Źle.

Właściwie, nie. Znam warszawską ulicę. Nie ludzi na niej, nie tych ludzi, nie. Nawet nie całą ulicę, ale jednak jej strzępy. Rozpoznaję ten oto dom narożny – dawniej tam była, prawda? kwiaciarnia – a także ten dom, a także kawałek tamtego, nie doburzony. Bruk na tym skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej jest ten sam, i szyny tramwajowe zakręcają tak samo. Potem ku

Alejom Trzeciego Maja jest asfalt. Jest. I ta perspektywa na most Poniatowskiego jest ta sama. Z daleka, z miejsca, gdzie stoję, na samym skrzyżowaniu, widać szczyty wież mostu, dalej różowieje wszystko w wieczornej mgle zachodu, jak różowiało dawniej, jak różowiało zawsze, jak różowiało pewno, kiedy tu byli Niemcy i kiedy ten cały świat chwiał się w kataklizmie warszawskiego powstania. Widać nawet dalej, daleko bardzo, skraj lasów – to chyba tam w stronę Wawra? – ale czy to był Wawer tam daleko za Wisłą? Odwracam się w lewo. Marszałkowska. Ruiny domów obniżają się, to podnoszą, to znowu obniżają, jak ciemne girlandy gruzu, ale na końcu jest dalej ogród, są drzewa Ogrodu Saskiego, i rozpoznaję miejsce, gdzie przebito niedawno przed wojną przejazd kołowy. Odwracam się w prawo – znowu ruiny, ale mniej straszne jakieś i puste niż te z lewej, a na końcu, tak, na końcu, nieco z prawego skraju to wieże kościoła Zbawiciela, brzydkie, charakterystyczne, dobrze znane. Oto wszystko kawałki mojej Warszawy. Ginie to w tych gruzach, w tym tłumie, który się nie rozgląda, nie rozpamiętywa, potrąca, który jest jakiś zajadły, twardy, rzeczowy, ginie to

w tych gruzach i ruinach, i pustce, ale coraz to z tego wypływa, jak strzępy zatopionych okrętów wypływają z odmętu. I oko się ich czepia. Och, jak czepia. Czy bez nich poznałoby Warszawę?

I jeszcze jedno wrażenie, niespodziane w swej sile. Tłum wokoło mówi p o p o l s k u. Trudno oddać siłę tego wrażenia. Czy wątpiłem przez chwilę, że tłum warszawski będzie mówił inaczej? Oczywiście, że nie wątpiłem. Czy nie spodziewałem się tego? Oczywiście, że spodziewałem. Ale jednego nie wyliczyłem sobie wtedy, przed tym lądowaniem. To tego, że usłyszenie t ł u m u – tłumu – u l i c y – ulicy – mówiącej p o p o l s k u – po polsku – uczyni naraz na mnie tak silne wrażenie. Stojąc, oblany całym wirem przepływających ludzkich prądów, potrącany przez ludzi, obrzygiwany odpryskami rozmów, gwaru, akcentów, tonów, zanurzam się w tym jak w falach, jak w wodzie, zupełnie jak w wodzie, po długiej, męczącej i brudzącej podróży. Wrażenie obmywania, radosne, odświeżające wrażenie łączy się z tym pierwszym odkryciem. Ale samo odkrycie ma dalej coś podniecającego. Przypominam sobie naraz, jak kiedyś Sergiusz Piasecki, autor *Ko-*

chanka Wielkiej Niedźwiedzicy, wieloletni więzień Świętego Krzyża, opowiadał nam w „Ipsie", że najsilniejsze wrażenie po wyjściu z więzienia to było usłyszenie z bliska kobiecego głosu. Tak, słyszało się mowę polską w Londynie i w Cupar, i gdzie indziej, po polsku dźwięczało radio w czołgach normandzkiego pochodu, ale to wszystko co innego teraz, kiedy tłum wokoło mnie mówi tylko tak, wyłącznie tak, i przepływa falami wokoło mnie, opryskując, jak kroplami wody, dźwiękami polskich słów. *It is grand.*

– Gdzieś ty był, Ksawery, szukaliśmy ciebie, jest Marysia z mężem, nie, Jarosława nie ma, ma być Krzywicka, jacyś twoi krewni pytali o ciebie w hotelu, ale chodź, bo jest bankiet, Anglicy już poszli. – Istotnie jest bankiet. Przechodzimy szybko przez hall, znana biała sień „Polonii", potem nie mniej znana, ta sama, dawna sala z balkonami po bokach, kelnerzy jakby znajomi, i druga, większa, nowoczesna sala, której nie znałem. Z boku, za długim stołem prezydiuje już dr Fiderkiewicz, ten *chargé d'affaires* z Londynu, typ trochę z Malraux, z tych powieści Malraux, gdzie występują milkliwi, rzeczowi, za-

mknięci w sobie działacze. Potem siedzi różaniec grzecznych Anglików. Ta sama łagodna Storm Jameson i odświeżona kąpielą Mrs Chesterton, i inni, jakieś kwiaty, na stole arcybiały obrus, zamrażana wódka, łososie, kawiory – już się domyślacie. Na talerze naszych Anglików wali się jakaś orgia doskonałości, żenująca, krępująca, my czujemy się zawstydzeni, bo rozumiemy ich zawstydzenie, już Mrs Chesterton zrobiła kwaśną arcysłuszną uwagę, my dwaj z Słonimskim czujemy się tak, jakby oto ktoś z naszej rodziny, ktoś bliski, zrobił, nie rozumiejąc, wobec obcych potworną gafę i dalej tego nie rozumiał, i nie można mu tego było wytłumaczyć. Maître d'hôtele „Polonii" zagadujący z francuska w angielski oczywiście nie rozumieją tego, walą niezmordowanie na talerze naszych dobrych, życzliwych Anglików dalsze płaty – co tam, płaciszcza – krwawego łososia, kopiate łyże kawiorowego śrutu, leją wódę po wódzie, na końcu tej orgii jakiś barszcz, jakiś bulion, teraz dopiero pojawiają się medaliony sznycli, befsztyków, bo ja wiem czego. Słyszę nowy skrzyp Mrs Chesterton, pytający, czy nie ma ograniczeń żywnościowych w Polsce, jakieś łagodne stono-

wanie dobrej Jameson, patrzę z nienawiścią na zachwyconą gębę kelnera, który podbiega z nowym półmichem i myśli pewno jak i inni, że Anglikom zaimponuje, że „oko im zbieleje" – ach, i patrzymy sobie z Antonim w oczy; jak bardzo tu jesteśmy obcy.

Tylko Val Gielgud jest inny. Val Gielgud, wysoki, wyprostowany, czarny bardzo, powściągliwy, angielski, siedzi tuż przy nas, na naszym końcu stołu, niewiele nawet je, za to bardzo się patrzy, na nas, na salę, na wszystko. Widzi nasze zażenowanie tym „postaw się" bankietowopolskim w samym środku ruin i nędzy, zaczynamy z nim o tym mówić z ostrożna, on uśmiecha się, że rozumie, że to przecież właśnie *typically Polish,* właśnie zastaw się, a postaw się, że gdy niczego nie ma, właśnie wszystko musi być, że to jest część polskiej gościnności, że trzeba to brać tak, jak to jest, i tłumaczy innym, przy czym zdaje się nie ma żadnego powodzenia u surowej szwagierki Chestertona, ale dodaje sporo argumentacji dobrej Jameson. Używa nawet przy jakiejś okazji słowa *charming,* a my, ci z Anglii, wiemy, że gdy Anglicy chcą okrasić jakąś polską gafę, to zawsze powiedzą *charming.* Gielgud patrzy się na nas, nam w oczy

i na salę, coraz bardziej na salę. Muzyka zaczęła grać i pary tańczą. My już powoli opadamy z sił przed jeszcze nowym daniem i patrzymy także.

Jest to znowuż bardzo dobra orkiestra, tak, o ileż tego rodzaju orkiestry były u nas lepsze niż w Anglii. Na sali wiruje dziwny tłum: znowu dużo wysokich butów, jakieś bardzo kolorowe koszule, dość niedobrane komplety marynarek i spodni, dość dziwnej szykowności, ale oryginalne na pewno stroje pań, trochę mundurów, znowu wysokie buty. Pachnie machorką. Na chwilę robi to takie wrażenie, jakby do dansingu „Polonii" przyszła publiczność z Piaseczna, Jarocina czy Suwałk, prowincjonalna, o junacko-prowincjonalnym zacięciu wodzirejów. Tańczą znowuż doskonale, lepiej niż na dansingach londyńskich, ale z jakąś prowincjuszowską gracją, *cavalleria rusticana* w sarmackim wydaniu *anno* 1945, coś z ordynarna na galanteryjno, czy też z galanteryjna na ordynarno. Najbliżej nas wiruje para: ona, niczego sobie, krępawa, młoda dziewczyna, on smukły, wcięty w pasie, koszula w szkocką kratę, marynarka dobrze skrojona, zabójczo tabaczkowa, bryczesy, przystojny, szczeniacko pewny siebie.

Zawijając tancerką, potrącił Gielguda, nachylił się, żeby przeprosić – cudzoziemiec – młodzieniec zdetonował się, prosi, żebyśmy przeprosili, przedstawia się – „Wiśniewski, student", dopytuje. Po chwili znowu tańczy i z tańca uśmiecha się do nas. Był czterykroć tak uprzejmy i ugrzeczniony, jak byłoby potrzeba, i znowu to ugrzecznienie nie musiało być dla Gielguda i dla jego angielskich towarzyszy czymś może *charming* i zarazem *exquisitely exotic.*

Ale tymczasem muzyka gra już nie walce, nie tanga i fokstroty, ale gra jakieś warszawskie polki i przerzuca się w polskie piosenki. Od orkiestry ktoś basem wtóruje słowa, znane, stare słowa o tym, że „ojciec Marcelka miał piękne cele, na dobroczynny cel dawał wiele" i o tym, że „na starym mieście koło fontanny jakiś się facet przypiął do panny". Część tańczących podrywa to i śpiewa, widać usta otwarte, sala tętni silniej i wiruje szybciej. Atmosfera rozgrzewa się i podnosi. Muzyka niespodzianie przechodzi w skoczną, żywą piosenkę o Lwowie. „Tylko we Lwowie", „Tylko we Lwowie". Teraz śpiewają wszyscy. Nie ma w tym żadnej politycznej demonstracji, jest tylko piosenka jak rzadko

przemawiająca do nich, i tylko widać, jak większym i innym jest zapał tego śpiewania. W pamięci odszukuję sobie słowa przedwojennej piosenki. Muzyka gra już z powrotem jakieś przedwojenne tango i znowu przedwojenny walc, i znowu jakąś starą, zaprzeszłowieczną polkę, i kujawiaka, i tango dawne. „W dzień deszczowy i ponury" – znów Lwów. Muzyka gra same rzeczy sprzed tych sześciu lat i muzyka jest na tej sali tak samo staroświecka i niedzisiejsza, jak te stroje, jak sposób bycia tych ludzi – i jak my, cośmy jeszcze tego dnia rano zjadali pośpieszny *breakfast* w Londynie.

Pijemy jeszcze jedną wódkę, muzyka gra jeszcze jedną piosenkę sprzed lat, więcej par wiruje na sali, Wiśniewski-student dobrał sobie nową tancerkę, ta jego dawna uśmiecha się do nas znad ramion innego tancerza, jakiegoś grubawego i z waszecia, ale jej uśmiech rozpływa się zaraz w fali dziesiątka innych przypadkowo chwytanych uśmiechów i wszystko to rozcieńcza się i rozlewa w oparach ciepła, w ruchu tańczących, w rytmie melodii, wszystko to razem unosi nas i odnosi gdzieś bardzo daleko. Ile razy grają mi naraz jakąś starą melodię sprzed paru lat, już

zarzuconą i niemodną, tyle razy przypominam sobie twarz jakąś, słowa i imię, robię więc to teraz tak samo. Nie, nie zawsze są to imiona kobiece, i kiedy grano tę warszawską polkę o ojcu Marcelka przypomniał mi się... mniejsza o to, co wam to imię powie, po co go tu wymawiać, młody, młodziutki, pełen niezwykłego czaru przyjaciel. Gdyby żył i tu mieszkał, byłbym pognał do niego prosto z Okęcia w Aleje. Nie siedziałbym tu teraz. Ale nie żyje. Muzyka zmienia melodię. Nuciliśmy razem to tango, tak, pamiętam je dobrze, w pewnej cienistej alei, trzymając się za ręce, ona lubiła tańczyć, ale wiedziała, że ja nie lubię, i wyszła ze mną do ogrodu rozchwianego zapachami lipca. Czy mogła jeszcze kiedyś wspomnieć to głupie tango, najradośniejsze z naszych tang, w Oświęcimiu? Muzyka zmienia melodię, zmienia ją jeszcze i jeszcze. Łapię się naraz na tym, na czym nie łapałem sam siebie jeszcze chyba nigdy: oto za każdym walcem, tangiem czy piosenką, w tej sali jak karczma mazowiecka w niedzielę, dusznej od potu, ruchu, muzyki i pieśni, każda twarz wstająca mi z odmętu wspomnień jest twarzą kogoś, kogo już nie ma. Wiruje wokoło mnie muzyka, wirują pary za

parą, wirują wspomnienia za wspomnieniem i wirują, jedne za drugimi, jedne tłocząc się na drugich, twarze ludzi umarłych. Jest coraz weselej na sali, to towarzystwo na lewo od nas jest najwyraźniej zalane, tamci także mają wódkę w spojrzeniu samym po białka, w osłupiałym, wybałuszonym spojrzeniu, i ot, ta para ma na spoconych twarzach jakieś pijackie zadowolenie z siebie, muzyka nie gra ani jednej nieznanej, nie lubianej melodii, i w moim kącie staje mi się ciasno od twarzy, od wspomnień, od tego, co odeszło na zawsze. Za oknami tej sali jest noc warszawska, pełna ruin, jakichś krzyków znienacka, strzałów ni stąd ni zowąd, nawoływań patroli, ciemności i ponurego, z gruzów tchnącego jak woń trupia, milczenia, jest jakiś cały świat, który żył i teraz żyć przestał, ale nie odszedł, po nocach widmami straszy i otacza milczeniem jak morze łódź podwodną, tę niewielką, rozświetloną salkę, gdzie ludzie pogrążają swe mózgi w wódzie, wspomnieniu i tańcu. Warszawa. *Warsaw.* Najprawdziwsze, straszliwe *Warsaw concerto.* Pierwszego wieczoru. Pierwszego dnia.

„Nowa Polska" 1946, t. VI, z. 1.

Reportaże

Reproduce

„Był to niegdyś kraj bogaty..."

Kisielin, w styczntu 1938

Piszę do Ciebie, Droga, list „długi, wyczerpujący", o który prosiłaś, z niejakiego Kisielina. Jeszcze jedno „miasteczko" z moich obecnych wołyńskich prac i wędrówek, tak samo nędzne i beznadziejne, jak wszystkie inne! I tak samo niczego nie pamiętne! Była tu mała galówka i szczycono się ze wzniesienia czy też rozszerzenia miejscowej szkoły powszechnej. Mówcy jeden po drugim sławili sprężystość epoki, która na głuchy i ciemny Wołyń niesie blaski kultury Zachodu. Mówcy nadmienili o betonowych krawężnikach, w jakie już wyposażono, czy też wyposaża się właśnie, główną ulicę Kisielina. Mówcy byli pewni siebie, urzędowi i nietutejsi. Nieliczna, zabiedzona, nieśmiała publiczność słuchała z pokorą, ale bez entuzjazmu tych

wszystkich wyliczeń łask, jakie spływają na Kisielin od lat bez mała dwudziestu i których szczytowym etapem są owe szkoły powszechne oraz krawężniki. A ja się patrzyłem na tych ludzi, czy w którym się co nie ocknie, czy tłumu nie rozepchnie, przed stół prezydialny nie wejdzie i nie powie: „Obywatele, uczcijmy pamięć naszego miasta, znacznego, zasobnego grodu! Uczcijmy pamięć jego wiekowego dorobku kulturalnego. Uczcijmy pamięć wyższej uczelni, szkoły uniwersyteckiej, którą miał kiedyś Kisielin. Uczcijmy pamięć jej pedagogów, jednych z najlepszych w owej epoce. Uczcijmy pamięć wielkiego znawcy greczyzny, który tu, w Kisielinie, dokonywał tłumaczeń, tłoczonych następnie w drukarniach frankfurckich. Uczcijmy myśl religijną, polityczną i społeczną, jedną z ciekawszych i samorodniejszych, jaka w Polsce, tym kraju religijnych nastrojów przy braku religijnej myśli, promieniała z naszego Kisielina! I – obywatele! – ukórzmy się głęboko przed obecną wielką nędzą, żałobą i upadkiem naszego miasta, naszego kraju. Upadku, że już nikt lat dawnych i świetności przeszłych nawet i nie pamięta! Upadku tak głębokiego, że ludzie, co stawiają szkoły po-

wszechne na miejsce uniwersytetów, które tu były, sądzą, że czynią nam łaskę, że ludzie, którzy wybudują gmach Kasy Chorych, mniemają naprawdę, że wnoszą kulturę w kraj dotąd dziki".

Zdziwisz się sama, gdy powiem, że to wszystko i wiele więcej mógłby każdy mieszkaniec Kisielina wywalić w twarz kulturyzatorom Wołynia. Przeczytaj prace Stanisława Kota, świetnego znawcy naszych dawnych związków z Zachodem, naszej reformacji, socynianów, którzy tyle sił włożyli w szkolnictwo, którym nasz wiek siedemnasty tyle zawdzięcza i których ostatnią prawie twierdzą, po upadku Rakowca, po utracie książęcego Beresteczka, był właśnie Kisielin! Przeczytaj pracę Oresta Lewickiego, innego badacza, o Czaplicach, o Samuelu Przypkowskim, o twórcy Hadziacza, wspaniałej postaci czasów *Potopu,* rozniesionym na szablach czerni – Jerzym Niemiryczu! Będziesz inaczej myśleć o Kisielinie! Dowiedz się, że tu właśnie inny wołyński szlachcic z pierwszej połowy XVII w., imć pan Ostafi Kisiel, tłumaczył na język grecki dzieło Tomasza à Kempis. Tłumaczenie słano do Frankfurtu, bo drukarnia kisielińska jeszcze greckich zgłosek nie miała.

Tak, Droga moja, za Zygmunta Wazy była w Kisielinie drukarnia. Tyle że nie miała greckich czcionek. A jak myślisz, czy dzisiaj jest w Kisielinie drukarnia?

Tylko proszę Cię, zrób mi łaskę i nie wykrzykuj ochów i achów, że na Wołyniu w w. XVII była drukarnia. Pozostaw entuzjazm ludziom, którzy sądzą, że krawężnikami zaspokajają „głód Europy" w tym nieszczęsnym kraju. Pozostaw to maluczkim, którym krawężnik za Europę starczy. Na Wołyniu, Droga moja, były drukarnie nie w XVII, ale w XVI w. Podobno zanosi się teraz na „zmianę kursu" polityki wołyńskiej. Podobno chce się tu więcej wnieść Zachodu, łacińskości, polskości. Jestem tak wielkim utopistą, że byłbym rad, gdyby ci, co sobie ten trud zadać pragną, zapuścili żurawia w historię, w owe czasy, gdy łacińskość, Zachód i polskość wlewały się tu najszerszym korytarzem. W czasy gdy nędzniejszy dziś jeszcze od Kisielina Ostróg tłoczył rękami zbiega z Moskwy Iwanowej, drukarza i intelektualisty, pierwsze na całej Rusi słowiańskie tłumaczenie Biblii. W czasach gdy Dermań, wieś dzisiaj zwykła, gdy Poczajów, gdy Międzyrzecz, odpowiadały pismami polemicznymi swych drukarń na pisma najuczeńszych jezuitów, na dru-

karnię bazyliańską w Krzemieńcu, na socyniański pacyfizm. Teologia – powiesz. Jałowe kłótnie scholastyków, skrzywisz się jeszcze. Nie, Droga moja. Tak łatwo wielkości ówczesnych czasów w tym zniszczonym kraju przekreślić się nie da. Powiedzą ci uczeni, powie ci znowuż Kot, powie Stanisław Estreicher, że w owej polemice religijnej XVI w. poruszano najbardziej ludzkie, najgłębsze duchowo sprawy, a także sprawy świeckie wagi najwyższej. Że tam także chodziło o lepszy ustrój społeczny, o położenie kresu krzywdzie i wojnie, że wreszcie w tych teologicznych sporach krzepił się język narodowy, powstawało tworzywo przyszłych literatur. Niełatwo przyszło łacińskości, polskości i Zachodowi zdobyć ten kraj. A wysiłek, jaki go zdobył, był przede wszystkim na miejscu pierwszym, drugim, trzecim, czwartym i piątym, ogromnym wysiłkiem kultury. Czy wysiłek, dokonywany dziś w tym samym celu, jest przede wszystkim wysiłkiem kultury? I czy wysiłek kultury dokonywany współcześnie na kresach jest wysiłkiem ogromnym? Broszura, napisana przez senatora Rzeczypospolitej, Joachima Wołoszynowskiego, poinformuje Cię, że dziś jeszcze 40 procent dzieci wołyńskich nie jest ogarniętych szkołą...

Powiesz, Droga moja, że w owej epoce, przed którą, po wielotygodniowym grzebaniu się w przeszłości Wołynia, po wielotygodniowym patrzeniu w jego dzień dzisiejszy, chylić muszę czoło, czytali wprawdzie po grecku i łacinie książęta Ostrogscy, Zbarascy czy Koreccy, ale nie czytało wcale nie 40% dzieci, lecz 90% całego narodu. Tak, to prawda. Niestety jednak, prawda ta nic nie zmienia. W owych czasach masy nie czytały nie tylko na Wołyniu. Masy nie czytały również w Wielkopolsce, a nawet we Flandrii, w Ile de France, a górskie kantony późniejszej Szwajcarii przypominały Zakopane z czasów księdza Stolarczyka. Taki bowiem był cały świat ówczesny. Zapewne Wołyń ówczesny stał w tym świecie na dalszym miejscu niż Flandria czy Palatynat, ale do tego świata należał. Między nim a Flandrią i Palatynatem, najbogatszymi, najbardziej kulturalnymi krajami Europy, istniał może dystans, lecz nie było przepaści. Czy „przepaść" nie jest zbyt dramatycznym słowem na określenie tego, co w roku 1937 istnieje między naszym Wołyniem a krajami Zachodu? Sądzę, że tego nie powiesz. Pamiętasz chyba nasze piesze wycieczki po południu baskijskim Francji, polne drogi asfaltowe, ga-

raże przy starych chatach, wsie zapadłe w górach, gdzie pamięć o analfabetyzmie dalsza jest dziś niż wspomnienie o kołtunie na wsi podwarszawskiej? Tysiące naszych rodaków, których system paszportowy zdołał oddzielić od Zachodu, setki innych, którzy ów Zachód znają jedynie z ogłupiających wycieczek stadnich, będą o tym może wątpić. Jednak ci wszyscy, którzy widzieli nie tylko Unter den Linden, ale i wieś niemiecką, nie tylko wieżę Eiffla, ale jakieś Ixassou, wciśnięte w Pireneje, nie tylko Kopenhagę, ale i wieś jutlandzką, a którzy potem albo przedtem mieli nieszczęście znać naszą wieś, przyznają nam jednak, niestety, że słowo „przepaść" na określenie tej granicy, jaka między nami a Zachodem zapadła, nie jest słowem zbyt wielkim, zbyt dramatycznym. Ale nawet i my, którzyśmy tę tradycję tak niedawno jeszcze oglądali, jesteśmy jak mieszkańcy Kisielina. Przyzwyczailiśmy się do nędzy. Przywykliśmy do zacofania i poniewierki. Traktujemy to jako konieczność, normalność. Myślimy wprawdzie o tym, że między Polską dzisiejszą i dzisiejszym Zachodem istnieje przepaść cywilizacyjnej natury, wiemy od Adama Krzyżanowskiego (choć starano się nam to tyle razy zagadać), że przepaść tej

pauperyzacji nie maleje, ale rośnie, to prawda. Nie przychodzi nam jednak na myśl dręczące pytanie, czy ta przepaść i dawniej istniała i czy zawsze była tak głęboka? Nie przychodzi nam i inne, może jeszcze wstydliwsze pytanie. Czy i dawniej byliśmy nędzarzami, jak dzisiaj nędznieliśmy z roku na rok? Oto na Wołyniu, w toku pracy dla mego wydawnictwa, nie mogłem sobie na to pytanie odpowiedzieć przecząco. Zbyt wiele śladów dawnej świetności niszczeje tu jeszcze. Nie, Droga moja. Tragizm połaci ziem większych od Kisielina polega nie tylko na tym, że bliższe są Abisynii niż Nadrenii. Tragizm ten jest głębszy od tego, co się współcześnie o tym myśli. Polega on jeszcze i na tym, że dawniej byliśmy bliżsi Nadrenii. Nawet nie byliśmy jej dalecy cywilizacyjnie. Polega także i na tym, że kraj, dzisiaj nędzny, ongi był bogaty i dostatni. O tych dwóch prawdach zapomnieliśmy tak samo, jak zapomnieli mieszkańcy Kisielina o erze Czapliców, Kisiela, Niemirycza.

Wiem z góry, że w odpowiedzi na to wszystko będziesz się starała włożyć cały swój polski i kobiecy optymizm. Że jednak ślady dawnej przeszłości nie znikają ani na

Wołyniu, ani w Polsce, niczym krępujący świadkowie albo niewygodne dokumenty. I że tworzą się rzeczy nowe, wartości inne. – Żałuję, że nie znasz choćby Łucka. Żałuję, że nie widzisz, jak mury zamku Lubarta służą za podporę ćwiczebnym instalacjom straży pożarnej, jak na grobowym miejscu dawnych kniaziów Wołynia i namiestników litewskich rośnie fasola, buraki i pietruszka pań komendantowych tejże straży. Tak jest w Łucku, gdzie jeszcze się mówi o tym, że dziedzicami owych kniaziów udzielnych było Wielkie Księstwo i była Korona, a ich z kolei dziedzicami jest dzisiejsza Rzeczpospolita. A jak jest gdzie indziej? Zwierciadlana sala jednej z najpiękniejszych rezydencji w Polsce, Wiśniowca, służy za salę lokalnemu kinematografowi miasteczka za 150 zł miesięcznie. Jeden z najpiękniejszych w Polsce barokowych plafonów zniszczał, odkąd nad nim urządzono umywalnię. Zapytasz, w czyim ręku jest dzisiaj zamek w Wiśniowcu, jakiego to podupadłego magnata skusiło owych zł 150? Magnat ów nie jest zgoła podupadły. Posiada kilkanaście tysięcy hektarów, wielkie przestrzenie leśne, hojne i wolne od podatku nadania. Nosi nazwisko o największych na

Wołyniu kulturalnych tradycjach. Nazywa się Liceum Krzemienieckie. Ów szczególny szacunek dla przeszłości, jaki zaczyna cechować tę instytucję – i nie tylko tę instytucję – nie ogranicza się jedynie do Wiśniowca. Zdrowe tendencje merkantylne nie tylko tutaj dworują sobie z zabytków. Nie tak dawno, aby założyć popłatne stawy rybne, rozkopano, nie uprzedziwszy nawet konserwatora, cenne kurhany czy grodziszcza. Biskupiny, to dobre w Poznańskiem...

Nigdzie nie jest tak łatwo mierzyć głębie obecnego upadku, jak na śladach dawnej świetności. W naszej korespondencji o Wołyniu prędzej czy później musiałoby paść słowo – Liceum Krzemienieckie. Zapewne rzuciłabyś je Ty, aby dowieść, że przecież coś jest na tym Wołyniu, co „kontynuuje nasze najlepsze tradycje". Że jeszcze w r. 1919 przywrócono do życia sławną szkołę Czackiego. Istotnie, dla ludzi, którzy Wołynia nie znają, nadzwyczaj łatwo jest wymienić jednym tchem obie te uczelnie, w odstępie stu lat mieszczące się w tych samych murach i tej samej używające nazwy. Prawda wygląda mniej okazale. Prawda przedstawia się tak, że wielkie Liceum sprzed wieku było wyższą uczelnią,

uniwersytetem pozbawionym jedynie tej nazwy, obecnie Liceum jest luźnym zespołem kilku szkół o programie naszego szkolnictwa średniego, jeśli nie niższego. Tam w nazwie skromnej mieściła się treść od nazwy tej większa, tu w nazwie uświetnionej tradycją mieści się treść dużo, dużo skromniejsza. Wielkie Liceum Czackiego zebrało niegdyś pod swój dach najlepszych uczonych polskich, ściągało i uczonych zagranicznych, których imię zapisało się w dziejach nauki. Na czele tej wspaniałej uczelni stali ludzie nauki, jak Czech, jak Osiński, jak Feliński, sławni wówczas, pamiętni i potem. Na czele tej uczelni w r. 1937 stoi, zacny zresztą, były starosta. *Signum temporis nostri.* Tak wygląda świetność naszych czasów. Tak wygląda nie tylko ich dystans od Europy. Tak wygląda ich dystans od czasów Czackiego i Kołłątaja, czasów niewoli. Wołyń odrodzonej Rzeczypospolitej.

I przyznam się, że jest mi przykro, gdy mieszkańcy Kisielina dziękują pokornie za krawężniki i szkołę powszechną. Przyznam się, że jest mi przykro, gdy inteligent polski sądzi, że tamten i ten Krzemieniec jest tym samym, że dziś jest tu tak, jak ongi, a ongi

było tak, jak jest dzisiaj. A niestety, nasza prasa jest ciemniejsza od najciemniejszego z jej czytelników. Oto w Dermanie uruchomiono fabrykę naczyń porcelanowych, wystawiono je na Targach Wołyńskich, i „czerwoniaki" wpadały w ekstazę. Fajans wołyński ma być eksportowany do Kafrów i Zulusów! Najjaśniejsza Rzeczpospolita wskrzesza wielkie tradycje Korca! – Przyznam się, że oglądałem z zakłopotaniem te najnowsze wyroby ceramiki wołyńskiej, grube talerze i ciężkie kubki, przeznaczone na wywóz do kolonii holenderskich i dla ludności murzyńskiej Transwalu. Kolonie niderlandzkie są jednymi z najbiedniejszych kolonii, jeśli chodzi o standard życia ludności, Murzyni są proletariatem kraju diamentów. Kolorowy proletariat nie stać na szkła szwedzkie i fajanse angielskie, nie stać go nawet na Ćmielów i Pacyków, na dumping japoński. Stać go tylko na wołyńską Dermankę. Żałuję, że nie widziałem tych, którzy pracują dla pariasów kolonialnych, którzy stoją niżej od pariasów kolonialnych. Tradycje Korca! Czy kto wie jeszcze, że Korzec to była fabryka porcelany zdumiewająca Europę wdziękiem i pięknem swych wyrobów, że wyparła z naszego kraju

sewry, drezny i altwiny, że ma dziś jeszcze miejsce zaszczytne w gablotach nie byle jakich muzeów, że Wołyń pracował niegdyś dla najmożniejszych i możnych, gdy dziś szuka okruchów z zarobków pariasów? Czy kto widział sznury pociągów wywożące stąd kaolin, glinkę porcelanową, do obcych, dalekich wytwórni, jak z kolonii wywozi się surowce do uprzemysłowionych metropolii? I pomyślał, że jednak nie zawsze ten kraj był kolonią? Że w Korcu były fabryki sukna i przędzalnie jedwabiu, że tak było w Sławucie, w dziesięciu innych miejscach, a było w czasach, gdy zaledwie powstał Żyrardów, a jeszcze nie było Łodzi?

Pomniki przeszłości innej niż teraźniejszość niszczeją tu tak, jakby chodziło komu o to, żeby nie pozostało ni śladu, iż ten kraj nie zawsze był dżunglą, przez którą trzeba wyłamywać chodniki. Że za doprowadzenie tego kraju do tego stanu będzie musiał ktoś odpowiadać. Powstają za to pomniki współczesności. Zwiedzałem kamieniołomy w sarneńskim Klesowie, zakupione przez jeden z naszych samorządów zachodnich. Samorząd chciał mieć materiał na budowę dróg i chciał zdobyć go we własnym zakresie. Kupił więc tereny, zaczął

eksploatować. Okazało się to zbyt kosztowne. Postanowił przeto przedsiębiorstwo wyzyskać. Przeszedł na budowę pomników. Od razu też wybudował na miejscu, w lesie, grzeczny pomniczek swemu żyjącemu i urzędującemu wojewodzie. Zapewne dla wprawy. (Jak sądzisz, Droga moja, czy generał-gubernatorom wołyńskim wznoszono pomniki?) Ale i pomniki nie są dość rentowne. Tedy samorządowy kamieniołom ma przejść na budowę nagrobków. Etatyzm zna nie tylko tak niewinne sposoby dostarczania posad swoim ludziom, jak monopolizowanie przez państwo fabrykacji soku malinowego. Na Wołyniu troszczy się również o cmentarne bytowanie obywatela. Jest w tymże Klesowie parę dychawicznych kamieniołomów prywatnych, trudno, nie za każdym stoi pełna kieszeń samorządowych kas. W jednym z tych kamieniołomów zainstalowano niedawno doskonały dźwigar. Kupiony został na wagę żelaza, jak na szmelc, przy licytacji pewnej warszawskiej firmy. Dobrze jeszcze, że owej precyzyjnej maszyny nie użyto naprawdę na szmelc. Ten dźwigar to także pomnik. Pomnik dziejów uprzemysłowienia Polski.

Ale nie można powiedzieć, aby nowoczesne dzieje kresów nie zalatywały fantazją sarmaty-

zmu, powiewem Soplicowa i Dobrzynia. Nawet etatyzm ma tu swoich Gerwazych i swoich Stadnickich. Dzieje kniaziego grodu Włodzimierza mogą być tego dowodem. Nie znasz tej ślicznej historii? Więc rzecz dzieje się parę lat temu. Pisały o tym gazety, ale, ostatecznie, chodziło tylko o „głębokie kresy"... Jest w mieście elektrownia i o nią właśnie toczył się proces między dotychczasowym właścicielem a miastem. W jednej z instancji wygrywa miasto. Niemniej sędzia, mocą władzy sędziowskiej, zarządza wstrzymanie wykonania wyroku. Burmistrzowi Włodzimierza jest to nie w smak. Zbiera swoich ludzi magistrackich, wpada („kupą, mości panowie, kupą" – mawiał o takich okazjach pan Zagłoba), wyrzuca sędziowskich ludzi, obejmuje elektrownię siłą. Władza administracyjna ogłasza swoją „neutralność". Którym to wiekiem Ci pachnie, dwudziestym czy siedemnastym? Potem jest proces. Szereg ludzi zostaje skazanych za gwałt publiczny, siedzi. Burmistrz otrzymuje karę z zawieszeniem. Nie siedzi. A raczej, niedługo po tym czynie, zaczyna posłować do sejmu. Nie siedzi, ale zasiada. Na Wiejskiej. Znasz te wołyńskie wybory, które wzbudziły powszechne zdziwienie olbrzymim procentem

oddawanych głosów. Jest przedstawicielem osadników wojskowych. A zatem tego elementu, który przyszedł na Wołyń wzmacniać prawo i polskość. Powiesz, że czasy saskie są na Wołyniu niepożyte? Moja Droga, nie sądź tak źle o czasach saskich. Były to czasy, które odznaczały się aż nadmiernym legalizmem złego, niestety, prawa.

I wierzaj mi, niejeden jest Kisielin i niejeden Wołyń. To samo widział Iwaszkiewicz w Sandomierzu i Leżajsku. To samo stwierdza nie pomawiany o szlachetczyznę (gdybyście naprawdę raczyli spostrzec, gdzie to leżą najgrubsze zwaliny „szlachetczyzny" współczesnej Polski!) Jan Stachniuk. Byliśmy kiedyś bogaci jak inne narody, oświeceni jak inne narody, i sprawy nasze były bliższe sprawom Flandrii niż Moskwy, Albionu niż Abisynii. Mieliśmy świadomość takiej przeszłości. W r. 1791 nie był rewelacją krakowiak Bogusławskiego, rzucany ze sceny ku lożom moskiewskim. „Był to niegdyś kraj bogaty, ludny i wesoły. Obcy wpadli nam do chaty. I kradną stodoły"!

Ta świadomość zatraciła się dużo, dużo później. Doszczętnie zatraciła się dopiero teraz. Zatraciła się jednak tak dalece, że już prze-

ciętna „prowincja" nie wie, czy to z „odwiecznej" ciemnoty wychodzimy *via* krawężniki na światło, czy przeciwnie, sami o tym nie wiedząc, pogrążamy się z wolna w gęstniejący dookoła mrok. Wiemy, że jest źle. Nie sposób przed nami ukryć ogromów przepaści, jakie między nami a krajami Zachodu cywilizacyjnie zaległy. Nie zagada się ich okrzykami na cześć zwiększającej się o trzy sztuki na miesiąc liczby taksówek w Warszawie. Ale z tego, że kiedyś było inaczej, już nie zdajemy sobie sprawy. Że kiedyś nie byliśmy pariasami kultury, o tym każe się zapomnieć. I ogół zapomniał o tym tak, jak Kisielin o swej tradycji socyniańskiej. Pomniki, niewygodne świadki, niszczeją. Nauka historii jest trzebiona z tego wszystkiego, co mogłoby tworzyć w umysłach niebezpieczne horyzonty porównania. Mamy porażone zwoje mózgowe pamięci. W mroku nasze oczy widzą niedobrze. To, że jest mrok, dostrzegają, a także szukają winnych tego, że tak właśnie jest. Ale dojrzą tylko Żydów i masonerię, pańszczyznę nawet i szlachtę, i endecję, i jeszcze raz Żydów, i jeszcze raz ziemian. Tylko jednego nie dojrzą. Prawdy.

„Wiadomości Literackie" 1938, nr 5.

Właściciel galerii portretów

Dziś rano jadłem śniadanie w niewielkim, czystym sklepie spożywczym, w którym stoją dwa stoliki, jest schludnie i porządnie. Zegar wskazywał pięć przed dziewiątą, prócz mnie i właścicieli nie było nikogo. Wszedł policjant.

– Flagi u pana nie ma!

Zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Jakoś nie widziałem jeszcze takiej sceny. Policjant był jakby zawstydzony, właściciel sklepu wyjaśniał:

– To pan dozorca zawsze wywiesza.

– To pan ma wywieszać, pan wie, że tak nakazano, pan chce, żebym panu sklep musiał zamknąć – powiedział policjant i szybko wyszedł.

Byłem człowiekiem nietutejszym, co widzieli wszyscy. Nie wiem, czemu wydało mi się, że tym razem stanowczość policjanta by-

ła nieco robiona, jak człowieka, który krzyczy bardzo głośno dlatego czasem, że właśnie się boi. Wydało mi się także, że policjant akcentuje raczej dla mnie słowa „nakazane" i „musiał". Że chce powiedzieć, że to nie on nakazuje i że on będzie po prostu musiał.

Była chwila dosyć nieprzyjemna po wyjściu policjanta, ale powoli właściciele sklepu, ona szybciej i bardziej porywczo, on wolniej i ostrożniej przed obcym, poczęli się rozgadywać. Dość już naprawdę tych flag ciągle wywieszanych!

– To pan ma już całą galerię portretów – zażartowałem.

– A mam, proszę pana, mam. Wszystkie kazano kupować. Tylko Pierackiego jeden, inne same po dwa.

– Jak to, to portret śp. Pierackiego kazano panu kupować?

Człowiek patrzał się na mnie prosto w same oczy. Te oczy nie kłamały.

– A innych mam po dwa. Każą do każdej witryny, a ja mam dwie witryny. Chce pan zobaczyć tę moją „galerię" portretów?

Żona wytaszczyła je ze składziku. Istotnie kupiec miał dwóch wielkich Marszałków. Jeden był w zwykłym mundurze, popiersie,

groźne, prawo patrzące oczy, włosy nastroszone. Czy myślał on kiedy, że go każą komuś kupować? Drugi był reprodukcją jakiegoś obrazu, z buławą opartą o jakiś dokument, z uchyloną portierą czy draperią, z jakąś małą armatką u nóg. Bóg wojny nabyty z rozporządzenia administracji. Potem było dwóch Prezydentów. Jeden, pamiętam, w czapce marynarskiej, u spodu równiutko wypisane pismem Prezydenta Rzeczypospolitej hasło o polskim morzu. Potem były dwa portrety generała Rydza-Śmigłego, znowu jeden w czapce marynarskiej, drugi w generalskim mundurze. Wreszcie była czarna, z boleśnie skurczonymi ustami fotografia Bronisława Pierackiego. Czyście pomyśleli sobie, że Wasze podobizny będą nabywać z rozkazu?

Galerię zamykał jeszcze ostatni okaz: duży Orzeł Biały.

– Ja miałem swojego Orła – tłumaczył kupiec – tu go teraz nie ma, ale jest w domu. Tego Orła to ja już dawno miałem w domu, a jak przyszła rewolucja, to go dałem w sklepie na Trzeciego Maja. Wtedy tu byli Niemcy, robili Białoruś, ale nic mi nie zrobili. Grano u nas wtedy w resursie *Kościuszkę pod*

Racławicami. Ksiądz, który nie żyje, przemawiał, pani Korsakowa śpiewała od fortepianu, a mego Orła dali nad sceną. Teraz Orzeł był nieprzepisowy. Powiedzieli mi, że mogę go sobie w domu trzymać, a w oknie na święta musi być przepisowy.

– I Piłsudskiego mąż miał – dodała żona, aby nic nie zapomnieć.

– A jakże, z dziewiętnastego roku jeszcze. Jak w Wilnie był, to takich sprzedawali...

– Nikt wtedy nie kazał?

– Kupować? O, wtedy nikt! Wtedy sami kupowali, starczyć nie było można.

Jadłem jeszcze dość długo, więc przyniesiono mi nawet „tamtego" Piłsudskiego z domu. Była to reprodukcja niewiele większa od pocztówkowej, starego portretu Kossaka. Marszałek jest w swej błękitnej kurtce, ma głowę opartą na szabli, dobre, zamyślone oczy. Miałem wrażenie, że ci ludzie prości patrzyli na tego Marszałka coś jakby, jakby z wyrzutem.

Pokazano mi jeszcze, porządnie poskładane, białe i czerwone bibułki, wstęgi, sztywny papier, pluskiewki, deski, obicie z jakiegoś materiału. Pełne urządzenie dwóch lad sklepowych na wielkie święta, których jest kilka-

naście. Wtedy z lady trzeba wszystko wysprzątać. Wtedy, zależnie od święta, wędruje czerwień, biel i kir, wtedy w jednym oknie ukazuje się Marszałek albo Prezydent, albo Rydz-Śmigły, w innym odpowiednio, a pięć przed dziewiątą policjant sprawdza i może kazać zamknąć sklep.

Sklep był biedny, taniutki, w biednym, ubogim mieście. Właściciel tego sklepu musiał posiadać po dwóch Marszałków, dwóch Prezydentów, dwóch Rydzów-Śmigłych, musiał ponadto, prawda! – mieć Żwirkę i Wigurę oraz Orła. Jakie to przykre, że te nazwiska, nazwiska nieraz oczernione żałobą serdeczną, profanowane są nakazami. Jakie to przykre, że się wie, że za tymi nakazami stoi na pewno ktoś, co te portrety wydaje, drukuje, sprzedaje, że ktoś z tego ciągnie zyski, i że zyski te ciągnie i powiększa drogą tych nakazów. Choćby to nawet szło na nie wiedzieć jak dobry cel – ileż w tym innej szkody. Gdzie jesteś, o tej godzinie pięć przed dziewiątą każdej uroczystości, święta morza, obchodu, gdzie jesteś wtedy w tym kresowym miasteczku NN, dawna Polsko z 1917? Gdzie jesteś dniu piękny, gdy może byli tu Niemcy,

ale *Kościuszkę pod Racławicami* reżyserowała dobra wola narodu, z dobrej woli śpiewała, jak umiała, pani Korsakowa, po swojemu, nieudolnie może, ale szczerze przemawiał ksiądz proboszcz, który nie żyje? Gdzie jesteś dniu jeszcze piękniejszy, gdy jeszcze biedny właściciel sklepiku nie był zarazem, z łaski starosty powiatowego, właścicielem galerii obrazów?

„Czas" 1936, nr 201.

Węgiel i człowiek

Pożółkłe, wydane na złym, wojennym papierze małe broszurki, dłuższe i krótsze odezwy, zwiędłe przez lata i zleżałe jak towar w sklepie, do którego nikt nie zachodzi, były dla mnie w latach gimnazjum pierwszą wieścią o Śląsku. Wszyscy czytaliśmy je niezwykle pilnie, i to, że leżą teraz wszystkie razem przede mną, w wielkim hotelu, za którego murami są Katowice, rok 1936, niemal dumasowskie „w dwadzieścia lat później", przypomina tamte pierwsze wrażenia i wiele rzeczy, jakie działy się wtedy. Śląsk z tych anemicznych broszurek wyłaniał się nam wszystkim jako kraj nowy i cudowny. Dzieciństwo nauczyło, że był kiedyś inny Śląsk, z Psim Polem i obroną Głogowa, że był najstarszy syn Krzywoustego, który ze Śląska chciał władać Polską, że go usunięto, że książęta piastowscy szli oddzielnie, że potem za-

pomniano o Śląsku, że stromy brzeg piastowskiej polszczyzny podmyła nieznacznie i z wolna fala germańska. Ów Śląsk dawniej kojarzył nam się ze wspomnieniem Słowian połabskich, świątyni Swantewita na wyspie Rugii, całą Atlantydą zachodniej Słowiańszczyzny, o której melancholijnie, ale niespokojno mówiły wypisy z klasy drugiej i trzeciej. Naraz te małe broszurki, z krzykliwymi rysunkami powstańca na okładce, pokazały jakiś inny Śląsk, czarny, węglowy i ludowy, przebudowany, tłumy chwytające co moment za broń o Polskę, wbrew Anglikom i Włochom. Broszurki mówiły o złym Lloyd George'u, zawsze wiernej Francji, mówiły o dobrym synu ojczyzny, Wojciechu Korfantym, a gazety, wetknięte w broszurki, podawały odezwy wojskowe podpisane nazwiskiem Borelowski. Śląsk stawał przed nami monolitem wielkiego pomnika bohaterstwa, niezapomnienia, wierności. Broszurki polityczne, wydane na lichym papierze wojennym, stawały się bajką, najpiękniejszą i najbardziej nieprawdopodobną z bajek, jakimi obdarzyła nas historia.

Teraz leżą przede mną te same, odleżałe i pożółkłe, jak książka dziecinna, w której zde-

waluowało się wszystko prócz zapachu własnej, najwcześniejszej młodości. Za to czytam w broszurze rzeczy, które wcale przedtem nie zastanawiały, po których myśl spływała gładko jak kajak po wodzie bez porohów. Wtedy wszystko, że tak będzie, było dla mnie jasne i oczywiste. Jasne i oczywiste było, że skończyły się już raz na zawsze złe czasy Górnego Śląska, że nastaje era wiecznej szczęśliwości, kiedy dostatek i dobrobyt będą najmniejszą, najłatwiejszą do osiągnięcia korzyścią. Bo jak to? Broszurka wywodziła jasno a uczenie, że w granicach Niemiec skarb Śląska – węgiel – był narażony na konkurencję Ruhry, a nawet Anglii, był oddalony od centrów przemysłu, miał ciasne rynki zbytu. Odtąd będzie inaczej. Mapa pokazała wyraźnie, jak olbrzymie obszary nowych rynków zdobędzie Śląsk włączony do Polski. Mapa pokazywała nie tylko Poznańskie i Pomorze, pokazywała Tarnopol i Horodenkę, wskazywała palcem na rozległe obszary Wołynia, olbrzymie Polesia, wielkie Wileńszczyzny. Po linii kolejowej na Piotrogród miały się wagony węgla wznieść aż na północ, pod Druję i Dzisnę, zastąpić drzewo. Polska polityka zagraniczna miała zawierać korzystne traktaty handlowe, gdzie węgiel ślą-

ski miałby pierwsze miejsce. Eldorado szczęśliwości, w które wierzyli wszyscy, tryskało z kart mizernych broszurek. Dziwne jest czytać teraz to wszystko, w 1936 r., w środku Katowic.

Cyfry starych broszurek, wywody i wykazy przepłynęły, odłożone zostały na bok. Niech przechowują na dalszych lat piętnaście krzepiące wino dziecinnych wspomnień. Może wtedy już w ogóle nie będą nic znaczyły swą treścią, może całą racją ich istnienia będzie to, że do nich uciekały myśli wymykające się z obiegu cotangensów i zadań domowych. Teraz z kolei wchodzą na stół grube rozprawy, na dobrym papierze rozpraw naukowych, z cyframi stłoczonymi tutaj jak prawdziwe, regularne armie, nie jak tamte zagony powstańcze. Wczoraj ludzie mówili, że jest źle, że przed wojną było lepiej, że o kilka kilometrów stąd na Zachód – wiemy gdzie – *ist doch besser*. Rozprawy mówią wyraźnie: Rosyjskie zagłębie donieckie, słynny Donbas zwiększył swoją produkcję węgla w porównaniu z r. 1913 o 240%, 14 kopalń niemieckiego Górnego Śląska powiększyło ją od r. 1913 o 156,8%, 53 kopalnie, należące do polskiego Górnego Śląska, osiągają obecnie zaledwie 67,9% swej produkcji z ostatniego roku przed wojną. Kur-

czyliśmy się tam, gdzie inni szli naprzód. Z tej cyfry i porównania wypływają wszystkie strumyczki poszczególnych ludzkich skarg, westchnień, smutnych ocen. To wszystko, zadowolenie i niedomaganie dwóch milionów ludzi na najbardziej zagęszczonym skrawku ziemi Rzeczypospolitej, jest zależne od ilości wagonów węgla, które odchodzą ze stacji śląskich w jakimkolwiek bądź kierunku. Czy jest naszą winą, że odchodzi ich dzisiaj mniej niż w r. 1913?

Jest winą i nie jest. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że produkcja węgla na świecie spotkała się w ostatnich dwóch dziesiątkach lat ze wzrastającą konkurencją innych sił pędnych. Wszędzie tam, gdzie samochód, samolot i autobus wyręczały lokomotywę, gdzie środkiem pędnym stawał się produkt nafty, benzyny – malała konsumpcja węgla. Wszędzie, gdzie elektryfikowano koleje, wszędzie, gdzie uzyskiwano elektryczność przez wyzyskanie spadku wód – węgiel był jeszcze raz dystansowany. Ale jeśli zastępowano węgiel, to i sam węgiel konkurował między sobą. Wielka wojna rozbudowała kopalnie węglowe poza Europą, stworzyła czy powiększyła nowe zagłębia w Afryce Południowej, Japonii, Chinach, In-

diach, Rosji azjatyckiej. To były utracone rynki, i zagłębia europejskie, które je potraciły, skoncentrowały się najsilniej w akcji o zdobycie krajów europejskich w zamian za kurczący się zbyt w koloniach. Wreszcie każde państwo, które miało własne kopalnie węgla, starało się wyzyskać je do maksimum, nie sprowadzać zza granicy. Tak nieomal z niczego powstał włoski przemysł węglowy, a zupełnie dosłownie narodził się grecki, wzrosło zaś ogromnie wydobycie węgla w krajach bałkańskich. Wreszcie w końcu ostatniego dziesięciolecia spada globalna produkcja węgla Niemiec, Anglii i Polski. To, co w Niemczech zostało z kopalń śląskich, było tylko dziedzicem dawnego rynku całego Śląska. A przecież nasz węgiel śląski zdobył się na heroiczny wysiłek w zdobywaniu nowych rynków. Wyzyskiwał angielskie strajki węglowe, pchał się do Szwajcarii, szedł do Włoch. Wielka magistrala węglowa, droga wodna Czarną Przemszą do Wisły, to wszystko jest po to, aby węgiel mógł potanieć. Gdynia jest po to, aby mógł być spławiany najlepiej. Tylko obiecane eldorada zbytu, kresy poleskie, Wileńszczyzna, stoją po dawnemu obce. Węgiel, który wydobywa robotnik śląski, nie może do nich dotrzeć. Jest to natural-

nym wynikiem warunków, w których dniówka robotnika śląskiego wraz z opieką społeczną wynosi dziesięć złotych, gdy w Miklaszewiczach zarabia się cztery, na wsi mniej niż złoty. Standard życiowy jest na Polesiu zbyt niski. Standard życiowy w Anglii i Szwecji jest wyższy niż na Śląsku, ale przychodzą koszta drogi, ochrony celne, i niska cena węgla śląskiego nie jest wtedy tak niska, aby stanowić mogła pokusę otwarcia szlabanów. Za drogie dla kraju, nie dość tanie dla świata. [...] Niemieckie kopalnie śląskie wyzyskują lukę wywołaną odpadnięciem Katowic. Polski Śląsk znalazł się między wozem a przewozem. Wysoki standard życiowy należał do paktów konwentów plebiscytu, wysoki standard życiowy – to wysoka robocizna, wysoka robocizna – to wysoka cena, wysoka cena – to trudność rynków zbytu. Jakby długi szereg powiązanych ze sobą wagonów.

To, ku czemu nie nagięły konieczności, czego nie mógłby się ośmielić postawić jako generalne żądanie żaden ciężki przemysł, żaden przedsiębiorca prywatny, bo nie miałby za sobą niezbędnej presji moralnej, to, co mogło się powieść w Rosji, gdzie zarobki robotnicze przed wojną były takie jak w Anglii w pierw-

szych dziesiątkach lat zeszłego stulecia, więc nietrudno je było podnieść, gdzie pracowanie w upaństwowionych kopalniach sprawiało, że zysk staje się własnością nie jednostek, ale państwa, to w inny sposób nastąpiło jednak na Śląsku. Płace robotnicze nie uległy redukcji, koszty produkcji węgla więc nie zmalały, ale reperkusja ta poszła dalej wzdłuż „długiego szeregu powiązanych ze sobą" wagonów, przez wysoką cenę, przez brak rynków zbytu, i tu, na końcu pociągu, odbiła się jak bufor hamulcowy. Tak jak odbicie się o bufor, wróciła się, skąd przyszła. Rynek się skurczył jeszcze bardziej, bo utrzymana została wysoka cena, wysoka cena została utrzymana, bo była wysoka płaca robocizny – ale na końcu tego powrotnego szeregu zrodziło się przecież coś nowego. Skoro kurczyły się rynki zbytu, musiała kurczyć się produkcja, skoro kurczyła się produkcja, musiało zmniejszyć się zatrudnienie, skoro zmniejszało się zatrudnienie, musiało zwiększać się bezrobocie, obniżył się standard życiowy. Robotnik śląski pracuje dziś piętnaście dni miesięcznie, czasem dziesięć, czasem dwadzieścia. Dziennie zarabia tyle, ile zarabiał zasadniczo dawniej. W tej dziedzinie nie nastąpiły większe zmiany. Ale miesięcznie

czyni to jednak mniej. Robotnik śląski ma rodzinę, szeroki krąg braci, braci stryjecznych, szwagrów, posiada żywe rodzinne uczucie. Pracujący robotnik śląski, który dziennie zarabia tyle, ile dawniej, ale miesięcznie znacznie mniej, ma na swoim utrzymaniu znaczniejszy niż dawniej krąg niepracujących członków rodziny. Temu pomoże i tamtego przyjmie, i wszystko żyje w nadziei, że będzie praca, bo będzie większy zbyt. Nie wiem, czy będzie. Nie wiem, czy powiedzieć tym ludziom, że elektryfikacja węzła warszawskiego, trójkąta bezpieczeństwa, Rożnów i Porąbka, to przecież nowe zmniejszenie spożycia węgla przez Polskę. Śląsk czyta w gazecie o budowie wielkiego polskiego motorowca „Piłsudski". Ślązacy mają ów typowo robotniczy patriotyzm, patriotyzm, aby ich kraj był pierwszy w rzędzie światowych wyczynów, ten patriotyzm, który przyniosła do naszego starego lądu pierwsza Ameryka. Wtedy gdy Ślązak w wagonie czyta głośno o „Piłsudskim", boję się. Boję się, że w opisie motorowca będzie powiedziane, że jest to statek nowoczesny, że jego środkiem pędnym jest nafta, a nie dymiący, brudny węgiel. Boję się, że ta radość z sukcesów „Piłsudskiego" wpłynie nieraz na lodo-

watą rafę takiej uwagi. Brudny, dymiący węgiel. Kiedyś były to tylko „czarne diamenty".

80 lat zrobiło zamożność Poznańskiego, 40 – zamożność Śląska, 150 innych lat klęski powstań, klęski skutków powstań złożyło się na pauperyzację Królestwa, Galicji, Kresów, 80 lat jest to normalny okres bogacenia się społeczeństwa, 40 – nadzwyczajny. Przez trzy pokolenia dobrobytu wiele pierwotnego zdołało się w Poznańskiem obciosać, zheblować i zatracić. Przebicie kilkuset szybów w latach 1880–1914 na Śląsku wydobyło tu na wierzch nie tylko jakieś podgłębne, przywalone masami kamienia, iłu i humusu pokłady ziemi, nie tylko jakąś cenną rzecz, węgiel, ale wydobyło jednocześnie takie same, nie mniej przywalone, nie mniej głęboko ukryte, a wreszcie chyba nie mniej cenne warstwy ludzkie. To, co my nazywamy rinascimentem polskości na Śląsku, śpiącej przez całe wieki niezwykle twardym snem, ukrytej pod głębokim pokostem niemczyzny, jest bardzo ściśle związane z odkryciem na Śląsku węgla. Węgiel zrewolucjonizował Śląsk. Węgiel sprawił nie tylko to, że setki właścicieli terenów stało się milionerami, że tysiące inżynierów i dyrektorów zrobiło wielkie majątki, węgiel to było jeszcze co

innego. Kilkaset tysięcy ludzi tutejszych zaczęło naraz, w ciągu kilkunastu lat, zarabiać trzykrotnie, pięciokrotnie i dziesięciokrotnie, potem kilkunastokrotnie więcej niż dotąd. Stało się to nagle. Nagłość uniemożliwiała przyzwyczajenie. Polski robotnik rolny we Francji idzie w niedzielę na jedenastą do kościoła w smokingu i na bosaka. Trzewiki niesie, po dawnemu, na kiju, na plecach. Są to czasem tanie lakierki, a czasem mniej ponure żółte półbuciki. Ten były fornal spod Kutna, eksparobek zza Horodła, już mógł kupić smoking, ale ta możność przyszła zbyt szybko, aby mógł się nauczyć, jak go nosić. Coś podobnego było na Śląsku. Lud został naraz, w bardzo krótkim okresie, silnie podźwignięty materialnie i społecznie. Gdyby ten proces odbywał się w dłuższym okresie, zdążono by zastąpić dawne zwyczaje nowymi, i te nowe byłyby takie, jakie je przenosili majstrowie fabryczni z Ruhry czy Turyngii. Ale proces, powiedzieliśmy to, odbywał się nader szybko. W jego wyniku ludzie, którzy mieszkali w chatach, siali, orali, zbierali, przeszli do miasteczka, jęli się kilofów, otworzyli sklepy, stali się kolejarzami, poczciarzami. Wewnętrznie zmienić się tak szybko nie zdołali,

jak nie zmienił się parobek spod Kutna, stawszy się *métayer w* Les Vosges. Każdy nowo odkryty szyb węgla ściągał większe ilości ludzi ze wsi do miasteczka. Każde powiększenie ilości pracujących ubierało tych chłopów w marynarki, dawało im do ręki książkę, gazetę. Każda więcej zarobiona marka dźwigała ich na wyższy szczebel społeczny. Takie było prawo świata, w którym żyli. Spod późniejszych napisów, nałożonych na dawną treść palimpsestu, zaczynał się wyłaniać jego sens pierwotny.

Ślązak przedstawia w ten sposób bardzo oryginalny, bardzo wyjątkowy typ ludzki w Rzeczypospolitej. Nie tylko przez to, że w tym kraju polskość jest robotnicza, tak samo jak na Wileńszczyźnie i gdzieś na kresach będzie szlachecko-ziemiańska. Nie tylko dlatego, że jest to znowu typ robotnika z Zachodu, zbliżonego do niemieckiego i francuskiego, angielskiego i amerykańskiego. Będąc tym najnowszym, XX-wiecznym Polakiem, jest jednocześnie Polakiem tkwiącym korzeniami w bardzo zamierzchłej polskości śląskiej, zaginionej za Piastowiców, wykopanej wraz z tym węglem, jak wykopuje się odciski prehistorycznych muszli, ślady przedpotopowych

zwierząt. W jego mowie niemieckie terminy fabryczne mieszają się ze słowami Reja. Ten człowiek łatwiej niż nasz przeciętny inteligent zrozumie niemiecki podręcznik budowy maszyn i lepiej niż przeciętny uczeń gimnazjum, gdzie wykładają o Reju i Kochanowskim, upora się z *Żywotem człowieka poczciwego* i resztkami dzieł Biernata z Lublina.

Węgiel w długich rzędach wagonów tkwi martwo na stacjach śląskich. Nie ma człowieka, który by się zdobył na heroiczną i okrutną decyzję wielkiego ryzyka. Śląsk utrzymuje szereg kopalń deficytowych. Utrzymanie tych kopalń, bezużytecznych w dzisiejszych czasach, leży poza rachunkiem gospodarczym, kosztuje wiele, koszty te spadają później na konsumenta każdego metra sześciennego węgla, podrażają koszty węgla, utrudniają mu zdobycie innych rynków. Każdy metr sześcienny nosi w sobie nie tylko koszty utrzymania swej kopalni, ale koszty utrzymania tylu innych, gdzie wydobycie przestało być opłacalne. Węgiel sowiecki wypiera węgiel europejski na rynkach południa. Węgiel chiński i japoński odepchnęły węgiel angielski, skierowały go do Szwecji i Danii. W świecie współzawodnictwa węglowego

niezależnie od form ustrojowych czyni się coraz ciaśniej. W świecie współzawodnictwa ludzkiego jest nie mniej ciasno.

Mój kolega z lat szkolnych jest na Śląsku, jest urzędnikiem. Tłumaczy mi, jak wiele pracy państwowotwórczej musi się dokonywać w tym kraju. Zastaliśmy to wszystko, mówi, trzeba było pracować. Ze Ślązakami jest bardzo trudno, to dobre dzieci, ale zupełnie niedojrzały naród. Mówię, że w r. 1921 był przecież dojrzały do powstania. Okazuje się, że można dojrzeć do tego, żeby być żołnierzem, ale trudniej jest dojrzeć do tego, aby urzędować. Wielkie gmachy śląskie, wielkie centrale władz, instytucji, urzędów, zapełnione są elementem nieśląskim. Mój kolega jest głęboko przekonany, że przeprowadza tutaj wielką misję cywilizacyjną. Jest zdecydowanie radykalny i gotów jest reformować resztę Polski. Powiada mi, że jednak ci ludzie nie potrafią jeszcze sami sobą rządzić. Nie dorośli. Odpowiadam, że są to poglądy przypominające raczej skrajną reakcję, że to ona wiecznie się kłopocze, czy kto „dojrzał".

A jednak ten nowy materiał ludzki, dźwignięty na Śląsku, jest chyba nie mniej cenny w naszej społecznej odbudowie niż węgiel

mógłby być w gospodarczej. Do tej ludzkiej odkrywki, do tych najtreściwszych warstw społecznych nie trzeba już przebijać nowych szybów, robić nowych wiertniczych odkrywek. Zrobiono to już – za nas. Chłopów na kresach trzeba uczyć, w Małopolsce – wspierać radą. Robotników na Śląsku nie potrzeba uczyć. Ci ludzie czytają gazety i kończyli gimnazja, ci ludzie znają wielki europejski język, ci ludzie są nowocześni jak górnicy z Ardenów, jak robotnicy z Liverpoolu. Tych ludzi i synów tych ludzi trzeba tylko po prostu dopuścić. Trzeba chcieć przestać zawsze kogoś w czymś wyręczać. Trzeba dać innym samym coś robić. Czyśmy sobie w r. 1921 wyobrażali, że będziemy im dawali kastę rządzących? [...]

„Wiadomości Literackie" 1936, nr 48.

O wóz i o konia

Rożnów, w sierpniu 1936

Chcecie wiedzieć, jak to wygląda? Więc najpierw jest długa, gnąca się przez wzgórza dolina, z zielonomętną Sołą płynącą jej dnem, z domami stojącymi – jakże niemądrze! – blisko wody, z lasami przerzuconymi przez zbocza górskie z dalekimi łysinami połonin. Rzeka przelewa się szumem po kamieniach, aż naraz skręca w bok w jakieś kanały czy śluzy, a tymczasem tam, gdzie było jej główne koryto, wyrosły olbrzymie szare bloki. Bloki ujęte są w drewniane szalowania, ale już teraz można poznać, że odpadną one z nich deska po desce. Jeśli podejdzie się bliżej, widać, że dwa mury cementowe wparto tu w dwa zbocza górskie, że między nimi stanęły te właśnie bloki, że między każdym z tych bloków wolna jeszcze przestrzeń za-

sklepia się coraz bardziej, że rosną mury, które zabudują pozostawione tu dotąd przełęcze. Chcecie wiedzieć, jak to budują? Więc co pół minuty zjeżdżają po kolejce linowej wagoniki z masą betonu, wielki stalowy żuraw spuszcza pęki desek i belek, a robotnicy rzucają się na to, rozprowadzają, unoszą. Z ulepionych już z betonu ścian sterczą gęsto stalowe pręty. To kości, wokoło których narośnie nowy mięsień betonu. Beton, który już zasycha, zlewa się wciąż wodą, żeby pozostał jeszcze nie stwardniały, żeby nowe nakładane warstwy spoiły się ze starymi, pogrubiły i podwyższyły to, co już jest. W ten sposób powstaje olbrzymi mur, biegnący linią prostą poprzez koryto Soły.

Chcecie jeszcze wiedzieć, skąd dźwiga się ta ogromna szara masa, ten monolit betonu? O dwieście metrów stąd kopie się w łożysku Soły żwir, szuter, kamienie. Wszystko razem wędruje przez skomplikowany a prosty system walców, sił obrotowych i pasów transmisyjnych, podających sobie ten materiał coraz wyżej i coraz dalej. Wchłania go prawdziwy młyn, wielki gmach drewniany na pięć pięter. Kamienie idą coraz wyżej, a jednocześnie stają się coraz mniejsze, wreszcie dochodzą na

najwyższe piętro zglajchszaltowane na miał kamienny. Cała budowa drży od tego przemiału kilkunastu żaren. Tu na górze dokonywa się pomieszanie z worami cementu i strugami wody. Zależnie od potrzeby i zawartości miesza się główne składniki betonu. Kamienne ciasto wędruje stąd na zaporę, osiada na stalowych prętach, krzepnie wreszcie w twarde bloki, dość mocne, aby ich nie wzruszył ogromny napór wód, które spiętrzy przyszła zapora. W powietrzu nieustanny zgrzyt wagoników, spuszcza się i podnosi żuraw, łomocą młoty, trzeszczą miażdżone kamienie. Huk i pył unoszą się nad całym dnem Soły, przekopanym, rozciętym olbrzymią ścianą, która tu rośnie coraz szybciej. U stóp wielkiego bloku można przejść swobodnie przez otwory przyszłych turbin wodnych. Ze szczytu zapory widać daleko dolinę. Można już dziś odgadnąć rozmiary przyszłego jeziora. Aż do siedmiu kilometrów stąd spiętrzy się Soła na wysokość 22 m, zaleje te domy przed nami, tamte wsie, pola, ogrody, sady, drogi. Tę nową szosę budowano umyślnie tak wysoko, wrzynając ją w las i zbocza, żeby nie podmyła jej woda. Ludzie będą musieli stąd odejść, nawet już odchodzą.

Tak wygląda dziś jedna dolina podgórska, na Śląsku Cieszyńskim, za Żywcem. Zapora w Porąbce będzie gotowa już tej jesieni. Wody Soły zaleją to wszystko za mniej niż rok. O sto kilometrów bardziej na wschód, w głębi innej doliny, pod Sączem, w Różnowie, buduje się drugą zaporę, trzykrotnie większą od porąbskiej. To samo, tylko na większą skalę i tylko o kilka lat wcześniejsze w etapach pracy. Więc rzeka – tu jest to szeroki i bogaty w wodę Dunajec – płynie dalej swym korytem, tylko że obok tego koryta drąży się już w skale i iłach olbrzymi wykop fundamentów. Później przeciągnie się je przez rzekę. Dynamit rozsadza wybuchami co twardsze partie, świdry i oskardy, poruszane sprężonym powietrzem, rozłupują głaz, armia robotników ziemnych ładuje tu na wozy i wywozi. Wykop pogłębia się i rozszerza, przekroczył już 20 m głębokości. Na zboczach przedzielonych rzeką dwie świeże blizny wskazują w gęstwie lasu miejsca, na których oprze się każdy z krańców tamy. Biec ona będzie przez odległość przeszło pół kilometra. W Porąbce cały tabor wagoników zwoził beton i żwir. Tu jeszcze większy tabor kolejowy i konny wywozi masy iłu i ziemi.

O lesiste masywy wzgórz obija się echo dynamitowych wybuchów. Nad Sołą i nad Dunajcem rysuje się kontrast cichych górskich dolin i pracy, zagęszczonej tu tłumem ludzkim, masą maszyn, wielkością zmian.

Przybór wód na Sole to była od lat nieuchronna zapowiedź powodzi w Krakowskiem. Przybór wód Dunajca groził dalekiej Warszawie. Ostatnia powódź kosztowała kraj przeszło osiem milionów. Te dwa „baraże" na dwóch górskich rzekach oznaczają regulację wód. O stanie wody na Sole czy Dunajcu, a więc o jej stanie na Wiśle, przestanie decydować przypadek zmiennej pogody, a będą decydowali kierownicy dwóch wielkich elektrowni w Rożnowie i Porąbce. Masa energii wodnej, która spływa powodzią, zatrzyma się wtedy, osiądzie oparta na betonowych masywach, odpływać będzie w miarę potrzeb, unormowanym dokładnie nurtem. Jej energia poruszać będzie wdrążone w mur zapór olbrzymie turbiny, turbiny poruszą elektryczne generatory tej siły, jakiej jeszcze nie ma w Polsce. Dwie sieci prądu o wysokim napięciu pójdą z doliny za Żywcem i za Sączem. Nie będzie to zwykły prąd. Wody Soły spiętrzą na kilkanaście metrów, zaleją nimi bogatą dolinę, wypędzą z niej ludzi po to,

aby jednocześnie w licznikach kilkuset tysięcy mieszkań na całym polskim Śląsku spadły ceny miesięcznego rachunku płaconego elektrowniom, aby wydatek na światło w kilkuset tysiącach domowych budżetów najbardziej przemysłowej i robotniczej części Polski spadł do poziomu wydatku na zapałki. Wody Soły spiętrzone będą jeszcze i po to, żeby wszędzie, od Żywca począwszy po najmniejsze górskie wsie, elektryczna żarówka wyparła lampę naftową, jak niegdyś lampa naftowa wyparła łojówkę, łojówka – łuczywo.

Tak będzie w Porąbce. Rożnów będzie potężniejszy kilkunastokrotnie. Zadaniem Rożnowa nie będzie już oświecenie jakiegoś Śląska, choćby tak ludnego jak Belgia. Zadanie Rożnowa to zupełna elektryfikacja kraju między Tarnowem, Kielcami a Radomiem. Nowo tworzący się w tej środkowej części państwa przemysł nie ma węgla. Źródło jego siły pędnej leżeć więc będzie w tych górach za Sączem. Będzie go ono nasycało tak samo, jak kopalnie górnośląskie żywią ciężki przemysł. Wreszcie, nie zatrzymane i tym wysiłkiem, energie rożnowskie pobiegną dalej. Ostatnim etapem ich pracy będzie elektryfikacja warszawskiego węzła kolejowego.

Teraz jeszcze stan wód na Dunajcu może przynieść Warszawie powódź. Za kilka lat stan wód na Dunajcu będzie poruszał warszawskie pociągi i nowe centrum przemysłu. Oto dlaczego wody Soły i Dunajca będą spiętrzone, dlaczego pracuje tu lub pracowało kilka tysięcy ludzi i dlaczego tysiące hektarów ziemi ornej zaleje się wodą.

Na stokach rożnowskiej góry stoją domy tej samej masy ludzkiej – tysiąc kilkaset głów – która tu pracuje. Masa ta mówi różnymi językami, pochodzi z różnych stron Polski, Europy, a nawet świata: jeden z techników jest Kanadyjczykiem, inny – przybył z Nowej Zelandii. Masa ta, rozmaicie płatna, spełnia rozmaite funkcje. Ma różne cele i różny stosunek do pieniądza, różną przeszłość za sobą. Wreszcie masa ludzka, która pracuje nad tym, aby Śląsk i centrum Polski oświecać i poruszać, różnie mieszka i różnie jada. To są może najmniejsze, ale najwcześniej uderzające jej różnice.

Więc na samej górze mamy przede wszystkim szereg długich drewnianych willi, ślicznych i komfortowych. Mieszkają tu kierownicy budowy, fachowi inżynierowie francuscy. Roboty i tu, i w Porąbce prowadzą to-

warzystwa polsko-francuskie z obcym kapitałem. Niżej nieco, już w lesie, wznosi się cała kolonia „specjalistów" technicznych, zatrudnionych przy budowie. Jeszcze niżej mamy baraki panów z polskiej administracji, nadzorującej z ramienia ministerstwa budowę. Prawie na tym samym poziomie zbocza rozpoczyna się seria robotniczych baraków, która opada aż na dół doliny, prawie do rzeki.

Masa ludzka nie tylko mieszka rozmaicie. Żywi się też bardzo rozmaicie. Najniższa kategoria to robotnicy, którzy uważają koszt całodziennego wyżywienia w kuchni robotniczej – 90 groszy – za wygórowany i żywią się sami, kupując u chłopów mleko, chleb, kaszę. Ostatnia kategoria robotników nie chciała mieszkać w barakach. Wybudowanie baraków pozbawiło ją 40-groszowego dziennego dodatku na nocleg, z tego dodatku oszczędzali trzy czwarte, płacąc chłopom rożnowskim, u których sypiali pokotem, tylko po 10 groszy.

Masa ludzka spełnia rozmaite funkcje, rozmaicie wiele czasu oddaje pracy, rozmaicie wiele zarabia. Pracuje się od paru godzin urzędowania dziennie do dwunastu godzin akordówki. Zarabia się od paru tysięcy miesięcznie aż do – ciągle schodzimy, jak od tych willi

francuskich do baraków na dole – 35 groszy za godzinę. Jej narzędzia pracy są też bardzo rozmaite. Jedni są wyposażeni w to, co mógł dać bogaty kraj, zamożne środowisko rodzinne, możność nauki, zdolności. Ludzie ci pracują wysiłkiem swych zwojów mózgowych pomnożonych o wiedzę, podniesionych do kwadratu i sześcianu przez cały wysiłek innych ludzi przed nimi, którzy zebrali doświadczenia, możność studiowania, takie czy inne rezultaty pracy i wszystko to oddali właśnie im do wyzyskania, jak siłę z Rożnowa otrzymają Tarnów, Radom i Warszawa, a energię z elektrowni w Porąbce Śląsk. Praca taka jest wydatna i zaznacza się w płacy. Praca innych już mniej wydatna. Współczynnik wiedzy, o jaki mogli pomnożyć jej rezultaty, jest mniejszy, do pracy zwojów mózgowych poczyna przyłączać się wysiłek mięśni. Im bardziej schodzimy w dół, w głąb wykopu, tym w całości pracy dalszych ludzi wysiłek mięśni zaczyna górować nad wszelkim innym. Wreszcie wysiłek zwojów mózgowych staje się minimalny. Nie zawsze jest to jednak wysiłek mięśni własnych, nie zawsze wysiłek danej chwili. Oto praca robotników ziemnych: ludzie ci nie mają dyplomów, nie można im nawet powierzyć

zakładania min, nie umieją obchodzić się ze świdrem poruszanym sprężonym powietrzem. W przeszłości zdołali jednak zaoszczędzić część swej pracy, uchronić jej owoc przed konsumpcją: kupili narzędzie, wóz. Wozem zwozi się tu ziemię. Ale ci ludzie uchronili jeszcze większy zapas pracy, zdołali go skapitalizować. Kupili konia. Za tych ludzi pracują ich mięśnie, ale pracuje jeszcze ich koń, służy im ich wóz. To wszystko będzie im policzone w codziennym obrachunku. Taki robotnik wytęża swe muskuły, ale wartość pracy, dokonywanej przez niego obecnie, pomnażana jest przez wartość pracy kiedyś już dokonanej, a włożonej dziś we własnego konia, we własny wóz. Wbrew pozorom, ten robotnik jest już tworem gospodarczopodobnym do inżyniera Francuza, choćby w tym nikłym, ale istotnym stopniu, w jakim dziecinny latawiec jest spokrewniony z olbrzymim junkersem. *Homo oeconomicus* w Rożnowie zaczyna się od właściciela wozu i konia, jak kiedyś i gdzie indziej, w noweli Sienkiewiczowskiej, zaczynał się od barona.

Tylko że jest jeszcze jedna, podziemna niemal, kategoria pracowników w wykopie. To ci właśnie, którzy tego konia i wozu nie

mają, a prócz mięśni i czasu nie mają nic więcej. A jest to prawie jedna trzecia tu zatrudnionych robotników. Pracują na akord, często po 12 godzin. Większość tego czasu pracują przy najniższej robotniczej stawce 35 groszy godzina, resztę czasu po 45, parę godzin nawet po 50. Powiecie, że jest to niska płaca? Oczywiście – ale w powiecie brzeskim, skąd przyszli, dniówka robocza na roli nie przekracza 90 groszy, i oto co oznacza przerzucenie ze wsi do przemysłu. Ci bezkonni i bezwoźni odczuli dotkliwie zbudowanie im przestronnych baraków. Odebrało im to przecież dodatek mieszkaniowy, z którego oszczędzali 30 groszy. Nie stołują się w garkuchni robotniczej, bo jest dla nich za droga. Nie mogą przejeść dziennie równowartości trzech godzin swojej pracy.

Ludzie rożnowscy są zróżniczkowani narodowo. Inżynierowie – to Francuzi, specjaliści techniczni – Niemcy, Anglicy, Polacy ze Śląska, urzędnicy z nadzoru – Polacy, robotnicy kwalifikowani – także. Wreszcie najniższa kategoria robotników, robotnicy ziemni, ci z koniem i wozem i bez nich, to przeważnie Poleszucy czy Białorusini zza Brześcia. Tak różnice kwalifikacji, pracy, płacy, jadła,

mieszkania, różnice przepastnie wyrażone w rozpiętości płac, utwierdza jeszcze różnica narodów.

Mr Dubois dowiedział się bodaj po raz pierwszy „*à Rogenouff*", że istnieje taki naród białoruski. Chłop z Wołczyna, tego samego, gdzie ochrzczony był Stanisław August, zapewne po raz pierwszy oglądał Francuza. A jednak mimo wszystko są więzy, które łączą pariasów i braminów Rożnowa. Widać to zawsze w dzień wypłat. Dzień wypłat wytrąca z równowagi życie całego osiedla. Po wzgórzach słychać pijackie okrzyki radości, parę karczm starych i parę nowych gospód, pierwszych instytucji, jakie zapoczątkowała budowa zapory, jest przepełnionych. Ludzie wędrują aż do Sącza, urzędnicy robią wycieczki do Krakowa. Złoty gejzer wycieka z Rożnowa dość szybko. Tamy, która by go zatrzymała, turbin, które by przemieniały jego energię na tworzenie nowych dóbr, nie ma. Tylko dwie kategorie nie mają tego dnia nadwyrężonego życia. Piękne wille Francuzów i żółty barak Białorusinów żyją tego dnia jak co dzień. Najwięksi bogacze i najwięksi biedacy Rożnowa kapitalizują z jednakim zaparciem. Mr Dubois ceni zbyt mało te rozko-

sze, jakie może mu dać pieniądz w Rożnowie albo i w samym Nowym Sączu, chłop z Wołczyna ocenia te rozkosze jako zbyt drogie.

Jest jeszcze inna racja zbliżająca jeden z największych narodów świata, który sobie i innym rzeźbił historię, do narodu-przedmiotu, narodu, któremu bieg dziejów odebrał, nawet w godzinie wyzwoleń 1918 r. odczucie wielkości chwili, którego ruch niepodległościowy wije się przędzą przetkaną przez wszystkie możliwe oddziały wywiadowcze i przez wszystkie możliwe nadużycia pieniężne. Oto zarówno inżynier francuski jak białoruski kopacz wiedzą dobrze, że ich zysk przy tej pracy wyraża się bez reszty w tym, co otrzymają przy wypłacie. Urzędnik i inżynier Polak, inteligent, rozumie, że współpracuje przy czymś, co jak Gdynia, jak Mościce, jak magistrala węglowa, jest nowym potężnym krokiem w postęp. Kwalifikowany robotnik Ślązak wie, że powstanie tu taka rzecz, jaką widział w Niemczech, na południu Francji, w Czechach, że gdy on spiętrzy tu wody, tam opadnie w domu rachunek za światło. Robotnik może i wie, że powstaje to po to, aby za Tarnowem wyrósł ciężki przemysł, nowe warsztaty pracy, nowe możności zatrudnienia.

Dla tych ludzi jest w tej pracy coś więcej jeszcze poza pensją i poza akordem. Ale światła z Rożnowa nie będą napełniały blaskiem neonów paryskich, Porąbka nie zelektryfikuje Wołczyna. Być może, że podświadomie Polacy uważają, iż proces kapitalizacji spełni za nich wzniesiona tu przegroda na rzece. Dość że pieniądze przeciekają przez ich ręce. Gromadzą się u Francuza, myślącego o nowych akcjach przedsiębiorstw, które kupi i które mu będą odrzucały zysk równie samoczynnie, jak samoczynnie będzie tu woda poruszała turbiny. Gromadzą się u Białorusa, który liczy, że swoją pracę zamieni w konia, wóz, ziemię, i że tym wszystkim będzie podwajał obecny zysk swego trudu.

Ten chłop spod Wołczyna w Rożnowie podhalańskim – któż to taki? Mały sknera? Nędzarz z duszą Harpagona, proletariusz z nastawieniem drobnoburżuja? Zdaje się, że nie. Oto odprysk rozgniecionego nieszczęściem, ale i własną niezdolnością narodu. Początki jego wierzchniej, inteligenckiej, kierowniczej warstwy nie umiały go ochronić, zgotować mu lepszego bytu, przynajmniej w początkowych etapach. Dziś pod Rożnów ten człowiek przyszedł

sam. Oszczędza w sposób najbardziej drakoński i najbardziej heroiczny w świecie. Nędzarz jako człowiek i nędzarz jako naród, dobrowolnie nagina się do norm świata opartego na pieniądzu. Ze swymi groszowymi zarobkami staje tu do wyścigu kapitalizacji z Francuzem, Niemcem, Polakiem. Syn wsi, której gospodarka jest może – obok hiszpańskiej czy albańskiej – najbardziej nieproduktywna w Europie, przyjmuje nowe formy pracy. Z przysłowiowo leniwego niezdary, niedzielnego opoja, pierwotniaka, robi się ciułaczem, jakich nie zna świat. Łopaty Białorusów wdrążają się dzień i noc w szary ił wykopu. Przygotowują miejsce dla betonowych masywów zapory. Wydaje się, że pod Rożnowem dokonuje się coś więcej jeszcze: najmniej skrystalizowany, najmniej osobowy z ludów w Polsce przekopuje tu cały system swego bytu, przestawia się na inne zadania, wykształca w sobie z dawnych wad społecznych nowe wartości gospodarcze. Tam gdzieś w Mińsku jest akademia białoruska, gdzieś w Wilnie jest gimnazjum, są szkoły białoruskie, gdzieś nurtuje komunistyczna propaganda. Tu w Rożnowie jest białoruska „praca od

podstaw". Tu są jej podświadomi Świętochowscy, Prusowie, Lubeccy, nie z rozumu, nie z wiedzy, ale z instynktu. Tylko tu stawiane są prawdziwe podstawy tego, co w mistycznym eufemizmie „Białoruskiej Krynicy" nazywane jest dzisiaj „domem białoruskim". – Masa polska stanęła w półdrodze. Najwięcej zarabiają Francuzi, najwięcej kapitalizują Białorusini, najwięcej wydaje, konsumuje ona. „Za nią" niech robi to państwo.

Trzeba odwrócić oczy od tych wielkich dolin, od gór, między którymi zalegną tafle dwóch olbrzymich jezior, zgromadzą się dwie olbrzymie masy wód. Trzeba zapomnieć o olbrzymim taborze wagoników, o masach przemielonego betonu, o tym, co tutaj imponuje. Bo ostatecznie! Ostatecznie w Porąbce pracuje dziś czterystu, w Rożnowie tysiąc pięćset ludzi. Siły tych ludzi, użytkowane przez kilka lat, dadzą nam elektryfikację dwóch najważniejszych centrów przemysłowych, przy czym jedno z nich niemal stworzą. Zelektryfikują stołeczny węzeł kolejowy, wieś podhalańską. Kilka tysięcy robotników, zatrudnionych przez kilka lat, zrobi aż tyle. Ale w Polsce jest nie parę tysię-

cy, ale dziewięć milionów ludzi, których praca jest mała lub żadna. I w porównaniu z tym Rożnowy i Porąbki są nieskończenie małe. To tak jakby wyzyskiwały jedną setną tej masy wód, która spływa Sołą i Dunajcem ku Wiśle, jedną tysięczną, a reszta jakby płynęła sobie dalej, po staremu zalewając pola, znosząc z prądem powodzi domy.

„Wiadomości Literackie" 1936, nr 41.

Żółci ludzie z Łodzi

Człowiek, który miał mnie tu spotkać, zatrzymał mnie w drodze, gdy szedłem, zapytał, czy ja to właśnie jestem ja, po czym poinformował krótko, że znowuż on to jest właśnie on. Powiedział mi także, że wiedząc którędy będę musiał przejść, wolał spotkać mnie tu na „podpunkcie". Nie bardzo wiem, co to jest „podpunkt" – spotyka się to słowo w sprawozdaniach z procesów komunistycznych, ale pierwszy raz widziałem endeka mówiącego o podpunktach. Nie wiedziałem i nie wiem dziś jeszcze o nim więcej jak to, że mnie z nim skontaktowano, że zajmuje poważne stanowisko w łódzkim bojowym aktywie, że prowadzi na tym terenie robotę. W chwili gdy to piszę przypominam sobie, że „aktyw" i „robota" to także słowa z nieendeckiego zaczerpnięte słownictwa, ale że słyszałem je teraz wielokrotnie właśnie z ust endec-

kich i że do tych ludzi, których spotkałem w Łodzi, słowa te pasowały.

Tego dnia poszliśmy razem wolnym spacerowym krokiem niedzielnych przechodni. Potem siedliśmy do tramwaju i miałem go dłuższą chwilę, milczącego, naprzeciw. Był niewysoki i nieniski, nieszczupły i niegruby. Wyciągnął przed siebie na kolana ręce krótkie, niezdarne, ciężkie. Był zupełnie nijaki. Widziałem różnych agitatorów, działaczy, zgoła hien roboty partyjnej i burdziarzy. Nigdy nie spotkałem wśród nich człowieka, z którego emanował tak wielki, tak zupełny spokój, tak w sobie zwarte najmocniej opanowanie, tak różne od tego, co mówił. Czy to on rzucał bomby do sklepów łódzkich, zakładał petardy, których eksplozja zgasiła życie ludzkie? Może on, może nie on, ale to pewne, że o tych rzeczach ten człowiek musiał chyba wiedzieć bardzo dobrze. Dużo potem, po południu, gdy byliśmy w polu, mówił o tych zamachach, przed którymi drżała Łódź, swoim spokojnym, niemal flegmatycznym głosem, z obiektywizmem poprawiania wadliwie przytoczonych szczegółów, nieścisłych okoliczności. Nie było w nim znać wtedy żadnej radości ani też, rozumie się, żadnego wstydu.

Ten człowiek szedł i działał czy kazał innym działać na chłodno, pracował na zimno, jego czynności miały nieuchronny i równy bieg wagonów pchniętych lokomotywą na tor.

Człowiek chciał mi najpierw pokazać wzorowe „osiedle Mireckiego", to, co, jak mówił, dał „zwycięski polski socjalizm największemu robotniczemu miastu". Jest to na zadrzewionych krańcach zespół kilkudziesięciu dużych piaskowych bloków mieszkalnych, wybudowanych na wzór wiedeńskiego Marxhofu czy Wiener-Neustadt, przenoszących robotnika polskiego z nor i suteren do kulturalnych mieszkań z łazienkami i tuszami. Człowiek pytał ludzi z administracji, kto w nich mieszka. Dowiadywaliśmy się, że pod szóstym mieszka aż trzech lekarzy, pod drugim czterej urzędnicy z magistratu, pod ósmym ci z izby skarbowej. Potem człowiek poszedł sam, zaprowadził mnie do jednego z mieszkań. Była to typowo kawalerska garsonierka. Człowiek zwrócił mi uwagę na nazwiska brzmiące żydowsko, których zresztą było bardzo niewiele, i na istotną mnogość urzędników. Szliśmy ulicami spełnionej przez socjalizm obietnicy, ulicami Perla i Praussa, ulica-

mi Mireckiego i Barona. W nazwach ulic odbijał się pobrzęk żandarmskich butów na nocnej kiedyś rewizji i skrzyp szubienic. Nazwy ulic były jedynym tonem bohaterstwa i jedynym tonem proletariackim w osiedlu imienia Montwiłła-Mireckiego.

Człowiek z tego wszystkiego nie powiedział mi od siebie właściwie nic, a tylko mnie na to wszystko celowo, systematycznie naprowadzał. Świat robotniczy nie doszedł do swej ziemi obiecanej albo zastał ją przez innych zajętą. Naprawdę świat robotniczy się wycofał. Oto hałdami przeszliśmy kilkaset kroków do położonej w dole Starej Mani. Tu są domy niesymetryczne, źle sklecone, tandetne. Człowiek pokazywał mi przed chwilą surowy dostatek mirecczyzny, niebieskie „pergole" na dziedzińcach, ale też obdrapane ich belki, podeptane klomby ogródków bezpańskich, niczyich, bo wspólnych. Stara Mania jest dzielnicą robotniczą, biedną, ale nie nędzarską jeszcze. Liche domki otaczają wypielęgnowane ogródki, bielone wapnem płoty ulic brzmiących wiejsko i sielsko: Jarzynowa, Grochowa, Solec. Za naszymi plecami wznoszą się nad tym wszystkim bloki minionego już osiedla „robotniczego", które robotnicy oglądają od

Starej Mani. Bloki wyglądają imponująco, jak wysoki mur zamczyska. Stąd widać, jak nad płaskimi dachami osiedla sterczy cała gęstwa antenowych prętów. Drutami idącymi do tych prętów powiązane jest osiedle z wielkimi falami płynącymi przez eter. Tymi prętami osiedle Mireckiego łowi codziennie Berlin, Moskwę, Warszawę, Londyn, Paryż i świat. Może zresztą łowi najczęściej „Wesołą falę" i muzykę z płyt. Nad domkami Starej Mani nie ma żadnych anten ani drutów. Jej ludzie chwytają tylko te prądy podziemne, dla których nie trzeba selektorów czy anten.

Kiedyś oglądałem prawzór łódzkiego osiedla, wiedeńskie domy robotnicze, wystawione innemu proletariatowi, który chciał socjalizmu bez Sowietów. Mury tych domów głosiły dumnie, że zbudowała je za podatek od kamienic, Gemeinde Wien. Socjaliści jeszcze rządzili w Wiedniu, ale w wielkim pierścieniu osiedli robotniczych odwiedzałem już wtedy inteligentów, urzędników, pracowników prywatnych. Potem oglądałem w Warszawie wielki postępowy blok mieszkań robotniczych. Odwiedzałem w nim jednak nie zecera, ale urzędnika, dla ścisłości, urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych. Osiedle

Mireckiego dzieli los swoich braci rodzonych i cudzoziemskich. Eldorada kalkulowano na inne płace robotnicze, płace, które nie przyszły lub odeszły. Do pustych domów wlała się szeroka fala spauperyzowanych inteligentów, którzy te stawki komornego mogli przecież płacić.

– Tu pan miał socjalizm.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Tu mam dziecięcą chorobę socjalizmu, pierwszy, na czworakach jeszcze, stawiany krok. Mam niepowodzenie, ale nie klęskę. Pan sam wie, że nie klęskę. Pan widział w Łodzi pierwszy maja i pan widział wasz trzeci maja.

Pierwszego maja w Łodzi demonstrowały olbrzymie masy ludzi. Trzeciego maja przejście pochodu nie trwało dłużej niż trzy kwadranse. Trzeba pamiętać, że w Łodzi mierzy się corocznie w tych dniach siła natężenia dwóch ruchów: socjalizmu i nacjonalizmu.

Człowiek patrzył się na mnie spokojnie i powiedział, że wie. Widział. Ale to nic nie znaczy.

– Jak to, to nic nie znaczy?

– To nic nie znaczy, proszę pana, i nic nie znaczy z bardzo wielu przyczyn. To nie był

pochód polski. Nie chodzi mi o to, że to był pochód żydowski, i tego też panu, jako najważniejsze, nie powiem. Ty był pochód sowiecki. Oto co.

– Dlaczego sowiecki?

– To był pochód sowiecki, bo wszystkie hasła, jakie w tym pochodzie niesiono, były hasłami sowieckimi. „Front Ludowy". Pan pamięta, jak oni się kiedyś żarli? Plakaty na cześć ZSRR. Na cześć Hiszpanii. Przeciw Niemcom. Na cześć czerwonej Francji. Przeciw Włochom. Portrety Lenina, Róży Luksemburg, Largo Caballera.

– Były to hasła robotnicze i oświatowe.

– Właśnie. Jak by pan się tymi rzeczami zajmował, to by pan wiedział, że każdy ruch polityczny ma dwie serie haseł. Ma hasła klasowe, społeczne, odpowiadające najprostszym interesom życiowym tych, których chce pozyskać, ma hasła polityczne, które ma dla siebie. „Wspaniały", „imponujący" pochód pierwszomajowy w Łodzi miał za hasła polityczne wszystkie polityczne hasła sowieckie. I to jest najważniejsze. A to, czy ludzie, którzy nieśli te transparenty, należą do „fraków" czy „pepesowców", to w rezultacie jest wszystko jedno. To są ludzie, którzy już dziś, jak te radia, grają melodię stamtąd.

– Tym gorzej.

Człowiek powiedział, że nie, że tym lepiej. Potem długo mówił. Nakreślił krótki szkic politycznych dziejów Łodzi. Ognisko socjaldemokracji sprzed wojny czysto klasowego, przeciwniepodległościowego ruchu robotniczego. Ciężka sytuacja PPS. Człowiek twierdzi, że znajdzie mi ludzi, co mi opowiedzą, że gdy Piłsudski kiedyś tu przed wojną przemawiał, wyśmiewano go. Po wojnie odrodzenie PPS. Liderzy socjaldemokracji (SDKPiL) odeszli do Rosji. Komunizm podziemny, nielegalny. Socjaliści budują swoje mirecczyzny. Potem nowe nadzieje związane z przewrotem majowym. Socjaliści w pierwszym szeregu. Potem zawód i wstrząs, ale jeszcze „słabizny nadziei" we „frakach". Potem kryzys, obrona podstawowych warunków bytu. PPS bardzo silnie rozwalana z zewnątrz... PPS podminowana przez komunistów albo, raczej nie, przez własnych młodych. „Oni lepiej znają Marksa niż dawni" – powiedział mi. Aż wreszcie wielkie zmiany 1935 roku, zmiany, które przyszły wtedy i wtedy otwarły perspektywy dużo większych jeszcze zmian, gdy jednocześnie do wszystkich form dawnego socjali-

stycznego polskiego ruchu zapanowało kompletne rozczarowanie...

Wtedy dodał uwagę: „Polskiego politycznie. O tyle, że wiązał się naprawdę z państwem polskim. Żydów w nim było dużo, to druga rzecz..."

– ...i tak widzi pan – kończył. – Pierwszy maja był bardzo wielki i bardzo imponujący. Był to pierwszy maja tak sowiecki, jak nie był w parę lat po wojnie samej, gdy szczątki dawnej SDKPiL posiadały tu siły. A to, że był sowiecki, decyduje w Polsce o jego przyszłości.

– Wasz trzeci maja był słaby. Urządziliście go pod hasłem antysemityzmu. Wasza większość w wyborach do samorządu rozchwiała się ostatecznie. Dziś jej nie macie.

– Tak – powiedział człowiek – nasz trzeci maja był słabszy. Nasze zwycięstwo samorządowe zostało nie wyzyskane i załamało się. To była nasza wina.

– Dlaczego?

– To była nasza wina. Ludzie wysunięci przez nas byli wybrani do rady miejskiej przez ludzi młodych, którzy na nich agitowali, przez ludzi biednych, którzy na nich głosowali. Ludzie wybrani nie byli młodzi ani proletariusze. Ludzie ci nie potrafili wykonać ani jednej rze-

czy, która by mogła im zaskarbić właśnie młodych i właśnie biednych. Na przykład nagroda literacka. Co z tego, że jej nie dadzą Żydowi. Co z tego, że ją weźmie Rostworowski albo Weyssenhoff. Co to powie masom? Bardzo mało. Masom by powiedziało, gdyby przyznać nagrodę młodemu autorowi, który opisze życie i walkę proletariatu polskiego w Łodzi, jego zmagania z zalewem żydowskim. Masom by powiedziano, żeby żadnych nagród, żadnego wyrzucania pieniędzy nie robić, a dać całą nagrodę polskim bezrobotnym, a najlepiej przeznaczyć ją na rzecz ofiar Żydów. Oto co by przemówiło do mas!

– Demagogię można stosować w czasie wyborów, ale chyba przyznacie, że nie stale.

– Nic nie przyznam! Przede wszystkim, co to jest „demagogia"? To tak jak demokracja, z greckiego ustroju pochodzi i z nim się wiąże. To lud i to lud. Demagogia to sposób przemawiania do ludzi tak, żeby zrozumieli, najprostszy sposób wyłożenia zawiłych zagadnień, zainteresowania ich sprawami, którymi by się inaczej nie interesowali. Bez demagogii robotnik pozostałby ciemny. Demagogii nie można stosować na stałe. To właśnie mówił nam jeden z naszych „mecenasów" po wyborach. On my-

słał, że się wszystko skończyło na świecie, kiedy ruch narodowy zdobył mu w Łodzi mandat do rady miejskiej! Ładnie on się dziś ma, ten, co mówił, że demagogii nie można stosować na stałe. I z tą konstytucją...

Człowiek nie mówił o konstytucji Sławka. Mówił o *Konstytucji trzeciego maja.* Był to jedyny raz w rozmowie, kiedy ręce latały mu w gestykulacji:

– Proszę pana – mówił – trzeba zrozumieć. Trzeba zrozumieć to, co w Niemczech, to, co wszędzie zrozumiano. W Polsce trzeba polskiego święta pracy. Trzeciego maja na święto pracy można było zamienić, póki element robotniczy, uświadomiony narodowo, to był element drobnomieszczańsko-robotniczy z różnych związków chadeckich. Gdy to był element małpujący inteligencję, jak inteligencja małpowała szlachtę. Ale w całym trzecim maju, z jego królem w peruce, magnatach i francuskich damach w loży, pan nie ma nic dla naszego człowieka. Nic!

Widocznie się z nim o to sprzeczano, widocznie te słowa uważano za wielką herezję, że mówił to tak zapalnie. I jeszcze raz powtórzył:

– Nasz ruch nie wyzyskał ani swej niedawnej przewagi liczebnej, ani swego liczeb-

nego zwycięstwa i w pochodach trzeciomajowych zaznacza swój upust sił. Ale to dlatego, że między naszymi wodzami a naszymi masami, naszymi hasłami a naszymi aspiracjami, między starym elementem, który ruch narodowy miał w Łodzi, a nowym elementem, który jego kadry wypełnił, nastąpiła olbrzymia wyrwa. Tamci nie rozumieją tych.

– Na czym polega ta wyrwa? – zapytałem.

– Wyrwa – powiedział – to to, że narodowcem jest najpierw w Łodzi pan doktor, pan kupiec, pan mecenas. Potem idzie nowy narodowiec. Ten narodowiec to jest bezrobotny.

– Bezrobotni nie są komunistami?

– Każdy w Łodzi panu powie tak: i wśród bezrobotnych są komuniści, ale olbrzymia większość bezrobotnych polskich, oczywiście, to narodowcy. Nowi narodowcy.

– Dlaczego? Kilka lat temu bezrobotni byli silnie skomunizowani.

– To prawda. Ale wtedy komuna walczyła z socjałami, a nie szukała zgody. Dzisiaj jest odwrotnie.

– Jakiż to może mieć wpływ na poglądy bezrobotnego? Powinien chyba czuć się bliżej drugiej części proletariatu, która już i politycznie staje mu się bliższa obecnie.

Człowiek pomyślał chwilę.

– Czy pan wie, jakie sobie zadania stawia socjalistyczna partia wobec robotnika? – zapytał.

– Broni jego praw – powiedziałem.

– Aha, praw jego klasy. Otóż nie. Ale proletariat to dziś nie jedna, ale dwie klasy. To klasa bezrobotnych i klasa robotników. To klasa, która ma pracę i stara się ją ochronić i lepiej opłacić. I druga, mnożąca się klasa, która pracy nie ma i pracy tej szuka. Dawniej jeszcze te dwie klasy były silniej złączone: bezrobotni składali się z ludzi, którzy niegdyś byli robotnikami. To była zdeklasowana część robotników. Ale po siedmiu latach kryzysu przyszli ludzie, którzy nigdy nie mieli pracy. Niedługo, a przyjdzie zastęp dziedzicznych, z ojca na syna bezrobotnych. Bezrobotni staną przed fabrykami, gdzie pracują inni, gdzie inni biją się o krótszą dla siebie pracę i lepszy zarobek. Bezrobotni stają przed fabrykami, które strajkują, aby uzyskać lepsze warunki pracy, podczas gdy oni nie mają żadnych. Na Bałutach pracujemy po osiemnaście godzin na dobę. Czy pan sądzi, że może być mowa o wspólności interesów między takim nędzarzem a tym, co chce pra-

cować na dobę tylko sześć godzin? Ten proletariat, który urządza „strajki polskie", ma za sobą zjednoczone dziś wysiłki dwóch starych partii politycznych. Ten proletariat, który pracuje po osiemnaście godzin, jeśli w ogóle pracuje, nikogo jeszcze nie ma. Prócz nas...

„Mob z tymi był trudny."

Słowa te zostały powiedziane przez innych jeszcze ludzi, innych, a tych samych, z którymi po południu byliśmy na przedmieściach. Było to to samo niedzielne popołudnie, wyszliśmy byli w bok od Bałut, staliśmy na wzgórku, mając przed sobą pola porżnięte wyrwami glinianek, popstrzone dachami domów. Przed nami jak pole bitwy była Łódź płaska i niska; za nami nowy kościółek Marysina. Słowa odnosiły się właśnie do ludzi z tych domów, w prawo od Bałut, między nami a zielonym zakosem toru kolejowego. Mówiąc o nich, moi rozmówcy mówili o mobilizacji. Tych ludzi zmobilizować, rzucić trzeciego maja na Piotrkowską było trudno. Ci ludzie byli bezrobotni.

Ci ludzie byli bezrobotni, i oto wielka rzecz w obrazie Łodzi, która wzbierającym ruchem nacjonalistycznym dziwi nie tylko Hemara.

Obecna walka najzupełniej zrozumiała, dążąca przez umowy zbiorowe o zagwarantowanie jednolitego poziomu płac, zapewnienia wszystkim dziś pracującym pośredniej gwarancji, że i nadal pracę zachowają, ta walka jest obca, a zaczyna być wroga całym masom ludzi, które my wciąż określamy terminem wspólnym dla całego „proletariatu", a które gospodarczo, a częściowo już i politycznie, wypadły z jego ram. Istnieje wielka klasa pracujących, która dopomina się o dalsze rozszerzenie swych praw, która ponownie będzie szturmowała do osiedla Mireckiego, skąd ją wyparto, która będzie żądała więcej szkół, wyższych płac, mniej pracy, która będzie wołała o swój rząd robotniczo-włościański, jak kiedyś burżuazja chciała rządzić przez swoich ludzi. Rośnie druga klasa bez pracy i bez praw, klasa, która jeśli ma pracę, to ta praca wyjęta jest spod wszelkich ustaw socjalnych, i musi być wyjęta, bo to się dzieje za zgodą samych ludzi chcących pracować, aby w ogóle nie umrzeć z głodu. Wszystko toleruje tę klasę. W Łodzi istnieje przemysł anonimowy. To taki przemysł, który za gotówkę kupuje surowiec, daje go przetkać po domowemu albo w wielkiej fabryce, potem nie mniej anonimowo go sprze-

daje, nie płacąc żadnych podatków, żadnych świadczeń. Uskarżają się na to fabryki, bo stwarza to nierzetelną konkurencję, ale fabryki biorą od niego zamówienia, byle w czasie kryzysu utrzymać ruch. W Łodzi, podobnie, istnieje cała anonimowa klasa ludzi, bezrobotnych całkowicie, nie zauważona przez socjologów, nie broniona przez polityków, nie objęta żadną ludzką normą i żadną formą organizacji. Być może, że jest to dziwaczny nowotwór społeczny, który rozpłynie się w reszcie organizmu. Tak jak dziś jest jednak, jest to klasa społeczna osobna, klasa społeczna w momencie swego stawania się klasą. Jak robotnicy przed laty pięćdziesięciu, jak mieszczaństwo rewolucji francuskiej.

„Mob z tymi ludźmi jest trudny."

Na przedmieściach Łodzi widzi się krzyże i obrazy na drzewach. To miasto wchłonęło w siebie pola i drogi polne, kładąc domy, gdzie były łąki, pozostawiając tylko drzewa i krzyże przydrożne. Czasem na przedmieściach Warszawy widzi się to samo. W niedzielę za miastem widzieliśmy ludzi z miasta, którzy wyszli nie po to, aby się na trawie położyć bez ruchu, ale po to, aby wyjść i patrzeć długo na pole. Tego mieszczuchy, póki

nie ma bławatków, nie robią. To tylko dawny wiejski człowiek, wygnany do miasta za pracą, tak wychodzi sobie za przedmieścia popatrzeć, czy dobrze wschodzi tej wiosny. Taśma ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjnie roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś. W Łęczyckiem. Częstochowskiem, Kaliskiem i Łowickiem przeludnienie agrarne, brak ziemi do parcelacji w ogóle dosięga szczytu. Na płaskiej ziemi widne z daleka kominy Łodzi – ciągną. Ludzie łódzcy i wiejscy błąkają się obco po ulicach wielkiego miasta, wokół fabryk, gdzie inni walczą o lepsze warunki pracy, o szkoły, o rzeczy, które dla nich będą dopiero dalekim etapem walki. „Tych ludzi zmobilizować trudno."

Tych ludzi jeszcze teraz zmobilizować trudno. Robotnik, przyzwyczajony do wstawania na określoną godzinę, bo go woła fabryka, stanie regularniej w pochodzie majowym wśród kolegów z tej samej fabryki. Robotnik wdrożony jest do organizacji partyjnej, lata związków zawodowych, prasa klasowa urobiły go solidarnie i karnie. Tu „mob" nie jest tak trudny do przeprowadze-

nia jak „mob" ludzi ze wsi, nawykłych do pracy nie liczonej godzinami, jak „mob" rozwłóczonych bezrobotnych, ludzkiego żelaziwa rdzewiejącego z braku pracy, niezdatnego na nic. Patos „owej chwili radosnej, gdy senat i posły... zgodzonego z narodem króla fetowali", to patos bardzo obcy tej nowej klasie społecznej. Nie zdoła jeszcze przemówić, nie ma swego hymnu, swego wodza, swego ideału, swego święta, swego godła. Zapożycza to wszystko od partii mieszczańskiej i inteligenckiej, od niedawna dopiero nasycającej się tak silnie elementem ludowym. Ale wzrasta z każdym rokiem i dniem kryzysu.

Wydawać by się mogło paradoksem, a jednak jest faktem, że dziś ustanie bezrobocia, ustanie kryzysu pracy w Polsce, likwidując bezrobotnych z urodzenia, wlałoby tę klasę z powrotem do szeregów klasy robotniczej, zasymilowało do tych ludzi, którzy w świątecznych odzieniach nieśli po Piotrkowskiej oblicza Caballera i Lenina. Wzrost zatrudnienia i dobrobytu wzmógłby, nie osłabił wpływy marksizmu, wpływy komunizmu. Ruch narodowy, tj. nacjonalistyczny, przywykliśmy widzieć po prawej stronie barykady. W Łodzi, wszędzie, gdzie bezrobocie na-

brzmiewa najsilniej, wszędzie, gdzie jedni wołają o lepsze warunki pracy, inni nie mają jej wcale, nacjonalizm przelewa się na drugą stronę barykady. Klasa zorganizowana proletariatu starzeje się społecznie, jak między 1789 a 1870 zestarzała się burżuazja. Nacjonalizm dzisiejszy, nacjonalizm starszych panów i młodych inteligentów, nie umie sytuacji tej należycie wyzyskać.

„My jesteśmy żółci ludzie z Łodzi."

Musiano mi wytłumaczyć, co znaczą te słowa łódzkiego bezrobotnego. „Żółci ludzie" w nomenklaturze łódzkiego człowieka to byli kulisi, marnie opłacany proletariat chińsko-japoński, który niegdyś pracował w San Francisco, konkurując z proletariatem białym. Jak wiadomo, ci „żółci ludzie" zostali usunięci na żądanie przedstawicieli partii robotniczych. Ten, co mi to mówił, nie miał żadnych zainteresowań politycznych. Był kiedyś we Francji i wiedział, że tam robotnik polski czy włoski jest także „żółtym ludem" i że zgoła go nie bronią, a raczej dążą do jego usunięcia francuskie partie robotnicze. Spotykał się z Westfalakami i Saksami, spotykał z wracającymi z Danii i wiedział, że wszędzie robotnik polski jest „żółtym ludem" i wszędzie go wydalają.

„Żółty człowiek" teraz jest w Łodzi. Tu dalej jest „żółtym człowiekiem". Chodzi wokoło fabryk nie dla niego, pracy nie dla niego, praw nie dla niego, organizacji nie dla niego. Z wolna zaczynają się w nim budzić przebłyski, że jest osobną, inną klasą. I ze swego nędzarskiego niżu może, on jeden w Polsce, patrzeć z drwiącym uśmiechem na tych, co o sobie śpiewają w pochodzie: „Wyklęty powstań ludu ziemi..." On może zapytać: „Kto tu bardziej ode mnie wyklęty?"

Polityka partii robotniczych, najzupełniej klasowo słuszna, umacniając pozycje pracującego proletariatu, pogłębia, betonuje nowymi prawami rów między dwiema częściami ludu. Każda nowa zdobycz ten rów pogłębia. Ku proletariatowi zorganizowanemu i mającemu pracę wyciągają dziś ręce inteligenci, pracownicy umysłowi, pragnący, aby i dla nich scementował ich prawa, umocnił pozycje, zachował posady. Otóż to. Jest to dziś działalność przede wszystkim obrończa i zachowawcza, konserwatywna. Tym, którzy niczego nie mają, którzy znajdują się w sytuacji proletariatu z 1848 roku, może odpowiadać tylko polityka zdobywcza, burząca, rewolucyjna. To nie oni będą kroczyli w pochodach. Ale tylko oni będą rzucali bomby.

Człowiek, który mi Łódź pokazał, poprowadził mnie na sam dworzec, wszedł na peron. Myślę, że kiedyś jechałem z komunistą rosyjskim przez Rosję, który mówił mi, że jest w Polsce miejsce święte świętych rewolucji komunistycznej, ojczyzna męczennicy Róży Luksemburg, kraj bohaterów 1905 roku – Łódź. Nigdy mi w Polsce nikt nie mówił z takim ciepłem o Łodzi, co człowiek w pociągu Kursk–Moskwa. W ZSRR pisze się o Łodzi wiersze. A oto teraz nie wiem, kto bliższy jest dzisiejszej prawdzie Łodzi, oni czy ten człowiek, który stoi przed oknem wagonu i mówi mi coś jeszcze, jeszcze i jeszcze. Że jego ruch się dźwiga, że jego ruch te masy wyzutych ze wszystkiego ujmie w cembrowinę organizacji, że z nich czerpie dziś swe kadry, że nimi walczy, że nic go nie złamie, że od Łodzi zacznie, że ma wieś. Myślę, że Łódź jest jak te świątynie, którym ręka zdobywcy może zamienić Ewangelię na Koran, krzyże na półksiężyce, a w miejsce strącanych sierpów i młotów nowe, nie znane nam jeszcze, postawić godła.

„Wiadomości Literackie" 1936, nr 25.

Ślubowanie

Znacie taki obrazek, tani, pocztówkowy a miły, Wojciecha Kossaka, dzieci lwowskich z obrony Lwowa? Jest chłopiec w za dużym szarym szynelu, nachylony cały nad karabinem, stoi nad nim młodziutka dziewczyna ładująca inny karabin, są groby i brzozy cmentarza Łyczakowskiego, śnieg poplamiony rudą krwią i błotem, a oni wypatrują coś przed sobą szerokimi, dziecinnymi, zdziwionymi tą śmiercią, która w ich rękach i w ich karabinach skurczyła się w mały kawałek ołowiu, oczami? Więc teraz tacy sami chłopcy i akurat takie same dziewczęta wysypują się z wagonów ustawionych szerokimi rzędami po wszystkich torach za małej na nie stacji. Wysypują się, jak to się widzi z żołnierzami na manewrach, niekiedy nawet formują się w szeregi i wtedy dopiero ruszają dalej. Jest może zaledwie trzecia rano na tej stacji, którą o tej porze mijają tylko

zaspane dalekobieżne pociągi. Teraz takich pociągów nadzwyczajnych, jak ten, co właśnie nadszedł, przybyło lub przybędzie jeszcze dwadzieścia jeden. Na dworze już zupełnie jasno, tylko nie ma słońca i nie ma ludzi na ulicach. W to śpiące miasto, grupami, kupkami, gromadami, wchodzą teraz ci młodzi, jeszcze raz jak jakieś wojsko obce, wkraczające do opustoszałego miasta. Jakieś sztandary zwinięte i okryte pokrowcem przewozi dorożka. Spod dworca wypływa coraz więcej ludzi. Z mostu przerzuconego nad torem widać nowe zajeżdżające pociągi.

Ten tłum, który mnie ogarnia i mija, składa się z twarzy szarych ze zmęczenia i bladych. Ale to nie tylko noc spędzona w wagonowym tłoku. Pod ubraniami odgaduje się piersi wklęsłe, niezdrowe, ramiona nieobrosłe mięśniami, plecy wcześnie zgięte. Odgaduje się złe odżywianie i biedę, życie nie tylko biedne, ale wadliwe. A oto, co dziś jest w Częstochowie, to naprawdę największe, jak Polska Polską jeszcze nie spotykane, skupisko młodzieży akademickiej.* Tylu razem nie było ich jeszcze

* W czerwcu 1936 r. odbyła się Pielgrzymka Młodzieży Akademickiej na Jasną Górę. Organizowana przez koła oenerowskie.

nigdy i nigdzie. Można więc dokonać przeglądu młodego inteligenckiego pokolenia, ale ten przegląd nie wypada wesoło. Nie trzeba być lekarzem, nie trzeba być oficerem z komisji uzupełnień, nie trzeba było być w Niemczech, Czechach, Austrii, wszędzie na Zachodzie, widywać tam takimi samymi wczesnymi niedzielnymi rankami wysiadające tłumy młodych ludzi idących na wycieczkę. Tamte rumiane, młode twarze, tamte postacie smukłe, wystrzelające w górę, wyprostowane w strunę, markowana krokiem sprężystość kolan, harmonijny, sportem urobiony ruch silnych ramion, znaczą przerażającą fizyczną różnicę, jaka dzieli naszą młodzież od młodzieży całej niemal Europy. Wszystko, co widywało się za granicą, mówiło o trzecim dziesięcioleciu powszechności sportu, o rannej gimnastyce, o coniedzielnych wycieczkach, o nartach, górach, morzu, słońcu i skautingu, o bieżniach i boiskach, o wielkich elipsach stadionów. Wszystko, co się widzi tutaj, mówi nie tylko o biedzie, mówi o życiu złym, źle zorganizowanym, nieumiejętnym, mówi o braku wszystkiego tego, co szeroko było dane tamtym. Przypomina się wtedy, że chłopcu na obrazku Kossaka i dziewczynie, co ładuje karabin, nie

zbywało na bladości i zapadłości policzków, że to, co się tak jasno paliło w ich oczach, to może była nie tylko heroiczna gorączka walki, ale smutniejsza gorączka suchot. Tylko że wtedy, w 1918 roku, staliśmy dopiero na progu nowego, własnego życia. Teraz odeszliśmy już od tego progu daleko. Lwowski listopad zamienił się w legendę. Blade, mizerne dziewczyny, niezdrowi, cherlawi chłopcy nie przeszli, niestety, do legendy.

Do legendy, książki z obrazkami i filmu nie przeszli także, jak się okazuje, inni jeszcze chłopcy. Oto wśród tego tłumu, spływającego od dworca, migocą nagle szamerowania złote i srebrne, pętlice i naszywki, mundury czerwone jak maki, niebieskie, ciemnozielone, białe, z szarfami i wstęgami przez pierś. Wygląda to jakby w jakimś kinie na przedmieściu weszli nagle w tłum widowni bohaterzy ekranu, bohaterzy jakiegoś amerykańskiego filmu o gwardzistach wielkiej księżny Gerolstein, huzarach, króla Panonii, kirasjerach Monaca. Pawie pióra i pawie barwy zgubione na chłopskim podwórzu. Porównanie z królestwami imaginacyjnymi nie jest takie nieścisłe. Arkadia, Demetria czy Akwilonia z korporanckiego spisku to nazwy, którymi reżyseria filmowa

mogłaby śmiało zastąpić swoje również nie istniejące Panonie i Astorie. Kilkadziesiąt polskich burszenszaftów wystąpiło w Częstochowie z niebywałym przepychem już nie dekli, ale mundurów. Ci ludzie opięci jak prawdziwi huzarzy, wcięci w pasie jak osy, noszą jakieś ogromne rapierzyska z gardami z aksamitu. Sztandary korporacyjne ze wspaniale wyhaftowanymi herbami, herbami dzielonymi na szereg pól i poletek, jak w heraldyce niemieckiej, lśnią jeszcze wspanialej niż mundury. Zastanawiam się, czy pod tymi szamerunkami i złocistościami, szarfami i pętlicami kryją się przynajmniej lepiej zbudowane klatki piersiowe. Niestety, mam wrażenie, że niejeden mundur sztukuje grubą warstwą krawieckiej waty niedostatek rycerskich mięśni, smętne ubóstwo bicepsów.

– Obóz idzie!

Przechodzień ustępuje automatycznie na te słowa, wypowiedziane nie krzykiem, ale głośnym rozkazem. Istotnie ulicą wali ósemkami kilkudziesięciu ludzi. Mieczyki Chrobrego błyszczą w klapach.

– Niech żyje Obóz Narodowy!

– Niech żyje. Niech żyje.

To jeszcze nie jest entuzjazm tłumów. Jest

zresztą piąta rano. To ci z tej młodzieży, którzy jedni przybyli tu zorganizowani i karni. Odpowiadają im tylko inni zorganizowani. Oddział kroczących przecina niegęsty tłum krótkim mieczem swego przejścia. Nieco rąk podnosi się po faszystowsku. Kilkanaście kroków dalej znowu to samo. Za tymi, co przeszli, idzie nowa kolumna mieczyków.

– Niech żyje Obóz Narodowy!

Znowu to samo. I znowu tak samo i to samo:

– Niech żyje. Niech żyje.

Trzy, cztery, pięć razy to samo. Aż naraz z jakiegoś boku wydziera się nie zareżyserowany jeszcze, krzykliwy, suchotniczy głos:

– Niech żyje Polska narodowa, precz z Żydami!

Ale teraz masy są już rozgrzane, rozhuśtane. Wznosi się z wielu, ze wszystkich stron spływające w jedno:

– Preeeecz !!!...

Jasna Góra to otoczony szerokimi wałami dawnej twierdzy klasztor-zamek, barokowy kościół, przy nim duża osobna kaplica, ciemna i mroczna, w której w ołtarzu pośród srebrnych wot wisi Cudowny Obraz. Kościół jest w tej chwili pełen akademików, klęczących w ław-

kach, wystających przy konfesjonałach, przy ołtarzach, jedna za drugą odprawiają się msze, przez sam środek kościoła zmienia się ustawicznie dwuszereg klęczących, pomiędzy którymi przechodzi dwóch księży w białych paulińskich habitach, rozdając Komunię świętą. Trzeba wiedzieć, że ten obrzęd nie ma odpowiednika w żadnej religii świata, że to nie mistyczne, ale prawdziwe Ciało Chrystusa pod postacią chleba przyjmuje katolik. Teraz ten tłum z dworca klęczy tutaj, z rąk księży otrzymuje sakrament.

Ci ludzie klęczą teraz, podnoszą głowę na zbliżenie się księdza, odchodzą po Komunii, kryjąc twarz w dłoniach. Barwnych korporantów nie ma prawie wcale. Blade twarze tych ludzi są teraz skupione, przeżywające. Ci ludzie naprawdę pielgrzymowali tu i ci ludzie, przyszli doktorzy, architekci, sędziowie, nauczyciele, najoświeceńsza część młodego pokolenia, przyszła inteligencja narodu – wierzy i daje wyraz swej wierze, tak jak ci chłopi, baby wiejskie i zwiędłe dewotki wmieszane w tłum młodzieży. Ta masa olbrzymia, przez ten kościół jak przez wielki cembrowany kanał przepływająca masa, każdy ludzki atom tej masy wierzy w to, że właśnie w tym momencie pod postacią opłatka, pszennego ciasta,

mąki zmieszanej z wodą, tak jak dziś jeszcze w Palestynie i na całym Wschodzie przyrządza się chleb, kryje się Bóg i do nich przychodzi. Ta wiara, trudna, niepojęta i dziwaczna dla każdego spoza tej religii, jest dla nich w tym momencie czymś zupełnie zrozumiałym, oczywistym i prostym.

Myślę o tym i myślę, że trzydzieści lat temu trzeba było przystępowanie do Komunii świętej w kościele katolickim szczególnie ożywić, że z tego sakramentu, który w swej niezwykłości uczyniono rzecz wyjątkową i rzadką, starano się uczynić na nowo panem *quotidianum* jak za czasu mrocznych agap niewolniczych w kryptach katakumb. Temu lat dwadzieścia była to forma religijności niemal ginąca, zacieśniająca się do chłopów z odległych od miast stron, takich samych jak owi wiejscy poganie schyłkowych wieków cesarstwa rzymskiego, którzy byli ostatnią ostoją ginących bogów latyńskich, do kobiet, znowuż tych kobiet, które najdłużej w średniowiecznej Polsce wynosiły cichaczem za próg domów wieczorne ofiary egzorcyzmowanym przez nową wiarę bożętom. Teraz niepodobna nie wiedzieć, że ci wszyscy młodzi i wykształceni wierzą tak samo jak chłopi

i kobiety, że spełniają ten obowiązek, dziwny dla obcych kręgowi chrześcijanizmu. Przez kościół przesuwają się tłumy.

Kilka lat temu w „Przeglądzie Powszechnym" młoda panna pisała o postępującym wzroście religijności młodego pokolenia. Cytowała cyfry. Religijność trudno jest wymierzyć cyfrowo. Młoda panna cytowała rosnące istotnie z roku na rok cyfry odprawiających doroczne rekolekcje, mniej ściśle już wyliczone cyfry rekolektantów przystępujących po zakończeniu rozmyślań do Komunii świętej. Cyfry były imponujące jako cyfry. Powiedziałem jej wtedy, że jednak istnieją jeszcze inne cyfry, które odmierzają postępy religijnienia młodzieży akademickiej, ale w odwrotnym kierunku. Statystyka policyjna dorocznych rozruchów antysemickich mówi, że stają się one coraz częstsze, coraz dłuższe w swym przebiegu, coraz więcej zostawiają ofiar i więcej ogarniają uczestników.

Niewątpliwie najciemniejszą epoką Polski była ta, kiedy najwięcej przeklepano różańców, i znowuż niewątpliwie w tej epoce Częstochowa należy do miejsc, gdzie czyniono tego najwięcej. Ale trudno zapomnieć, że nie tylko czad złej religijności padał stąd na du-

sze ludzkie. Niedole, dla których nie znajdowano na świecie innego wyjścia, smutki bez innego pocieszenia, najgłębsze boleści ludzkie całych wieków i całych pokoleń kładły się i ścieliły u stóp tego Obrazu. Niewątpliwie nigdzie tak silnie jak tu nie paliła się w tym kraju ustawiczną lampą wiara w istnienie absolutu, czegoś ponad światem, wyższego porządku rzeczy, ostatecznej sprawiedliwości. Na przestrzeni dziesięciu wieków zorganizowanego jako tako życia w tym kraju wiara ta była jedyną myślą, ideą, która dotarła powszechnie i głęboko, i w tym kraju, gdzie wszystko z obcęg myśli się wymyka, potrafiła stosunkowo powszechnie to wszystko w nie objąć. Jedno tylko pozostało dla niej, jak dla wszystkich innych idei, nieprzenikalne – działania ludzkie.

Częstochowa stała się kiedyś kamieniem, na którym oparła swe stopy padająca w przepaść Rzeczpospolita. Polska szwedzkiego „potopu", który przypomina tu o sobie kulami działowymi wmurowanymi w ściany klasztoru, nie chciała walczyć za króla, nie stanęła jak w roku 1920 w obronie stolicy, oddała wszystko. Mała twierdza i nie najpierwsze wówczas jeszcze miejsce pielgrzy-

mek w Polsce stawiło czoło i zorganizowało opór szerokich mas ludowych. Jest faktem, że ksiądz Kordecki ze swoim krzyżem powiódł do boju większe masy chłopskie, niż to uczynił Kościuszko swą sukmaną, Traugutt – manifestem. W sto lat wszystko ułożyło się inaczej. Kult Częstochowy był wtedy w Polsce niezawodnie silniejszy, a jednak wojska Kreczetnikowa łatwo zdobyły twierdzę na konfederatach barskich. Niewątpliwie czarna karbowana peruka Jana Kazimierza, z której natrząsali się rokoszanie Lubomirskiego, była obca światu podgolonych łbów szlacheckich, ale niewątpliwie pudrowany Stanisław August był im jeszcze bardziej obcy i dlatego szabla rosyjska zdołała tak bezgłośnie przeciąć łączność sił religijnych z ginącym państwem polskim. W sto i kilkadziesiąt lat potem rekruci z tych stron mieli nieść na pole walki obrazki z Jasnogórską, zaszytą w sukno szkaplerzy. Byli to żołnierze Mikołaja II idący pod Mukden, a ich szkaplerze spotykały się na polach mandżurskich z ikonami innych żołnierzy tej samej armii.

Jest już dziesiąta rano i wśród bicia dzwonów wysuwa się z kościoła procesja sztanda-

rów akademickich, księży, delegatów młodzieży, rektorów uczelni. Procesja przechodzi szerokim wałem okalającym dawną twierdzę. Akademicy niosą Cudowny Obraz, ten sam, którym kiedyś zażegnywano wojska Karola Gustawa. Na murach ustawiony jest wielki ołtarz, a tuż pod murami szeroki plac podszczytowy zalało morze głów. Do akademików dołączyły się olbrzymie procesje chłopskie. Te masy chłopów i młodych inteligentów przyjmują klęcząc obraz, ściemniały od wieków, posuwający się na wałach, niesiony na ramionach młodych. Przed ołtarzem, na którym spocznie, odprawiona będzie Msza święta przez Kardynała Prymasa Polski. Będzie to chwila uroczystego ślubowania olbrzymich mas młodzieży akademickiej na wierność. Ślubowania czego?

Msza prymasowska i kardynalska śpiewa swoje, te same co msza w wiejskim mówiona kościele, odwieczne łacińskie słowa. Pierwszy raz powiadał je tu na złomach uroczyskowych dębów św. Wojciech – a jej słowa są to jedyne słowa, które brzmiały w tym kraju tak samo przed tysiącem lat, co dzisiaj. Olbrzymi tłum młodzieży słucha kazania, które mówi o szczególnej uroczystości tej chwili. Słucha

pisma delegata papieskiego, które mówi o tej samej uroczystości. A potem przez wielkie głośniki płyną czytane przez biskupa słowa przysięgi na wierność Matce Boskiej, Patronce Młodzieży Akademickiej; że: zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej wierze Kościoła katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej; że wiary naszej bronić i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym, państwowym; że z wszelką usilnością szerzyć będziemy cześć i nabożeństwo dla Ciebie; że każdego roku w uroczystej pielgrzymce przychodzić będziemy na Jasną Górę, jako wybrani synowie Twoi do stóp Matki naszej umiłowanej.

Bardzo dużo. Albo bardzo mało.

Teraz następuje wielka minuta ciszy. Radio ogłasza, że prymas udzieli papieskiego błogosławieństwa. Olbrzymi tłum na placu klęka. Stoi tylko kardynał Hlond w otoczeniu asysty. Tuż przed nim, plecami do tłumów u stóp twierdzy, kilku młodych ludzi. Są to czołowi przywódcy wycieczki, ale ich nazwiska masom studenckim są mniej znane z Sodalicji Mariańskich niż z wielkich ruchów politycznych.

Przez chwilę, przez mgnienie oka, wydaje się, że jasne, spokojne oczy prymasa patrzą w oczy tych ludzi. I ci ludzie także patrzą w oczy najwyższego autorytetu kościelnego w Polsce. Trwa to ułamek chwili, bo oto ręka kardynała podnosi się i pocznie błogosławić – ale ten ułamek sekundy ma swoją wymowę.

– Widzisz – mówiły oczy tych ludzi.

– Jesteś dziedzicem św. Wojciecha, który ten kraj chrzcił, twoi poprzednicy byli interrexami, oni rzucali klątwy lub wkładali korony na głowy jego królów. Ty jesteś najwyższym autorytetem kościelnym w Polsce dzisiejszej i oto dlatego przed Tobą stoją masy polskiej młodzieży inteligenckiej, przyszłej najoświeceńszej, w dzisiejszym ustroju największy wpływ na rządy krajem wywierającej warstwy społecznej. Ty wiesz i my to wiemy, i wszyscy to wiedzą, że takie masy młodzieży nie przybyły jeszcze i nie przybędą skłonić głowy przed żadnym innym autorytetem w tym kraju, nawet kiedyś przed Belwederem, nawet dziś przed Wawelem, bo wszystkie inne autorytety znajdą je rozdzielone, różniące się, skłócone. Takie masy młodzieży inteligenckiej w Polsce 1936 roku odnajduje się tylko u stóp Jasnej Góry, u stóp

tego Obrazu i przed Tobą, biskupem katolickim. Tych, co tu przybyło, jest dwadzieścia tysięcy i tych dwadzieścia tysięcy to przeszło połowa młodzieży inteligenckiej w całej Polsce. Policz, ilu nie mogło przybyć z tak daleka. Potem spojrzyj na nas. Zobaczysz na naszych piersiach znak ruchu politycznego, mały mieczyk, z którym szli ci młodzi. Ta młodzież poszła za nami i to myśmy ci ją przyprowadzili.

W oczach prymasa było milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

– Wiemy, że stanąłeś od nas z dala, że chcesz od naszego ruchu odciągnąć Kościół i uczynić go innym ruchom w tej samej mierze dostępnym czy raczej żadnemu z nich w pacht nie oddanym. Wiemy, że temu cesarzowi, którego my zwalczamy, oddajesz wszystko, co cesarskie. Wiemy, wiemy wszystko. Ale Ty także wiesz, że wszystkie ruchy młodych, kierowane przeciw nam, są kierowane i przeciw Temu, co Ty reprezentujesz. Ty wiesz tak samo dobrze, jak my to wiemy i jak wszyscy w tym kraju to wiedzą, że wszystkie Legiony Młodych i Straże Przednie i wszystko, wszystko inne było organizowane i prowadzone przeciw Tobie. Ty znasz najlepiej drogi, na które odpro-

wadza się wszystko – prócz nas. I dziś możemy Ci powiedzieć, że te masy, które tutaj, pomimo tamtych prac syzyfowych, przed Tobą stoją – myśmy Ci je tylko powiedli, wbrew tamtym, tylko my, choć z nami nie jesteś.

W oczach prymasa było dalej milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

– Wiemy, że w myślach Twoich ścigasz widok innego katolicyzmu na Zachodzie, wiemy, że chciałbyś go mieć w Polsce, wiemy, że tamten katolicyzm jest katolicyzmem młodych i intelektualistów. Tu masz przed sobą taki katolicyzm, ale ten polski katolicyzm jest jeszcze katolicyzmem mas. Tego na Zachodzie dziś nie ma. Jesteś jedynym autorytetem kościelnym, przed którym to, co młode, i to, co się kształci, korzy się tak jak teraz. I to także rozważ i oceń.

W oczach prymasa było ciągle milczenie. Oczy wodzów mówiły dalej:

– Ty wiesz, jakie są nasze hasła, jaki nasz program, jakie zamierzenia przyszłości. Ty wiesz, że jest w nich miejsce na nienawiść, nie mniejszą od tej, jaka huczy za zachodnimi brzegami Twojej diecezji. Musiały Cię dobiec nasze okrzyki z rana, hasła wypisane na niejednym pociągu. Znasz walki i zaburze-

nia, z których wyrośliśmy na przywódców tłumu. My nie wiemy, co Ty o tym sądzisz. Kościół katolicki ma w swych szeregach kardynałów Faulhaberów, którzy płaszczem swej duchownej godności i puklerzem przykazań Bożych okryli przed innym nacjonalizmem skopane „Judentum" Izraela. Kościół katolicki ma prałata Prądzyńskiego, którego zdaniem antyżydowskie zarządzenia nowych Niemiec stoją w przedziwnej zgodności z postanowieniami konstytucji apostolskich i synodów. My nie wiemy, komu jesteś bliższy, Prądzyńskiemu czy Faulhaberowi. Ale ta młodzież, która stoi masą tysięcy przed Tobą, jest bliższa Prądzyńskiemu. I ty, prosimy Cię, bądź bliższy Prądzyńskiemu.

I jeszcze milczenie. W jakichś oczach czai się śmielszy błysk:

– ...bo inaczej ci młodzi mogliby odejść...

Ale w większości oczu panuje wahanie:

– ...lub, jeśli Ci trudno, milcz. Twoje milczenie będzie nam wystarczało...

Co może w takiej chwili myśleć następca św. Wojciecha? Przed sobą, jak Chrystus z wysokiej góry, widzi ukazywane mu królestwa dusz. Te królestwa są najbardziej pożądane przez każdą religię. Być może, prymas

widzi w tej chwili i innych biskupów, którzy przed nim wznosili dłoń błogosławieństwa nad pochodem Franków, Cherusków, Longobardów i Gotów, i nim tym ludziom ponieśli naukę, kreślili nad nimi znak krzyża. I teraz szerokim, pewnym ruchem ręki kreśli ten sam znak nad tłumami tam w dole. Ludzie klęczący przyjmują błogosławieństwo papieskie. Msza jest skończona i zaraz wychodzi nowy ksiądz z mszą. Prymas, obaj biskupi odeszli do klasztoru. Dochodzi jedenasta, jest skwar, upał i słońce. Przez głośnik zapowiedziano, że odbywać się tu będą jeszcze msze, że plac jest w ten sposób świątynią i że należy zachowywać się na nim jak w świątyni. Aż z rogów placu bucha okrzyk podchwycony przez setki głosów, jeden, drugi. Znowu z innej strony. Znowu z innej. Jakaś orkiestra gra *Hymn Młodych.* Okrzyki nie ogarniają nigdy całego tłumu. Rozszarpują go, wyrywają zeń, jak szmaty, części krzyczące. Plac pod klasztorem jest już jak sejmik z czasów saskich. U góry, pod baldachimem i przed Obrazem, ksiądz odmawia tymczasem ciche modlitwy mszy:

– *Introibo ad altare Dei*

– *ad Deum qui laetificat juventutem meam.*

Ale gdy się zejdzie na dół, widzi się, że wśród zgiełku i krzyków są ludzie milczący, którzy na zdeptanej trawie po dawnemu klęczą. Nie, tych ludzi w olbrzymiej większości nie przyprowadziła żadna partia, żaden mieczyk. Ci ludzie dziś nie oprą się żadnym okrzykom, choć nie podchwycą żadnych. Teraz jeszcze tylko się modlą.

Katolicyzm polski zajmuje w katolicyzmie świata zupełnie odrębne stanowisko.

Są kraje, Francja przede wszystkim, gdzie katolicyzm stał się wąską strugą wijącą się wśród współczesnego życia, gdzie masy nie są katolickie, bywają antykatolickie. Katolicyzm jest tam doktryną nielicznej, młodej, intelektualnej elity, oddzielił się od prądów nacjonalistycznych i prawicowych, choć bez wątpienia nacjonalizm tych prądów był dużo mniej skrajny niż nacjonalizm innych krajów. Katolicyzm przerzucił się tam na doły społeczne, zaczyna się wdzierać w ruch robotniczy, godząc tu swoje dogmaty z ich socjalnymi postulatami. Są dalej kraje zeszłowieczne, jak Hiszpania przede wszystkim, gdzie katolicyzm jest religią mas szerokich, ale najciemniejszych, religią starszych roczników,

religią ludzi i warstw społecznych nie dynamicznych już, lecz statycznych.

Otóż Polska jest między tymi dwiema – i na razie bliżej Hiszpanii.

Polska nie utraciła jeszcze charakteru kraju o katolicyzmie statycznym, nie zyskała charakteru kraju o katolicyzmie dynamicznym. Polska stara się przemieniać pierwszy w drugi. Przynajmniej to można uważać za zadanie katolicyzmu w Polsce. Są ludzie, którzy sądzą, że tę przemianę można przeprowadzić drogą „wypracowania" jakiegoś katolickiego ustroju gospodarczego czy wywieszenia „katolickich czerwonych sztandarów", wszystko jedno jakich, byle nęcących świeżością haseł tłumy. Mam wrażenie – że nie.

Nie wydaje mi się możliwe wiązanie katolicyzmu, wielkiej religii, z pewnym jednym typem ustroju gospodarczego, korporacyjnego czy jakiegokolwiek bądź innego. Ustroje gospodarcze są zbyt płynne, zbyt poddane koniecznościom życia, aby można było ustalić, że taki właśnie, a nie żaden inny jest sparagrafowaną Ewangelią. Nie wydaje mi się celowe „ożywianie się" za pomocą „haseł czerwonych". Natomiast wydaje mi się celowe dbanie, aby wszystkie formy życia społecznego, go-

spodarczego narodów starać się uczynić bliższymi pojęciom chrześcijańskim. Trzeba to i nic więcej, ale to już do końca. I na tej drodze trzeba będzie pójść śladami *Kazań adwentowych* monachijskiego kardynała. Trzeba będzie wybrać między Faulhaberem a Prądzyńskim. Trzeba będzie powiedzieć, czego nie wolno, przypomnieć naruszone i naruszane Boże przykazanie.

Od Częstochowy ślubowań akademickich są tylko dwie drogi. Do Faulhabera, do katolicyzmu młodej Francji – to jedna. Do czasów saskich – to druga. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny" – śpiewa chór modlących się przed Cudownym Obrazem. „Od nagłej a niespodziewanej śmierci." „Od sideł szatańskich." „Od ducha nieczystego." Nic się w tych słowach z czasów Kochanowskiego nie zmieniło i starsze są one na tej ziemi od wszystkich hymnów narodowych. Dziś do litanii polskich przybyła nowa zwrotka o Patronce Młodzieży Akademickiej. W tym kościele chciałoby się do modłów o ochronę przed niebezpieczeństwami grożącymi dodać także, choćby nie wierząc, jedno: „Od powrotu czasów saskich, od powrotu saskiej religijności i saskiej wiary zachowaj nas, Panie."

„Wiadomości Literackie" 1936, nr 26.

Przytyk i stragan

Na środek sali, w czworokąt zamknięty z jednej strony długim stołem sędziów, z dwóch – pulpitami obrońców, z czwartej – granatowym policjantem, wychodzi kolejno pięćdziesięciu siedmiu ludzi, określanych jako oskarżeni, kilkuset, przeszło pięciuset, określanych w aktach mianem świadków. Ale proces nie robi prawie wrażenia procesu, sąd nie przypomina zwykłego sądu. To jakby do laboratorium wielkiej wytwórni filmowej przyniesiono kilkaset różnych fotograficznych wersji tego samego wydarzenia i rozwijano je tu po wywołaniu, badając, naświetlając i krając. Szkła obiektywów nie zatoczyły jednak szerokiego kręgu po świecie. Przez trzy tygodnie będziemy deptali na bardzo małym odcinku, po rynku targowym miasteczka, po jego głównej ulicy, jej jezdni, przedmieściu tego miasteczka, po moście nad rzeką

Radomką, przy młynie Haberberga, przy straganach i szynkach. Ludzie w togach sędziów, prokuratorów i obrońców będą przez trzy tygodnie brali pod światło każdy odcinek taśmy filmowej, badali jego szczegóły, konfrontowali z wersjami innych operatorów. Ale z tego wszystkiego nie wysnuje się żadna wielka, równy nurt tocząca, rozwijająca się stanowczym rytmem, akcja wielkiego filmu. Strzępy różnych operatorów, taśmy wyjęte z różnych aparatów, naświetlane pod różnym kątem różnych jupiterów, w jedną całość zestawić się nie dadzą. Na końcu całej pracy obraz wypadnie taki, jakby tą samą błoną fotografowano te same rzeczy dwa razy, trzy, cztery razy. Czarne cienie pojawią się na całych zwojach taśmy. Momenty będą się z nich tylko wynurzały nagłymi ostrymi konturami wydarzeń. Więc będziemy widzieli parobczaka, którego z rąk policji, gdy namawia do bojkotu, wyzwolił tłum, i będziemy zaraz potem widzieli ten sam jarmarczny tłum chłopski, blokujący w małym domku posterunek policji. Będziemy widzieli człowieka, który z piętrowego poddasza wysuwa rękę, będziemy widzieli w tej ręce rewolwer, usłyszymy strzały, upadnie na jezdni chłop. Pokaże się naraz jakiś

samochód-widmo miotający strzałami, samochód, którego na żadnym innym filmie już nie będzie. Potem film stanie się na chwilę strasznie wyraźny: będziemy wtedy w niskich izbach żydowskiego domu, ramy jego okien ugną się pod ciężarem kamieni, troje małych, wystraszonych dzieci będzie wyciąganych za nogi, włos i główki spod nędznego łóżka, zamachną się nad nimi ciężkie chłopskie orczyki. W ciasnym przedsionku będzie ciemno i znowu nie zobaczymy twarzy ludzi, którzy pałkami będą miażdżyli podstawę czaszki, kość ciemieniową, żyłkowaną błękitnie wypukliznę skroni biednego żydowskiego szewca. Na chwilę film się urwie zupełnie i potem wpłyniemy już na strugi taśmy nakręcanej przez rutynowanych operatorów: to już opisy policyjne, sprawozdania lekarza sądowego, oględziny zwłok i relacje przybyłych z Radomia urzędników. Wtedy znowu poprzez rozdartą chłopską koszulę wysondujemy głęboką, równą ranę, jaką przeorała padająca z góry kula suche ciało starego Wieśniaka. Wtedy jeszcze raz podniosą nam zmiażdżoną i domiażdżoną pałkami po śmierci głowę Joska Minkowskiego, każą się wpatrzeć w to, co pozostało z rozbitej orczykami od wozów i prze-

sieczonej nożem czy ostrzem chłopskiej kosy głowy Chai Minkowskiej. Ale tego wszystkiego, co było przedtem, nikt, tak jak było, nie przedstawi. Po trzech tygodniach nie da się nawet ustalić, w jakim porządku należy zlepić poszczególne fragmenty straszliwego filmu, jak następowały po sobie kolejno zajścia z bojkotującym Strzałkowskim i aresztującą go policją, walka i rozgrom na rynku przytyckim, wreszcie wypadki nad rzeką. W motywach wyroku sąd będzie musiał coraz to powtarzać słowa: „nie dało się ustalić". Mimo pięćdziesięciu siedmiu oskarżonych, mimo dwudziestu adwokatów, mimo kilkuset świadków i trzech tygodni pracy. Sąd będzie musiał odmawiać wiary zeznaniom świadków, prokurator będzie musiał nieprawdziwość tych zeznań imiennie potępiać. A jednak, mimo zaklęć, powoływań na tę świętość przysięgi, na kary prawne, na poczucie słuszności, ogromna ilość świadków będzie składała zeznania sprzeczne z sobą, wikłające się, fantastyczne. Tłum będzie się solidaryzował nie z prawem przysięgi, prawdziwego świadectwa i kar za krzywoprzysięstwo. Będzie się solidaryzował z ławą oskarżonych, a raczej z dwiema ławami oskarżonych.

Na ławach obrońców o zajścia w miasteczku, o którym do dnia 9 marca 1936 roku mało kto wiedział, gdzie leży, zasiadły największe sławy adwokatury polskiej, ludzie znani z procesów głośnych, sensacyjnych, dramatycznych, efektownych. Broni wielki obrońca w procesach roku 1905 i brzeskim, Leon Berenson. Nie można sobie jednak wyobrazić przewodu, który by mniej niż obecny przypominał tok akcji scenicznego dramatu. Nie można sobie przypomnieć procesu, który by w swej tragicznej grozie był tak mało efektowny. Każdemu z oskarżonych zagrażają pytania adwokatów, podstępne, szukające. Być może, że to ten właśnie człowiek jest bohaterem zajść, być może, że to ten obok jest ich złym duchem, jest Jakubem Szelą nowego chłopa, jest Shylockiem i Przechrztą Przytyku. Reflektor pytań przenosi się z zaciętej, kałmuckiej, mużyckiej twarzy młodego Wójcika na bladą, ze zmrużonymi oczami, skrytą twarz Leski, ślizga się po barach tęgiego chłopa o zagłobowskim wyglądzie, po czarnej brodzie Haberberga. Po kilku dniach zmęczone reflektory gaszą swe światła. W tym procesie, wśród tych pięćdziesięciu siedmiu ludzi, wśród tych kilkuset świadków, z których mało który może

się zrozumiale wypowiedzieć przed sądem, nie ma żadnych tragicznych, wielkich, bohaterskich czy zbrodniczych postaci. Nie ma żadnych potężnych ludzi – sprężyn działających z ukrycia. Było w Polsce obecnej wiele okolic, gdzie agitacja antysemicka miała więcej i lepszych agitatorów, gdzie teren był wcześniej i znacznie silniej objęty działaniem Stronnictwa Narodowego niż okolica Przytyku. Korczak, osławiony „wojewoda przytycki", jest zwykłym, przeciętnym chłopem. To, co mówi, mówi po chłopsku, jego sposób argumentowania jest chłopski, jego słownictwo jest chłopskie, jego środowisko jest środowiskiem chłopa „biedniaka", o marnej glebie, dorabiającego się poddzierżawianiem ziemi innych, jakimiś nadziejami na zbycie tu czy tam dochowanego konia, dalekimi marzeniami o własnym handlu wapnem. Jedno, co można jeszcze powiedzieć o tym człowieku, z którego prasa żydowska robiła *spiritus movens* zajść, wodza hord przytyckich, radomskiego Hitlera, groźbę dla rządu w Warszawie, o tym człowieku, który miele w rozmowie kanony polskiego antysemityzmu, to to, że bliżej od innych chłopów zżył się ze światem miasteczka. Oni bywali w nim raz na tydzień, on –

co dzień. Być może, że nieraz słuchał gdzieś radia, być może, że częściej rozmawiał z ludźmi szerokiego świata, być może, że częściej mógł czytać gazetę. Iskra, którą stał się ten człowiek w wydarzeniach radomskich, była przypadkowa. Prochy, które tutaj leżały, mogły się zająć od ogarka.

Bo oto jeszcze jedno zdjęcie filmowe musi sobie uzupełnić reporter, jeszcze z jednej strony, on, którego wynik procesowy, sądowy, proceduralny, nic nie obchodzi, który tutaj widzi tylko pewien przekrój sprawy żydowskiej w Polsce, musi na to spojrzeć. Ogromna większość ławy oskarżonych, i polskiej, i żydowskiej, to ludzie młodzi. O ludziach młodych mówi się, że są najczulszymi membranami, jeśli chodzi o wchłanianie płynących w eterze ich dni, niewidzialnych dla oka prądów, że wiek, dojrzałość, rodzina i praca nie stępiły jeszcze aktualności ich politycznego słuchu. Wreszcie ci młodzi ludzie, Polacy, są chłopi, i nie tylko chłopi. Są to małorolni i bezrolni, synowie licznych rodzin, dziedzice rozdrobnionych na płachetki gruntu gospodarstw. Gdyby ci ludzie chcieli pisać, mogliby do *Pamiętników chłopów* dodać nowe wstrząsające karty. To niewątpliwy, klasyczny proletariat

wsi polskiej, kraju, którego przeludnienie agrarne i nędza wsi nie mają sobie równych w całej reszcie Europy. Wreszcie jest to proletariat wiejski nie spod Baranowicz i Równego, ale dobrze za Wisłą, proletariat z owej szczęśliwszej połowy Polski, z owej „Polski A" ministra Kwiatkowskiego. O 19 km stąd jest socjalistyczny Radom, o sto kilkadziesiąt kilometrów Poznańskie, polska Dania, gospodarcza oaza. Oskarżeni umieją czytać i pisać, byli w szkole. Oskarżeni należeli do partii politycznych, bojkotowali nie tylko żydowski stragan, ale jeszcze ordynację zacieśniającą prawa wyborcze. Ci właśnie oskarżeni zrobili Przytyk.

Nie jest to wcale obojętne, nieważne, przypadkowe, że największy proces o zaburzenia antysemickie, jaki mieliśmy dotąd, jest procesem chłopskim, nie procesem chłopów „kułaków", zamożnych gospodarzy wiejskich, ale procesem młodej wsi małorolnej i bezrolnej, ludzi, którzy w dwudziestym którymś roku życia widzą, że zabraknie im ojcowskich morgów. Fornalscy bohaterzy *Ojczyzny* Wandy Wasilewskiej pytali, co im dała Polska za lata wojny o niepodległość, żądali jako zapłaty socjalizmu. Przed zablokowanym posterunkiem

w Przytyku wołali inni chłopi, żołnierze armii ochotniczej z 1920 roku, co im dała Polska, choć żądana przez nich zapłata przedstawiała się inaczej niż okrzyk z głośnej powieści. Sąd nie zdołał ustalić, pod czyimi razami zginęła w straszliwy sposób zamordowana para żydowskich przytyckich biedaków. Ale to dłonie chłopskie puściły w ruch orczyki i kamienie, pałki i noże. Wieśniak mógł nie paść z ręki Leski, padł od innych żydowskich strzałów. Na wprost nas, z filmu rzucanego na ekrany prasowe całej Polski, maszerują nie Leska, Haberberg, Banda, Wójcik, Kubiak, to nie tylko świadek Snopek powie o pogromie z uciechą: „a było czemu się przyglądać". To na wprost nas, tak jak o trzeciej po południu, gdy zaalarmowani wieściami z miasteczka chłopi śpiesznie zawrócili konie, aby iść „bronić swoich", wali ogromny tłum chłopski. Bohaterem, winnym, oskarżonym i oskarżycielem jest tłum tego procesu i szukając tego tłumu, trzeba pójść między domy żydowskie Przytyku, pójść do Potworowa, pójść na wieś.

– A przed owym bojkotem czy Żydzi dużo targowali? – pyta każdego Żyda obrońca endecki, mec. Kowalski.

– Targowali – odpowiada Żyd.

– No, a ile przedtem bywało tak straganów żydowskich w dniu targu?

– Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt – podkreśla za każdym razem mecenas. – No, a gdy już był bojkot, tak przed 9 marca i 9 marca rano, przed rozruchami, ile było straganów żydowskich?

– Żydowskich – mówi Żyd – mogło być osiem, dziesięć.

– Osiem, dziesięć – powtarza Kowalski. – No a chłopskich ile?

– Sześćdziesiąt – mówi Żyd.

– Sześćdziesiąt – upewnia się Kowalski. – No a dawniej bywały chłopskie stragany?

– Nie bywało – odpowiada Żyd.

– Nie bywało, więc przedtem nie bywało chłopskich straganów – powtarza sam do siebie mecenas. – A teraz po bojkocie są.

I taka rozmowa, nie mająca nic wspólnego z procesową stroną sprawy, stanowi leitmotiv, oprzędzany przez obronę chłopów dookoła każdego świadka. Taktyka obrońców polega na dwóch rzeczach: z jednej strony broni każdego z oskarżonych przed zarzutami gwałtu i terroru, z drugiej – podnosi gospodarcze powodzenie akcji bojkotowej, która po upływie

kilku tygodni postawiła tłum żydowski przed widmem wygłodzenia i nędzy. Nie wiemy, czy ta akcja ulżyła niedoli wsi polskiej, nie wiemy, czy posiadała ona charakter trwały, czy zakorzeniała chłopa w miasteczku i przeprowadzała go istotnie od pługa do stragana, jednak jest oczywiste i pewne, że akcja ta niszczyła, rujnowała ekonomicznie parę tysięcy Żydów zamieszkałych w Przytyku. Trzeba tam być. Jest to miasteczko w 90 procentach żydowskie i jest to chyba jedno z najnędzniejszych miasteczek, jakie po długich wędrówkach po nędzarskich kresach udało mi się widzieć. W „wojnie przytyckiej", w pogromie, w „poruchu", który tu się odbył, brały udział dwie strony narodów. Ktoś, co tu przyjedzie, będzie się dziwił, czego szukać mogli w żydowskim Przytyku, czego zazdrościli ludziom z tych wykrzywionych lepianek. I nie tylko temu będzie się ten ktoś obcy, do dna spraw tych nie znający, dziwił.

Na początku tego, co się tu stało dnia 9 marca, był bojkot gospodarczy, zorganizowany przez chłopów przeciw żydowskiemu miasteczku. Początkiem walki, która skończyła się śmiercią Wieśniaka i trupami Minkowskich, była walka o stragan. Nie o sklep,

ale właśnie o stragan. Żydowska ludność żyje z handlu. Arystokracja tego narodu zasiada w wielkich bankach, klasa średnia zasiada w sklepach, proletariat ma stragan. Stragan rynkowy został zaatakowany przez chłopstwo, przez masę ludzką podnoszącą się ze wsi. Stragan rynkowy po bardzo krótkim czasie został w Przytyku zdobyty.

To są znowu rzeczy, które w Polsce trudno zrozumieć. Wszyscyśmy przywykli, uważamy za naturalne, zrozumiałe i uprawnione dążenie chłopów do parcelacji ziem obszarniczych, do zabrania nawet bez odszkodowania ziemi pańskiej, gruntów folwarcznych. Wszyscy w mieście jesteśmy przekonani, że fala niechęci chłopskiej podmywa kolumny dworów, że, co ważniejsze, z olbrzymią i radykalną parcelacją odciągnie się chłopa od komunizmu czy od Witosa, zdobędzie dla Składkowskiego czy Grażyńskiego. Ale oto procesy o bunty chłopskie z lat ubiegłych, procesy o Łapanów, o Lisko, o Tarnów, pokazywały chłopa w walce z podatkami i szarwarkiem, ze starostą, komornikiem, policjantem. Ale oto procesy obecne pokazują go nam w zmaganiu z nędzarskim szewcem

Minkowskim, z Ickiem Bandą, z żydowskim straganem z jajami, perkalikami czy czapkami. Chłop bez odszkodowania, wywłaszcza żydowski stragan. Dlaczego?

Żeby zrozumieć, dlaczego, można zrobić trzy kolejne doświadczenia. Można najpierw przeczytać *Pamiętniki chłopów;* jeśli będziemy je czytali inteligentnie, zobaczymy, że miejsce, jakie tzw. dwór zajmuje w dzisiejszej wsi polskiej, w jej nędzy, w jej nadziejach, jest niesłychanie małe; na setnej którejś tam stronie spotykamy dopiero słowo „dwór", dla tysięcy wsi i setek tysięcy chłopów jest to zjawisko odsuwające się w egzotykę. Możemy następnie przelecieć samolotem nad Polską; będziemy mogli z lotu ptaka od Czerniowiec do Gdańska i od Wilna do Katowic szukać daremnie tych latyfundiów, bezmiernych obszarów, nie kończących się pańskich łanów; Polska z lotu ptaka to pokrajana szachownica sznurkowych zagonów. Możemy wreszcie, aby zrozumieć tragedię przytycką, sięgnąć do książek Józefa Poniatowskiego i Theodora Oberländera, poświęconych przeludnieniu agrarnemu Polski. Powiedzą nam one najpierw, że nawet z melioracją całego zapasu nieużytków zapas ziemi do parcelacji wynie-

sie w najlepszym razie 3 000 000 hektarów. Gdyby zrobić jeszcze radykalniejsze posunięcia, można by, zdaniem Poniatowskiego, uzyskać jeszcze 600 000 hektarów. Na tym maksymalnym zapasie można by osadzić 600 000 nowych sześciohektarowych gospodarstw. Roczny przyrost ludności w Polsce, w większości rolniczy, wynosi 400 000. Nadmiar ludności rolniczej oblicza dziś Poniatowski na 9 000 000. Wedle Oberländera, zapas ziemi dostępny dla kolonizacji pójdzie niemal w całości na upełnorolnienie małorolnych. A bezrolni, a mnożące się królicze pokolenia naszej wsi? Wychodźstwo sezonowe i stała emigracja skończyły się niemal zupełnie. Uprzemysłowienia nie ma. Zaczynają się Przytyki.

Walka o stragan zaczyna się nie dlatego, że przy straganach może się pomieścić bezrobocie wiejskie. Zaczyna się dlatego, że dokąd indziej nie można iść, drogi są zamknięte, ziemi brak, że założenie nowego gospodarstwa, nawet gdyby się miało ziemię, kosztuje wiele, że stragan jest najbliższy, najbardziej dostępny, najszybciej odrzucający zyski. Ten stragan także niczemu nie pomoże, ludności bez pracy nie wchłonie. Będzie stanowił ulgę większą, ale nie zupełną. Ale handlarz dla wsi dzisiej-

szej to bogacz posiadający u siebie skarb z cukrem, naftą, zapałkami, żelazem. Tylko dla nas, patrzących z góry, ten handełes jest istotnie nędzarzem. Dla chłopa to człowiek, o którym z lamentem słyszymy w sądzie, że zarabia kilkadziesiąt złotych dziennie. Chłop byłby szczęśliwy, gdyby zarabiał ich kilkanaście. Ten człowiek w jarmułce żywi się śledziami i kartoflami, ale ten drugi człowiek w kożuchu żywi się tylko kartoflami. Po prostu element o stopie życiowej niższej nawet od żydowskiego getta getto to podważa.

I znowu nie byłoby nic bardziej naturalnego. Po prostu dokonywałby się w Polsce proces, który o sto lub kilkadziesiąt lat wcześniej dokonał się wszędzie na Zachodzie, w konserwatywnej Anglii, jak w republikańskiej Francji, w Niemczech, w Austrii, Danii, Czechosłowacji: uregulowanie sprawy agrarnej przerzucało zawsze masy ludności wiejskiej do miast i miasteczek. W ten sposób czeszczył się Karlsbad i Praga, słoweńczyła Lublana, w ten sposób wreszcie polszczyły się miasta i miasteczka Poznańskiego. Tylko to wszystko odbywało się gdzie indziej wcześniej i odbywało się bez Przytyków. Nadmiernemu rozrodzeniu się ludności wiejskiej

i przeludnieniu wsi towarzyszyła bowiem wszędzie koniunktura na rozwój przemysłu. To nie tylko kurczyły się morgi wsi, to jeszcze otwierały się fabryki w mieście. Ludność małomiasteczkowa, handlowa, przechodziła kolejno od straganu do sklepu, od sklepu do kapitału, od kapitału do przemysłu. Ten ruch nie tylko opróżniał placówki handlowe w miasteczkach, ale jeszcze tworzył nowe warsztaty pracy, otwierając fabryki. U nas rozwój przemysłu jest zahamowany, stoi. W latach koniunktury roczny wzrost zatrudnienia był minimalny w porównaniu z rosnącą od dołu masą rąk do pracy. Nędzarska rzesza Minkowskich, Lesków i Bandów nie przejdzie do sklepów radomskich. Właściciel młyna Haberberg nie zbuduje wielkiej fabryki, nie zatrudni w niej tysięcy Strzałkowskich, Wójcików, Kubiaków. Nie stanie się w drugim pokoleniu Kronenbergiem czy Blochem. Człowiek ze wsi, którego by wtedy zatrudnił, stanie się teraz jego konkurentem. Będzie brutalnie, niby to chcąc kupować, macał brudnymi, spoconymi rękoma wszystkie bułki leżące na straganie. Zrzuci mu z lady czapki do błota. Odpędzi kupujących od niego. Będzie go wygładzał. Zabije.

Ale Żyd przytycki nie tylko nie zamieni swego małego handelku na nowoczesny sklep w samym Radomiu, nie zamieni warsztatu na zakład, młyna na fabryczkę. On nie tylko nie może pójść wyżej, on w ogóle nie ma dokąd pójść. Przed wojną był rozwój przemysłu, dziś nowe kominy dymiące dziesiątkami w Radomiu i „trójkącie bezpieczeństwa" to dymy fabryk państwowych. Przed wojną była emigracja, dziś jej nie ma. Organizacje syjonistyczne otworzyły Palestynę Żydom z Niemiec, zamknęły ją niemal przed Żydami z Polski. Jeśli myślicie, że po Przytyku Żydzi odejdą, dowiedzcie się, że po tym wszystkim, co tu zaszło, wyjechała do Palestyny jedna osoba. Jeśli wskazujecie na przykład Poznańskiego, pamiętajcie, że w Poznańskiem nie było Przytyków, Mińsków Mazowieckich, Grodnów, które od dołu, widmem pogromów usuwały Żydów. W Poznańskiem unosił się nad gettem miraż Berlina, wielkiego świetnego Berlina, Berlina asymilacji i zamożności. Przed wojną i po wojnie tysiące Żydów z Poznańskiego emigrowało w głąb Niemiec. Miraż działał silniej niż widmo. Ale w dzisiejszych warunkach Żydzi przytyccy mogą iść tylko na kirkut.

Pisze się to wszystko po to, aby wyłożyć pewien problem, szerszy niż sprawa przytycka służąca nam za jego przekrój. Trzeba na zimno stwierdzić, jakie możliwości ma dzisiejsza wieś, jakie się sprzed niej usunęły, jakie ją z kolei zwodzą. Mierosławski miał widzieć przyszłość Polski w powieszeniu na kiszkach ostatniego szlachcica, ostatniego biskupa. Być może, że na zebraniach u Korczaka jakiś doktryner wiejski mówił, że nie będzie szczęścia w Polsce, póki na kiszkach ostatniego Żyda nie powiesi się ostatniego komornika. Albowiem demagogia jest zawsze ta sama, tylko czasami opuszcza wyżłobione już zupełnie koryta i szuka nowych.

Ruchowi, który szedł przez Opoczyńskie i Radomskie, nie przeciwstawiła się – trzeba to jeszcze zauważyć – żadna siła. Był tylko policjant. Nie było inteligenta. Nie było nauczyciela wiejskiego. A przecież wsie przytyckie mają nauczycieli i szkoły, przecież Przytyk ma nauczyciela. Widzieliśmy jednego z nich przed sądem w raczej smutnej w tym wszystkim roli. Szkoła w Przytyku dzisiejszym to miejsce zaciekłych walk, nienawiści dzieci. Małe Korczaki i mali Minkowscy walczą w najlepsze. Nienawiść z uli-

cy przenosi się na ławę szkolną. Rozlewa się szeroko po całym kraju. Nie natrafia na żadną tamę. Nie natrafia też na żaden kanał, który tę burzę, nie z agitacji powstałą, lecz z nędzy, skierowałby w kanały pożyteczne, twórcze, konstruktywne. Ci czy tamci chcą w niej widzieć tylko zaczyn dla przyszłej rewolucji, krwawą falę, która poniesie ich sztandary.

„Wiadomości Literackie" 1936, nr 30.

Petach Tikwa

[...]

Wieczorem kolonista X rozgwarzył się na temat starych czasów. Moje ukraińskie, kresowe pochodzenie stanowiło jakby pewien zbliżający węzeł. Kolonista opowiadał o Petach Tikwie. Była to pierwsza z najpierwszych kolonii, założonych w ogóle w Palestynie. Jeszcze w roku 1878 przybyło tu osiem osób. Petach Tikwą – Bramą Nadziei – nazwali kolonię, założoną na pustynnym wzgórzu. Nie było tu nic. O kilometr wyszczerbione mury zamku krzyżowców, czy Saracenów, Ras el Ein, dalej jeszcze wieś arabska na ruinach dawnej Antipatris. Ruiny. Wszędzie niżej – bagna. Wielkie, malaryczne bagna. Bano się napadu Arabów. Ale Arabowie nie napadli. Przyszli, obejrzeli namioty. Odchodząc, mieli już nazwę dla przybyszów. *Wlat el din* – dzieci śmierci. W kilkanaście miesięcy później, na wzgórzu, nazwanym

Bramą Nadziei, nie było już nikogo. Rzędem świeciły kamienne, usypane mogiłki. Malaria.

Petach Tikwa żyła jednak w myślach nowych osadników. Po dwóch latach przyszło ich tu więcej. Osiedlili się. Arabowie tym razem byli mniej spokojni. Przyszło z nimi walczyć. W pole nikt nie szedł sam i bez broni. Nocami stróżowano przy ogniach. W dzień osuszano bagna. Osuszano gorączkowo, pośpiesznie. Malaria usypała nowe mogiłki na miejscu zapomnianych dawnych. Malaria – i jeszcze jakaś choroba, dziś znana tylko z owych starych opowiadań...

Malaria zwyciężyła raz jeszcze. Wymarły najpierw dzieci. Potem wymierać poczęły co słabsze kobiety, mężczyźni. Wreszcie dwóch ludzi pozostało na miejscu. Siedzieli jeszcze długo. Już nie osuszali bagien: byli za słabi. Czekali tylko, pisali listy do Jafy o nowych kolonistów. Tak samo prosi się na froncie o posiłki. Czekali o wiele dłużej, niż się czeka w takich razach na froncie, ale niemniej czekali na próżno. Piechotą, gdzieś w 1886 r., ostatni niedobitek opuścił Bramę Nadziei...

Właśnie bodaj niedługo potem fala rosyjskich pogromów wyrzuciła do Palestyny całą masę Żydów. Powiedziano im w Jerozolimie

o Petach Tikwa. Żydzi przyjęli propozycję. Powiedziano im, że malaria, że kolonizowano to dwa razy. Ludzie, którzy wyszli z rosyjskich pogromów, nie nastraszyli się jakoś malarii. Poszli. Podobno że jeszcze gdy cześć rozbijała namioty, już reszta rowami odprowadzała bagno ku Ras el Ein.

Pasowanie się z bagnem trwało parę lat. Zrazu nie wiadomo było, czy nie ulegnie i trzecia Petach Tikwa. Dzieci marły jak przedtem. Arabowie patrzyli obojętnie na tych dziwnych ludzi, pchających się na puste moczary, gdzie wieczorami ściele się „biały całun śmierci". Ale Żydzi rosyjscy byli twardą, odporną rasą. Nie wymierali. Ściągnęli jeszcze nowych, swojaków, którzy gdzie indziej nie znaleźli miejsca. Moczar odsuwał się coraz dalej. Potem poczęto sadzić pomarańcze. Już tylko napaści arabskie były wrogiem kolonistów. Wieczorami czerwone światełka w polu, na wydmach czerwonego, pardessowego piasku, pod Antipatris, w Ras el Ein, znaczyły linię demarkacyjną starych osad, patrzących nieprzyjaźnie na nowego intruza, który rósł w białe domy i w młode, zielone drzewa.

Petach Tikwa była zdobyta.

„Palestyna po raz trzeci", Warszawa 1933.

W czerwonej Hiszpanii

„Arriba, parias de la tierra!"

Pociąg przebija się przez jeszcze jeden tunel, znowu na moment słońce, góry i morze. Na francuskich winnicach zaczyna się właśnie winobranie, przecież to wrzesień. Stajemy na dużej stacji małej mieściny pogranicznej. Władze celne, bezpieczeństwa, polityczne wyciągnęły się długim szeregiem wzdłuż peronu. Z pociągu wysiadają dwie osoby. Cały luksus celników, policji, milicji, cały sztab badaczy dokumentów i paszportów – taki sam jak na każdej zresztą granicy – rzuca się na tę skromną zdobycz, jaką dziś pograniczna stacja francuska przekazała, hiszpańskiemu już, Port-Bou.

Młodziutka Hiszpanka, która przez Paryż wracała z kursów wakacyjnych w Exeter, w Anglii, idzie pierwsza. Otwieranie walizek,

oglądania paszportu i wizy, koniec. Teraz otwierają moją walizkę, badają wszystko uważnie i wprawnie, zostawiając rzeczy w największym porządku. Wzorowa celnicza robota. Biorą paszport, przeglądają wizy, wznowienia ważności, ważą jak gdyby w ręku.

– *Un instant, s'il vous plaît.*

Paszport dokądś powędrował przez boczne drzwi, a opuszczone przezeń ciało sterczy smętnie w komorze celnej. Komora jest wielką salą, zupełnie pustą. Na ścianie wielkie czerwono-czarne odezwy i dwa graficznie doskonałe plakaty. Na jednym z nich śmiejący się żołnierz, bez szlif, w mundurze polowym, pociąga za sznurek pajaca w szamerowanym mundurze oficerskim, z huzarskimi wąsami niczym jeszcze jedną oznaką władzy, z olbrzymim szabliskiem na sutych rapciach. Pajac-oficer tańczy rześko w ręku żołnierza Papitu. Drugi plakat nie jest, jak ten, na wesoło, ale na groźno, czy raczej na potworno. Brzuchata, koszmarna bestia z wyłupiastymi oczami żaby przykłada małpią łapę do olbrzymiego ucha. Bestia ma brunatną skórę barwy habitu, ma krzyż zwisający na różańcu na szyi, ma wreszcie koronę królewską – małą jak u żaby z naszych reklam pasty „Erdal"

– na głowie. Tak w grafice rewolucyjnej wyraziła się przestroga, że wróg ma wszędzie swe tajemnicze macki, wszędzie swych szpiegów, wszędzie podsłuchujące uszy i podpatrujące oczy.

– *Suivez moi, s'il vous plaît.*

Oto mój paszport wrócił ze swej tajemniczej wędrówki, ale jego rozłąka z duszą i ciałem, których jest policyjnym przedłużeniem, trwa nadal. Urzędnik nie oddał mi go jeszcze, prowadzi mnie tylko na peron. Peron jest długi, idziemy milcząc, mam ochotę pogadać. Spod dachu hali widać góry, całe w ogrodach oliwnych i w słońcu. Mówię, że cieszę się na poznanie tego nowego kraju. Urzędnik odpowiada chłodno: – Pan myśli, że go pan pozna? – i patrzy na mnie jakbym był jedną z macek, uszu czy wcieleń brunatnej bestii z plakatu. Nieprzyjemnie.

Teraz jest mały biurowy pokoik, za biurkiem siedzi pan i mówi, że nikogo do Hiszpanii się nie wpuszcza, a już tym bardziej dziennikarzy. Ten, który zabrał mój paszport, stoi za mną, przy drzwiach. Ale obok biurka siedzi jeszcze jeden pan, który śmiało mógłby powędrować na plakat, a na małej kanapce ulokował się trzeci z tej trójcy, i ten trzeci wy-

gląda tak, że można by go umieścić na sztychu z rewolucji francuskiej. Mimo całego zgrzytania granicznego biurokratyzmu, należy się tym ludziom przypatrzyć. To także Hiszpania. Więc oto ów siedzący obok biurka jest wojskowy, wysoki, czarny i śniady, ale wojskowy dziwnego autoramentu. Ma na sobie bryczesy, jakąś półwojskową kurtkę, karabin oparł spokojnie o biurko cywilnego urzędnika. (O, zawsze te same czasy narodzin nowych państw i nowych ustrojów, nim jeszcze wszystko nie ostygnie, nie zawrze się w formularze, nie oklapnie!) Na głowie ma coś, co należałoby sfotografować, bo w Polsce nie uwierzą. To coś to rodzaj furażerki wojskowej, nad jednym uchem czarnej, nad drugim czerwonej. Po każdej stronie biegną trzy wielkie litery, na czerwonym tle czarne, na czarnym czerwone: FAI. Karnawał, powiecie? O, nie. Ten człowiek z pewnością nie wygląda na arlekina.

Żołnierz rewolucji, milicjant z katalońskiej Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, zabiera głos w mojej sprawie. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi, ale mam wrażenie, że opowiada się raczej po mojej stronie. Zwraca się nie tyle do owego urzędnika za

biurkiem, co do owego pana rozpartego na kanapie. Ten jego kolega z kanapy to również postać niezwykłej, ale już odmiennej fotogeniczności. Ma na sobie ni to jakiś surdut, ni tużurek, taki strój trochę zeszłowieczny, jaki czasem noszą emeryci w prowincjonalnych miasteczkach. Ale z tego wyschłego ciała w czarnym surducie sterczy na turzym karku (kark okręcony jest fularem o barwach czarno-czerwonych, znowu barwach potężnej w Katalonii FAI) olbrzymia głowa, wielka mięsista twarz, z muskularnym nosem i stosunkowo umiarkowanych rozmiarów oczkami, wyzierającymi spod fałdów pomarszczonej już wiekiem skóry. Nad tym wszystkim rozwiewa się jednak niespodzianie bujna i czarna czupryna, wielka zmierzwiona masa włosów, zwichrzonych jak u Beethovena. Ale nie. Jest to Marat, najklasyczniejszy groźny Marat francuskiego Konwentu. Czuję instynktownie, że tego właśnie człowieka trzeba tu przekonać.

W małym pokoju rozgrywa się teraz wielka bitwa, mająca sforsować Port-Bou dla polskiego dziennikarza. W bitwie tej przeciwnikiem jest ów pan za biurkiem, bez czerwono-czarnej furażerki, bez czerwono-czarnego szalika,

w cywilu, z jakąś mizerną odrobiną czerwienizny w klapie ubrania. Pan zza biurka żąda dowodów, że jestem dziennikarzem. Daję mu moje legitymacje zawodowe, krajową i zagraniczną. Pan zza biurka nie bardzo się orientuje, ale tu zaczyna coś mówić, i to raczej pojednawczo, Marat. Pan zza biurka jest nierad, znowu bierze paszport i po chwili odkrywa w nim wizę niemiecką. Co robiłem w Niemczech? Teraz ja biorę paszport do ręki, wskazuję, że była tranzytowa. Obliczamy czas, jaki upłynął między stemplami zagranicznymi, i obliczenia wypadają na korzyść mojej tezy. Z kolei przystępuję do ataku: wydobywam jako ciężkie działo odrzucony poprzednio bez przejrzenia list polecający ambasadora Hiszpanii w Paryżu, Luisa Araquistaina. Milicjant w furażerce upewnia się jeszcze, czy jest to aby na pewno nowy, niedawno zamianowany ambasador, ale Marat uspokaja wszystkie obawy pod tym względem. Na polu walki zapanował duch pokoju. Obu anarchistów mam już w każdym razie po mojej stronie. Cywil, dla zachowania pozorów i wyjścia z honorem z przegranej, żąda tylko, aby ów list ambasadora został przy nich. Jest to niewygodne, ale cóż robić. Wymieniam tedy list ambasadora na trzy okrągłe pieczęcie

w paszporcie. Pan, który mnie tu przyprowadził i który tak słabe nadzieje robił na mój pobyt w Hiszpanii, odprowadza mnie z powrotem. W drzwiach żegnają mnie ze strony niedawnych inkwizytorów trzy podniesione pięści.

Do pociągu na Barcelonę jest jeszcze dużo czasu. W wielkiej poczekalni dworcowej jest dziewięciu kelnerów do obsłużenia młodej Hiszpanki i mnie. Panuje nastrój rewolucyjno-rodzinny. Plakaty rewolucyjne kapią barwami ze ścian, czerwone sztandary w oknach, na bufecie małe dziecko bufetowej bawi się puszką homara. Miasteczko leży poniżej dworca. Spada amfiteatralnie do małego rybackiego portu. Kościół jest zamknięty, nie znać na nim żadnych śladów zniszczenia, tylko na drzwiach widnieje plakat wskazujący, że został „inkautowany", to jest przejęty na własność przez władze milicji i Frontu Ludowego. Wreszcie na peron wtacza się pociąg, który zabierze nas do Barcelony: wszystkie wagony są pomalowane w hasła i plakaty rewolucyjne. Ładuję się do dużego wagonu, który na swych ścianach aktualizuje w rewolucyjny sposób literaturę i religię, znaną powieść Blasco Ibáñeza i wielkie dzie-

ło świętego Jana, przedstawiające Czterech Jeźdźców Apokalipsy. W wagonie samym nie czuć ani rewolucją, ani Apokalipsą. Czterech robociarzy, nie czekając na odjazd pociągu, zasiadło sobie do jakiegoś bezika.

Pociąg wreszcie rusza, przewiercając tunele swymi wymalowanymi wagonami, wylatując co chwila nad sam brzeg morza, przelatując nad gajami oliwek i uprawnymi polami. Migają białe wsie, całe z kamienia, pola na stokach gór grodzone kamieniami, ciche dworce kolejowe, ogłoszenia Shellów i Dunlopów. Pracujący w polu podnoszą ku nam na powitanie ręce ściśnięte w kułak. Powoli jednak wszystko staje się nużące. Szachownice pól i winnic swym rozdrobnieniem i widoczną starannością przypominają jakieś Niemcy czy Poznańskie, które zamiast rozpostrzeć się wzdłuż, sfałdowałoby się w teren górzysty, pomarszczyło w nawiezione ziemią tarasy. Jedyny egzotyzm to wozy, wysokie, na olbrzymich kołach, dwukołowe, ciągnione przez muły i osły. Człowiek nabiera sceptycyzmu wobec tej rewolucji, która w Port-Bou witała go tak barwnie, groźnie i hucznie, a tu panuje nad krajem pracowitych mrówek, pszczół czy termitów. Zasypiam, budzą mnie

do kontroli paszportu, bardzo zresztą uprzejmej, zasypiam znowu, wreszcie Barcelona.

Jest dopiero ósma wieczór, ale już zapadła czarna, atramentowa noc, jakie bywają na południu. Na dworcu tłum milicjantów i robotników. Czerwone strzały wskazują miejsce zbiórki dla cudzoziemskich ochotników jadących walczyć za rewolucję. Jadę dorożką przez miasto wielkie, źle oświetlone i pełne ludzi. Hotel, do którego właściciela mam polecenie, nie został na szczęście „zainkautowany" jak kościół w Port-Bou i jak wiele barcelońskich hoteli. Dostaję malutki spokojny pokój na jednym z najwyższych pięter, niemniej jednak z oknem wprost na szarą ścianę innego drapacza. Jestem zmęczony drogą, kładę się wcześnie spać. Naraz, przez półsen zaczyna mi krzyczeć do ucha jakiś głos, ogromny, maszynowy, nieludzki. Wyrzuca słowa i całe zdania w tempie karabinu maszynowego. Głos jakby przenikał mury, zagłuszył zupełnie daleki szum wielkiego miasta, wypełnia mój mały pokój po wszystkie kąty, przelewa się jak woda z przepełnionej wanny. Megafon radiowy ustaje wreszcie na moment, potem znów, nieco inną tonacją głosu, poczyna wyrzucać nowy potop dźwięków. Tam, na

czarnej ulicy Barcelony, ludzie gromadzą się przed głośnikami, aby wysłuchać ostatnich wiadomości z frontu. Ale teraz to chyba nie są komunikaty. Jedne po drugich huczą jakieś przemówienia, zaklinania, orędzia. Miękka, sprężysta jak stal mowa hiszpańska nabiera przez głośnik ołowianej, koturnowej ciężkości. Słowa lecą przez powietrze ciężko, jak żelazne blaty strącone z drapaczy chmur na kamienny bruk. Nie rozumiem z tego prawie nic, i to może zwiększa jeszcze niesamowitość wrażenia. Przez czarną noc, z mroku nie znanej mi mowy wyłaniają się tylko niekiedy dźwiękowe kontury słów nieobcych: rewolucja, proletariat, *España, el pueblo, fascismo, muerte.* Czasem, bardzo rzadko, uda się powiązać jeden kontur z innym, nadpływającym zaraz po nim z niewidzialnego głośnika, czasem uda się sczepić je razem niedostrzegalnym łącznikiem sensu. Ale zdarza się to bardzo rzadko. Jestem zmęczony, po prostu leżę na łóżku w jakimś pokoju hotelowym, w obcym mieście i w nocy, przez okno zagląda niezwykle ciemna południowa noc i wlewa się wraz z nią fala obcych, chrapliwych dźwięków. Wreszcie znużenie staje się silniejsze niż owa fala. Zasypiam, kołysany jeszcze echem

jej słownych gromów, zasypiam w tym potrójnym wrażeniu: czysto fizycznego zmęczenia, ciemności wokoło niego i ogarniającej mnie, tak samo jak te ciemności, powodzi cudzej mowy, wzburzonej w orkan fali, która z wolna przenika, otacza i wciąga jak ogromna, niezgruntowana głąb. To jedno wiem już przynajmniej z Hiszpanii rewolucyjnej, że samotny nie będę tu ani na chwilę, że wszędzie dogna mnie tu światło czy mrok, doścignąapele i wołanie, że zawsze i wszędzie przelewać się tu będzie aż poprzez mnie, obcego, to wezbrane olbrzymie morze, które zalało tu wszystko.

Cały następny dzień spędzam w największym mieście rewolucyjnej Hiszpanii, mieście, gdzie ta rewolucja była najbardziej krwawa, okrutna, ale i heroiczna, w mieście, gdzie anarchizm nie przestał być wspomnieniem odległej dla nas przeszłości, współczesnej młodości Sienkiewicza, współczesnej wiekowi dojrzałemu Prusa. Jest to wielkie i piękne miasto, bogate w dodatku, i oto wszystko to stało się teraz tłem dla nowej rzeczywistości. Plakaty z komory celnej w Port-Bou rozmnożyły się tu w tysiące barwnych plam lśniących w wielkim słońcu na murach. Samochody śmigają z wiel-

kimi sztandarami, wymalowane białą farbą w hasła i godła, w skróty literowe dwóch wielkich związków zawodowych, partii politycznych i instytucji rewolucyjnych, na których rzecz zostały „zainkautowane". W samochodach siedzą milicjanci w granatowych *mono,* zresztą i w jakichś innych „mundurach w stanie tworzenia się", wreszcie w kurtkach wojskowych. Nad wszystkim góruje *mono.* W bramach domów, zwłaszcza w bramach wielkich banków, poczty, gmachów rządowych, wysiaduje po kilku członków milicji ludowej przy karabinach i w *mono. Mono* awansowało do godności munduru, *mono* zdetronizowało mundur. *Mono* to po prostu robotniczy kombinezon używany do pracy, ten sam, który poza robotnikami mają jeszcze i lotnicy. Teraz *mono* wyszło z fabryk i hangarów. Stało się takim samym akcesorium władzy jak niegdyś epolety.

Jest niedziela i na ulicy tłum wyległ większy niż zawsze. Wyobraźmy sobie, że któregoś dnia całe Powiśle, cała robotnicza Praga, cała czerwona Wola wyjdzie w Aleje Ujazdowskie. Tak samo z dalekich przedmieść, z dzielnicy portowej, wreszcie ze starej Barcelony o ciasnych ulicach tłum wyległ na bulwary Rambli, na szerokie chodniki Paralelo, na plac Katalo-

nii, przed pałace wystawowe. Jest to tłum uzbrojony. Trudno sobie wyobrazić większą ilość ludzi z karabinami, spacerującą po ulicach wielkiego miasta. Trudno sobie wyobrazić zupełniejszą mobilizację samochodów przez klasę robotniczą. Hiszpania jest krajem największych samochodów, ojczyzną magnackiej Hispano-Suizy. Teraz widzę dziesiątki hispano-suiz, wspaniałych limuzyn udekorowanych godłami sowieckimi, sierpami i młotami, rysowanymi jeszcze niezgrabnie i niewprawnie na czarnym lakierze karoserii. U stóp pomnika Kolumba worki z piaskiem ułożono w barykadę. Cztery karabiny maszynowe patrzą w cztery ulice. Ale tłum tych ulic defiluje pod czarno-czerwonymi sztandarami Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej, pod czerwonymi z sierpem i młotem trockistowskiego Partido Obrero de Unificación Marxista. Z okien hotelu „Colon", gdzie bronili się i poddali wojskowi, zwisają afisze zjednoczonych partii socjalistycznej i komunistycznej. Na murach wielkiego hotelu znać ślady kul, ale jest ich bardzo niewiele. Nie można tego porównać z główną pocztą we Lwowie w roku 1918, z ministerstwem wojny w Warszawie w roku 1926. Ci ludzie, z których codziennie

nową transzę wysyłają na rozstrzelanie wyroki trybunałów ludowych, ci ludzie więzieni na pokładzie „Urugwaju", białego statku widzianego w porcie, nie stawiali długiego oporu.

Tłum robotniczy przelewa się przez ulice, świadomy swego zwycięstwa, pełen poczucia swej władzy. Plakaty naśmiewają się z oficerów, a pisma codzienne donoszą o nowych wyrokach trybunałów robotniczych. Na kościołach uchowanych przed spaleniem wiszą napisy: *patrimonio del pueblo* (własność, dziedzictwo ludu). Pałace armatorów wielkiego handlowego portu są „inkautowane", obsadzone przez organizacje robotnicze. Ilustrowana „Ahora" przynosi fotografię robociarza-milicjanta śpiącego w łóżku królewskim pałacu Pedrales. Przed pałacem katalońskiego magnata prasowego, obdarzonego tytułem *conde,* stoi pięć packardów. To nie dlatego, że jest to pałac magnata, ale dlatego, że tu jest siedziba związku metalowców. W dużym „inkautowanym" gmachu mieszka szef armii, pułkownik Sandino. Mimo woli przypomina się Petersburg wiosny 1917 roku, Petersburg marynarzy kronsztadzkich, rozjeżdżających w limuzynach dworu, Petersburg „inkautowanego" przez komunistów

pałacu Krzesińskiej. Z głośników rozwieszonych nad ulicą płynie *Międzynarodówka.* Tłum wita ją podniesieniem pięści, pieśń spadającą z góry podchwytuje i znów do góry ponad ulicę podnosi rozbity chór głosów. Ten schyłek września pachnie rosyjską wiosną.

Spośród plakatów wygląda naraz coś bardzo hiszpańskiego. Jest to także plakat, ale plakat ogłaszający na dziś walkę byków. Rewolucja w niczym nie zmąciła tradycyjnej rozrywki. Owszem, w dwóch rzeczach: na plakacie jest mowa, że byki dzisiejszej korridy pochodzą ze stajni *ex-marquesów i ex--conde'ów.* To rewolucja, ostatnia, prawdziwa rewolucja, dodała to „ex". To także rewolucja dodała w plakacie zdanie, że korrida odbędzie się w porozumieniu z milicją ludową. Tank, który zgruchotał kościoły, zatrzymał się na progu areny. Trzeba to zobaczyć.

Na korridę spóźniam się o moment, przebiegam przez wielkie łuki krużganków, wpadam schodami na widownię i wdrapuję się, stopień po stopniu, poprzez tłum zapełniający amfiteatr. Cały tłum wstaje, podnosi pięści. Oglądam się. Przede mną jest arena, żółta, piaszczysta arena, półkole pełne ludzi,

z góry zwisają portrety toreadorów. Orkiestra wojskowa wybija nad areną walki byków potężny hymn proletariackiej rewolucji:

Arriba, parias de la tierra,
En pie, famélica legión,
Atruena la razón en marcha
Es el fin de la opresión.

Międzynarodówka, jak tam na ulicy, obiega kolisko amfiteatru. Tłum na korridzie podnosi ją z zapałem. Pięści sterczą w powietrzu. Aż popod wiszące u góry portrety sławnych toreadorów wznosi się śpiew:

Agrupemanos todos
en la lucha final;
el género humano
es la Internacional!

I tu staje się rzecz, która przypadkowo miesza jeszcze bardziej, jeszcze silniej łączy hiszpańskie igrzysko i proletariacką rewolucję. Widocznie myślano, że orkiestra przestanie grać, bo oto na arenę wypada duży byk. Publiczność coś krzyczy. Jedni siadają, inni dalej trzymają pięści w powietrzu. Dwóch

czerwonych banderillerów zbliża się do byka, który stoi jak ogłuszony i oślepiony. Tymczasem ludzie wokoło mnie śpiewają dalej, dalej podnoszą śpiewem echa orkiestry:

En dioses, reyes ni tribunes
no es el nuestro salvador:
nosotros mismos realicemos
el esfuerzo redentor.

Pięści jednak opuszczają się, pieśń gaśnie, stapia się z gwarem korridy. Wszystkie oczy spoczęły teraz na arenie, z której szuka daremno wyjścia młody byk. Jest najwyraźniej przerażony, onieśmielony. Niemal nie dostrzega banderillera. Banderillerów jest czterech, w papuzich strojach, z długimi na metr prętami, zakończonymi ostrym drutem. Trzeba to wbić w kark. Byk patrzy się nieufnie, ale jakby ze zdziwieniem na podchodzącego banderillera. Chłopak krótkim, nagłym ruchem wbija zwierzęciu ponad karkiem oba pręty, biegnie za parapet areny. Byk ryknął, chwieje ogromną głową, banderille tkwią zwycięsko w karku. Banderille mają czerwono-żółto-fioletowe barwy republiki. Byk podbiegł, uciekając, do parapetu. Chłopak

roznoszący słodycze chwyta go z góry za banderillę, tarmosi. Byk szarpie się i ryczy, uskakuje na środek areny. Wszyscy wokoło mnie zanoszą się szerokim, gorączkowym śmiechem. Śmiech i krzyk kilku tysięcy ludzi spada stopniami na arenę. Banderillero znowu wbił, tym razem jedną tylko, strzałę bykowi. Zwierzę biegnie za nim, chłopak ucieka, tłum wyje. Chłopak jakby się zachwiał, byk go dopada. Lewy róg wjeżdża ostro w biodro. Wszyscy wstają. Na arenie już trzej inni banderillerzy podskoczyli z czerwonymi płachtami. Byk traci orientację, leci za nimi. Czwarta strzała naraz wbija się w grzbiet. Byk ucieka wzdłuż areny, wolnym truchtem, tłum ryczy. Gdy byk jest blisko, widać, że sierść na karku z czarnej stała się czerwonoruda i lepka. Krew z czterech ran spływa cienkim strumykiem. Rannego banderillera już zastąpili zgrabniejszym. Zaczyna się poważna gra. Na arenę wyszedł toreador w szamerowanym złotem fraczku, z długą szpadą i czerwoną płachtą. Ludzie w amfiteatrze wysunęli się naprzód, aby nic nie stracić z widoku. Kilka tysięcy ludzi czai się na śmierć.

Zbiera mnie zupełne, głębokie obrzydzenie. Są tu szpady, lśniące stroje, chorągiewki,

cały rytuał rycerski, ale pachnie tu przede wszystkim rzezią podniesioną do godności sztuki i obrzędu. Nie mogę patrzeć. Jakiś milicjant klepie mnie po ramieniu, życzliwie, opiekuńczo. Inni oglądają się kpiąco. Ale trwa to krótko, bo nie ma nikogo, kto by chciał uronić jeden moment z tej krwawej walki, stracić jedno cenne pchnięcie, jedno uderzenie rogiem. Uderzenia rogiem są rzadko tragiczne; byk leci zawsze za rozwianą przed nim czerwoną płachtą, nie umie skręcać za uciekającym, nie ściga go wytrwale, odbiega, czasem przeleci ponad upadłym, w pogoni za czerwoną chorągiewką. To właśnie podkreśla moment rzezi w tym wszystkim, to właśnie tak drażni, że ten byk, młody, silny, potężny, jednak zawsze ulegnie w walce, której ani na moment, nawet jeszcze teraz, nie chciał.

Ludzie wokoło mnie krzyczą i doprawdy w czasie tego widowiska nie można milczeć. Sam zaczynam nerwowo coś nucić, włożywszy pół garści w usta. To odrywa od widowiska, ułatwia patrzenie. Nie można tu być biernym widzem. Uświadamiam sobie naraz to, co grano przed półgodziną. *Arriba, parias de la tierra...* Prawda, na arenie występują może byki eks-markizów, ale korrida odbywa

się ze współudziałem milicji Frontu Ludowego. Na arenie byk znowu pokiereszował rogiem jakiegoś banderillera. – To nic, to pierś – tłumaczy mój sąsiad, milicjant. Wiem, że naprawdę wspaniale jest wtedy, gdy wylecą bebechy. Ale podniecenie widzów zdołało już urosnąć na drożdżach tych dwóch wypadków. Teraz toreador zwodzi byka płachtą, zza płachty błyska szpada, która ma wrazić się w kark zwierzęcia. I wreszcie! Byk dostał raz, niemieje, staje. Cały amfiteatr też wstał, ryczał głośno. Czarny, młody zwierz sztywnieje, widać, jak nogi się łamią, obala się całym cielskiem, pełnym młodej, jurnej energii, na ziemię. Toreador zadaje mu jeszcze jeden silny cios. Amfiteatr faluje od braw, oczy ludzi płoną zachwytem. Naraz poprzez szum przemyka się nuta, która go przebija i ścisza, a potem wlewa w siebie, pęcznieje nim i podnosi się znowu, ponad arenę z portretami wybitnych toreadorów, ponad czerwony sztandar nad areną. Czwórka białych koni wyciąga martwe ciało byka. Hymn rewolucji spływa po raz wtóry na skrwawiony korridą piasek.

Grano *Międzynarodówkę,* bo w przerwie przed nową korridą wjechał na arenę oddział armii ochotniczej konno, w mundurach wzo-

rowanych na kozackich, i przedefilował wśród entuzjazmu widzów. Druga i trzecia korrida już działa inaczej. Obcy widz nasiąkł tym podnieceniem, które tu drga w powietrzu, zapach krwi nie uderza weń niemęskimi mdłościami, ale jakby rozdyma nozdrza. Z pierwszych wrażeń pozostaje tylko uporczywa świadomość, nie dająca się zagłuszyć i przyćmić, że radość, którą się odczuwa, zainteresowanie nie znane dotąd, które się zrodziło, które wyorało bardzo głęboko ukryte pokłady, nazywa się przecież rozbestwieniem. Trzeba było wysiedzieć tu do końca, żeby się coś takiego mogło odezwać. Trzeba było wiele razy przymuszać siebie, nie schylać głowy, a przeciwnie, patrzeć – jak wszyscy – na arenę, gdy tłum szalał od okrzyków, żeby się wreszcie do owych pokładów dodrążyć. Mnie jednemu zresztą było to potrzebne: dla tych mas naokoło te pokłady leżały tuż pod powierzchnią. W ciągu wieków nie przysypano ich niczym i tak, zdaje się, jest i teraz.

A jednak nie są to rzeczy, które można zamknąć w szufladach folkloru czy obyczaju, wytłumaczyć południowością i temperamentem, wyczerpać określeniem sportu. Przez całe wieki wielkie święta katolickie obchodzono

w tym kraju uroczystymi korridami, dni kanonizacji świętych poprzedzano kilkudniową korridą. Do niedawna dzieci, przystępujące po raz pierwszy do komunii, szły tegoż dnia, po południu, po raz pierwszy na walkę byków. W tym kraju wspaniałych świątyń, świętej Teresy i Ignacego Loyoli, katolicyzm prześlizgnął się bez śladu ponad walką byków, omotał w nią swe święta. Można było oczekiwać czegoś innego po wierze, która sama przeszła przez ludzkie korridy i objawiła się światu z koliska aren, będących wzorem tych aren. Można było oczekiwać czegoś więcej po wierze, której święci do wilka mówili: „bracie". Korrida, uszanowana przez katolicyzm, korrida, poczęta gdzieś w pogaństwie Iberów, utrzymana w rzymskiej prowincji, rozpowszechniona za Maurów, przetrwała wszystko. Tank historii, który teraz pomiażdżył portale świątyń, zatrzymał się przed wejściem do areny. Będziemy mieli korridy na pierwszego maja i na święto październikowe, i na święto Lenina, Róży Luksemburg, Liebknechta, jak je mieliśmy na Boże Ciało. Z kolei *Wyklęty powstań, ludu ziemi!...* będzie otwierało walkę byków.

Niemniej i w tym wypadku stosunek do korridy stanie się sprawdzianem, czy nowy

pług i nowa orka przeorują tu ziemię głębiej niż poprzednio. Korrida nie jest tylko zwyczajem ludowym, sportem, częścią folkloru czy rodzajem zabawy. Z korridą łączą się zawiłe problemy gospodarcze, problemy społeczne. Instytut Reformy Agrarnej mówi od dwóch lat, że w kraju, gdzie hoduje się najlepsze byki na rzeź igrzyskową, rasa bydła upada. Wszyscy wiedzą, że po to, aby mogły odbywać się walki byków na arenach Madrytu, Barcelony, Sewilli, dwudziestu większych, kilkuset małych *puebli,* muszą się te byki wypasać na stepowych latyfundiach Estremadury i Andaluzji, wszyscy wiedzą, że dopiero w otwartym jak pampasy polu wyhodowuje się zwierz godny walki, że istnienie obecnego ustroju agrarnego, ustroju wielkich, na pastwiska oddanych obszarów, związane jest z istnieniem walki byków. Przecież nazwiska *ex-conde'*ów i *ex-marquésów,* wymieniane dziś jeszcze na afiszach korrid, oznaczają po prostu w skrócie: te byki zostały wyhodowane na obszarach wielkości stu tysięcy, stu dwudziestu tysięcy hektarów. Nazwiska *conde'*ów tkwią na afiszu obok patronatu milicji ludowej, każda walka byków oznacza, że trwa i działa ustrój rolny uważany za nieszczęście Hiszpanii. Tank, który go oba-

li, traktor, który go przeorze, narzędzie geometry, które te obszary podzieli – wszystko to będzie musiał o uderzyć w mury aren. Na razie *Międzynarodówka* powiewa nad korridą, jak powiewały, rozgrzeszając ją, inne sztandary. *Arriba, parias de la tierra...* przepływa kolejno nad tą samą zawsze areną, jak nowa fala wieków, jak jeszcze jedna zima czy wiosna, która spadnie na stary ląd Iberów, spłucze go jeszcze jednym deszczem, ostrzela jeszcze jednymi błyskawicami gromów, nie wdrążając się lemieszem w zbyt twardy, skalisty grunt.

Wieczorem jem obiad w restauracji mego hotelu. W drzwiach sali kelner rozmawia z dwoma milicjantami, którzy przyszli i jakby pytali się o mnie. Wszyscy trzej stoją w drzwiach. Po chwili widzę, że jeszcze w nich tkwią. Jem owoce, składam serwetę, wstaję. Trójka podchodzi do mnie. Czekali – z hiszpańską uprzejmością – aż skończę.

– *La documentación?*

Podaję mój paszport, ale nie przeglądają go wcale. Wzywają mnie, abym szedł z nimi. Na dworze jest już noc. Kelner przez chwilę coś tłumaczy, wreszcie oni się zgadzają:

– Niech pan zajdzie do siebie – mówi kelner – i weźmie ze sobą, *en tout cas,* co pan potrzebuje.

Robię zdziwione oczy:

– Niech pan w każdym razie weźmie ciepły pled – nalega kelner.

Winda wjeżdża do góry, za chwilę zjeżdża na dół. Ciężko przemierza się kilka kroków przez hall hotelowy. Jesteśmy już za drzwiami. Mam ciepły pled na ramieniu.

Niżej historii

Róża leży ociężale na białawym piasku i rozkoszuje się nie tylko słońcem i morzem, jasnym i modrym morzem Barcelony, ale jeszcze i tym, że dzień po dniu korzysta z tej plaży hiszpańskich paniczów i dostojnych *señorit,* że jej tu wejść wolno, że nie ośmieli się jej wypędzić, jak wypędza się dziewki uliczne z szanujących się kawiarni, żaden kelner i żaden garson. Róża zrobiła się już tak wielka pani, że nie reaguje tu zupełnie na trywialne i obcesowe żarty, jakimi przechodzący mężczyźni zaczepiają dziewczynę, że nawet zapragnęła zwolnić tempa, że tak powiemy,

w swym ponurym zawodzie, że coraz więcej nocy przesypia sama.

Myślę o tym, dlaczego spotykam tę dziewczynę, skoro nie łączy mnie z nią nic z tego, co przelotnie łączy innych mężczyzn z „takimi", i żeby to samemu sobie dopowiedzieć, wracam myślą do owej nocy, gdy z milicjantami i tajniakami powędrowałem do jednej z barcelońskich izb „inwestygacji" i kolejno przechodziłem z jednego badania do drugiego. Tamto wszystko mąci się zupełnie, rozkłada na fragmenty i fragmenciki. Wypuszczony, znalazłszy się na ulicy, zobaczyłem, że jest już prawie zupełnie jasno i że idę przez bulwar pełen świergotu budzących się ptaków. Dopiero wróciwszy do hotelu, zauważyłem, że służba, obcy mi ludzie, poklepują mnie, ściskają za rękę, uśmiechają się życzliwie i radośnie, gremialnie odprowadzają do pokoju, choć obudzeni o tej porze, powinni by raczej przeklinać. Mówili coś po hiszpańsku, czego nawet nie próbowałem rozumieć, czułem się zmęczony, położyłem się spać. Ale słońce wchodziło już przez szpary stor. Wtedy sennie i leniwie pomyślałem jeszcze o przebiegu całej tej śledczej nocy, pomyślałem o tym pledzie, który mi w hotelu

dano na drogę, pomyślałem o tej radości, z jaką mnie niespodzianie powitano teraz, i wreszcie sformułowałem sobie zdanie, które mi bardzo dosłownie powtórzył późniejszy znajomy, zdanie – że widocznie tej nocy wróciłem jednak z daleka.

De Vergnolles, ów nieco śmieszny, z lekka hochsztaplerowaty młody człowiek lat trzydziestu kilku, którego właśnie nazajutrz poznałem przy *lunchu* w hotelu, był właściwie człowiekiem, który zajął się mną najskuteczniej, wtedy gdy trzeba to było zrobić. To, że nic nie wiedziałem o tym, czym jest rewolucja hiszpańska, że nie znałem słowa *passeito,* że nie dawałem wiary ogromowi conocnych samosądów i temu, jak bardzo podejrzewany jest tu dzisiaj – nieraz słusznie, niestety – cudzoziemiec, to wszystko ułatwiło mi utrzymanie spokoju podczas owej nocy badań. Ale potem napłynęło to, czego nie było przedtem, rozprężyły się nerwy, zelżało skupienie woli, de Vergnolles to zrozumiał, sam to przeszedł, zawiózł mnie swoim samochodem na spacer – jako obywatel kubański, choć w Hiszpanii urodzony i zamieszkały, posiada nadal swój samochód – pokazał mi stoki Tibidabo, gdzie u stóp pinii znajduje się zwłoki ofiar samosą-

dowych *passeitów,* dalekie szczyty Montserratu. De Vergnolles zabrał mnie wieczorem do teatrzyku, zapoznał z wylakierowaną jak lalka swoją przyjaciółką statystką, rano zabrał mnie na plażę. Chodzę codziennie na plażę barcelońską, żeby leżeć tak w słońcu i nie myśleć, żeby wszystko to widzieć z dystansu. Jak wielu ludzi, którzy tak bytują. Vergnolles nie mieszka w domu swej matki, która wyjechała zresztą na wieś. W hotelu jest pewniejszy, choć Vergnolles nie jest przemysłowcem, nie naraził się politycznie i zawinił tylko grzechem posiadania willi, samochodu i bogatej żony, z którą zresztą nie żyje. Od apelów, wiadomości z gazet, plotek z frontu, wyroków trybunału ludowego *passeitów* ucieka wielu ludzi do pozorów zabawy, pozorów plażowania, pozorów wysiadywania w kawiarniach, wszelkich pozorów zabijania czasu w sposób możliwie nie rzucający się w oczy. Tak po rewolucji hitlerowskiej wielu ludzi w Niemczech chciało wobec siebie i innych udawać, że nic się w ich życiu nie zmieniło, że wysiłek utrzymania się w normalnym torze życia nie jest niemożliwością. De Vergnolles jeździ do teatrzyku, jak jeździł dawniej i jeździ na plażę rano, jak

jeździł dawniej. Na plaży nie ma dawnych *señorit* i dawnych paniczów. De Vergnolles przeżywa moment dumy: najniezawodniej był on małą figurą, gdy *conde'*owie i synowie przemysłowców zajmowali tu pierwsze miejsca, a dziś jest jedyny, który przetrwał *ancien régime,* i króluje na plaży, co prawda pełnej prostytutek udających damy i milicjantów zastępujących oficerów. Ale też ten Vergnolles wymieni w każdej chwili dwadzieścia, trzydzieści nazwisk swych osobistych znajomych, których ciała z kulką w plecach czy w tyle czaszki znaleziono dotąd na drogach pod Barceloną. Wymieniać te nazwiska, zamiast żeby samemu być przez kogoś innego wymienionym, to także coś znaczy. Można wtedy przestać wzdychać do dawnych czasów i przebaczyć nowej towarzyszce plaży, że jest po prostu zwykłą dziewką. De Vergnolles przebacza.

Ja nie mam nic do przebaczenia, a za to powoli dziewczyna uliczna Róża staje się szkłem, przez które widzę Hiszpanię, rewolucję, tamto wszystko. Nie znaczy to wcale, żeby spojrzenie Róży na świat było szczególnie mądre czy wnikliwe. Znaczy, że jest zupełnie inne od wszystkich. Inne od spojrzenia Com-

panysa, który jest prezydentem Katalonii, Nina, który był sekretarzem Trockiego, mówi ze mną po rosyjsku, a zostanie w najbliższym czasie komunistycznym ministrem sprawiedliwości, Gassola, poety i ministra oświaty Katalonii. Takich Róż było w jednej Barcelonie kilkanaście tysięcy, w Hiszpanii zapewne więcej niż sto tysięcy. Jeśli się weźmie pod uwagę, że ten zawód niszczy szybko, a kobiety na południu starzeją się i tak szybciej, przyjdziemy do wniosku, że przez domy publiczne, bardzo swobodnie i bodaj oficjalnie prosperujące w Hiszpanii, przepływa w ciągu paru lat ogromny odsetek kobiet hiszpańskich, nie mówiąc już o tych, które od razu wędrują do podobnych zakładów Ameryki Południowej. W oczach Róży nie ma w tym nic nadzwyczajnego, nic zastanawiającego, nawet rozmiary, jakie to zjawisko przybiera, są dla niej zupełnie normalne. Nie razi jej to wszystko w kraju ultrakatolickim, nie dziwi jej, że lupanar zdobył sobie tak wielkie miejsce w kraju kościołów i klasztorów.

Róża pochodzi z rodziny, która czternaścioro dzieci ulokowała wszędzie: w klasztorze i w lupanarze, w seminarium duchownym i w kredensie, w milicji robotniczej i w „Ter-

cio", słynnej legii cudzoziemskiej Maroka, gdzie zresztą służą przeważnie Hiszpanie i która jest dziś strażą pretoriańską generała Franco. Gdybym nie był napisał, kim jest Róża, gdybym tylko powiedział, że poznałem w Hiszpanii rodzinę, która swych członków rozlokowała wszędzie, na lewicy i na prawicy, u Franco i u Caballera, w klasztorach i w domach magnackich, w przemyśle i w Meksyku, powiedzielibyście: cóż to za familijna mafia. Ale rodzina Róży nie była mafią, choć trzeba było nie lada przemyślności, żeby tak rozlokować czternaście osób. Rodzina Róży nie była mafią, bo jej brat z „Tercia" nie jest nawet kapralem, a jej brat z przemysłu zarabia cztery pesety, a jej brat mający do czynienia z magnaterią jest do pomocy w kredensie pewnego *conde*. Rodzina Róży pochodzi z Murcji, kraju minifundiów, hiszpańskiego Rzeszowskiego, spotęgowanego, a raczej spierwiastkowanego do płachetków gruntu. Murcji, gdzie najwięcej rodzi się dzieci i najwięcej dzieci umiera, Murcji, która dostarcza Hiszpanii dziewek ulicznych i lokai, jak Andaluzja dostarcza byków, a północna Galicja zaopatruje możne domy Madrytu w mamki i *nurse*'y. Motorem, który

pchnął całe pokolenie Róży do „Tercia", do klasztoru, do domu publicznego, do milicji ludowej i do pałacu magnata, był właśnie ów stosunek liczbowy 14 dzieci do 11 i pół morgi. Motorem, który prowadził ekspansję całej Hiszpanii za morza, który zaludnił trzynaście republik Ameryki Południowej, cały kontynent, całą część świata, ludźmi krwi iberyjskiej, były wielkie rodziny małorolnych. Rodzina Róży nie zdobyła dla siebie nic. Ani tytułów, ani godności, ani pieniędzy. Z trudem zdobywa chleb. Siostra Róży, posługująca w klasztorze, żeby zdobyć ten chleb, musiała wyrzec się najprostszego ludzkiego szczęścia; Róża, żeby go zdobyć, musiała wyrzec się go także, ale w zgoła odmienny sposób, musiała stać się wszystkich, jak tamta była niczyja. Ale niemniej potok takich jak Róży rodzin, potok spadający na równiny ze wzgórz najwyższej nędzy, bardziej niż Kolumb i trwalej niż Cortés, zdobył dla Hiszpanii i utrzymał dla hiszpańskości światy równe tylko koloniom Wielkiej Brytanii. Potęga „infrahistoryczna" Hiszpanii. Myślałem o niej czytając słowa o takich właśnie ludziach, pisane w *En torno al casticismo* przez Miguela Unamuno:

„Fale historii z całym swym szumem, ze swą pianą mieniącą się w blaskach słońca, przelewają się jedynie nad morzem samym, olbrzymim i głębokim, którego dna nigdy nie musnęło słońce. Wszystko, co nam codziennie przynoszą dzienniki, gdy mówią o «obecnym historycznym momencie», jest tylko powierzchnią, która krystalizuje się i krzepnie w książkach i archiwach, pozostając bez znaczenia dla tego życia infrahistorycznego, które pod nią wrzało, podobnie jak ziemia, którą depczemy, jest tylko osłoną olbrzymiego gorejącego ogniska, które sobą zasłania. Nic nam nie mówią dzienniki o milczącym życiu milionów ludzi bez historii, którzy o każdej godzinie dnia i w każdym kraju globu ziemskiego wstają do pracy, sieją i orzą, podobni owym koralowcom na dnie oceanów, które przecież na barkach swej mrówczej twórczości wynoszą nad powierzchnię wód wyspy dziejów. To na tle tego milczenia milionów głos innych nabiera życia i echa. To na głowach olbrzymiej społeczności milczących stoją ci, co robią hałas w historii. A jednak to życie podhistoryczne, milczące i zwarte jak głębiny morza, jest istotnym tworzywem postępu, tradycją prawdziwą i wieczną, inną niż

kłamliwa tradycja szukana przez nas w księgach i archiwach, kamieniach i pomnikach..."

Tak, niezawodnie, oto jest potęga infrahistoryczna. Światy poniżej historii. Róża i jej rodzeństwo nie obchodzą nic nie tylko klasyfikatorów dobrych i zacnych rodzin, nie obchodzą nic historyka, który się do nich nie dogrzebie swym skalpelem, uwięzłym w pergaminach kanclerskich i w sekcji tajemnic buduarów rokoka. Promień legendy nie przeniknie do tych warstw głębinowych, w których zamiast rekinów i wielorybów odnajdzie świat na poły mięczakowy, na poły roślinny, imponujący jedynie swym ogromem, bezkształtny i bezkostny. Milczy o nim przeszłość. Akta klasztoru w Montserrat mówią, że w roku 1193 Ataulf i Blanca, małżonkowie, ofiarowali klasztorowi swą służkę, Serenę, „wraz z jej potomstwem". Oto w takich wypadkach, takimi ubocznymi, inwentarzowo-porządkowymi zapiskami podpływają ku naszej pamięci dowody, że w świecie, który miał błędnych rycerzy, gdzie modliły się w chórach klasztornych córki Piastów, Arpadów i Lancastrów, gdzie w dziedzińcach klasztorów dyskutowali scholastycy i święci, były jeszcze warstwy podgłębinowej ludzkości, ży-

li, obok naszych, przodkowie Róży. Ale nie da się przecież zaprzeczyć, że te warstwy podgłębinowe parły na historię swą mięczakowatą, bezimienną masą, że to ich parcia, silniej niż ambicje ministrów, wyniosły Hiszpanię, że to ich pochód, trwalszy niż ekspansje misjonarskie, zdobył i utrzymał olbrzymi, niezgruntowany dziś jeszcze, kontynent. Co będzie, jeśli jutro zwyciężą ci, których „Tercio" jest kolumną czołową? Co będzie, jeśli pojutrze zwyciężą inni, których taranem jest milicja ludowa, milicja ludowa innego z braci Róży? Czy znowu tylko jeden strzęp z tego kolektywu mięczaków historii oderwie się, wejdzie w ten krąg życia, gdzie ciała stają się twarde, nabierają osobowości, dźwigają się na poziomy dostępne sondzie historii? Czy trzynaścioro pozostałego rodzeństwa będzie dalej tylko trwało, rozmnażało się, odnawiało, czy też samo wejdzie całą masą w orbitę nowego istnienia?

Z tej pozycji pozahistorycznej, innej niż pozycja tysięcy walczących i wierzących, widziała Róża historię. Róża nie zastanowiła się nad tym, że przebiegając przez plac Katalonii w dzień walki o hotel „Colon", można było dostać kulą naraz z paru stron: Róża znała nikłą wartość, jaką posiada jej życie. Róża wi-

działa więc wszystko. Widziała rzeczy najgorsze i widziała heroizm. Róża widziała, jak ginęły zakonnice, widziała, jak robotnicy brali szturmem karabiny maszynowe regularnej armii. Z bocznej ulicy wypadał naraz sznur wozów ciężarowych, sprzęgniętych jeden z drugim, i walił całym pędem na ustawiony za schronem karabin maszynowy. Nie było już dlań ratunku, bo za zestrzeloną załogą pierwszego samochodu ukazywała się załoga drugiego i trzeciego i w pełnym tempie waliła prosto na nich. Tym łatwym sposobem strategii walk ulicznych zduszono powstanie barcelońskie. Róża była wszędzie. Widziała, jak żołnierze zrzucali kurtki mundurowe, przyłączając się do ludu. Widziała, jak z płonących klasztorów wychodzili księża z krzyżem w ręku i jak nad nimi zakotłował tłum. Róża jadła z milicjantami w pałacach i na srebrze, dostała trzy szylkretowe wachlarze. Potem rewolucja zwycięska przewaliła się przez Różę dziesiątkami nowych przelotnych kochanków. Ładna dziewczyna pieściła milicjantów i twórców szturmówek, młody legion bohaterów rewolucji i nową szlachtę Hiszpanii, gięła się pod naporem nowego dla niej człowieka, twardszego, łapczywszego,

cięższej ciosanego niż ten, który był przedtem. Orkan rewolucji przechodził w pewien sposób i ponad nią, i ludzie ci brali ją tak samo, jak brali piękne pokoje, miękkie łoża, srebra stołowe i miejsca w najlepszych kawiarniach, jak z twardego bruku przedmieść zeszli na miękkie, grube dywany bogatych domów mieszkalnych. Rewolucja bardziej jeszcze Różę wzięła, niż wyzwoliła czy podniosła. Róża pozostała Różą. Przetrwała rewolucję proletariacką, jak przetrwała monarchię i republikę mieszczańską, przetrwała to wszystko, czego nie przetrwały w tym kraju klasztory, a co przetrwała, na przykład, korrida. Byki dalej krwawią się na arenach, dziewczyny dalej uśmiechają się w cieniu latarń. Róża się temu nie dziwi, nie pragnie, żeby było inaczej. Więcej. Róża nie sądzi, żeby inaczej być mogło. Róża kłopocze się raczej, że na jesieni będzie nowy plon konkurencji świeżej i młodej, że przyjdą inne dziewczyny, tak jak dwa lata temu Róża z głębokiej Murcji, wtedy gdy roboty rolne się skończą, winogrona się zbierze w polu. Zbiór winogron wymaga wiele uwagi, więc i wiele rąk do pracy, dziewczyn wówczas się nie puszcza. Gdy *la cosecha* jest skończona,

ręce stają się zbędne, a jedne więcej usta umniejszać będą codzienną zawartość misy. Róże idą do miasta, przeważnie wiedząc po co. W tym kraju, gdzie słońce wyzłaca nędzę i kurz na ulicach zamienia w jakiś złoty pył, jakiś promyk ozłocenia pada na dziewczyny uliczne i zamienia je w Carmeny z oper. Na targach, na jarmarkach, na jesiennych odpustach umawia się dziewczyny, przedsiębiorca wypłaca rodzicom cenę, zajmuje się ulokowaniem dziewczyny. Róża była ładna i miała szczęście. Przedsiębiorca cenił sobie dobrze tę dziewczynę krzepką i uśmiechającą się bez przymusu, ulokował ją możliwie korzystnie. W ten sposób segreguje się coroczny zbiór winogron, przeznaczając je na wino, na eksport, na konsumpcję w kraju i rodzynki. W podobny sposób, z tą różnicą, że nie na jesieni, lecz na wiosnę, inni przedsiębiorcy taksują młode byki z wielkich hodowli w Andaluzji i Estremadurze. Które do Barcelony i Madrytu, które do Sewilli i Cordoby, które wreszcie do Almerii, które do małych czwartorzędnych miasteczek i aren. W tym roku nic się nie zmieni, wszystko będzie jak zawsze. Potrzeba może więcej dziewczyn niż zwykle.

Róża wyjaśnia mi to bez cienia ironii, z fachowością, z jaką robotnik fabryki tytoniu objaśnia mnie, że w tym roku trzeba będzie wzmóc tempo produkcji, choć sam nie jest przecie tym, który na wzmożeniu tempa najwięcej zarobi. Rewolucja, obok oblicza grozy i heroizmu, ma oblicze swobody, użycia, nieskrępowania. Tłum, który zawsze lubił wydawać, wydaje więcej niż zawsze. Olbrzymia masa milicji ludowej, gdzie każdy dostaje dziesięć peset dziennie, stwarza nową klasę średnio zamożnych, o mało zróżniczkowanych sposobach użycia, niezliczonych rodzajach rozrywki, klasę, u której uciechy płciowe nie są dystansowane innego rodzaju radościami. Tylu ludzi wydźwignęło się z nicości, tyle mienia zmieniło posiadaczy, tyle pieniędzy łatwo nabytych sprawia szczególniejsze ożywienie. Łatwo to sobie dopowiedzieć. Tu zmieniło się wiele, wiele bogactw runęło w Madrycie i Barcelonie, wiele nowych potęg i nowych potentatów urosło na cokole dymiących barykad. Na wsi zaś nie zmieniło się nic czy niewiele. Po dawnemu Murcja jest prowincją minifundiów, nie dorosło tam morgów, zapewne tylko przybyło dzieci. Jak przed wiekami, czynna jest dyna-

mika poczęć i rodzeń, która całymi falami emigracji zalewała niegdyś pampasy Amazonki, produkuje proletariat fabryczny Barcelony, górniczy czarnej Asturii, a Hiszpanię srogich obyczajów, cnotliwych panienek i narzeczonych, świętych zakonnic i wiernych małżonek nasyca corocznie odnawianym żniwem łatwych kobiet. W tym dziwnym kraju, gdzie przekleństwa łączą w sposób u nas nie znany religię z nierządem, świętość z rynsztokiem.

Róża przeciąga się dalej, obok nas, na piasku wytwornej plaży. Ta plaża, trzy szylkretowe wachlarze, zmiana klienteli, noce przespane w panieńskich pokojach wypłoszonych rewolucją hrabianek – oto zdobycz społeczna Róży. Róża postąpiła w drabinie społecznej, na którą wstąpiła w dniu, gdy wysoki autobus wywiózł ją z parafialnej mieściny, w dzień odpustu. Ale drabina pozostała drabiną i to, gdzie teraz jest Róża, to jedynie wyższy nieco szczebel w hierarchii, która zna wytworne kurtyzany i chustkowe czy rogówki. Róża należy dalej do tych warstw infrahistorycznych, do owej ludzkości głębinowej Unamuna, której nie sonduje myśl historyka, której nie portretuje Velázquez, a nawet Goya. Burza,

która grzmi tam w górze, przewala się masami wód, miażdży i zatapia, otwiera przepaście i podnosi bałwany, przewala się mimo wszystko wysoko ponad nią. Nie mąci, nie zatrważa i nie zmienia mięczakowatej wegetacji tej bezosobowej masy płynących poprzez czas milionów, które niezdolne kierować swym losem, zmieniają swym naporem historię.[...]

„W czerwonej Hiszpanii", Warszawa 1937.

Artykuły

Istota samotności Piłsudskiego

I

Między tym, co o Józefie Piłsudskim pisali ludzie obcy, a tym, co pisali swoi, tkwiła zasadnicza różnica. Dla obcych był to bohater narodowy, skupiający w sobie kwintesencję wszelkich cech narodowych, zjednoczony z prowadzoną przez siebie Polską najściślejszymi więzami. Dla Polaków był to wielki samotnik. Mieliśmy wszyscy wrażenie, że im silniej podkreślano ogrom dystansu leżącego między Nim a nami, tym wierniej zarysowywał się profil duchowy Marszałka. Mieliśmy wreszcie wrażenie, iż samotność Piłsudskiego jest dlatego tak wielka, że nie jest to tylko samotność geniusza, nie jest to nawet samotność władcy, że jest to po prostu samotność człowieka. Może idąc tą szczeliną rozbieżności między sądami obcych a naszymi własnymi, posuwając się wzdłuż rzeczy drobnych,

szczegółów ginących w pamięci, odprysków tego życia, zbliżymy się do zagadki, jaką dla swoich i dla obcych był Ten, co odszedł na wieki.

II

Reporterzy towarzyszący parę lat temu jednemu z odjazdów Marszałka zanotowali, że wychylając się z okna wagonu powiedział jeszcze do córki: „Tylko, Wanda, nie pisuj do mnie na Berdyczów". Wszystkich uderzyła wtedy niepowszedniość tych słów. Wieje od nich dyliżansem, brzmi trąbką pocztową, szerokimi traktami Ukrainy. Przypominają Berdyczów księdza Marka, czasy, gdy taką pocztą „na Berdyczów" korespondowali ze sobą Balzac i pani Hańska. Pokolenie Wandy Piłsudskiej zna te słowa już tylko z *Beniowskiego*, a sens ich rozumie z profesorskiego komentarza. Berdyczów zaś, jaki zna młode pokolenie, nie jest ani Berdyczowem cudownego obrazu Matki Boskiej, ani Berdyczowem bałagułów. Jest po prostu jednym z miast ościennego państwa, zwanego Związkiem Radzieckim, czymś w rodzaju Kurska, Dniepropetrowska, Wołogdy. Piłsudski był

ostatni, który tego zwrotu używał. Na dworcu głównym w Warszawie brzmiało to niemal jak skargowskie „monarchijej", jak wujkowskie „niebiesiech", „azaliż", „przecz".

Do podobnych osobliwości można zaliczyć marszałkowskie pasjanse. Przeciwnicy, gdy jeszcze był Naczelnikiem Państwa, wspominali o nich z oburzeniem, łączyli z ich stawianiem rozstrzyganie decyzji państwowych, wzorowali się niemal na przedrewolucyjnej kampanii, jaką opozycja rosyjska prowadziła w czasie wojny z okultyzmem Mikołaja II. Potem, z biegiem lat, przenikały coraz szerzej fotografie Piłsudskiego zgiętego w kabłąk nad stolikiem, rozkładającego z namysłem długi prostokąt kart. Widzieliśmy już w tym tylko małą, zabawną niemal, rozrywkę i nawyczkę wielkiego człowieka. Pasjans marszałkowski nasiąkł dla nas sentymentem, jak przedtem maciejówka, jak coś, co było Jego. Dziś niejeden z gości Belwederu uświadamia sobie z żalem, że niefrasobliwa postać Marszałka pogrążonego w pasjansowych zawiłościach już nie istnieje. Na te karty, które sobie rozkładał, pogięte, pożółkłe, będą się kiedyś ludzie patrzyli w muzeum ze wzruszeniem. Aż trudno sobie uświadomić, z jakim zgorszeniem przyjmo-

wano je jeszcze piętnaście lat temu, uświadomić i to, że poza Marszałkiem Piłsudskim kładli pasjansa w Polsce jedynie ludzie starzy, niedzisiejsi, od spraw naszych odsunięci na bok. Jacyś dziadkowie czy babunie, jacyś ludzie na prowincji, po dworkach, osamotnieni. Prócz nich stawiał pasjansa tylko człowiek, który stał u samego nurtu życia. Jego ręce, pasjanse kładące, do ostatniej chwili trzymały ster najważniejszych w państwie decyzji.

Byliśmy kiedyś z delegacją młodzieży w Belwederze. Marszałek powiedział wtedy, że „Polska to taki obwarzanek, co tylko ma to po brzegach", i dodał, że się z niego kiedyś śmiano, gdy to mówił, a jednak miał rację! My młodzi nie rozumieliśmy, że się z Niego śmiano. Ale kiedyśmy wyszli z Belwederu, obstąpili mnie koledzy pytając, co to jest właściwie ten „obwarzanek", o którym mówił Marszałek? Marszałek operował światem porównań, określeń, wyobrażeń, które życiu wielu były obce. Piłsudski tego Berdyczowa, pasjansów i obwarzanka stawał się dla nich w zetknięciu osobistym niemal człowiekiem egzotycznym. Dla kresowca, dla ludzi z innych Zułowów, takie słowa mogły być swojskie i miłe, przypominały zaginiony kraj lat

dziecinnych. Ale dla najmłodszych pokoleń, dla całych, zachodnich zwłaszcza, dzielnic Polski, dla nowych lub przekształconych warstw społecznych były w tym Wodzu rzeczy wołające o komentarz.

Dla nas, ze światła dnia wchodzących w Jego psyche, jeżyły się jakieś nieporozumienia, niejasności. Marszałek Piłsudski uchodzi u jednych za postępowego toleranta, u innych za „żydofila". Długie lata szeptała o tym legenda. Młody publicysta żydowski, zajrzawszy do *Pism, mów, rozkazów*, zobaczył wreszcie, że Marszałek, wiele uwagi poświęcając kwestii żydowskiej, zwalczał właśnie najbardziej postępowe w swoim czasie, najbardziej nowoczesne kierunki myśli: bundyzm, asymilację litwacką. Legenda o filoukraińskości Marszałka przetrwała nawet ostatnich lat sześć naszej polityki kresowej, podczas gdy niedawno wybitny działacz ukraiński stwierdził, że jedyną jej formalną podstawą mógł być tylko Jego podpis na odezwie kijowskiej z 1920 roku. W dobie największego apogeum władzy Marszałka doszło do skutku pierwsze wielkie odprężenie stosunków polsko-rosyjskich. A jednak w Moskwie uważano Go do ostatka za nieprzejednanego wroga, nie odróżniającego nowej Rosji od sta-

rej. Poprzez artykuł żałobny Karola Radka idzie echo czasów, gdy w Moskwie „z dział bito na górze pokłonnej i miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej". Jedyna nadzieja, jaką wyraża, to ta, że wraz z Marszałkiem złoży nowa Polska do grobu historii i polsko-rosyjską nieprzyjaźń. Za rządów Piłsudskiego zbudowano Gdynię, flotę wojenną i handlową, umocniono się nad Bałtykiem, jak nigdy przedtem. A jednak hukowi zabijanych pod nabrzeża pali towarzyszyła uporczywa wieść o zamienianiu tego wszystkiego na Litwę, na Ukrainę, a jednak Niemcy, marzące o odzyskaniu korytarza, widziały w Piłsudskim, umacniającym węzły Pomorza z Polską, niemal swego przyjaciela. Wszechpolska ideologia Jana Popławskiego, ożywiająca w społeczeństwie ambicje morskie, ogarnęła całe społeczeństwo, prawicę, lewicę. Pisał o morzu tak od Narodowej Demokracji daleki Żeromski, o morzu rozwodzono się w dziesiątkach tysięcy artykułów, broszur, obchodów, śniło o nim młode pokolenie, tworzono całe legendy polskich przewag morskich. W ośmiu tomach pism człowieka, który był Wodzem tego narodu, nie natrafimy bodaj na słowo „morze".

Samotność Marszałka Piłsudskiego wyraża się w Polsce bardzo konkretnie. Ulicami

Warszawy przeciągały tłumy żądające ekonomicznej zagłady elementu żydowskiego, odsunięcia go od posad, ograniczenia przy wolnych zawodach, wypierania z handlu, niedopuszczania do roli. Tłumy te wiedziały, że milczący człowiek z Belwederu jest innego zdania. Okrzyk antysemicki był na uniwersytetach taranem bijącym właśnie w młodych piłsudczyków. Społeczeństwo przesiąkło niechęcią do tych właśnie Ukraińców, z których planami państwowymi złączono Marszałka na zawsze. W mieście okrążającym Belweder rodziły się coraz większe sympatie prosowieckie, odnawiał się dawny panslawizm. Wzbierała w nim nienawiść do „hydry germańskiej". I oto nikt się nie łudził, że ten człowiek, zwany Wodzem, był temu wszystkiemu, każdemu z tych szerokich prądów, najzupełniej obcy. Przez kraj przelewały się prądy pacyfistyczne, idealistyczne, nacjonalistyczne, rasistowskie. Tym wszystkim ideom Marszałek był obcy. Wobec mas wierzących w te idee był samotny. Dla demokratów przestał być demokratą od szeregu lat, dla zwolenników dyktatur – to nie był żaden dyktator. Sprzed krat Belwederu czy okien Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych nie przepę-

dzano wyjącego z zachwytu tłumu, nie objawiał się z balkonu żaden Duce, wyprężony, rzucający gromkie frazesy, gromkie obietnice. W dnie swoich imienin Marszałek bywał chory, chował się, wyjeżdżał. Piłsudski-demokrata i Piłsudski-dyktator był wśród demokracji i dyktatur zupełnie samotny. Był samotny wśród narodu, którego był Wodzem. Ci, co pisali o wielkiej samotności Marszałka, może nie zdawali sobie nawet sprawy, jak ta samotność była naprawdę realnie wielka.

IV

Ten świat Jemu obcy otrzymał bowiem swą formację ideową w nadedniu wielkiej wojny. Krzesały ją echa rewolucji rosyjskiej, kruszenie się demokracji parlamentarnej Zachodu, łomot rodzących się faszyzmów. Formacja myślowa tego mózgu, którą będą badali uczeni, datowała nie tylko sprzed wojny, nie tylko sprzed lat socjalizmu. Do owej epoki powracał stale myślą. Same Jego przywiązania regionalne miały coś z tego wracania. Marszałek Piłsudski – i oto jest nasze twierdzenie – był nie tylko anachronizmem jako styl mówienia, zakres porównań i słownic-

two: Berdyczowy i obwarzanki były raczej zewnętrzną formą czegoś o wiele głębszego. To „coś" było właśnie anachronizmem. Marszałek nie tylko mówił tak, jak mówili nasi dziadkowie. Marszałek pojmował Polskę tak, jak ją pojmowała ideologia 1863 roku, roku, do którego tylekroć powracał.

Józef Grabiec zostawił dwa kapitalne studia o tym roku, który pod względem myśli politycznej dziesięćkroć ciekawszy niż pod względem czynów bojowych. Na powstanie 1863 roku złożyła się nie tylko akcja Czerwonych i Białych. To, że w pracy nad tym powstaniem podały sobie rękę organizacje polityczne tak biegunowo różne, jak dziedzice Centralizacji i Hotel Lambert, to, że ludzie, którzy w nim wzięli udział, wypłyną w kilka lat potem, jedni jako wodzowie Komuny Paryskiej, inni jako oficerowie żuawów papieskich spod Castelfidardo – było skutkiem czegoś o wiele bardziej zasadniczego, było objawem niemal takim, jak obwarzanki i pasjanse Marszałka. Oto po roku 1831 wszystko, co w kraju żyło zdolniejszego, energiczniejszego, lepszego, a zarazem bardziej skłonnego do myśli niż do czynu, znalazło się naraz wyrzucone nie tylko w sam wir własnych potępieńczych sporów, rozpatrują-

cych drobiazgowo przyczyny klęski, znalazło się ponadto w samym centrum walki wielkich idei Europy współczesnej w Paryżu. Pod gromem klęski i pod tchnieniem Zachodu przyszedł okres wielkich przeciwieństw, reprezentowanych z jednej strony przez „Wiadomości Polskie", z drugiej – przez „Trybunę Ludów". I oto w obliczu nowego powstania doszło do ich syntezy w ideologii manifestów Rządu narodowego. Ideologia ta wchłonęła w siebie hasła demokratyczne – równość mieszczaństwa, uwłaszczenie ludu, narodowościowe postulaty „idées napoléoniennes", federacyjne współczesnych Włoch i Niemiec. Pociągnęła za sobą masy niższego, a część wyższego kleru, wlała w formy kościelnych obrzędów narodowe i wolnościowe obchody. Niosła wolność wszystkim ludziom, równość wszystkim klasom, braterstwo wszystkim narodom dawnej Rzeczypospolitej. Na sto lat przedtem biskupów unickich nie dopuszczano do senatu. Teraz ksiądz, pop i rabin szli na czele pochodów. Ideologia powszechna była niesłychanie prosta, jasna, porywająca szlachetnością. Wyrażała się w zrozumiałej nawet dla dziecka symbolice trójdzielnej tarczy z Orłem, Pogonią, Archaniołem. Wiemy, jak się na tę tarczę, tar-

czę w pieczęci rządu narodowego, patrzył mały Józef Piłsudski.

Ideologia 1863 roku jeszcze w tymże roku i następnych potrzaskała się o rzeczywistość. To nie tylko karabiny rosyjskie rozgromiły powstańcze dwururki. Na wsi polskiej Milutin zwyciężył Traugutta, na wsi podkijowskiej chłopi wiązali autorów „Złotej Hramoty". Klasy, które wzięły najżywszy udział w powstaniu, zostały zmiażdżone masą konfiskat, wygnań, egzekucji, na miasta, dokąd się schroniły, nasterowano z głębi Rosji element obcy. A jednak wielkość myślowa pokonanej koncepcji ciążyła długo nad umysłami współczesnych, tułała się po nasze czasy. W niej wychował się Piłsudski. Syberyjska samotność jeszcze ją utrwaliła. Całe lata socjalizmu Piłsudskiego można pojmować jako kierowanie ruchów klasowych, dążeń narodowych i społecznych w ten sam nurt, w jaki chcieli go skierować o kilkadziesiąt lat wcześniej Goszczyński, kasztelanic Dembowski, ofiary rzezi galicyjskiej. Pod wielką, ogólnoklasową i ogólnonarodowościową ideologią Polski 1863 roku starał się zgarnąć elementy społeczne, narodowe, klasowe, usuwające się wprost spod nóg.

V

Jedna z najdramatyczniejszych walk Piłsudskiego, obrazująca cały ten okres, to walka z rówieśnikiem niemal, współpowietnikiem oszmiańskim, synem szlachetnego litewskiego dworu, Feliksem Dzierżyńskim. Ludzie, z których jeden dotarł w wędrówce życia pod honorową ścianę Kremla, drugi pod stropy wawelskie, weszli w życie z tym samym gorącym patriotyzmem, z tą samą ideologią poniesienia Polski między lud. Dzierżyński stał się cały człowiekiem tej walki, zasymilował się do rewolucji rosyjskiej. Piłsudski – to była walka o niezasymilowanie się, o wyodrębnienie polskiego ruchu robotniczego, o rzucenie go granitem pod tęczę popowstaniowego testamentu idei. W tych dwóch postaciach zawarła się historia wielkiej walki.

Piłsudski nie był jednak myślicielem-teoretykiem. Cały jego wysiłek był wysiłkiem czynu. Podobnie jak myśl polityczna jego czasów. On nie dał nowej, tak wielkiej jak Trauguttowska koncepcji. Syzyfowość jego pracy polegała na tym, że w toku przemian dziejowych wietrzały przesłanki starej koncepcji,

której mimo wszystko służył, rwały się filiacje między demokracją z czasów Garibaldiego a demokracją Witosa, rwały się filiacje miedzy Rusinem z 1863 a Ukraińcem z roku 1914. Grottgerowska *Lithuania* ustąpiła miejsca kowieńskim „tautininkom". Wnukowie rabinów z pochodów narodowych byli adwokatami, posłami na sejm ustawodawczy, oskarżycielami z trybunału stanu. Porządek rzeczy, na którym chcieli budować Trauguttowie i Majewscy, rozprzęgł się. Postulaty polskie skurczyły się do granic ciaśniutkich, zamkniętych barierami klas, narodowości, nawet byłych dzielnic. Konieczność stworzenia w interesie powszechnym jednej całości nie narzuca się nikomu. A jednak tej właśnie konieczności politycznej stanowiącej o trwaniu lub nietrwaniu wyłonionych wojną tworów nie przeżarł czas. Z całej ideologii 1863 roku to jedno nie straciło na znaczeniu. Być może, Piłsudski rozumiał, iż w miarę rozwoju wypadków zacznie postępować uświadamianie sobie tej konieczności. Moment, kiedy zamykał oczy, był niewątpliwie chwilą, gdy najmniej „polsko" usposobione żydostwo zdawało sobie sprawę, iż mimo całego antysemityzmu żyje na przełęczy między takimi dwoma otchłaniami, jak

Niemcy hitlerowskie i Rosja sowiecka. Najskromniejsi nacjonaliści z południo-wschodu zdawali sobie sprawę, iż wolność ich krajów nie powstanie bez nas. Na północy Litwa czuła wzmagający się napór, ten sam, co za Kiejstuta. Wszystkiego tego społeczeństwo polskie jakby nie dostrzegało. Ale właśnie na wprost tego wszystkiego ostatkiem sił, ostatkiem śledzeń za tym, co się w szerokim świecie przemienia, niósł Piłsudski dwie rzeczy: siłę tworzoną wewnątrz państwa, armią, władzą i torowaną sobie na zewnątrz państwa swobodę ruchów. Kto wie, może to właśnie w imię ideologii politycznej, której był ostatnim w Polsce wyznawcą, chciał ster państwa od społeczeństwa obcego tej ideologii odsunąć. Te dwie tylko rzeczy niósł w zachmurzające się horyzonty świata. I sam ich już nie doniósł.

VI

Żołnierze Legionów pierwsi nazwali Go „dziadkiem". Miał wtedy lat czterdzieści siedem, nosił krucze wąsy. W tym wieku nie jest się dziadkiem i nie wygląda się na dziadka. Pokolenie, które Go tak nazwało, mogło być co najwyżej pokoleniem Jego synów. Jeśli się

ta nazwa przyjęła, to może właśnie dlatego, że ludzie ci czuli w Nim kogoś mówiącego i myślącego kategoriami pokolenia sprzed pozytywizmu i sprzed Narodowej Demokracji czy socjalizmu – pokolenia powstania. Litwę Marszałka tłumaczą dziś... miłością do Perkuna. W wierszach jednego z poetów Piłsudski modli się, aby „wygnać płaczących Chrystusów z wysokich sklepionych gontyn". Ludzie nie rozumieją nie tylko obwarzanków, nie rozumieją Litwy Marszałka: wyobrażają ją sobie na kształt hitlerowskiego neopoganizmu. „*Deutsche Glaubensbewegung.*" Tłumaczą go sobie Dowsprungami, uświetniają mitrami z legendy. A tymczasem rzecz dzieje się na Litwie kresowej, w szlacheckim dworze, rok 1863.

VII

Narastają w Polsce pokolenia, warstwy społeczne, górują w życiu kraju dzielnice, dla których to wszystko jest przeszłością partykularną, trudno zrozumiałą. O Marszałku powstają już, powstaną jeszcze legendy, jak powstają o bóstwie kształtowanym wyobraźnią wyznawców. Wielbiąc, mogą go stratować,

jak tratowali się ludzie w noc przed Katedrą, cisnąc się do katafalku. Dla jednych będzie On kimś w rodzaju udanego Romana Dmowskiego, dla innych – polskim Leninem. I na pewno przyjdzie Mu to o wiele, wiele łatwiej niż pozostać czy może raczej stać się z powrotem – Józefem Piłsudskim.

W noweli Sienkiewicza *Wspomnienie z Maripozy* jest taki, pamiętamy go dobrze, emigrant Polak, z kwater w puszczy, Putrament. Zaszyty w świat obcy, obcował jedynie z polszczyzną *Biblii* Wujka. Wokoło niego wżerała się w puszcze piła mechaniczna trustów amerykańskich, jego świat obsunął się w przeszłość, wszyscy bliscy mu w dalekiej ojczyźnie dawno pomarli. Ani Putrament, ani drugi Polak z Litwy, Latarnik z Aspinwallu, nie chcieli zapomnieć, nie chcieli się pogodzić z nowymi czasami. Żyli Wujkiem i *Panem Tadeuszem*, żyli światem i słownictwem odżywiającym się jedynie ich upartą wiarą. Piłsudski był wielkim umysłem, był z tych, którzy wiodą narody. Ale ten rodak Putramenta i Latarnika, rozrzewniających a śmiesznych, ten człowiek bardzo wielki miał coś z nich.

Tak się już stało, że współczesne pokolenie, a nawet pokolenie naszych ojców, pozostało

dla szerokiego świata nie znane. Nie raczył ich zauważyć. Świat ten zapamiętał natomiast pokolenia emigracji, czasem awanturnicze i wielkie, czasem śmieszne. Ojciec Georges'a Clemenceau, stary jakobin, pokazywał synkowi z szacunkiem „les insurgés polonais", a Heine drwił z tromtadractwa Krapulińskich i Waschlapskich. I dlatego w Piłsudskim świat widział kogoś z tamtych Polaków, nie zdając sobie sprawy, że tych właśnie Polaków dawno już nie ma. I dlatego dla całego świata Piłsudski nie jest samotny, jest krwią z krwi i kością z kości narodu polskiego.

„Wiadomości Literackie" 1935, nr 23.

Potomstwo diaka Kostii

Jak wszyscy władcy najbardziej zamierzchłych czasów, królowie polscy mieli na swoim dworze obszerną i liczną kancelarię, w której grono klerków, sekretarzy i urzędników sporządzało niezmordowanie akta, wystawiało pracowicie dokumenty i spisywało żmudnie rachunki, słowem, robiło wszystko, co mogło, by po stu latach myszy na strychach królewskich miały co jeść, a po nowych stu latach uczeni w archiwach – w czym się grzebać. I podobnie jak we wszystkich zamierzchłych epokach, w których władcy więcej polowali i jeździli konno niż czytali, kancelarie królewskie były tak zapełnione duchownymi, jak ule pszczołami a więzienia porządnymi ludźmi. Pod tym względem kancelaria Ramzesa II czy Nabuchodonozora z *Biblii* tym się tylko różniła od kancelarii królów francuskich, szkockich czy polskich, że duchowni, którzy zasiadali

w starożytnym Memfis, oddawali cześć Ozyrysowi i Izydzie, klerkowie zarabiający na życie w królewskich kancelariach Babilonu, czcili – lub przynajmniej udawali, że czczą – jakiegoś Baala czy Astarte, gdy tymczasem ci, co spełniali tę samą rolę u Stuartów, Hohenstaufów albo Jagiellonów, odprawiali lub słuchali mszy św. Oczywiście, sprzęt pisarski w ciągu tych kilkudziesięciu wieków uległ pewnej przemianie. Gliniane, wypalane cegiełki, zwoje roślinnego papirusu, tabliczki woskowe i rylce zastąpiła wygarbowana cienko skóra ośla lub cielęca, rozrabiany z sadzy inkaust oraz długie pierzaste pióra, umiejętnie wyszarpywane ze skrzydeł wrzaskliwej gęsi. Jak na kilkadziesiąt wieków nie były to zmiany rewolucyjne, zwłaszcza gdy sobie przypomnimy, że niebawem w ciągu głupich paru następnych stuleci owe kancelarie dworskie miały się rozrosnąć w urzędy państwowe, skrzypienie piór gęsich miał zagłuszyć trzask remingtonów, a tam gdzie poprzez całe tysiąclecia, dynastie, państwa i religie utrzymywali się zwycięsko duchowni wszystkich wyznań, pojawiły się młode dziewczęta, wywiązując się ze swych zadań na pewno nie gorzej, a często znacznie przyjemniej niż przemądrzali

mnisi. Ale jeśli taki klerk z jakiejkolwiek kancelarii monarszej w. XVI spotkał się kiedy na tamtym świecie z innym ze swych kolegów, takim, co o trzy tysiące lat wcześniej zabazgrywał papirusy w Egipcie czy rył tablice w Chaldei, musiał spostrzec ze zdziwieniem, że choć w różnych żyli czasach, różnym kadzili bogom i różnym służyli panom oraz bardzo różną techniką zapisywali swe myśli, przecież to, co pisali, było do siebie aż do znudzenia podobne.

Akta ich tak samo powoływały się na boga, czy też na bogów, i tak samo zwiastowały poddanym wolę władcy. Tak samo wysławiały tego władcę i tak samo rozsądzały bardzo do siebie podobne spory, zapewniając tak samo, że jedynie sprawiedliwość mają w tym rozsądzaniu na oku. Tak samo przyrzekały w imieniu jednych władców innym władcom pokój wieczysty (na krótszy termin niż „wieczysty" nie uważano za stosowne się trudzić) oraz miłość braterską lub sąsiedzką. Rzecz jasna, że w kolejnym akcie rozdzierano już szaty nad niesłownością królów (obcych) i nietrwałością owych najświętszych przysiąg. Im więcej gryzipiórków psuło pergamin czy papier w owych monarszych kancela-

riach, tym więcej wiemy o owych królach najzupełniej niepotrzebnych rzeczy. Dzięki nim właśnie możemy naraz zabłysnąć informacją, ile owiec, koni czy bydła wypasało się w folwarkach faraona nad rozlanym szeroko Nilem, i możemy te mało interesujące cyfry porównać z tymi, jakie nam przekazano w tej samej materii, jeśli chodzi o folwarki Sforzów nad Padem, Andegawenów nad Loarą, a Jagiellonów nad Notecią, Pilicą czy Niemnem. Rzecz jasna, że z żadnego z tylu aktów nie dowiemy się nigdy niczego o tych, o których tyle w nich pisano, czy byli szczęśliwi, czy nie byli szczęśliwi, czy ich własny los cieszył, czy też śmiertelnie nudził. Czasem dowiemy się za to, że tymi bogactwami obdzielali mniej lub więcej hojnie czy zasłużenie tych albo innych. Pod tym względem dynastia, która panowała w Polsce za czasów Kolumba, Lutra i Elżbiety, była nawet szczególnie hojna, co oczywiście ani jej, ani państwu na dobre nie wyszło. Ale dzięki temu właśnie Polska miała parę wieków potem zasłynąć jako kraj magnatów, pospołu z Hiszpanią i Węgrami. Niejedna wielkopańska fortuna polska właśnie z takich darowizn królewskich wzięła swój początek, początek,

który nieraz bywał arcyskromny, tak samo jak początek rodu, którym zajmiemy się tu, zresztą nie z racji jego późniejszej materialnej świetności.

Kancelarie królów polskich jednym się przecie wyróżniały od wszystkich innych współczesnych im kancelarii: swą dwoistością. Od czasów, gdy litewski wielki książę zaślubił polską królową, władcy zasiadający na krakowskim Wawelu byli zarazem królami Polski i wielkimi książętami Litwy. Nie byłoby w tym jeszcze nic nadzwyczajnego, albowiem w tych właśnie czasach pewien król hiszpański był jednocześnie cesarzem tzw. świętego państwa rzymskiego, ostatni Stuartowie mieli niebawem połączyć na swych skroniach korony Anglii i Szkocji, a królowie Francji nigdy nie zapominali, że są jeszcze i królami Nawarry. Tylko że owa Litwa wcale nie miała się do złączonej z nią Polski jak lilipucie królestwo Nawarry do wielkiej i możnej Francji. Ziemie litewskie były niemal dwa razy tak wielkie jak Polska, niespełna sto lat wcześniej były jeszcze pogańskie, a i wówczas nawet lwia część tych ziem była prawosławna i ruska. I w tym właśnie miejscu przez kancelarię królewsko-wielkoksią-

żęcą szło głębokie pęknięcie. Obok siebie urzędowały bowiem dwie odrębne zupełnie kancelarie. I w tej, i w tamtej akta rozpoczynały się tak samo uroczystym wymienieniem imienia króla i księcia, oraz jego licznych, ciągnących się jak tren koronacyjny, tytułów. Tak samo nadawały dostojeństwa, rozstrzygały spory, wyliczały zasługi częściowo lub całkowicie urojone, zapewniały o umiłowaniu pokoju lub groziły wojną. Ale w jednych aktach królowała łacina, w innych – starosłowiańska cyrylica, ludzie zasiadający w jednych salach mieli za miasto święte Rzym, gdy inni – szukali go w Bizancjum. I podczas gdy w tych salach królewskich, gdzie zasiadali jedni, rozbrzmiewała szybka, nerwowa, zadzierzysta, mocno wtedy czeszczyzną nasiąkła mowa polska, a ściślej krakowska, w innych płynęła rzewna, senna i śpiewna, zawleczona znad Dźwiny i Berezyny mowa białoruska.

Wiemy dobrze, że w owych już czasach nie zawsze ludzie, uważani potocznie za duchownych, byli nimi w kościelnym słowa znaczeniu. Najczęściej zadowalali się przyjęciem zaledwie paru niższych święceń i do prawa odprawiania mszy św. nie było im tak

śpieszno. Swoje święcenia przyjmowali w ogóle niejako mimochodem, w toku odbywanej nauki, niczym w naszych czasach, gdy jeszcze młodzież polska studiowała niekiedy na wyższych uczelniach, zbierało się zaświadczenia uczęszczania na wykłady czy zdawanie kolokwiów. Samo opanowanie sztuki czytania i pisania było czymś sakralnym. Nauczali księża, książki miały treść religijną, a wykłady (z astrologią włącznie) również na pół religijny, w najlepszym już razie, charakter. Bardzo jeszcze długo potem w niejednym kraju rodzina chłopska, zdecydowawszy się posłać syna „na naukę", uważała, że zrobi z niego księdza, wykształcenie kojarzyło się jej zawsze ze święceniami. Otóż społeczeństwo sprzed paru wieków miało na te sprawy takie właśnie poglądy, jeszcze nie tak dawno panujące na wsi. Urzędnik z kancelarii królewskiej, nawet jeśli nie był księdzem, uchodził za księdza kleryka czy mnicha, nie wglądano w to, jakie ma święcenia i czy w ogóle ma święcenia. To, co w krajach katolickich i łacińskich nazywało się klerkiem, miało w krajach prawosławnych inną nazwę, również z liturgii, ale greckiej, zaczerpniętą – diaka.

W krajach Zachodu, gdzie władza monarsza rosła wówczas ogromnie, a kancelarie królewskie zwiększały swe znaczenie, wyrastała z takich właśnie diaków czy klerków, zresztą coraz dalszych od kapłaństwa, cała nowa warstwa, nowa szlachta, odróżniana jako *noblesse de robe* od dawnej rycerskiej *noblesse d'epée*. W swej „sukience" dorobiła się nieraz godności wcale nie gorszych od zdobywanych mieczem. W Polsce jednak władza monarsza była nikła i kancelista nie mógł wyrosnąć na wszechwładnego intendenta, ministra czy kanclerza. Mógł za to liczyć tu na hojniejsze niż gdzie indziej rozdawnictwo dóbr. Nie brakło ich zwłaszcza w olbrzymiej i pustej Litwie. Zapobiegliwy skryba musiał się tylko dobrze dowiedzieć, gdzie jest taki tłusty kęsek, i trafić na szczęśliwą chwilę u władcy. Ponieważ, jak powiedzieliśmy, na tym Bożym świecie zmienia się rzeczy istotnych zdumiewająco mało, więc możemy bez wielkiej przesady zaryzykować, że tego rodzaju zachody przypominały ogromnie znane nam, a nie tak dawne, staranie się o koncesje monopolowe, wódczane czy tytoniowe, którymi w Polsce po r. 1920 obdarzano inwalidów wojennych, nieco później

– mniej wybitnych działaczy niepodległościowych, a znacznie później – tzw. urników, tj. ludzi, którzy położyli pewne zasługi w przeprowadzaniu wyborów zgodnie z dobrem ojczyzny, tj. zgodnie z wolą starosty, ale nie położyli jednak aż tak niepożytych, aby ich nagrodzić rejenturą czy radą nadzorczą. Ale nie każdy w owych czasach mógł zaraz otrzymać bogate opactwo w Sandomierskiem lub żupę solną w Wieliczce, co na nasze czasy oznaczało mniej więcej tyle, co synekura we Wspólnocie Interesów albo w Łuszczarni Ryżu. Pomniejsi musieli zawsze na tym niedobrym świecie zadowolić się czymś pomniejszym, np. hurtownią tytoniową, albo jakimiś piaskami poleskimi. Tak właśnie stało się w roku pańskim 1509 z niejakim Kostią Fiedorowiczem, a że dokument, opisujący to wydarzenie, dochował się dziwnie szczęśliwie, przeto możemy się z nim pokrótce zapoznać w polskim, rzecz prosta, przekładzie. Pominąwszy długie tytuły tego, który akt wystawia, tj. Zygmunta I, z Bożej Łaski Króla Polski, Wielkiego Księcia Litwy, Rusi, Prus, Żmudzi itd., itd. dokument ten głosi:

„Bił nam czołem diak nasz Konstanty, syn Fiedora, i prosił nas o wioskę ludzi słu-

żebnych w powiecie kamienieckim, zwaną Siechnowicze, i opowiedział nam, że w tej wiosce od dawna było trzech ludzi, imieniem Kisiel, Perko i Lachowicz. Z tych Kisiel żyje, dwaj zaś, Perko i Lachowicz, zmarli, lecz zostały po nich dzieci. A nadto prosił nas o pola orne, lasy i gaje, które namiestnik brzeski, pan Stanisław Ostykowicz, odebrał był wyrokiem sądowym na rzecz naszych ludzi kamienieckich, Orepiczów i Lyliczów, od Tyszkowej Korzeniewskiej i jej dzieci: tych pól ornych i gajów był dzierżawcą Tyszko od lat kilku."

W tym miejscu w każdym szanującym się seminarium uniwersyteckim każdy szanujący się profesor historii prawa polskiego zrobiłby niewątpliwie przerwę i słowo po słowie rozbierałby z uczniami wszelki możliwy sens pierwszej połowy dokumentu. My nie będziemy tego robili, bo jest ona zbyt jasna, a tylko zauważymy mimochodem, że ów „diak nasz", Konstanty syn Fiodora, był znakomicie zorientowany co do owej włości monarszej, której pożądał wraz z jej gajami, lasami, ziemiami ornymi, no i z przynależnymi w ówczesnych pojęciach do nich ludźmi służebnymi i ich potomstwem.

Król był znacznie mniej powiadomiony o tym, jak wyglądały sprawy owych Siechnowicz, toteż po wysłuchaniu sprawozdania swego urzędnika-diaka, powiadał w dalszej części aktu:

„Jeśli tak jest w istocie, więc my tę wioskę Siechnowicze, tych trzech ludzi z ich bracią, dziećmi i wnukami, te pola orne i las, i gaje jemu nadajemy całkowicie w tych granicach, w jakich się ta wioska i pola, i gaje znajdują, i z tymi powinnościami względem nas, jakie dzierżawcy pełnili, i posyłamy dworzanina naszego, Bogdana Aleksiejewicza, by go wprowadził w posiadanie.

Dan w Krakowie, 25 kwietnia indyktu dwunastego 1509. Referował marszałek i sekretarz pan Iwan Sapieha, podkomorzy nasz wyższy pan Andrzej Dowgird, podskarbi nasz ziemski pan Jan Jędrzejewicz."

Pieczęć Wielkiego Księstwa Litewskiego – tzw. w języku ówczesnej biurokracji „mała" – potwierdzała ostatecznie swą Pogonią herbową dokonany właśnie akt, na którego mocy jeden jeszcze dworzanin, urzędnik i sekretarz króla i wielkiego księcia wstępował w grono

młodej wówczas i rosnącej szybko we wpływy klasy społecznej ziemiaństwa. I tu przyznamy się do pewnej dowolności w przekładzie tekstu białoruskiego. Oto imionom owego diaka, który stawał się panem, nadaliśmy w przekładzie ich poprawne brzmienie, takie jakie miałyby w literackiej polszczyźnie. Postąpiliśmy tu tak, jakbyśmy francuskie imię Jean przekładali na Jana, albo staropolskie imię Joan przekładali na Jana, albo staropolskie imię Janko czy Zbyszko pisali po dzisiejszemu, tj. Jan czy Zbigniew. Albowiem w tekście białoruskim nie stało wcale: Konstanty syn Fiodora, czy Fiedora, które to imię brzmiałoby u nas Teodor. W tekście królewskiego przywileju było: Kostiuszko Fiodorowicz. Tak właśnie nazywał się ów dworzanin czy skryba, któremu nadawano Siechnowicze.

Tu znowu należy wejść w matecznik ówczesnej Litwy i przypomnieć sobie, że w owym szczęśliwym okresie liczyła ona niezwykle mało nazwisk. W odróżnieniu od całego Zachodu, w odróżnieniu nawet od Polski, bardzo nieliczni ludzie w owym olbrzymim państwie nazywali się inaczej niż imieniem chrzestnym własnym i ojcowskim. Posiadanie nazwiska było tu zdobyczą społeczną, która

przenikała do borów litewskich jeszcze wolniej niż woda chrztu na zmierzwioną głowę Żmudzina. Same zaś imiona chrzestne, wszystkie tu pochodzenia greckiego, prawosławie niosło aż za Okę, Kamę i Ilmen, przy czym niespodziane echa mowy Homera bywały zniekształcane, przekręcane czy zmieniane w ustach mówiących po rusku, którym owe Konstantinosy, Theodorosy, Joannesy przechodziły przez grdykę z jeszcze większym trudem niż dzisiaj Anglikom szeleszczące spółgłoskami nazwiska polskie. Jak długo tylko mogła, starała się nieszczęsna Ruś przyjmować jak najmniej tego zagranicznego towaru. Zapewne tęskniła w duszy do swoich starych, słowiańskich, źle widzianych imion, a tak łatwych do wymówienia i tak bliskich. Te zaś, które przyjęła, przerabiała jak najprędzej na swój sposób, słowiańszczyła ich wymowę, ruszczyła końcówki. W ten sposób Joannes stawał się Iwanem, potem – Iwaszka Fiedor stawał się Fiedką i Fieduszką – owo zakończenie na *uszko* było właśnie nader białoruskie, a Konstanty, dumne imię założyciela Carogrodu, zmieniło się nad Jasiołdą w Kostię, Kośca i – Kostiuszkę. Ale nadal było jeszcze imieniem tylko, tak jak imieniem był

w Gnieźnie Przemko, w Szczecinie – Mszczuj czy Kaźko, a w Sądecczyźnie – Jaśko.

Oczywista, gdy chodziło o wielkich tego świata, brzmienie greckie zwyciężało coraz częściej zniekształcenie słowiańskie. W tych samych czasach, w których kancelaria królewska, a ściślej – wielkoksiążęca, roiła się od Iwaszków, którzy byli Janami, Fedków, którzy byli pierwotnie Fiodorami, oraz Kostiów czy Kostiuszków, którzy mieli za patrona Konstantyna Wielkiego, bardzo czczonego właśnie przez cerkiew prawosławną, jeden z największych magnatów Rzeczypospolitej, pierwszy kasztelan w Królestwie, wódz wojsk Wielkiego Księstwa, nosił swoje imię Konstanty zgoła nie zniekształcone. Ale co było wolno księciu na Ostrogu, nie stosowało się, rzecz jasna, do mizernego skryby czy skromnego sługi. Toteż w tym samym czasie, kiedy Konstanty Ostrogski odnosił swoje słynne zwycięstwa pod Orszą i ku upamiętnieniu owej wiktorii wznosił w Wilnie wspaniały prawosławny monastyr, dziękując Bogu za pokonanie wielkiego księcia moskiewskiego, „wroga wiary prawosławnej", jak mówił ów akt, setki Kostiów i Fiedków pozostawało nadal Kostiami i Fiedkami. Tylko że

coraz częściej trzeba ich było rozróżniać, i jeśli późniejsi historycy tak się nabiedzili, próbując ustalić pokrewieństwa przeróżnych Kostiuszków czy Kościuszków i Fiediuszków czy Fiedków, to na dworze królewskim i w życiu publicznym zamieszanie było nie mniejsze. Przykład Polski działał. Coraz częściej owo imię ojca stawało się nazwiskiem, zwłaszcza im bardziej było zniekształcone i do imienia już niepodobne. Toteż Hurko lub Horko z Grzegorza, Fiedko czy Fieduszko z Fiodora, przyjmowało się najszybciej, a zniekształcone imię Konstanty nie zostało w tyle. Wreszcie nie tylko synowie, ale i wnukowie Andrzeja poczęli się zwać Andrzejewiczami czy Jędrzejewiczami. I w tym brali zresztą tylko przykład samej dynastii, która swoje imię wzięła przecież od Jagiełły. Na starą Litwę i na patriarchalną Ruś przychodził powoli kres. Obok imion, które posiadano dotąd, i tytułów, które posiadali liczni kniaziowie – kniaziowie na Czartorysku, Holszy, Drucku, Nieswiczu – mnożyć się poczęły i nazwiska. Co bardziej rozgarnięci w tym narodzie ludzie poczęli rozglądać się za nimi, tak samo jak rozglądali się za różnymi Siechnowiczami, opatrzony-

mi w gaje, lasy, pola orne, w Perków, Kisielów i ich potomstwa. A któż w owym narodzie miał być bardziej rozgarnięty niż owe świadome czytania i pisania diaki?

Przez czas niejaki jest więc głucho o owym Kostiuszce Fiedorowiczu, czyli Konstantym synu Fiodora. Być może, zaszył się w lasy za Bugiem i zapoznawał bliżej z Siechnowiczami, być może, dokumenty poginęły, być może, nie były w oczach jego i jego następców warte przechowania, jak ów akt pierwszy, wprowadzający diaka między pany. W r. 1528 jest już ziemianinem na całego. Rejestr bojarów kamienieckich, czyli powiatu, w którym leżały Siechnowicze, wymienia go jako stawiającego się „o trzech koniach", co stanowi oznakę, jak na tamte warunki, pewnej zamożności. W r. 1537 dokupuje jeszcze majętność Pelepel i stara się to u króla przywilejem zatwierdzić, jako że niedalecy jesteśmy tych czasów, kiedy ziemia w państwie była prawnie własnością monarszą. Jak widzimy, porasta w pierze, w konie i włóki, w gaje i lasy, zapewne i w poddanych, a na pewno i w godności, bo oto...

W tym miejscu historyk znowu rozwija jeden z tych nieczytelnych pergaminów, nad

którymi tak się głowili pisarczykowie kancelarii monarszej, oczywiście tak samo białoruski:

„My, Zygmunt August, z Bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Książę Pruski, Mazowiecki itd., itd. Bili nam czołem sędzia i horodniczy kamieniecki pan Kostiuszko i brat jego Hurko Fiodorowicz i okazali nam list siostry swojej Zdany Fiodorowny..."

Jak z dalszej treści wynika, owa siostra Zdana spierała się z braćmi o wieś Horodec i dopiero pod groźbą procesu – pierwszy to, ale nie ostatni cień sądu w naszej historii – ustąpiła ją braciom, co oni woleli sobie wszelako listem królewskim zapewnić. Król spełniał tu niejako rolę w naszych czasach przekazaną notariuszowi. Tak więc do Siechnowicz i Pelepelek przybyłby i Horodec... Ale mniej nas interesuje owo porastanie w ziemię byłego diaka i jego brata Grzegorza, bardziej jego tytulatura. To już nie „diak nasz" bije czołem, to „sędzia i horodniczy kamieniecki". I podczas gdy ów miejscowy dostojnik wymieniony jest w akcie z tytułem pan, brat jego nie jest jeszcze panem, jest bez najmniejszego urzędu. „Pan" nie było wtedy

tak wyświechtaną formą jak dzisiaj, było prawie jak *sir,* lepiej niż *esquire,* czymś jak *knight.* Pewno że na drabinie dostojeństw Rzeczypospolitej, którą rozpoczynał książę prymas, kasztelan krakowski i... Hohenzollern z Królewca, godności sędziego i horodniczego krzemienieckiego były zaledwie pierwszym, mizernym szczebelkiem, nie tyle bliskim słońca Majestatu, ile staplanym w podlaskim piachu i poleskim błocie. Ale w Polsce szlachcic musiał posiadać urząd, choćby najbardziej fikcyjny, i szlachcic bez urzędu czuł się tak samo nieszczęśliwy, co w późniejszych grubo czasach bez posady.

Eks-diak królewski nie byłby człowiekiem tak rozgarniętym, jak tego dał dowody, żeby nie wiedział, że w karierze wiele znaczą pieniądze, więcej pozycja społeczna, jeszcze więcej godności, ale najwięcej ożenek. Jeszcze więc pod tym względem zrobił, co mógł. Oglądanie wybazgranego na pergaminie „drzewa genealogicznego" stanowiło dla polskiego szlagona zaściankowego, żyjącego w na pół kurnej chałupie, rozrywkę tak samo pasjonującą jak dla hiszpańskiego granda, wywodzącego się od Cyda, lub niemieckiego księcia, który zawsze przypominał, że jest

nieślubnym potomkiem Karlowingów. I pod tym jeszcze względem eks-diak, protoplasta panów na Siechnowiczach, stanął w pełni, jak to się mówi, na wysokości zadania. Ożenił się bowiem ni mniej, ni więcej tylko z księżniczką. Była to autentyczna księżniczka, mianowicie Holszańska, imieniem Anna, córka Jerzego. Małżeństwo typowe dla nuworysza, który chce swemu świeżemu herbowi nadać nieco patyny.

A, właśnie, herb... O tym jakoś najbardziej głucho w dziejach królewskiego diaczka. Podobnie jak nazwiska, szlachta Wielkiego Księstwa Litewskiego przyjmowała herby stopniowo, czasem je zmieniając, czasem przeinaczając. Z herbarza Okolskiego dowiemy się w jakie sto lat później, że Kościuszkowie pieczętują się herbem Roch Trzeci, inaczej litewski, nadanym im przez Kazimierza Jagiellończyka wraz z szeregiem włości, z których w następnych pokoleniach nie ma jakoś śladu. Miał to wszystko – herb i włości – dostać ów Fiodor, ojciec naszego Kostia-Kostiuszki, tak samo diak królewski. Być może, gdyby dobra owe utrzymał – nie wiemy na pewno, czy je naprawdę dostał – i lepiej zakrzątnął się wokoło wielkości rodu, je-

go, a nie syna imię stałoby się nazwiskiem i późniejsi dziedzice siechnowiccy nazywaliby się Fieduszkami, zamiast nosić nazwisko, które miało w nieoczekiwany zapewne sposób przejść do historii nie tylko Wielkiego Księstwa i nie tylko Korony Polskiej. To pewna, że z wielu diaków, jacy się przesunęli przez izby kancelarii królewskich, niejeden doszedł do większych bogactw i większych zaszczytów, przesłaniając złotem swych kies i wymową heraldyków skromne urzędnicze początki, ale nikt zapewne nie zyskał sławy szerszej, większej i trwalszej niż późny potomek diaka Kostii.

„Wiadomości Polskie" 1943, nr 10.

Michał Kleofas

Do Telechan jedzie się odnogą wąskotorowej kolejki dojazdowej. Trzeba sobie też jeszcze uświadomić, że rzecz dzieje się na Kresach, że kolejkę budowano w roku szesnastym dla użytku niemieckiego frontu, że wreszcie Telechany nie leżą na głównej linii tego znakomitego szlaku, ale już na jego „bocznej odnodze". Wszystko jest tu na miarę telechańską: Obywatel posiadający 100 złotych w PKO uchodzi za lokalnego magnata, a obywatelka umiejąca czytać nie tylko w książce do nabożeństwa za intelektualistkę. Pociągi na tej znakomitej, zagubionej w moczarze i przetrzebionym lasku kolei kursują dwa razy dziennie. Urocze lokomotywki mają wąziutkie szyjki kominów, zakończone wspaniałym turbanem, niczym stare garłacze muszkieterów Ludwika XIII. Sapią i wydają z siebie pary i dymu więcej niż największe lokomotywy z Pacific Rail-

roads, a postój na węźle kolejowym Święta Wola trwa o 35 minut dłużej niż postój ekspresu Paris–Niegorełoje w Berlinie. Lasy wokoło tej kolejki, przecinającej głuszę bezkolejowej przestrzeni kraju, są niestety wyniszczone zupełnie. Monotonia młodego lasu, częściej lassku, który tu ostał się lub wyrósł od tamtych czasów, jest smutna. Kolejkę tę w ostatnich czasach swej władzy wykorzystywali Niemcy do gruntownego ograbienia puszczy. Podchodziła ona przecież w najwspanialsze tereny borów skirmunttowskich, pusłowskich, dawnej ogińszczyzny. Olbrzymy leśne stały tu o krok, waliły się niemal na tory. Te olbrzymy były niemiłosiernie wycinane. Nie tylko dniem, ale nocą, przy świetle lamp elektrycznych rąbano, piłowano, wywożono. [...] Chemicy niemieccy wiedzieli, że drzewo odpowiednio przetworzone może zastąpić cały szereg potrzebnych surowców. Moc niemieckich ersatzów, ersatzów odzieżowych, spożywczych, napędnych fabrykowano z poleskiego lasu. Czekano z upragnieniem w Niemczech na te drzewa ładowane na kolejkach jak ta, między Janowem Poleskim, Iwacewiczami a Telechanami. Dziś kolejka pozostała, jak w głuszy leśnej pozostały niepotrzebne

bloki olbrzymich betonowych schronów i fortów, jak przedtem pozostały karabiny, pasy wystrzelanych nabojów kulomiotowych, maski do gazów trujących, demobilu olbrzymiej armii.

Opłakana kolejka idzie więc przez resztki swej niszczącej pracy, wije się jak olbrzymi, potworny kornik tego kraju. Och, nie mam za złe Niemcom, każdy patriota swego kraju musiałby to zrobić! Ale Polesie tych stron jest pustynnym Polesiem. Tam gdzie wytrzebiono drzewo doszczętnie, spod mchów, które poschły, wydobyła się zaraza lotnych piasków. Drzemały spojone korzeniami drzew. Trzymała je pod powierzchnią sieć korzonków wrzosu. Gdyby wszędzie wyrąbano las, byłaby tu pustynia lotnych piasków. Małe osady i wsie, całe z drzewa, toną w miękkim piachu. Źle tu rosną zboża, fatalnie kartofle. Wreszcie Telechany. Nędza. Na pryncypialnej ulicy Marszałkowskiej, która dość smętnie przypomina Warszawę, same sklepy wódczane. Wyszynk, handel alkoholem, rozlewnia wina i wódki. Czasy saskie do użytku braci-chłopów. Coraz inni Żydzi sprzedają w tak samo nędznych chatkach najtańsze i najgorsze wódki. Wszystkie inne towary trzymane są jako dodatek do wódki i „ma-

chorki". Nawet skład apteczny siedzi kątem u wódczarza. Biało świeci przychodnia, pusta zupełnie, bezruchem promienieje Kasa Stefczyka „otwarta dwa razy na tydzień". Gdzieś betonem sklepione piece wypalają węgiel drzewny. Szyld komornika donosi, że przebywa on tutaj tylko „od 25 do końca każdego miesiąca". Wystawiam sobie, że najszczęśliwszy miesiąc w Telechanach to luty.

Potem naraz tymi suchotniczymi uliczkami zaspanego miasta wychodzi się za opłotki. Wielkie łodzie rozsychają się od słońca. Idziemy dalej, drzewa, ładniej, nie ma piasku. I naraz...

Kanał Ogińskiego.

Komuś, co Polesia nie zjeździł, nie wlókł się godzinami po piachu, nie jechał smrodliwą kolejką, nie widział tej nędzy, biedy, biedy cherlawych Żydów, brudnych dzieciaków tabunami, o jakich w centralnej Polsce nie ma się pojęcia, nie zrozumie, jakie wrażenie robi ten prosty kanał. Oto naraz ziemię przecina szlak szeroki a wytyczony równo jak strzelił rozumną, pewną równością ludzkiej nauki. Wielkim szlakiem toczy się równo woda. Brzegi obramione są porządnie palisadą ko-

łów. Jak okiem sięgnąć – długi, niebieski szlak. W oddali błękitnieje już, nie marszczy się jak tutaj, i wygląda jak stalowa autostrada. Nad jego brzegami olbrzymie dęby, rozłożyste, cieniste, wspaniałe. Dębami poznaczony jest szlak kanału. Woda o zabarwieniu rdzawozłotym, żelazistym zabarwieniu wód Dniepru i Prypeci, odbija w sobie niebo, chmury i te wspaniałe hetmańskie dęby.

Tak jest przed nami.

Za nami woda rozlewa się w nieregularny, ale z prostych linii złożony, pięciobok. Ta geometria wszędzie, tu na Polesiu, gdzie drogi i szosy rozchodzą się w najbardziej nonsensownych zawijasach, a miasta mogłyby się uczyć symetrii od grzybów w lesie, jest doprawdy coś wspaniałego w tej geometrii. Jak wiadomo, wszystkie teorie o tym, że planeta Mars jest zamieszkana, powstały stąd, iż uczeni dostrzegli na tej planecie równo wytyczone biegi wód – kanały – niechybny znak istnienia myślącej istoty. Otóż w tych nędzarskich, chaotycznie budowanych Telechanach, w tym kraju jak wielki samosiej, wyrośniętym bezładnie i dziko, naraz ten kanał pokazuje, że istnieli tu ludzie, którzy myśleli naukowo i tworzyli planowo.

Wspaniały kanał!

Woda płynie miękko, cicho. Okres spławu i natłoku na kanale, to maj. Wtedy niezliczone ilości tratw spływają tą drogą. Całe miasteczka i wsie płyną jako flisacy. W takim Motolu królowej Bony pozostają podobno tylko starcy, kobiety, dzieci i Żydzi. Powstanie całych osad łączy się chronologicznie z powstaniem kanału. Dęby, które nad nim szumią, szumią naprawdę sławą.

Nie ma nic tak dziwnego, jak ten kanał. Największe, najpotrzebniejsze dzieło, jakie tu wzniesiono w tym kraju, to on właśnie. A wzniosła go Rzeczpospolita, chyląca się ku upadkowi. Nie Rosja, nie Niemcy, dawna Polska. Wzniesiono go w epoce niemal saskiej i niewiele różnej od saskiej: sejmiki i zajazdy wrzały w najlepsze. Wzniósł go hetman, który był kiepskim wodzem, którego wylegującego się z kochanką w namiocie rozbił był w puch Suworow. Nigdy Rzeczpospolita nie była tak bezsilna, strupieszała, bezpańska, jak wtedy. Nigdy polska myśl temu krajowi nie dała rzeczy większej. Nie wiem, ile kilometrów ma dziś ten kanał. Wiem tylko, że jeśli może zaimponować inteligentowi z miasta, to jakżeż nie imponuje tu-

tejszym, prostym, których po stu latach żywi, którzy nic wspanialszego nie widzieli. Przez przeszło sto lat, poprzez całą Iłowajszczyznę, dyskredytującą Polskę szlachecką, mówił tym ludziom o wielkich rzeczach, które tu zbudował ten Polak, pan, magnat, hetman, książę. Jego wymowa była silniejsza nad propagandę isprawników.

Wodny szlak kanału błękitnieje daleko. Trzeba schylić się niżej od gałęzi dębów, żeby widzieć jego kres zlewający się z niebem.

Wokoło kanału jest puszcza, brudne żydowskie miasteczka, nędza chłopska poleska, groźne, nieużyteczne, obce, betonowe kazamaty Niemców. Kanał stanowił linię frontu. Najpotrzebniejszym dziełem, jakim się może wylegitymować nowa Rzeczpospolita, to nie strażnice KOP-u, nie ludzie z miasta na posadach wójtów, nie spichrze zbożowe, nie policja, nie komornik w Telechanach, ale poprawienie, oczyszczenie dzieła Michała Kleofasa Ogińskiego. Kontynuacją – wspaniałą, rozumną, ale tylko kontynuacją – dzieła wzniesionego przez magnata, hetmana i księcia, feudała szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Korony dębów szumią nisko, niziutko nad swym rówieśnikiem kanałem. Kajaki

spływają wolno jego wodą. Jakie to dziwne, jaki to dziwny człowiek, Michał Kleofas Ogiński. Rzeczpospolita zawdzięcza mu dwie rzeczy:

– ten kanał,

– swój Hymn Narodowy.

Właśnie „Słowo" z lekka dworuje z niefortunności hetmańskiego oręża. To prawda. Ten hetman nie był żołnierzem, dzisiejsi generałowie są niezawodnie lepsi. Ale, niestety, iluż to dzisiejszych generałów i wojskowych zna się na sprawach gospodarczych znacznie gorzej niż Michał Kleofas na wojskowych...

Kanał wolno, spokojnie toczy swe wody równo wytkniętym szlakiem. Nie ma żadnego pomnika Michał Kleofas Ogiński. Jego ród wygasł, nie pracuje tu na krańcach Rzeczypospolitej. Ale każda struga, która się wlewa w ten polski kanał w głuchym kraju, szemrze mu sławę wraz z szumem dębów, nad wysokie pomniki większą. Ale srebrne trąby pułków armii polskiej, bębny i czynele orkiestr wyrzucają tony jego mazurka. Ale młodzi oficerowie, młodzi żołnierze i podchorążowie prężą się wtedy na baczność, a 33-milionowy naród odsłania głowy na

dźwięki przez niego po raz pierwszy złowione. Rzeczpospolitą, która przestała być szlachecką, i armię, która stała się zwycięską, prowadzi z przyszłość, jak przeprowadził ją przez burze dziejowe hymn rusko-litewskiego kniazia.

„Czas", 1936, nr 199.

Stanisław Staszic

1. Na jarmarku w Zelwie...

Rok pański 1788 jest jedną z tych niezwykle szczęśliwych dat w naszej historii, za którą żaden polski uczeń w żadnej polskiej szkole nie dostał dotąd pały, a zapewne nie dostanie jej nigdy: albowiem nic się w tym roku nie działo. Był jednocześnie jednym z tych lat, także w każdym polskim pokoleniu nielicznych bardzo, które później ci, co je przeżyli mieli wspominać z ciepłym i serdecznym wzruszeniem właśnie dlatego, że żadne, ale to żadne wydarzenie nie uczyniło tego niezwykłego roku rokiem nieszczęsnym dla tych, co wtedy żyli, czy też rokiem historycznym dla tych, co dopiero mieli o nim czytać w dwa pokolenia później. Długi pokój, w Europie od wojny siedmioletniej, w Polsce od zawieruchy barskiej, przyniósł to, co niezależnie od czasów,

ustrojów i krajów długotrwały pokój zawsze i wszędzie przynosi: to jest dobrobyt. Rosja, wdawszy się w przydługą wojnę turecką, a ostatnio i szwedzką, nie miała czasu zajmować się owocniej Polską; a ten fakt niezawodnie podziałał dodatnio i na losy Polski, i na dobre stosunki obu krajów. Okoliczność wreszcie, że od blisko dwudziestu lat Polska posiadała nareszcie coś, co można było nazwać szkołami, a nawet bardzo dobrymi jak na owe czasy szkołami, że w tych szkołach, stworzonych z inicjatywy i ze staraniem nieocenionego przez gawiedź potomną Stanisława Augusta wyrosła już i weszła w życie całe nowa generacja polska, także działała korzystnie. Był to w ogóle dobry rok! Ceny na zboże w Gdańsku podniosły się były bardzo wydatnie, i obroty na tej głównej giełdzie w ówczesnej Polsce były bardzo piękne; nawet i ceny na drzewo i drzewny produkt, potaż, specjalność naszych ziem za Bugiem, były na ogół dobre, toteż Stanisław August postanowił sprzedawać po nieco wyższej cenie czerwone wstęgi orderu świętego Stanisława, zaś znany warszawski fabrykant powozów Dangiel podnieść jeszcze więcej swe ceny na resorowane angielską modą kariolki. Nie były to jedyne

oznaki pomyślności. Polska sprowadzić miała w owym roku rekordową jak na owe czasy ilość kawy (już popularnej), herbaty (coraz modniejszej), a wreszcie (najmodniejszej już) czekolady; z Anglii aż do Brześcia sprowadzano piwo angielskie, a aż z Dubna, na wołyńskie kontrakty, setki oblodzonych beczułek ostryg. Bowiem Radziwiłł z Nieświeża i Lubomirscy z Łucka i Dubna mieli tę niespożytą zasługę, że nauczyli miejscowe szlagonstwo łykać takowe w przerwach pomiędzy schabem a bigosem. Nie obfitując nadmiernie w sensacje, rok nie był i nudnym. Ci, których znudziła dogasająca afera sądowo-trucicielska pani Dogrumow, mogli się interesować nowszymi nieco szczegółami intymnego rozwodowego procesu małżonków Sapiehów; ci zaś, co po staremu najwięcej przywiązywali wagi do tego, co słychać w Rzymie, mogli się zastanawiać nad przyczynami, przebiegiem i skutkami niezwykłej podróży, jaką Ojciec Święty Pius VI odbył właśnie aż do Wiednia. Pobożni Polacy nie ukrywali zawodu. Papież był tak blisko świętego Krakowa i cudami słynnej Częstochowy: czemuż odwiedził tylko cynicznego, zamykającego klasztory i kasującego święta cesarza Józefa? Nieprędko wróci taka okazja.

Te i inne niemniej palące sprawy rozważano nie tylko w rozmowach przy kominie i piwsku, ale także na jarmarkach po całej Polsce. A były one tego roku szczególnie uczęszczane i świetne, albowiem jarmarki odgrywały rolę giełd, kontaktów gospodarczych, ba, politycznych, towarzyskich i jakich tam jeszcze.

Niezawodnym objawem tego, że kraj obrastał w pierze był fakt, że w owym roku na owych jarmarkach pojawiły się szczególnie licznie... książki. Przeciętny ówczesny obywatel, to jest szlachcic ziemiański, nie nawiedzał Warszawy niemal nigdy, czyli właściwie nigdy nie bywał w mieście. To bowiem, co było poza Warszawą (i Gdańskiem) a jednak nie było w zupełności wsią, nie bardzo zasługiwało na nazwę miasta, i nazywając potocznie Wilno, Łęczycę, Owrucz, Poznań, Biłgoraj i Rawę Ruską „grodami" przodkowie nasi bynajmniej nie popełniali archaizmu czy nieścisłości: oddawali dość ściśle prawdziwy stan rzeczy. Rzadko bardzo – po parę na województwo – prenumerowano nieregularnie wychodzące warszawskie „gazety"; znacznie więcej wydawano na stary węgierski tokaj lub wypierający go szampan. Księgarz i książka musiały zatem gonić czytelnika, jak pachciarz dzie-

dzica, lub żebrak wychodzących z kościoła, musiały – księgarz i książka – zaskoczyć go w chwili dobrego humoru, pełnej kieszeni i rozbudzonej z nagła ciekawości. Dobrnąć aż do niego. W tym roku uczyniły to szczególnie natarczywie, aczkolwiek w większości przypominały podobne wydawnictwa z lat poprzednich. Nie było wprawdzie nowego herbarza – wydana przed kilkudziesięciu laty wielotomowa *Korona Polska* ojca Niesieckiego jeszcze wystarczała, ale było sporo ulubionych z egzotycznych żywotów świętych i pokaźna, jak zawsze w Polsce, ilość kalendarzy. Był więc Macieja Dębskiego pompatyczny *Kalendarz Królestwa Polskiego,* był kalendarz „polski i ruski", był „dokładny gospodarski zwyczajny" (inne, widocznie, były niedokładne), był „polski i ruski wedle lwowskiego horyzontu". Ówczesny Lwów posiadał widać własny horyzont. Przeważały wydawnictwa kościelne. Smogorzewski wydał właśnie przydługi i ciężki jak zwykle list pasterski: był to Smogorzewski Jazon, archimandryta kijowski, którym za parę lat miała zaopiekować się szczególnie aktywnie ambasada rosyjska, o którego w kilka lat potem miała, przynajmniej formalnie, wybuchnąć wojna polsko-

-rosyjska. Były i inne wydawnictwa. Nudny, ale niestrudzony ksiądz Mojkowski wydał właśnie swe „kazanie na dzień pamiątki koronacji Stanisława Augusta", wyszło anonimowe i ciekawe „opisanie gospodarstwa pszczelego" w światłych chreptowiczowskich Szczorsach, były i dwa listy pasterskie nielubianego prymasa, Michała Poniatowskiego. W pierwszym z nich poprzednik kardynała Hlonda zabraniał najuroczyściej poniewolnego chrzczenia Żydów; najwidoczniej, nie ostygła jeszcze zupełnie w nastrojach religijnych szlachta, wzbogacała czasem tą drogą kościół katolicki w nowe owieczki. Drugi list księcia prymasa zalecał plebanom dbać o coś, o co dotąd bodaj nikt nie dbał, a i długo potem nikt nie miał dbać w Polsce: mianowicie o zdrowie ludu. Żaden z tych listów, rzecz prosta, nie przysporzył bratu królewskiemu popularności. Ale sprawą żydowską interesowano się w roku pańskim 1788 nie mniej jak w 1937, bo wyszły jednocześnie *Zabobony żydowskie* oraz *Żydzi, czyli konieczna potrzeba reformy żydów.* Przekłady obce reprezentował *Diabeł rozkochany – nowina hiszpańska,* oraz przekład Owidiusza *O sztuce kochania* pióra Hulewicza. Traktat niejakiego Grebla *O mającej*

już rychło nastąpić wielkiej odmianie ziemi wprowadzał zawsze aktualne rozważania na temat końca świata, a wydany drukiem „dekret między Radomskim a Radomską względem nieprzyzwoitego czynienia" wzbogacał niewątpliwie cennie *chronique scandaleuse* tych czasów. W takim to tłumie, pewien anonimowy szlagon ówczesny odnalazł wydaną już o prawie trzy lata wcześniej, całkiem odmienną książeczkę, która go tak uderzyła, że sam siadł, napisał i wydał – anonimowo, rzecz jasna – swoje o niej uwagi. Przy okazji opowiedział nam nader dokładnie, co, kiedy i jak.

„Będąc w roku teraźniejszym – brzmi ta relacja – pierwszych dni sierpnia w Zelwie na jarmarku, przy innych sprawunkach dla familii mojej z żony i kilkorga dzieci składającej się, przechodząc koło sklepu z ksiąg złożonego Jmci Pana Groella, kupiłem między innymi książkami książeczkę małą, mającą intytulację *Myśli z okazji uwag nad życiem Jana Zamoyskiego.* Wyjechawszy z Zelwy drogą do Wołkowyska na Szydłowice, Brzostowicę Wielką, Hołynkę, Waliły aż do Zabłudowa kosztem i z insynuacji J. W. Stanisława Potockiego, bywszego wojewody Ruskiego, a dzisiejszego Generała Artylerii Koronnej robioną,

i z kamieni uprzątnioną, gdzie i w tym ten mąż wielkopomny daje przykład innym współobywatelom i sąsiadom, stanąłem na noc w Wołkowysku. Rano, jadąc z Wołkowyska ku Brzostowicy Wielkiej na południe, mając sposobność przez dobrą drogę czytania książki, dobyłem z torby mojej podróżnej owej książeczki kupionej w Zelwie, którą przeczytałem uważnie w trzech godzinach. Stanąłem na obiad pod Brzostowicą Wielką u przyjaciela mego dawnego LECZ PRZYZNAM SIĘ LUBO DOBRY BYŁ OBIAD I JADŁEM go z apetytem, przecież nie tak mi smakował jako owa książeczka, w której myśl wythumaczona obejmowała myśli moje snujące się..."

Rezultatem tych myśli snujących się była niewielka broszurka, ta właśnie, którą cytujemy i której autora nie znamy. Domyślają się go jedynie historycy; ale mniejsza o niego! Ważniejsze może, że w nader prosty, bezpośredni sposób opisał, jak temu lat sto pięćdziesiąt wpadała w ręce ówczesnego społeczeństwa jedna z najgłośniejszych, najbardziej ciężarnych myślą, książek polskich, jakie kiedykolwiek wyszły.

Nazywała się, jak już nam objaśnił ów nieznany szlagon *Uwagami nad życiem Jana*

Zamoyskiego, ale jej związek z wielkim Polakiem sprzed dwóch stuleci, był nader luźny, natomiast jej związki z chwilą obecną ogromnie ścisłe. W ramach biografii zawarty był traktat polityczny. Czy tylko? Gdzie tam! Obyczajowy, gospodarczy, wojskowy; światopogląd cały, pedagogika nawet, czy przede wszystkim. Pod niewinnymi na pozór kształtami ukrywał się pocisk, który miał wybuchnąć nie wtedy, gdy już dostał się do ręki, ale dopiero wtedy, gdy dostał się już do mózgu. A wiemy, że do mózgownicy polskiej nigdy, także i w czasach posaskich, dostać się nie było łatwo. Zawsze trzeba się było zakradać.

Można by napisać cały traktat o tym, jakich tricków używali na przestrzeni paru stuleci różni bardzo polscy pisarze, aby jednak przełamywać narodowy księgowstręt. Piotr Skarga korzystał z pobożności, ba, bigoterii społeczeństwa swych czasów i pod postacią religijnych kazań wtłaczał im w łby podgalane całe traktaty polityczne, ustrojowe i społeczne, takie właśnie, które wydane po prostu w formie traktatów społeczeństwo nie łyknęłoby nigdy. Za naszej pamięci Tadeusz Boy Żeleński musiał używać innych metod, aby szersze koła publiczności polskiej wbrew jej

najlepszej, czy raczej najgorszej woli, zapoznać bliżej z Voltairem, z Balzakiem, z Pascalem katolickim, z Molierem samym, z olbrzymim, wspaniałym dorobkiem wielkiego i wolnego narodu. Jego studia nad literaturą czy filozofią francuską ukazywały się przystrojone w opaski „tylko dla dorosłych", lub nosiły *des titres allechants,* jak *Flirt z melpomeną, Pijane dziecko we mgle, Mózg i płeć, Plotki, plotki.* Dopiero wtedy i tylko wtedy lekka, powierzchowna, ciekawska i płytka publiczność naszych czasów mogła się była przekonać do Descartes'a. Ale publiczność, o jaką chodziło autorowi *Uwag,* nie była boyowska; byli to ludzie stateczni, przyziemni nieco, poważni, *respectable*, powiedzieliby Anglicy, nieruchliwi, na ogół nudni: coś jak przedwojenni czytelnicy „Kuriera Warszawskiego", jak dzisiejsi jeszcze czytelnicy „Timesa" (nie „New Statesmana", czy „Tribune"), a w społeczeństwie ówczesnym stanowili wszystko. Oni, i prawie że wyłącznie oni, mieli wtedy coś do gadania. Takich czytelników spłoszyłby i zraził zawczasu byle pozór, byle jaskrawszy tytuł, śmielsze pierwsze zdania. Od razu – jak to w Polsce bywa – potępiliby nie czytając wca-

le, nie wiedząc nawet, o co właściwie chodzi. Trzeba było i tytułu, i wprowadzenia, i pozorów, które by uspokajały, nie płoszyły, które by wprowadzały w atmosferę życzliwości, jak w osłonę dymną. Książka musiała wydawać z siebie nie swąd reformatorskich pomysłów, ale jakowejś błogiej, wspominkowej staropolszczyzny. Bo Polacy zawsze lubili wspominać przeszłość.

Pod tym właśnie względem „książeczka mała", jaką kupił na straganie w Zelwie nieznany nam szlagon była niewątpliwie pomyślana znakomicie. Wyglądała jak rodzaj biografii. Przez ostatnich parę wieków biografie stanowiły przynajmniej 70 procent ogólnej produkcji książkowej, jaką w ogóle miała Rzeczpospolita. Czymże bowiem były płodzące się licznie – sam Piotr Skarga napisał ich ponad 40 – żywoty świętych? Czym były wydawane obficie mowy pogrzebowe wygłaszane przez tych czy innych kaznodziejów na pogrzebach większych czy mniejszych panów? A życiorysy hetmanów, kasztelanów czy biskupów rozrzucane po herbarzach, jak nie odległymi krewniakami naszych współczesnych *vies romancées*? A przekładane już lub czytane w łacińskich tekstach żywoty sta-

rożytnych, pióra Plutarcha, Sallustiusza, Neposa? Nawet gdy inne rodzaje pisarskie zamierały, ten najwyżej zwyrodniał; nawet epoka saska, ze swym paleniem książek na sejmikach i tropieniem pisarzy po zajazdach, niewiele zdziałała. Przetrwał. Wreszcie, z powiewem nowszych czasów, zaczął się przeradzać, unowocześniać, zeświecczać i właśnie niedawno królewski dziejopis, biskup Naruszewicz pokazał, że żywot Jana Karola Chodkiewicza, hetmana i zwycięzcy spod Kircholmu może być co najmniej tak interesujący jak żywot świętego Onufrego lub Pryscylli Dziewicy. Społeczeństwo zaczynało wracać myślą coraz częściej do wielkiej i wojennej przeszłości własnej, a wracało do niej nawet wtedy, jeśli w takich książkach jak Naruszewiczowski życiorys Jana Karola, czytało gorzkie rzeczy o sobie samym. Tak, biografia była tym koniem trojańskim, we wnętrzu którego można było przemycić w głęboką noc polskiej Troi jeśli nie zastępy żołnierzy, to posiewy myśli.

Bohater był zaś wybrany może jeszcze lepiej niż metoda pisarska. W odróżnieniu od Jana Karola Chodkiewicza, Jan Zamoyski, inny nasz hetman, posiadał o wiele bardziej

różnorodną, bogatą i wieloraką przeszłość. Był to bodaj jedyny – do Władysława Sikorskiego – Polak, który skupiał w swym ręku jednocześnie ówczesną tekę premiera, czyli pieczęć kanclerską i godność naczelnego wodza, to jest buławę hetmańską. Był to nie tylko szczęśliwy wódz, który pokonał w boju Moskali i Austriaków, a trzymał w niewoli wiedeńskiego arcyksięcia. Był to jeszcze szlachecki polityk i demagog „trybun szlacheckiego ludu", który poprowadził i zorganizował tłumy średniej i drobnej szlachty, przełamał polityczną władzę magnaterii, torował pierwsze kroki ku demokracji szlacheckiej. Jeśli w dwieście lat potem szlachcic na zagrodzie był, teoretycznie i prawnie przynajmniej, równy wojewodzie, jeśli każdy kto ojczyznę szablą bronił mógł swego króla wolnie obierać, to wszystko to było dziełem Zamoyskiego. Był to, pomimo swej delii, kontusza i żupana, niejako Witos mas szlacheckich Złotego Wieku: obudził w tych masach i udojrzalił myślenie polityczne; tak, był to Witos, lepiej rzecz jasna nagrodzony przez ówczesną Polskę niż nasz Witos przez naszą. Zapewne wiele się w ciągu tych dwustu lat od Zamoyskiego zmieniło w Polsce, powyras-

tały nowe potęgi magnackie, nowe nierówności, demokracja szlachecka poczęła degenerować skoro sama nie rozszerzyła się na dalsze warstwy i sami Zamoyscy byli już jedną z kilku czy kilkunastu magnackich dynastii w Polsce, Tak, ale na zawsze pozostał sentyment do postaci wielkiego reformatora, męża stanu i wodza, którego prochy leżały w pięknym, przez niego zbudowanym Zamościu. Za jakieś sto lat, kiedy ludowcy będą okazywać większe zrozumienie dla literatury niż dzisiaj, żywoty Wincentego Witosa będą cieszyć się także swoją popularnością.

Jadąc zatem bryczką po wyjątkowo niewyboistej drodze mógł nasz szlagon zelwiański otworzyć swą książeczkę z tym większą przyjemnością. A gdy to już zrobił, z rosnącym zaciekawieniem czytał sam jej wstęp. Było, istotnie, powszechnym zwyczajem dedykować najmniejsze nawet dziełko, jakiejś odpowiednio znakomitej postaci i czyniono to w pełnej superlatywów, sążnistej i uniżonej oracji, której by nawet nasi dzisiejsi wazeliniarze nie potrafili niczego dodać. W owych dobrych czasach nie było to zresztą wyłącznie wynikiem służalczych instynktów autora; czasem, niestety, było szukaniem osłony.

Cenzury publiczne czy prywatne, kościelne, miejskie czy sejmikowe jak w Polsce, zawahałyby się bowiem przed ściganiem książki, która posiadała możnego protektora. Stąd w absolutnej Francji niejeden traktat przeciw absolutyzmowi dedykowano... królowi. Dedykacja była też niezłą wskazówką dla czytającego, kto za autorem stoi, z jakiego obozu, mafii czy koterii magnackiej dany druk wyszedł. Dedykacja zdradzała polityczną orientację autora. Nasz szlagon pospieszył tedy ku dedykacji, i znalazł, rzecz jasna, takową, ale nader oryginalną. Oto anonimowy autor – poza panegirykami większość druków w tej wolnej Polsce była anonimowa – sam zastanawiał się, komu dedykować swe dzieło? Może odepchniętemu przez szlacheckie społeczeństwo za swój postępowy projekt praw, dziedzicowi wielkiego Jana, Andrzejowi Zamoyskiemu? Może potężnym i popularnym Potockim? Może „Królowi mądremu"? Ale przecież to jego wstąpienie na tron stało się zarzewiem wojny domowej? Aż wreszcie autor wybuchał:

„Nikomu z Panów tego dzieła ofiarowywać nie będę! Te samoistne dusze, jeszcze po tym

ostatnim doświadczonym nieszczęściu – (niewątpliwie, dopowiadał sobie czytelnik, aluzja do pierwszego rozbioru) – równie podłe, jak za panowania Sasów, tak za Stanisława Augusta chowają między sobą zawziętości i kłótnie. Panowie swojej osobistości i dumie poświęcić resztę Polaków gotowi."

Posunięcie było śmiałe, lecz zręczne. Oddanie się pod protekcję jednego „pana" to jest magnata narażało, rzecz jasna, wszystkich innych. Stronnika Czartoryskich zwalczałby nieświeski, potężny na Litwie, Radziwiłł; stronnika Poniatowskiego zwalczaliby Potoccy. Tak autor nie kadził żadnemu z magnatów, a jeśli narażał się im wszystkim to równomiernie: a ani Król nazwany „mądrym", ani Andrzej Zamoyski nazwany „najcnotliwszym w Polsce obywatelem", ani Potoccy, którzy „nigdy swej pysze nie poświęcili kraju, nigdy dla pognębienia strony przeciwnej nie wezwali pomocy obcej" nie mogli się zbytnio obrażać. Ostre słowa przeciwko panom-magnatom puszczone były anonimowo. Nie dotykały imiennie Piław, Trąb czy Pogoni: biły w całą klasę. Zaś klasa ta, choć jeszcze potężna,

była właśnie w obecnym okresie coraz mniej popularna w Polsce...

Z tym większą radością, jako że sam nie będąc magnatem, był przecież ziemianinem szlachcicem, czytał nasz szlagon na bryce, w drodze na Brzostowicę Wielką, dalsze ustępy wstępu:

„Stanowi szlacheckiemu uwagi swe ofiaruję. Niech Szlachta sama o sobie myśli. Już ją nie raz zdradzono. Wolność powierzyciela nie cierpi. A jeżeli wolności ocalić nie można, niech pamięta, że oprócz wolności zostaje się imię, całość kraju, sława narodu, zasługi, urzędy do zachowania..."

Są to słowa, które wietrzeją z latami, tracą treść, dezaktualizują się i po latach trzeba im przywrócić pierwotną świeżość ich spłowień. „Niech szlachta sama o sobie myśli", tłumaczono na bryce szlagońskiej i w domu sąsiada: „niech się nie spuszcza we wszystkim, sejmik, trybunał czy sejm, na okolicznego magnata, niech nie oddaje swych kresek wyborczych, swego głosu i wpływów wśród braci Radziwiłłom za wieś zastawną. Czartoryskim za wyrobiony urząd podstolego czy cześnika, Potoc-

kim za wieś puszczoną w zastaw: niech sama swe prawa polityczne sprawuje". Bo „wolność powierzyciela nie cierpi". „Już ją nieraz zdradzono". Znowu szlachcic ziemiański miał aż za wiele przykładów takich zdrad, zbyt dobrze pamiętał, jak jego głosami żonglowali sobie panowie. Tak, to wszystko jest prawda, panie bracie, święta prawda mosterdzieju! – powiadał sam do siebie szlagon ziemianin. Albowiem tak już jest, że zawsze uważamy za świętą prawdę to, co odpowiada naszym interesom. A że droga, wyremontowana przez bywszego wojewodę ruskiego, była wyjątkowo dobra, przeto mógł czytać dalej:

„Wielki narodzie! dokądże w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic więcej po tobie nie zostało tylko niesława? Nie masz przykładu, aby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty, kilkanaście milionów ludzi bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli czekało. Upadały od dawna mocarstwa największe, ale ich sława jest nieśmiertelną, a przy ich upadku męstwo ich na wieki uwielbia potomność.

Gdy w kilka tysięcy lat potem znowu czytam, że Kartagińczykowie długimi obrony wojnami zniszczeni w ostatku swego konania schyłku ani broni, ani wojska, ani przyjaciół nie mając, przecież nie czekają z oziębłością niewoli, ale czym prędzej wszyscy łączą się: dają wolność niewolnikom: Pałace, Kościoły, rynki publiczne zamieniają się w kuźnie: jedni z domu i z Kościołów sprzęty i posągi, w niedostatku żelaza, srebro i złoto przynoszą: drudzy po kilkaset tarczów, mieczów, dziryt i tysiącami strzał na dzień robią. Kobiety, pierwszy raz podobno na swoje piękno obojętne, ucinają sobie włosy i z nich kręcą potrzebne do obrony miasta powrozy. Taką miłość Ojczyzny w Kartaginy dziejach czytając, żałuję ludu tego. Cierpię razem z mężnymi Kartagińczykami: nienawidzę gwałtowniki i zdrajce Rzymiany. W dziejach rodzaju ludzkiego jeszcze tylko nie dostaje dziejów i upadku wielkiego i nikczemnego ludu, który bez ratowania się ginął. Czyliż to ohydne miejsce Polacy zastąpią?

Sobieskich, Chodkiewiczów, Zamoyskich, Bolesławów synowie! Czyliż może być podobieństwo abyście bezsławnie ginęli?"

Niepospolita książka, zawyrokował ów czytelnik szlagon (albowiem w im spokoj-

niejszych czasach żyjemy, tym bardziej nami wstrząsają perspektywy przyszłych nieszczęść). Po czym czytał dalej. Czytał zaś tak gorliwie, że nie tylko zapomniał o swym smacznym obiedzie, ale sam chwycił niebawem za pióro i spisał, choć pokrótce, swoje o niej uwagi. Współcześni mu czytelnicy w najróżniejszych zakątkach Polski porobili to samo. Niebawem wyszło kilkanaście osobnych broszur, przeważnie polemicznych i zwalczających, jak to zwykle u nas bywa: ale znowuż, też jak to zwykle u nas bywa, głosy te „nie szły w niebiosy". I książka, niewielka książeczka, miała przetrwać. Była naprawdę niepospolita.

Albowiem sam żywot wielkiej postaci historycznej z przeszłości, aczkolwiek na ogół wierny, stanowił tylko pozór, tylko zewnętrzne ramy tej książki. Ramy cienkie bardzo, bardzo dużego obrazu. W samym zaś obrazie, jak w Matejkowskim Grunwaldzie, było, po trosze, wszystko. „Pantofelków, butów gęstwa, fantastycznie posplatana", powiedziałby o tym król polskiego dowcipu; i miałby rację co do pantofelków, bo nawet zagadnienie wychowywania kobiet czy wyjazdów pań za granicę, było tam poruszone pospołu a na

równi z zagadnieniami natury budżetowej, strategicznej czy dyplomatycznej. Książka nie miała budowy; książce brakło proporcji i hierarchii. Rzeczy małe splatały się z najważniejszymi, drobiazgi ze sprawami zasadniczymi, reminiscencje osobiste z chłodnym, logicznym rozumowaniem. Pod wieloma względami książka przypominała takie staroszlacheckie *silva rerum,* tj. księgi trzymane po dworach, do których szlagon na przestrzeni swego życia zapisywał wszystko pospołu, i przepis na wędzenie dziczyzny, i wrażenia z sejmiku, i daty urodzeń dzieci, i rozważania religijne, i spostrzeżenia polityczne, i zasłyszane plotki lub zamorskie wiadomości. Pod innymi przypominała kazania; tak, było to wielkie, prawdziwe kazanie o Rzeczypospolitej, pełne kaznodziejskich obrazów i alegorii kościelnych:

„...tak sobie rozmyślając spostrzegłem... pod górą na dole bydła, koni, wozów, kobiet, dzieci i mężczyzn gromadę. Widząc tamże rozległy na milę zapust, po którym ornych niegdyś zagonów jeszcze wznosiły się grzbiety, domyśliłem się, że jest to nowa osada. Pobiegłem ku niej z radością błogosła-

wiąc, chciałem jej życzyć szczęśliwego początku. Moja radość trwała niedługo. Usłyszałem, że są to ludzie, którzy uciekają z Polski za granicę z tych przyczyn: że złych mieli Panów, na których sprawiedliwości nie mają; że chłop polski większy daje podatek niżeli chłop zagraniczny; że za granicą obronę, sprawiedliwość i bezpieczeństwo majątku człowiek ich stanu odbiera, przybysze obcy podatku żadnego przez 10 lat nie płacą i ich dzieci do żołnierzów brane być nie będą itd. – Z żałością mówiłem do nich: «A komu się uskarżycie, jeżeli wam nie dotrzymają obietnicy?» – Odezwało się kilku razem: «w tym kraju nie dotrzymać nam słowa może tylko monarcha: w Polsce każdy szlachcic». Na to odpowiedzieć nie umiałem."

Nie był to wcale najjaskrawszy obraz krzywdy społecznej, jaki poprzez te karty, jak ilustracja mignął: cytujemy go, bo był jednym z krótszych. Jako innego rodzaju ilustracje, tym razem narodowego upadku, pojawiały się gdzie indziej takie oto, nietrudne dla współczesnych Katarzyny II i elekcji Stanisława Augusta, obrazy:

„Widziałem drugie, nierównie od pierwszego większe, ludzi zgromadzenie w polu otwartym, jakoby po śmierci Króla dla obrania nowego. Spostrzegłem i tu owych bogaczów uwijających się od jednego człowieka do drugiego z workiem pieniędzy, z podłymi ukłony i butelką wina. Każdy płacił, prosił i poił, aby go królem obrano. Wtem przybył z wejrzenia wspaniały i urodziwy młodzieniec, przysłany od Pani wielkiej na północy, z licznym żołnierstwem i tym nakazem, aby on był królem. Nagle owi wolni elektorowie, uląkłszy się karabinów i zatoczonych armat wołali bez upamiętania «Vivat Król z wolnością i zgodnymi głosami obrany!» Rozumiałem, że ze strachu wszyscy poszaleli nie przestając krzyczeć i nazywać wolnością tak oczywistą przemoc. Obok mnie stał mąż, którego postać ukazywała wielki rozsądek. Ten, dotychczas na wszystko z obojętnością patrząc, to rzekł do mnie: «jak wiele może zwyczaj i mniemanie na nie myślących ludziach! Ten lud nie chce przyjąć dziedzictwa tronu z przyczyny, że w takim razie nie naród sobie, ale los wyznacza mu królów. Ten lud, zwyczajony do niewoli nie nazywa tego przymusem ani ślepym losem, że mu jakaś o kilkaset mil odle-

gła na północy Pani jednego, często z intrygantów, albo z swych polubieńców, za Króla przysyła»".

Krzywda chłopska tak dotkliwa, że chłop z Polski uciekał do habsburskiej już Galicji, pod cesarskiego starostę i błędy ustroju politycznego państwa były przedmiotem tych ilustracji opisowych. Dziś czytamy to dosyć obojętnie. Dla nas jest jasne, że położenie chłopa w XVIII wieku było jedną z takich hańb historii jak niewolnictwo Murzynów ongiś, jak obozy koncentracyjne naszej epoki, jak organizowane przez władze pogromy żydowskie carskiej Rosji. Tak; – ale znowuż wtedy było inaczej. W powszechnym pojęciu tych czasów „narodem" była jedynie szlachta, chłopi byli całkowicie poddani władzy dziedzica, nie tylko nie posiadali żadnej własności nieruchomej, niewiele innej, nie tylko nie mogli zmienić miejsca pobytu i zaskarżyć swego dziedzica do sądu, ale byli uzależnieni od niego nawet w takich aktach, jak wejście w związki małżeńskie. Stosunek płciowy szlachcianki z synem chłopskim był w oczach ówczesnego społeczeństwa, a w każdym razie w oczach licznych jego kół, tym samym, co tak zwany

grzech sodomski. Przyłapanej dziewczynie groziła publiczna chłosta i pokuta więzienna, parobczakowi – po prostu pal. Dopiero na tym tle można zrozumieć, jak rewolucyjne były reformy tak dzisiaj niewinnie brzmiące.

Niezależnie jednak od tych kilkunastu obrazów i przykładów książka była całym wykładem politycznym, całym programem na ówczesne czasy. Na wielu stronicach tej książki nie było ani słowa o Janie Zamoyskim, ale na każdej po kilkakroć przypominane były niedawne klęski Rzeczypospolitej, a przede wszystkim rozbiór pierwszy – ten z 1772 roku – podkreślana słabość Polski wobec państw ościennych i możliwość ponownych klęsk i ponownych rozbiorów. Jak wiemy, Polacy lubią na ogół tylko tych publicystów, którzy pokwękawszy dochodzą do wniosku, że jednak to Polska ma rację, że byłoby to zatem niesłychanym pogwałceniem wszelkich praw bożych i ludzkich, żeby Polsce stała się krzywda, a że przecież skoro jest Bóg na świecie i sumienie u ludzi, a zatem ostatecznie... jakoś to będzie. To, że dzieje świata są jednym pasmem sprzeniewierzeń i łajdactw, o tym Polacy z XVIII wieku nie uświadamiali sobie tak samo, jak nie uświa-

damia sobie tego, iluż współczesnych nam, a najzacniejszych skądinąd, rodaków – i marni publicyści owych czasów naginali się do tych współczesnych, jak nasi naginają się do swoich. Na to wszystko spadała naraz książka, która roztaczała nie tylko czarny obraz niedawnej przeszłości przypominając to, o czym tak chciano zapomnieć, ale jeszcze sytuacja obecna i przyszłe nieszczęścia. Kiedy jedni byli rozradowani, że Rosjanie biją się z Turkami, a Prusy kłócą się z Austrią, czarnowidz autor nie przywiązywał do tego większej wagi. Cóż z tych chwilowych kłopotów sąsiadów Polski, jeśli sama Polska jest dalej bezsilna, słaba i bezładna? Czy długo można stać kłopotami innych?

Kłopoty innych można co najwyżej wyzyskać dla wprowadzenia u siebie potrzebnych zmian. Jakież one są? Znowu autor narażał się opinii. Pochwalał funkcjonujący od kilkunastu lat system wychowania publicznego, sprawowanego przez państwo, przez Komisje Edukacji Narodowej. Dziś uczeń polski, który o tej instytucji piśnie złe słowo, oberwie pałę od belfra, ale wtedy, w XVIII wieku, było jeszcze inaczej. Pamiętano jeszcze, że w poprzednim pokoleniu wychowanie by-

ło w wyłącznym władaniu Kościoła, przede wszystkim Jezuitów, Pijarów, Bazylianów. Prawda, jezuitów skasował sam papież – ale czy i sam ten papież, i ci, co tworzyli w Polsce świeckie szkolnictwo na jezuickich gruzach, nie byli nasiąkli zgubnymi wpływami z Francji? Bardzo wielka część społeczeństwa polskiego była tego zdania, kiedy chodziło o ów krok papieski – a już jeśli chodziło o twórców tego świeckiego szkolnictwa, z samym królem na czele, to tych miała wręcz za „farmazonów" i bezbożników, zresztą nie bez racji. Dzieło Komisji Edukacyjnej nie było, jednym słowem, tak sławione za jej istnienia jak po jej, wraz z Polską, upadku, a oto naraz niepodpisany autor sławił jej szkolnictwo jako świetne. Mniejsza o Komisję Edukacyjną. Wręcz niepopularną instytucją była wtedy Rada Nieustająca. Wielogłowe to ciało, wybierane przez Senat i Izbę Poselską, podzielone na departamenty, było w owych czasach czymś znacznie bardziej niepopularnym. Składało się na to cały szereg bardzo różnych przyczyn. Patrioci – słowo to poczynało powoli wchodzić w życie – widzieli w jej instytucjach zbyt wielu rosyjskich popleczników, zwolennicy „dawnych

dobrych czasów" uważali, że „mieszanie się" do wojska, czy skarbu, czy w ogóle innych spraw, takiej Komisji jest czymś niezwykle zdrożnym. Armia powinna podlegać, jak to się dotąd działo, samemu hetmanowi (to jest być jego prywatnym wojskiem), skarb podskarbiemu (który nikomu nie był winien rachunków) itd. Zarzuty w stosunku do Rady Nieustającej były więc czasem słuszne, czasem wsteczne, dość, że nienawidzono jej powszechnie. A tu anonimowy autor stwierdzał, że od jej powstania Polska przecież nareszcie posiada coś, co jest rządem; Polska nierządem nie stoi. Autor atakował jak najostrzej zasadę, że uchwały sejmowe muszą zapadać jednomyślnie, że jeden poseł może zerwać sejm. Dowodził, że dzięki temu właśnie w Polsce niczego nie można dokonać, niczego zmienić.

Autor atakował „wolną elekcję" królów, dowodząc znowu, że daje ona nieobliczone możliwości ościennym państwom mieszać się w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Argument był zręczny, bo to mieszanie się, wkraczanie wojsk, zabory i grabieże dokuczyły już do cna wszystkim. Autor dowodził, że chlubiąc się swymi wolnościami, Polska

nie jest jednak naprawdę rzeczpospolitą, skoro tylko część jej obywateli z tych swobód korzysta – i żądał praw dla miast. Jeśli jednak Polska nie ma zniknąć, musi zreformować swe prawa, sejm swój sposób głosowania, rząd się wzmocnić; musi urość wojsko. Wojsko czym może urosnąć? Podatki? Czym są w Polsce podatki? Na 12 milionów złotych 9 płacą chłopi, niespełna jeden – ziemiaństwo szlacheckie. I autor proponował reformy podatkowe, które były, ni mniej, ni więcej, tylko odwróceniem tego stosunku. Autor wskazywał, że podatki mają być pomnożone, że mogą być pomnożone, że powinni je płacić przede wszystkim ci, co nie płacili ich dotąd, i że dopiero z pomnożeniem tych podatków będzie możliwe utrzymanie prawdziwej, potężnej armii. Autor, co więcej, uderzał, jakby to dziś powiedziano, w armię. Wskazywał – był to rok 1785 – że dawna struktura armii polskiej oparta na pospolitym ruszeniu szlacheckim, na samej jeździe, jest przestarzałym anachronizmem; że dziś – (1785 r.) – armia opiera się na sztuce wojennej, na pieniądzu, na przemyśle, a tego nie da inny kraj, jak bogaty, posiadający kwitnące miasta, wyposażony w ludne, nieprzygłuszone pań-

szczyzną, nie uciekające pod inne zabory, wsie, i że na to wszystko trzeba jeszcze raz pieniędzy. Jeśli już nie chcemy pomnożyć podatków i należycie je rozłożyć – dowodził z rozpaczą – to lepiej skasujmy tę armię, która obecnie jest tylko wydatkiem, a do obrony nie służy wcale. I cytował tragiczne dane; na jednego oficera przypadało w owych dobrych czasach u nas aż... trzech szeregowych. Tak, tak, samym Sobieskim i wspomnieniami Grunwaldów żyć we współczesnym świecie nie można.

„Nowa Polska" 1945, nr 4, Londyn.

Margrabia Wielopolski

„Wielkości, gdzie twoje imię?
Największe imię, to margrabia"
(Józef Piłsudski, *Rok 1863*)

I

Młodość i listopad

Urodził się jako syn jednej z kilkunastu magnackich dynastii w Polsce, co prawda nie jednej z największych, ale bądź co bądź dynastii. Nie trzeba na to Marksa, by odkryć, jak urodzenie ciąży w następstwie na losach człowieka, i to nawet wtedy, gdy nie jest ono tak wyraziście umiejscowione klasowo jak urodziny arystokraty pełnej krwi. Magnackość zaś Wielopolskich była tym szczególniejsza, że odróżniająca się w sposób bardzo jaskrawy od przeciętnej magnackości Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Lubomir-

skich, Zamoyskich. Tamci byli niemal w całości pochodzenia litewsko-ruskiego, i nawet gdy pochodzili z krwi polskiej, to wyrośli na magnatów najczęściej wtedy dopiero, gdy przywarli nadaniami i dobrami do litewskiego boru czy ukraińskiego stepu. W odróżnieniu od nich Wielopolscy pochodzili nie z zubożałych ruskich dynastii, ale z wzbogaconych krakowskich mieszczan, może czeskiego, może niemieckiego, może rodzimego krakowskiego pochodzenia: Bochnarów. Takich rodów w arystokracji polskiej było mało, tak samo jak w arystokracji polskiej było mało owej mieszczańskiej trzeźwości, kalkulacji, realizmu, cech częstych za to w arystokracji, powiedzmy sobie angielskiej, gdzie i pochodzenie takie jak Wielopolskich – od „łokcia" – jest także częste. W dalszym ciągu mnożyły się u Wielopolskich cechy nader rzadkie w tej polskiej warstwie. Oto odziedziczyli oni drugie nazwisko, nowy tytuł i dużo wsi po wygasłej rodzinie Myszkowskich. Jeden z Myszkowskich został „przypuszczony do nazwiska i tytułu" przez Gonzagę, księcia Mantui, papież uznał tę transakcję, i odtąd głowa rodu nosiła tytuł margrabiego Gonzagi-Myszkowskiego. Po wygaśnięciu Myszkowskich Wie-

lopolscy z dobrami po nich przejęli i owo drugie nazwisko i tytuł, co znowu zdarzało się zwykle za granicą, ale niemal nigdy w Polsce. Odtąd głowa rodu Wielopolskich nosił oficjalnie nazwisko i tytuł margrabiego Gonzagi Myszkowskiego, hrabiego Wielopolskiego (bo w międzyczasie i dla reszty członków rodu wystarano się o jakiś tytuł). Był także ordynatem pińczowskim, bo Myszkowscy stworzyli ordynację, której zabrać do grobu nie mogli. Znowu ordynacji było dużo w całej reszcie Europy, ale w Polsce było ich bardzo mało, szlachta ich nie lubiła, gdyż podważały starą zasadę równości szlacheckiej. Możniejsi i potężniejsi od Wielopolskich Zamoyscy czy Potoccy odmawiali obcym dworom przyjęcia tytułów książęcych czy hrabiowskich właśnie dlatego, aby nie urazić tym „braci szlachty", i przyjęli tytuły hrabiowskie dopiero z rozpadem Rzeczypospolitej, raczej dla wygody, niż dla zaszczytu. Margrabia Gonzaga-Myszkowski, ordynat pińczowski, hrabia Wielopolski w jednej osobie, był tak na stoku gór Świętokrzyskich, pomiędzy Proszowskiem a Końskiem, jakimś obcym rarogiem, dziwną fantazją losu rzuconym tu z jakiegoś królestwa Obojga Sycylii, albo Nawarry. Musieli być

nielubiani. Byli też nimi w istocie, i to zarówno Wielopolscy, jak Myszkowscy. Oba rody brały bowiem z zagranicy nie tylko niepopularne tytuły, ale jeszcze bardziej niepopularne w ówczesnej Polsce poglądy. Wielopolscy i Myszkowscy byli stronnikami Habsburgów, Jezuitów, Wazów, przeciwnikami wolności szlacheckiej, zwolennikami silnej władzy królewskiej. Kiedy inni magnaci wzniecali rokosze przeciwko królowi, oni stawali za królem, kiedy inni chcieli króla sprowadzić do roli takiej kukły, jaką był doża w rzeczypospolitej weneckiej, oni chcieli zrobić z polskiego króla w Warszawie jakiegoś Habsburga z Wiednia czy Burbona z Madrytu. Rozumowali tak, jak rozumował ówczesny europejski kontynent – i jak zgoła nie rozumowała Polska.

Wszystko więc łączyło się na to, aby Wielopolscy wzięli sobie w nawyk być czymś innym niż cała reszta Polski – to jest tym, co oni i im współcześni uważali wtedy za Polskę, i niemal z reguły iść przeciwko temu. Z innymi magnatami polskimi mieli chyba wspólne tylko to jedno: poczucie wielkości rodowej. Właśnie w okresie poprzedzającym narodziny Aleksandra stan majątkowy rodziny się popsuł, musiano myśleć o sprzedaży części dóbr ordy-

nacji, aby zapłacić długi, i ważkim tym zagadnieniem zajmował się nawet dość długo powołany do innych nieco spraw Sejm Czteroletni. Wreszcie, aż w roku klęski Napoleona, nastąpił układ, który okroił ordynację pińczowską o jedno miasto – właśnie Pińczów, trzydzieści wsi, których wymienić nie pośpieszamy, 16 000 poddanych miejskich i chłopskich, oraz 90 000 morgów. Z dawnej ordynacji pozostała ledwo jedna czwarta. W okresie rozbiorów Polski był to prawdziwy rozbiór Wielopolszczyzny. Przyszły jej dziedzic, pierwszy okrojony ordynat, urodzony w 1803 roku, był jeszcze dzieckiem, gdy doszło to do końca. Kiedy niedługo potem wstąpił na tron ordynacki, postanowił z tym skończyć. Było to pierwsze – zauważmy – publiczne wystąpienie w tym życiu.

Młody ordynat odebrał gruntowne wychowanie i wykształcenie. Studiował i skończył prawo w Paryżu, a filozofię, wraz z doktoratem, w Getyndze, i swą wiedzę prawniczą zużył od razu do wytoczenia procesu o całość granic ordynacji. Znajomość prawa i znajomość Niemiec powiększyły w nim tylko twardość. Tak się stało, że nabywcą owej okrojonej części był warszawski adwokat prowadzący

sprawy Wielopolskich, Jan Olrych Szaniecki. Była to dosyć ciekawa postać. Bardzo zdolny adwokat zrobił szybko dużą fortunę. Posiadał nader postępowe poglądy, a zaciągnął się do wojska polskiego i odbył jedną z kampanii napoleońskich w randze kanoniera. Objąwszy część dóbr pińczowskich powprowadzał w życie zasady. Zreorganizował w nowoczesnym duchu szkoły, istniejące tu dawniej dla ludu, oczynszował włościan (ku zgrozie okolicznych ziemian, a poklaskowi postępowców z miasta), a księgozbiory ordynackie Wielopolskich, które dostały mu się wraz z dobrami porozdzielał na biblioteki miejscowe, dostępne publiczności. Procesy w Polsce skupiają zawsze na sobie oczy opinii: cóż dopiero, obecny, wytoczony przez młodego margrabiego bogatemu adwokatowi! Po stronie pierwszego stanęła część tradycyjno-konserwatywna opinii, dla której całość ordynackiej fundacji była znacznie świętszą rzeczą niż obowiązek spłaty długów, która nie lubiła w ziemiaństwie intruzów miejskich, a tym mniej ich radykalnych poglądów; po stronie Olrycha Szanieckiego stanęli ci wszyscy, którzy nie uważali ordynacji za tabu, oczynszowania włościan za komunizm, szkoły dla chłopów za niebezpieczeń-

stwo publiczne i woleli, by z książek korzystało wielu niż nieliczni. Opinia była więc ostatecznie przeciwko margrabiemu, zwłaszcza wtedy, gdy w pierwszej instancji jednak proces wygrał. Czy wygrał go słusznie? Chyba tak. Niewątpliwie, obciążanie ordynacji długami było sprzeczne z prawem: ci, co pożyczali poprzedniemu ordynatowi wiedzieli o tym dobrze: pożyczali w nadziei, że obali on zakazy prawne, osłaniające mienie ordynackie. Adwokat, sam kupujący mienie swego klienta, nie był najbardziej w porządku. To, że w władaniu źle nabytym mieniem wprowadzał słuszne może, a na pewno popularne w opinii zmiany, jeszcze nie uzasadniało jego nabycia. Ufny w swe prawo młody Wielopolski nie starał się kaptować opinii: może mniej ufny w swoje obrotny adwokat chciał ją sobie pozyskać. Proces był w najwyższej warszawskiej instancji i obie strony gotowały się do boju ostatniego, kiedy inny bój odwrócił uwagę opinii. Oto pewnej listopadowej nocy zapłonęła szopa na Solcu i huknęły strzały wokoło białego Belwederu. Strzelanina trwała przez całą noc, a gdy ustała, w Warszawie nie było już ani wielkiego księcia, ani rosyjskich wojsk, na ulicach zaś leżały, między innymi, trupy paru polskich gene-

rałów poległych z ręki podchorążych, żołnierzy i spiskowców.

Dwudziestosiedmioletni Wielopolski zgłasza swe usługi „powstaniu listopadowemu", jak je miano nazywać w przyszłości, a „rewolucji narodowej", jak to nazywano wtedy. Zgłasza się jednak nie do wojska, lecz do tworzonej właśnie służby dyplomatycznej. Zgodnie z Traktatem Wiedeńskim i konstytucją Królestwo Polskie nie posiadało odrębnej reprezentacji za granicą: na zewnątrz zastępowała je Rosja, podobnie jak za bliższych nam czasów Wolne Miasto Gdańsk zastępowała za granicą Polska, lub Protektorat Czesko-Morawski – Trzecia Rzesza. Jedną z pierwszych, niewątpliwie rewolucyjnych, czynności powstania, było stworzenie polskiego ministerstwa spraw zagranicznych i rozesłanie za granicę polskich misji. Londyn powierzono Wielopolskiemu. Wyjechał on szybko, jeszcze w grudniu, i echa Olszynki grochowskiej zaskoczyły go już nad Tamizą. Jak się też zdaje, wyjechał ożywiony najlepszymi nadziejami pierwszych dni powstańczych – a także wszystkimi błogimi złudzeniami warszawskich pisemek. Od razu oświadczył przedstawicielom prasy londyń-

skiej, że przyjechał w charakterze posła rządu polskiego. Było to pierwsze potknięcie. Downing Street i Foreign Office – w Anglii się nie zmienia – mogłyby uznać Wielopolskiego w tym charakterze chyba tylko wtedy, gdyby były zdecydowane zerwać z Rosją, a wcale tego nie chciały. Wręcz przeciwnie. „W dzisiejszej sytuacji, mówił ówczesny premier brytyjski Grey, musimy sobie życzyć, aby Rosja jak najprędzej miała wolne ręce i żeby wasze powstanie jak najprędzej było stłumione". Oto co usłyszał młody „poseł polski", gdy, jako człowiek prywatny, w mieszkaniu osób trzecich, mógł się zetknąć z uchodzącym za przyjaciela Polaków mężem stanu. Darmo powoływał się Wielopolski w późniejszych rozmowach z Anglikami na pomoc, jaką Wielka Brytania udzieliła walczącym o wolność Grekom i powstałym przeciw swemu holenderskiemu królowi Belgom: ileż razy na te precedensy powoływali się politycy warszawscy w swych gazetach czy kawiarniach! Ale i tu zwrócono Wielopolskiemu uwagę, że tamte powstania były skuteczne, odnosiły zwycięstwa i wyprawiały zarówno sułtana, jak i króla holenderskiego w olbrzymie kłopoty. Tymczasem, jak in-

formował Wielopolskiego minister spraw zagranicznych Palmerston, polskie powstanie zwróciło się po bitwie grochowskiej z rokowaniami pokojowymi do Rosjan. Stanowisko Wielkiej Brytanii, oświadczone bardzo wyraźnie młodemu margrabiemu, było: „Polska, jeśli dąży do odłączenia się od Rosji, zrywa samowolnie ów porządek międzynarodowy, jaki piętnaście lat temu ustalony został za zgodą mocarstw Europy i przy współudziale Wielkiej Brytanii; co innego, gdyby car dążył do wcielenia Królestwa do Rosji: wtedy to on byłby gwałcicielem prawa międzynarodowego". Wielopolski, w odpowiedzi, starał się dowieść, jak częste i poważne były wypadki łamania konstytucji Królestwa przez cara. Ale ponad tymi wypadkami górował jednak w opinii Zachodu widok powstania – a powstanie podnieśli Polacy. Zresztą, może głównym powodem obojętności brytyjskiej było po prostu to, że Polska leżała daleko na peryferiach brytyjskich zainteresowań, inaczej jak Belgia, czy Grecja.

Pomimo tej zimnej wody zlewanej na głowę, pomimo tych przejrzystych aluzji, że linią obrony Polski powinien być powrót do Traktatu Wiedeńskiego, Wielopolski prowadził dalej

tę samą politykę maksymalną, którą mu zapewne zalecono w instrukcjach i którą wyznawała opinia polska. Na sugestie Palmerstona oświadczył, że „postanowienie naszego bycia niepodległymi jest niezmienne i wytępienie chyba narodu polskiego położyć koniec mu może". Ci, co poszli na Belweder i ci, co w sejmie uroczyście zdetronizowali cara Mikołaja nie mieliby mu nic do zarzucenia. Jednocześnie wybadał Palmerstona na nowy temat: co by powiedziała Anglia, gdyby na tronie polskim osadzić któregoś z wiedeńskich Habsburgów? Ale i ta propozycja nie spotkała się z zachętą; minister brytyjski oświadczył, że nie jest to aktualne w obecnej chwili. Stary lis dyplomacji europejskiej, Talleyrand, posłany właśnie do Londynu, zauważał tonem znawcy że „le marquis Wielopolski" jest „miłym i inteligentnym człowiekiem, ale nigdy nie będzie dyplomatą". Niewątpliwie cała londyńska misja była klapą, bo i wymagania polskie i brak zainteresowań angielskich, i niezmordowana energia ambasady rosyjskiej, z księżną Lieven na czele, złożyły się na to. Nawet typowo angielskie „składki publiczne" projektowane na „ofiary wojny w Polsce" nie doszły ostatecznie do skutku. Miał je zorganizować niejaki

colonel Jonas, który miał w tym niejaką wprawę, bo zorganizował już takie Relief Foundy na rzecz Grecji, Belgii, Hiszpanii. W ostatniej chwili okazało się jednak, że składki na rzecz „głodującej Irlandii" są znacznie bardziej aktualne. Tak więc nie można się było spodziewać nie tylko pomocy politycznej czy zbrojnej, ale nawet dobroczynności. A w Anglii zły to znak, gdy dobroczynność zawodzi.

W ten sposób wszystkie zabiegi młodziutkiego posła skończyły się niefortunnie, nie z jego przeważnie winy, i całą tę ambasadę powstańczą miała przyozdobić jeszcze resztką romantyczności, zupełnie uboczna już okoliczność. Oto z początkiem 1831 roku przybył do Londynu kurier dyplomatyczny z Warszawy – oczywiście z niezupełnie honorowanymi papierami. Ów kurier przeprawił się specjalnie przez siebie wynajętym statkiem z Calais (na co się zresztą nie krzywmy, bo podróż odbywał na własny, a raczej mamusin, koszt. Na pewno grubo do niej dołożył, zamiast zarobić na niej jeszcze grubiej, jakby to miało miejsce w bliższych nam, lub nawet całkiem bliziutkich czasach). Misje miał dość niesprecyzowane, a do kraju nie miał już wrócić więcej, w każdym razie za życia. Nader improwi-

zowaną była owa dyplomacja powstańcza; poseł był młodym magnatem, kurier – dwudziestoczteroletnim urzędnikiem Banku Polskiego. Poza tak solidną karierą, przerwaną powstaniem, pisywał już wiersze, i właśnie z racji powstania napisał odę, która zjednała mu w Warszawie dość przelotną – na razie – sławę. Miała ona urość niebawem, i niezawodnie do czasów Jarosława Iwaszkiewicza i Stanisława Balińskiego Rzeczpospolita nie miała równie poetyckich kurierów w swej służbie dyplomatycznej. Ów młody człowiek wysiadywał w Saint James Parku i wysłuchiwał tam pouczeń dozorców, jak się siada na najętych parkowych krzesłach. Ubierał się bardzo starannie w tym okresie życia, a nazywał się – Juliusz Słowacki.

Po swej londyńskiej klęsce, na przedwiośniu 1831 roku, wraca Wielopolski do Warszawy, omijając z daleka Prusy, a zawadzając za to o Galicję. W międzyczasie umarła mu niedawno poślubiona żona i nowo urodzony syn. Pozostawił ją, wyjeżdżając z kraju, w ostatnich miesiącach ciąży, nie zastał jej już wróciwszy, i prędko wrócił do działalności publicznej. Daje nam to pewien rys tego człowieka. Jak wiadomo, Polacy są na ogół

znacznie lepszymi mężami, kuzynami, niż tzw. synami ojczyzny, i właśnie w momentach najbardziej tragicznych dla Polski wykazują niespodziewane cnoty pieczołowitości rodzinnej. W epoce wcześniejszej o jedno pokolenie, trzech wyższych oficerów ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego na wiadomość o zaczętej wojnie z Rosją szybko poprosiło o urlopy – jeden miał starego ojca, który mógł umrzeć, drugi żonę, która miała poród, trzeci jakieś mniej zdeklarowane sprawy rodzinne. Książę Józef oczywiście najuprzejmiej zezwolił – uczucia rodzinne w Polsce były silne i cenione, a patriotyczne dopiero od dwóch lat weszły w modę. Wielopolski był z innej gliny. Zapewne twardszej. Żale rodzinne tłumił teraz pasją, z jaką się zabrał do polityki. W Warszawie występuje zrazu jako „radca stanu w wydziale spraw zagranicznych" i jako taki przemawia z „ław rządowych" w sejmie. Imieniem słabego, jak to nieraz u nas bywa, rządu, ściera się tu z liczną, rozszumianą, buńczuczną i pustą opozycją, okazuje się doskonałym mówcą, pełnym logiki w argumentacji. Miękki rząd jest zastraszony swoim sejmowym rzecznikiem, woli ustąpić dla świętego spokoju –

i poświęca swego zbyt gorliwego obrońcę w nadziei, że mu to coś pomoże. Oczywiście miało to zgoła odmienny skutek.

Tymczasem właśnie w tym okresie sejm poszerza się o przedstawicieli tak zwanych wtedy „ziem zebranych", to jest ziem położonych, biorąc z grubsza, pomiędzy Bugiem a Dnieprem, Berezyną i Dźwiną, obejmujących całą Litwę, Wołyń, Podole, Białoruś z Mińskiem i Witebskiem, Ukrainę wprawdzie bez Kijowa. Zebrani w Warszawie obywatele pochodzący z tych ziem wybierają, czy raczej wyznaczają, swych posłów na sejm: Wielopolskiego ogłaszają swym posłem grodzieńszczanie, nie zważając na to, że nic go z Grodnem nie łączy. Może nawet mniej niż myśleli. Toteż zaraz mu to wytknie i mandat bezskutecznie zakwestionuje stary nieprzyjaciel, dziś jeden z najradykalniejszych posłów – Olrych Szaniecki. Co mogło skłonić grodnian do tego wyboru? Poza zabiegami, zapewne opinia, jaką zdobył sobie Wielopolski – niestrudzonego szermierza prawicowych i umiarkowanych poglądów. Poza sejmem wyraża je jeszcze w organie skrajnej prawicy warszawskiej zwanym „Zjednoczenie". – Rada stanu, sejm, prasa. – Lato 1831. – Życie tego człowie-

ka będzie się dzieliło na dziesięciolecia zastoju i na miesiące – czasem tygodnie – niezwykle wzmożonej pracy. Owe lato 1831 należało na pewno do tych ostatnich.

Historycy poprzestawali dotąd na wyliczaniu poszczególnych poglądów czy akcji, jakie w tym okresie przeprowadzał Wielopolski. Nie szukali natomiast nigdy jego myśli przewodniej. Otóż jedno jest pewne: gdyby Wielopolski powiedział sobie, że trzeba dążyć do zgody z Rosją, nie mógłby postępować inaczej niż postępował. Czy należy się dziwić temu, że swych kart nie odkrył, że swej myśli wyraźnie nie wypowiedział? Nie był publicystą: był politykiem. Warszawa owego lata rozbrzmiewała nienawiścią do caratu, szumiała wojną, pęczniała nieustępliwością. Czemuż się dziwić? Wszak niedawno pobił Dwernicki Rosjan pod Stoczkiem; wybuchło powstanie na Kresach i Litwie; ofensywa polska poszła szczęśliwie na Siedlce, niemal, niemal – a „niemal" zalicza się u nas za pół dokonania – nie wzięła do niewoli rosyjskich gwardii razem z bratem cesarskim, wielkim księciem Michałem. Prasa i kawiarnie były pełne Igania, Wawra, Dębów Wielkich, litografie warszawskie tłoczyły dziesiątkami portrety wspa-

niałych generałów polskich – Chłopickiego, Skrzyneckiego, Chrzanowskiego, Dembińskiego, Dwernickiego. Jakżeż okazale wyglądały ich groźnie ściągnięte brwi, srebrne wężyki na kołnierzach, opończe zarzucone romantycznie, ramiona dumnie skrzyżowane na bohaterskich piersiach! Wtajemniczeni – a któż w Polsce nie jest wtajemniczony? – mówili, że widzieli „na własne oczy" odpis noty, jaką rządy angielski i francuski właśnie w czwartek posłały do Petersburga: cóż to była za nota! Prawicowcy cieszyli się, że Austria (jak zapewnia Zamoyski z Wiednia) sprzyja powstaniu; lewicowcy szeptali o postanowionej przez bliżej niewyjaśnione czynniki rewolucji powszechnej. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Zachód stanie murem za Polską, że armia polska jest znakomita, a zwycięstwo pewne. Kto by nie był zupełnie tego zdania, byłby szybko zmuszony do milczenia: czyż nie był najoczywiściej złym Polakiem? A Wielopolski? Wielopolski przybył do tej rozmajonej Warszawy jak poseł złej wieści. Wielopolski należał do nielicznych, bardzo nielicznych, ludzi w tej Warszawie, którzy już widzieli, że na pomoc Zachodu nie ma co liczyć, – w każdym razie nie w tych warunkach i nie

w tych rozmiarach, o jakich marzą jego rodacy. A siły własne? Wielopolski widział z bliska tych „następców Kościuszki" i „dziedziców Żółkiewskiego", owych generałów tak pięknie prezentujących się na koniu w dnie parad, w salonie w wieczór balowy i w upiększeniu zdolnego litografa. Wiedział, że są skłóceni, małostkowi, niezdecydowani, doskonali na dowódców batalionu, gorsi na dowódców pułku, bardzo kiepscy jako generałowie, a zupełnie nie nadający się do tych wielkich zadań, jakie naród – wbrew im samym – nieopatrznie im na barki wali. Wszak Chłopicki na pierwszą wieść o powstaniu skrył się głęboko w domu, Skrzynecki polecał swym znajomym wyrazić wielkiemu księciu Konstantemu, że jest mu wierny „duszą i ciałem", a podczas burzliwych dni powstania inny przerażony generał, Chrzanowski, krzyczał, że poszuka sobie opieki przed tłumem warszawskim... w obozie rosyjskim. Słowem, owe generalskie lwy, niegdyś naprawdę bohaterskie, pragnęły teraz dożyć swoich dni w spokoju. Wielu z nich przez blisko lat dwadzieścia tułało się po obcych ziemiach i wojnach: czemuż się dziwić, że nie bardzo im się uśmiechała nowa emigracja? W dodatku rok 1812 przekonał ich o jednej

rzeczy, niedocenianej zupełnie przez powstańczą „gorączkę". Mianowicie o potędze Rosji. Wiedzieli oni dobrze, że owe Igania i Wawry, którymi tak zachwycały się właśnie kawiarnie, gazety i kobiety, to niestety tylko słabe ukłucia zadane owej potędze: rosyjskiego niedźwiedzia nie osłabią, ale rozjuszą. Wielopolski, swymi chłodnymi oczyma polityka, widział to samo, co oni, wojenni fachowcy. Widział to może jeszcze jaśniej – czy też jeszcze czarniej.

Być może, gdyby ten człowiek nie urodził się na ordynata, margrabiego i magnata, byłby sobie może powiedział, że Polskę można zbawić jedynie rewolucją społeczną – i wtedy, z konsekwentnością, jakiej brakło Kościuszce, ale nie zbrakło Jakubowi Jasińskiemu, rzuciłby się na te wody, widząc w nich jedyny ratunek. Wtedy głosowałby w sejmie za uwłaszczeniem włościan: wtedy nie wykreśliłby z odezwy rządu narodowego do chłopów Litwy i Rusi zapowiedzi zniesienia pańszczyzny: zrobiłby właśnie odwrotnie. Ale być może, że to nie tylko arystokratyczne urodzenie i konserwatywne wychowanie wstrzymało go po londyńskich doświadczeniach od pójścia w ramiona rewolucji. Może zagrał tu jeszcze

i realizm Wielopolskiego. Masy chłopskie nie były dojrzałe do rewolucji – najwyżej były zdolne do tego, co przyszło w innym zaborze, w szesnaście lat potem: do rabacji. Ustrój pańszczyźniany sąsiedniej Rosji był jeszcze ogromnie silny, i dopiero w sto lat później nieomal, gdy na skutek uprzemysłowienia wyrósł w miastach proletariat, stać ją było na coś więcej niż nową rzeź humańską czy drugiego Pugaczowa. Pod tym względem młody margrabia mógł oceniać rzeczywistość słuszniej, niż jego radykalni przeciwnicy, którym zwidywały się po nocach racławickie kosy od Pilicy do Dniepru. Dość, że wróciwszy z Londynu Wielopolski do programu rewolucyjnego nie przystał. Jednocześnie w program pomocy Zachodu wierzyć przestał. Nie mógł. Gdyby był przeciętnym Polakiem, robiłby to, co inni, w chwilach czarniejszych pocieszając się może przepowiedniami Wernyhory, że „Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, Turek konie napoi w Horyniu", albo mniej konkretną nadzieją, że „nad tym wszystkim jest Opatrzność Boża". Gdyby rozumiejąc, co się dzieje, dbał tylko o to, aby wynieść z tego własne nieskalane nazwisko, pewno by wstąpił do wojska, poparadował w jednym z pięknych ów-

czesnych mundurów, przy okazji gdzieś tam powalczył. Amnestię potem otrzymałby łatwo, znacznie łatwiej niż za cywilną polityczną działalność, po czym do końca życia obnosiłby ze sobą z roku na rok rosnący jeszcze, typowy polski nimb chwały wojennej. Jakże niedrogo! Gdyby i na to się nie zdobył, to mógł przecież świetnie wrócić z powrotem do Chrobrza – żałoba po śmierci żony i syna zawsze byłaby w Polsce doskonałym pretekstem – i przeczekałby cicho tych parę miesięcy, jakie były jeszcze potrzebne do tego, żeby nad Warszawą rozpięły się cienie paskiewiczowskiej nocy. Car puściłby w niepamięć ów wybryk londyński; gorzej było z działalnością poselską w sejmie, i to jako posła z kraju, który w opinii carskiej był „integralną częścią" Rosji. Jeśli sobie przypomnimy, jakie boje staczał Wielopolski o swój okrojony Chroberz, to docenimy, że owego lata 1831 roku postawił go w całości na kartę. Ryzykował w powstaniu, w które nie wierzył.

Jakiż plan działania powziąć mógł człowiek, który wiedział, że na pomoc Zachodu liczyć nie można, na siły naszej armii nie sposób, drogę rewolucji ludowej odrzucał, a z tym wszystkim nie mógł stanąć wobec na-

rodu i otwarcie wypowiedzieć nurtujące go obawy? Pozostawało zbliżanie się do celu bez odsłaniania kart. Naszym zdaniem to właśnie on robił. Do celu zaś – kompromisowego pokoju z Rosją nim nie nastąpi zwykła kapitulacja – zbliżał się Wielopolski różnymi drogami. Przede wszystkim zmierza stale, jako mówca i jako publicysta do wygrywania armii przeciwko sejmowi, naczelnego wodza przeciwko rządowi, wojska przeciwko opinii. Jego pismo broni Skrzyneckiego i roztacza wokoło tej nadętej purchawki nimb dyktatorski, później owija się wokoło innych „wodzów", a wreszcie, w przełomowej chwili sierpniowej, podsuwa Wielopolski swemu wujowi, generałowi Dembińskiemu, plan zamachu stanu i obwołania własnej dyktatury. Ale Dembiński był nie mniejszym Hamletem od innych polskich wodzów, i gdy przyszło co do czego cofnął się. *„Cet imbécile recule!"* – zawołał ze wściekłością doradca siostrzeniec. Czy dyskredytowanie sejmu, a wysławianie armii, pomniejszanie cywilów, a wynoszenie „wojska", kult naczelnego wodza i tęsknota do dyktatury wojskowej zbliżały rokowania pokojowe z Rosją? Oczywiście! Wszyscy wodzowie tego powstania, większość

generałów, opinia sztabów stanowiły w roku 1831 ośrodek pokojowy, a nie wojenny. Oddanie władzy w ich ręce ułatwiało to, o czym marzył Wielopolski: pokój, nim nie będzie za późno. Sejm nigdy by pokoju nie zawarł.

Na drodze do porozumienia z Rosją istniały jednak inne przeszkody, nie tylko techniczno-polityczne. Dwie przede wszystkim. Pierwszą z nich były właśnie owe hasła rewolucyjno-społeczne Warszawy. Drugą stanowiła, poruszona od pierwszych dni walki, sprawa „ziem zabranych". Wielopolski zwalcza energicznie kierunek rewolucyjny w powstaniu. Przemawia przeciw wolności prasy: przemawia przeciw uwłaszczeniu włościan: uzyskuje – jak wspomnieliśmy – że do odezwy rządu narodowego do Ziem Zabranych nie wchodzi zapowiedź zniesienia pańszczyzny. W trzydzieści lat później znajdziemy go znacznie mniej reakcyjnym. Dlaczego? Czy nie dlatego może między innymi, że nie chciał, by hasła rewolucyjne Warszawy podniecały gniew Mikołaja i utrudniały kompromis? Byłoby to wytłumaczenie. Ale ziemiański sejm i tak nie czuł zbyt wiele nabożeństwa do uwłaszczenia kmiotków i nie kwapił się zbytnio do racławickich tradycji. Tu margrabia miał łatwiejsze zadanie.

Znacznie trudniej było z drugą sprawą, sprawą Kresów. W ówczesnym społeczeństwie „ziemie zabrane" – Witebsk, Mińsk, Żytomierz, Humań – były niezwykle popularne. Ich ludowe społeczeństwa spały jeszcze pełnym snem pańszczyźnianym, budząc się tylko co kilkadziesiąt lat do lokalnej rzezi swych panów. Klasą oświeconą owego bezmiejskiego kraju było polskie lub spolszczone ziemiaństwo, i ziemie te były rajem ziemiaństwa polskiego, a miasteczka, aż do prawosławnych popów, rozbrzmiewały mową polską. Tylko na witebskiej Białorusi było już z tym gorzej. W 1815 roku przyznano te ziemie Rosji, Traktat Wiedeński i Aleksander Pierwszy rzucili w tej sprawie Polakom pewne półsłówka, sejmy dopominały się o przyłączenie tych ziem do Królestwa, w liście swym kiedyś do cara postawił był tę sprawę Kościuszko. Z nastaniem roku 1831 sejm powołał do swego grona posłów owych ziem. Miało to efekt nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. – Oczywiście odwrotny. Car wykorzystał ów krok polski po mistrzowsku. Na manežu petersburskim pojawił się przed oczyma oficerów najlepszych pułków rosyjskich. Mogło to być ryzykowne. Od czasu gdy zapoznali

się z Europą w latach 1814-1815, młodzi oficerowie rosyjscy pozarażali się ostatkiem idei rewolucji francuskiej, pogrążyli się w spiskach, po wstąpieniu Mikołaja na tron podnieśli bunt, a ich konspiracje wiązały się z konspiracjami polskich oficerów. Car, w razie rewolucji, nie mógł być pewnym tych ludzi, czy przeciw rewolucji polskiej może ich użyć? Ale teraz nie chodziło o rewolucję, ale chodziło o „polskie ręce wyciągnięte w kierunku rosyjskich ziem". Toteż przemówienie cara powitały „ura" i scementowało przy carze jego armię. Kamerjunkier dworu – dziwne w tych czasach stanowiska piastowali wielcy poeci – rzucał Polsce wyzwanie, jeszcze bardziej długotrwałe niż carskie:

Powiedzcie: rychło nam Warszawa
Narzuci dumne swoje prawa?
Dokąd się cofnie fortec próg?
Za Worsklę, Liman czy za Bug,
I przy kim Wołyń się ostanie,
Przy kim dziedzictwo ziem Bohdana?
Czy prawem mieniąc praw złamanie
Powstanie Litwa zbuntowana?

i podczas gdy w Warszawie oddawano się wzniosłym nastrojom, Rosja podniosła się cała do walki. Mikołaj wygrał.

Gdyby Lord Grey i Palmerston czytali po polsku i byli prenumeratorami warszawskiego „Zjednoczenia", to by spostrzegli, może nie bez zadowolenia, że ich londyński rozmówca wygłasza z tych łamów zupełnie inne poglądy niż te, które głosił w Londynie ubiegłej zimy. Wtedy gdy reszta prasy grzmi hasłem „Polska w granicach 1772 roku", na łamach „Zjednoczenia" pojawia się... zachwalanie Traktatu Wiedeńskiego. Traktat Wiedeński był właśnie tym aktem międzynarodowym, który odepchnął Polskę, choć jeszcze nie polskość – do Bugu. Jeśli ktoś w powstaniu woła o Traktat Wiedeński, to domaga się wprawdzie szanowania konstytucji, którą car łamał, ale zrzeka się tym samym nie tylko Witebska i Humania, ale nawet i Grodna, które tak nieopatrznie dało Wielopolskiemu swój mandat... Jednocześnie w tym artykule zwraca Wielopolski uwagę na takie miasta polskie, których nazwy nie pojawiają się ani w sejmowych debatach, ani w prasie, ani w gwarze kawiarń. W chwili ciężkiej walki z Rosją przypomina naraz... krzywdy, jakie zadają Prusacy: „Zaprowadziły Prusy po wszystkich szkołach język niemiecki, zapełniły Poznańskie samymi niemieckimi urzędnikami, miasta i wsie napełniono koloni-

stami niemieckimi. Poznańskie, jeśli zostanie pod wpływem dotychczasowej administracji, stanie się niedługo prowincją niemiecką". Co to znaczyło? Byłażby to dywersja? Byłożby to rzucanie w oczy opinii: mówicie tyle o Humaniu, tak mało o Gnieźnie? Bardzo to być może. I może niepokój wobec takich właśnie głosów podyktował sejmowi w tych dniach gorących prawdziwie rejtanowską (ale też i tragicznie rejtanowską uchwałę), której wypadki nie umiały sprostać tak samo, jak Wielopolski nie sprostał zbyt trudnej misji, z jaką wysłano go na Zachód. Jakie piękne są słowa tej uchwały! „Polska musi istnieć w odwiecznych swych granicach i każdy z posłów raczej czyn Reytana ponowi, aniżeliby miał na oderwanie najmniejszej części ziemi pozwolić". „Odwieczne granice" były to oczywiście granice z 1772, a nie z 1815 r. Uchwała – przyjęta jednomyślnie – przypominała nieco uchwałę, jaką przeprowadził Sejm Czteroletni w 1790 r., że Polska „nie może być nigdy więcej rozebrana". W dwa lata później nastąpił drugi, a w pięć lat potem – ostatni rozbiór polski. Historia uczy, że uchwałami zdobywa się może popularność, ale życia się, niestety, nie łata.

Posłowie sejmu powstańczego nie mieli zresztą sposobności ponowienia „czynu Reytana", albowiem nikt ich nie miał już o to prosić. W kilkanaście dni potem całe powstanie jest jak samolot pozbawiony steru – lub w którym za ster chwytają wszyscy, by go kolejno puszczać – i idzie raczej siłą inercji i niełaską wiatrów. Dogorywanie jest długie – cały wrzesień i pół października – ale ostateczne. Jedyna półmediacja, jaka przychodzi, przychodzi z Austrii i za późno. Sprawdzają się też wszystkie czarne przewidywania Wielopolskiego. Niewielką bryką, jak tylu innych, ale nie z wojskiem, chroni się i nasz nieudały dyplomata oraz niefortunny poseł poza kordon pruski. Jego towarzyszem na tej bryczce jest człowiek, który podobnie jak tamten kurier londyński przejdzie do kart historii polskiego pisarstwa, tym razem nie poezji. Niedawno ściągał on na siebie błysk szabel oficerskich, kiedy ośmielał się krytykować w prasie naczelnego wodza, niezdarę Chłopickiego. Wkrótce napisze historię owego powstania. Ten nowy towarzysz Wielopolskiego nazywał się Maurycy Mochnacki.

Drezno było zwykle pierwszym postojem emigracji ówczesnej, poprzedzającym ów

dłuższy, zwykle nawet bardzo długi postój, jakim był Paryż. Ale Wielopolski nie dojechał nawet do Drezna. Młody magnat należał bowiem do tych, co zawrócili z drogi bardzo szybko – z Rydzyny, i niebawem widzimy go już w Krakowie. Kraków jest wolnym miastem, poddanym ościennym rezydentom oraz ich szpiclom, wcale nie bezpieczne miejsce pobytu, ale położone pod bokiem Chrobrza, Książa, Pińczowa i innych dóbr ordynackich. Są one już pod rosyjskim sekwestrem. Taki sam los, a nawet gorszy, konfiskaty, spotkał i owe dobra Jana Olrycha Szanieckiego, o które przed niespełna dwoma laty toczył się pierwszy proces margrabiego. Lewicowy adwokat jest jednak w Paryżu, gdzie niebawem umrze. Nie sądźmy, aby krakowski wyjazd Wielopolskiego i jego osadzenie się w wolnym mieście było dobrze widziane przez koła Emigracji. Gdybyśmy dziś mieli sposobność pogrzebać się w jej pismach i ulotkach, zapewne natrafilibyśmy na niejeden wyrok, oczywiście „zaoczny", odejmujący Aleksandrowi Wielopolskiemu „miano szczytne Polaka" lub skazujący go „na wieczną z Narodu banicję". I to nie tylko z kół lewicowych, gdzie już na pewno Szaniecki robił, co mógł.

Także z prawicowych. Oto bowiem z kół prawicowych wychodzi w 1832 roku na emigracji projekt zwołania sejmu. Sejm, wygnany z Warszawy, miał być władzą najwyższą emigracji w Paryżu. Miał przede wszystkim – co też uczyniono istotnie – obwołać królem Adama Czartoryskiego. Wielopolski był posłem tego sejmu-widma. Jego marszałek, Ostrowski, pisał zatem do Krakowa wzywając posła Grodzieńszczyzny do przyjazdu. Przynagla jeszcze i tym, że do quorum sejmowego, zdolnego powzięcia „prawomocnych uchwał", potrzeba tylko dwóch głosów. Jednym z tych dwóch był margrabia. Ale Wielopolski nie miał najmniejszego zrozumienia dla sejmu na wygnaniu i króla *in partibus infidelium*. A był to przecież zaledwie drugi rok ówczesnej emigracji i szlagony chodzące nad Sekwaną były święcie i niezbicie przekonane, że niebawem Francja, Anglia, Austria i Turcja wypowiedzą wojnę Rosji po to właśnie, aby im, pielgrzymom polskim, umożliwić powrót do Łęczycy, Berdyczowa i Słucka.

W owym okresie Kraków był pustą dziurą, ale niemniej znajdowało się tam paru przyjaciół politycznych tak samo myślących jak

margrabia. Był przede wszystkim Zygmunt Helcel, późniejszy historyk prawa polskiego, był najserdeczniejszy przyjaciel Konstanty Świdziński (hołdujący z lekka już modnemu panslawizmowi), przyszły zbieracz starożytności polskich i ukraińskich, wreszcie Paweł Popiel, który przeżyje wszystkich i pozostanie w pamięci krakowian jako papież późniejszej konserwy, założyciel „Czasu". Było to towarzystwo ogromnie katolickie, prawicowe do szpiku, legitymistyczne i monarchiczne, a jednocześnie czytające dużo i mające kontakt ze wszystkimi im podobnymi kołami na Zachodzie. Wielopolski był już człowiekiem o dużym wykształceniu: teraz je tylko pogłębił. Myślał nawet o katedrze historyczno-prawnej na uniwersytecie krakowskim, o pracy naukowej czy archiwalnej. Tymczasem jednak jego starania o amnestię się powiodły i przerwały tamte zamierzenia. W 1833 roku wraca do swej ordynacji, w miechowskie, pod same rządy paskiewiczowskie.

Powstanie listopadowe przedzieliło nurt życia narodowego na dwie zupełnie odrębne strugi. Emigracja spalała się w sporach, teoriach, doktrynach i koncepcjach, wydawała mistyków, wieszczów i poetów, polskich ko-

munistów, których ideałem była rzeź humańska, monarchistów roztaczających wokoło księcia Adama ceremoniał monarszy. W jednym salonie można było spotkać naraz Szopena, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, paru byłych naczelnych wodzów, kilkunastu niedoszłych zbawców ojczyzny. W Kraju było inaczej. Nielicznym pismom wolno było co najwyżej pisać o modach kobiecych, ogłaszać nowe dekrety Najjaśniejszego Pana, w najlepszym razie powiadamiać o pewnych rolniczych wynalazkach gospodarczych. *Pan Tadeusz* był lekturą, za którą groził Sybir: cóż dopiero *Kordian*, *Anhelli*, czy *Księgi Pielgrzymstwa*. Toteż dzieła te były na ogół znane bardzo późno, bardzo źle lub niemal nie były znane wcale. Za to ceny zbożowe były dobre, na bydło również, robocizna żadna, albo niska. Warszawa nie miała teraz niemal kawiarń, ale miała lokale nocne i domy publiczne, gdzie prowincja szlagońska topiła te pieniądze, jakich nie wydała na psy, konie, suknie paryskie, dubeltówki angielskie, czy karty. Emigracja była intelektualna; kraj był schłopiały, emigracja była eteryczna; kraj był parobczacki, emigracja wyżywała się w piórze; kraj wyżywał się jurnie, ordynarnie, mocno, prosto. Ilość

szkół spadła do połowy, opłaty podniesiono, poziom w nich obniżono. Młode pokolenia wyrastały prawie bez żadnej oświaty, niemal bez wykształcenia i nie czuły żadnej jego potrzeby. Na całe szkolnictwo ludowe szło w Królestwie rocznie 32 000 rubli. W młodym pokoleniu ziemiańskim przewodzili ci, co umieli zestawić najlepszy zaprząg, których stać było na najlepsze konie i najdroższe dziwki. Prawda, poza tym i obok tego była jeszcze konspiracja. Ale konspiracja była zwykle ogromnie niezdarna i naiwna, a przede wszystkim obejmowała nikłą i szczupłą siateczkę, rozpiętą jak pajęczyna nad olbrzymim błotem. Oto był świat, w który wrócił Wielopolski, w którym przeżył najlepsze czasy męskiego życia. Okres pełni sił.

Kiedy to piszę przypominają mi się strony rodzinne Wielopolskiego. Znałem dość dobrze ów Chroberz, Miechów, Książ, Kazimierzę Wielką, w które ugrzęzła na lat prawie trzydzieści energia tego męża stanu. Poznałem je w jakichś latach 1932–1936 – a więc mniej więcej w dokładne sto lat po powrocie krakowskim. Wiele się w świecie zmieniło w ciągu owych lat stu, ale na przeprzęgu już w jakiejś Wesołej czy Słomnikach, nie mówiąc

o dalszej okolicy, miało się czasem wrażenie, że bardzo niewiele. Drogi były tak samo bajorzyste i grząskie jak chyba wtedy – bo gorsze być nie mogły; we wsiach omijanych za mroku rzadko błyskały światełka – nafta za droga; po miasteczkach uwijała się – może nędzniejsza jeszcze niż przedtem? – żydowska nędza. Wieczorami ksiądz z dziedzicem łupili w preferka, po większych dworach jakieś szczątki dobrych, ale zeszłowiecznych bibliotek, resztki złych kontuszowych portretów, psy po fotelach, dobre konie w stajni. O parę mil od Krakowa kraj za dawną „rosyjską granicą" pogrążony był w tym błocie, biedzie i ciemnościach. Wtedy portret Wielopolskiego nabierał jeszcze bardziej ponurych cieni niż te, jakie nań rzuca rok 1863 – i Styczeń. Jeśli gdzie i kiedy, to tam i wówczas, musiała się pogłębić jego życiowa samotność. Kogóż tu miał równego, poza nową rodziną, którą mu dało, drugie, krakowskie już, małżeństwo, i którą zresztą poddał szybko swej prawdziwej *patria potestas*? Nikogo. Byli ulegli rządcy folwarków, pokorni chłopi ordynaccy, usłużni Żydzi z Miechowa czy Pińczowa, dostawcy, totumfaccy. Nikt. Byli urzędnicy w Kielcach. Było „okoliczne ziemiaństwo". Ziemiaństwo oko-

liczne z dawna nawykło uważać każdoczesnego margrabiego-ordynata za lokalnego suwerena a siebie za lenników, i jedynie Łubieńscy z Kazimierzy nie poddawali się tej batucie. Czymżeż zresztą było to ziemiaństwo? Jego najlepsze siły wytrzebiło powstanie, wygnania czy emigracja, jego poziom umysłowy upadł, moralny się spaczył, finansowy zgrubiał, intelektualny nie istniał. Wobec władzy rosyjskiej znali tylko dwie możliwe postawy, albo buntownika, albo przypochlebcy, tak jak powstanie znało walkę lub kapitulację. Że postawa buntownika zawiodła, garnęli się tedy do drugiej: przypochlebcy. Książki i pisma zagraniczne, francuskie, niemieckie, angielskie – w Chrobrzu dotąd są, a raczej były roczniki tych pism, starannie oprawne, pewno nieraz czytane – przypominały, że istnieje jeszcze jakiś inny, normalny, wolny świat, i że ten wokoło jest produktem wypaczeń. – Jakżeż zastraszający musiał być wtedy obraz skutków walki powstańczej dla człowieka, który klęskę wcześnie przewidział, zapobiec jej nie zdołał, a któremu wykształcenie i myślowy kontakt z Zachodem unaoczniały to, z czego inni nie zdawali sobie tu już sprawy: całą potworność polskiego upadku? Wieczory wiejskie zagu-

bione w tych pińczowskich błotach dawały smutne powody do rozmyślań w każdą rocznicę Listopada. Miało zaś tych rocznic ubiec tu bardzo wiele. Blisko trzydzieści.

Pamiętniki ówczesne przekazały nam olbrzymią ilość ziemiańskich dziwaków, słynących na całe powiaty, czasem na gubernie. Wydawały ich najczęściej Kresy, wydawało Królestwo, a zjawisko to było wówczas tak powszechne, że warto mu się przyjrzeć i ze społecznego punktu widzenia. Chyba co piąty coś wart człowiek ówczesnego społeczeństwa był „dziwakiem". Był to jeszcze jeden objaw tej tragicznej, przymusowej, degeneracji, w jaką pierwsze z polskich powstań XIX wieku wtrąciło pełną jeszcze sił i płodną w możliwości warstwę ziemiańską. Okaleczono ją represjami, skuto policyjnym nadzorem, ociemniono odjęciem oświaty, otłuszczono nieróbstwem i bezruchem. Energia, jaka w niej tkwiła jeszcze, wyżywała się w takich typach dziwacznych. Ludzie, co w innych warunkach byliby fundatorami muzeów, wyżywali się w maniackim zbieractwie, niedoszli politycy wpadali w jakieś *idées fixes*, postępowcy w chłopomaństwo, konserwatyści w reakcjonerów, katolicy

w bigotów. Samotność w tej zatęchłej głuszy, jaką była popowstańcza Polska, dobrze sprzyjała tym schorzeniom. Tak było z jedynymi przyjaciółmi, jakich jeszcze z krakowskiego pobytu posiadał Wielopolski. Któż to byli? Schorzały teoretyk Helcel, ultrakatolik Popiel, dla którego upadek Państwa Kościelnego był wstrząsem może nie mniejszym od upadku Polski, wreszcie zbieracz i szperacz Świdziński, który zdziwaczeje gdzieś na Ukrainie. Żaden z tych ludzi nie był w pełni – jak podkreśla słusznie J. Grabiec – człowiekiem normalnym. Każdy z nich był nieco dziwakiem. Ich kontakt wieloletni – jako jedynych powierników myśli – nie mógł nie zaciążyć także i na Wielopolskim.

Jak błędne ognie ukazujące się na bagnach, migotały tu i ówdzie mętne światełka panslawizmu. Chwytały się przecież nawet Mickiewicza w Paryżu – miały zwabić do Moskwy i prawosławia Czaykowskiego Sadyka Paszę – hołdował im zbieracz Świdziński. Działacz ziemiański z innych nieco stron Królestwa, hrabia Jezierski, głosi pełną ugodę z caratem i Rosją, wywodząc, jaką to rolę odegra Polska po rozpłynięciu się w morzu rosyjskim. Tak daleko Wielopolski nie szedł,

ale były przecież i inne natchnienia. Były pisma Staszica. Sława tego politycznego pisarza uprzedniej epoki stała w owych czasach bardzo wysoko, a sprawy jakie poruszał za życia były wciąż jeszcze bliskie. Program zaś Staszica – to było między innymi porozumienie z Rosją. I jakie jeszcze! Ów prorok polskiej myśli politycznej Sejmu Czteroletniego, Księstwa Warszawskiego i potem Królestwa Kongresowego pisał przecież ni mniej, ni więcej jak wprost o „narodzie"... Słowian. „Kto Europie większe od narodu Słowian uczynił przysługi?... Słowianie byli niezłomnym przedmurzem cywilizującej się za nimi Europy... Kto niezliczone hordy Tatarów, Baszkirów, Kałmuków, Kozaków i Turków stale wstrzymywał i rozbijał? Polacy. Kto zburzył i do szczętu zniszczył siedź dziczy kozackiej?... Rosjanie... Kto od jednego z największych wojarzy oswobodził Europę? Rosjanie". Jak widzimy, nawet generał Żeligowski nie miałby tu nic do dodania. Albo taki oto pogląd: „Połączenie i zrzeszenie Słowian w cesarstwie rosyjskim sprowadzi zrzeszenie Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój". A jak brzmiały inne słowa Staszica? „Opuścił nas Zachód: nie

chciał mieć w nas wdzięcznych sprzymierzeńców: będzie w nas miał zjednoczonych w słowiańszczyźnie z Rosją – panów". Oto był program, jaki pomimo rozbiorów, Maciejowic i rzezi Pragi wygłaszał wielki pisarz polityczny polski. Margrabia czytał w swym Chrobrzu tego polskiego statystę, którego pisma były tak pełne argumentów, jak inne pisma polskie frazesów, który posługiwał się cyframi, obliczeniami, statystyką jak inni Grunwaldami i Płowcami, który był mieszczański, europejski, niemiecki prawie, niczym... jak on sam. Może nie zapalał się do myśli o „słowiańskim" panowaniu Europie, ale pamiętał z własnego doświadczenia słowa: „opuścił nas Zachód".

W sercu tego człowieka, który był z wykształcenia takim Europejczykiem jak mało kto w Polsce, ale który jak nikt może w Polsce nie liczył już na Zachód więcej, właśnie bo Zachód znał nie z cudzych opowiadań, kołatała się jeszcze jedna „zachodnia" miłość. Była to Austria. Wielopolski zapewne po dawnemu podziwiał Wielką Brytanię; ale patrzył już na nią jak na dalekie słońce, którego blask – niestety – nie stopi lodów nad Wisłą. Francja Ludwika Filipa grzęzła we własnym dobrobycie:

Prusy bardzo podziwiał, ale uważał za wroga. – Austria była prawicowa, zachodnia, katolicka, bliska. Tędy – przez Kraków – miał swe okno z Chrobrza na świat. Tu zjeżdżał dla rozmów z Helclem, albo Popielem. Na Austrię stawiali niegdyś Myszkowscy i Wielopolscy, a on sam, potomek tamtych, próbował skierować polskie powstanie na habsburskie wody. Jako arystokrata o ambicjach politycznych musiał widzieć z satysfakcją, jak prawdziwy „pan z panów" – Klemens Lothar książę Metternich – kieruje od lat potężnym państwem Habsburgów. – Otóż ten ostatek sympatii zachodnich wypali w Wielopolskim grom rzezi galicyjskiej.

Pamiętamy jej przebieg. Kilkanaście lat zastoju pozasypywało wiele wyrw powstańczych. Wyrastało nowe pokolenie, podatniejsze na konspiracyjne posiewy z emigranckiego Paryża. Ustalono nawet datę, kiedy miało wybuchnąć, naraz we wszystkich trzech zaborach, nowe powstanie; ostatnie dni zapustów. Były to zarazem ostatnie dni lutego 1846 roku. W styczniu poprzedził ów wybuch wielki zjazd konspiracyjny w Krakowie: wolne miasto, położone na pograniczu pruskim, austriackim i rosyjskim, owiane tradycjami insurekcji kościuszkowskiej, nadawało się do tego znako-

micie. Wódz przyszłego powstania udał się następnie w Poznańskie. Ale policja zaborcza czuwała również – i niebawem Ludwik Mierosławski, ów przyszły wódz, został przymknięty przez Prusaków. Krakowem zajął się inny zaborca; od Podgórza wkroczyły wojska austriackie. – Nie był to wróg dość groźny. – W parę dni później padły na ulicy Sławkowskiej pierwsze strzały, na Siennej, Szewskiej, Tomasza, ukazały się zbrojne grupy, i Austriacy przerażeni wycofali się z powrotem do Podgórza. Kraków był wolny. Nie zwlekając więc ogłosił powstanie „Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej", po paru dniach z kolei i „dyktaturę" szefa tego rządu – Tyssowskiego. Owe pierwsze dni zapowiadały się pomyślnie, zwłaszcza dla zawsze licznych w Polsce optymistów. Z Królestwa – z Miechowskiego – przyciągnęły dwa partyzanckie, powstańcze oddziały, z Wieliczki przyszli górnicy, Austriacy opuścili Podgórze, powstańcy ruszyli ku Bochni. Powstanie zaczynało się rozszerzać, ale Austria miała na nie sposób znacznie lepszy niż swoje wojsko. Rzuciła – chłopstwo.

Nędzna, ciemna, głodna i ludna wieś małopolska, podgrzewana przez radykalnych emisariuszy powstańczych, stała się łatwym

narzędziem agentów starościńskich. Uspokojeni, że cesarz „zawiesił na kilka dni Boże przykazania", że władze nakłaniają, że przyszedł „koniec na panów", zbrojne bandy ludowe rzuciły się na dwory, często i na miasteczka, zawsze na wszelkie napotkane po drodze żywioły obce i inteligenckie. W ciągu paru dni Małopolska Zachodnia, pomiędzy Krakowskiem a Rzeszowskiem, zapłonęła buntem ludowym, w którym było coś z Pugaczowa i Gonty, a zarazem coś z biurokracji c.k. monarchii. Chłopi mordowali piłami, wykalali oczy, rozrywali na kawałki: starostwa ustaliły tabelę nagród. Za zabitego szlachcica płaciły aż 10 złotych, za rannego już tylko 8, za żywego i zdrowego zaledwie 5. Toteż ilość trupów przerastała wielokrotnie ilość uwięzionych. Po kilku dniach tej burzy ilość ofiar dosięgła dwóch tysięcy. Ziemiańskie rodziny Rydlów, Boguszów, Marynowskich, Sroczyńskich, Łobaszewskich miały po kilku zabitych. Marcina Żurowskiego przerżnięto piłą. Wśród zabitych był Marcjan Żeleński, ojciec słynnego później kompozytora. Jego wnuk miał również zdobyć sobie pewne imię w kulturze polskiej, a skończyć nie mniej tragicznie, zamordowany przez

Niemców. Nazywał się Tadeusz Boy-Żeleński. W każdym razie powstanie było tym razem stłumione w zarodku. Wojsko i starostowie austriaccy bez większego trudu rozbroili lud, do Krakowa wkroczyły oddziały rosyjskie. Po Austriakach nawet diabła przyjęto by dobrze. Rosjan przyjęto niemal entuzjastycznie.

To, co nastąpiło potem, było może gorsze jeszcze od samej rzezi. Rząd wiedeński otwarcie przyznał się do swego współudziału. Katolicki cesarz dziękował w osobnym patencie chłopom, w innym – urzędnikom, w trzecim – straży skarbowej, udzielił ulg pańszczyźnianych, rozpłynął się w biurokratycznych łaskach. Najzasłużeńsi w organizowaniu rzezi starostowie otrzymali wysokie ordery, mniej zasłużeni – austriackie godności szlacheckie. Monarchia uświęcająca rzeź szlachty – był to istotnie widok niezwykły. Kanclerz Metternich w nocie do dworów i rządów obcych określił pomordowanych jako „agentów komunistycznych" – i ów zarzut przyjął się tak bezkrytycznie, jak nie raz podobne zarzuty. Francuski premier Guizot mówił także o „ajentach komunistycznych" w Galicji, a papież wydał *breve* potępiające... ofiary rzezi. Cała oficjalna, konserwatywna

Europa była naraz po stronie Jakuba Szeli. Biedni Bogusze, Sroczyńscy i Dembińscy nie przewidywali, że giną jako bojownicy rewolucji. Nie przewidywali i tego także, że nad ich grobami pochyli się niebawem inny akt, bardziej historyczny w przyszłości niż papieskie *breve*, cesarski patent i kanclersko-książęca nota: „W Polsce oni (tj. komuniści) popierają partię... która wywołała powstanie krakowskie 1846 roku". Tak, w niejakim Manifeście Komunistycznym, pisał niejaki Karol Marks.

To, co było wielkim ciosem dla całego narodu, było szczególnym dla Wielopolskiego. Margrabia był nie tylko Polakiem: był jeszcze człowiekiem prawicy, był wreszcie człowiekiem Zachodu. Zachowanie się europejskiej prawicy, z papieżem i cesarzem na czele, musiało być dla niego podwójnie obrzydliwe, znacznie bardziej nikczemne niż dla takiego Karola Marksa, który i o papieżu z Rzymu, i o Habsburgu z Wiednia, miał swoje zdanie nader wyrobione, a znacznie odmienne od tego, jakie wyznawał katolicki i konserwatywny margrabia z Chrobrza. W oczach Marksa i „Zachód" nie był wcale takim ideałem, jak w oczach Wielopolskiego.

W Paryżu dostrzegał Marks nie tylko pałacową świetność Tuileries, ale i robotniczą nędzę ciasnych przedmieść, a w Londynie poza trawnikami wielkich, pustynnych parków, widział jeszcze slumsy doków i rudery ówczesnego White Chappel. Tak, rzeź galicyjska miała swe miejsce w systemie myślowym Marksa. Patrzył na nią jako na zjawisko nikczemne, ale łatwe do przewidzenia, mieszczące się doskonale w owym świecie, którego mechanizm i prawa tak wyraziście określił w swych pismach. Ale w systemie myślenia Margrabiego to wszystko nie mieściło się wcale. Przeciwnie, burzyło to system. Wielopolski ujął za pióro. Na jesieni 1846 r. ukazywały się dwa pierwsze – francuskie i niemieckie – wydania anonimowej broszury. Nazywała się ona „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha z powodu rzezi galicyjskiej 1846 r. ..."

Nam ten cały zeszłowieczny świat pełen książąt-kanclerzy, margrabiów-polityków i „szlachciców polskich" wydaje się dziś może czymś snobistycznie ciasnym i małym. Ale sto dwa lata temu tak wcale nie było. Owa warstwa szlachecka czy arystokratyczna była istotną warstwą rządzącą Europy,

i zaledwie we Francji czy Anglii bywało, niekiedy, nieco inaczej. Od Lizbony do Petersburga i od Neapolu do Sztokholmu premierami byli ludzie „dobrze urodzeni" i jeszcze lepiej utytułowani. Myśl, że ministrem może być profesor uniwersytetu wydawała się lekkomyślnym szaleństwem, a pogląd, że robotnicy mogą zrzeszać się w związki zawodowe wystarczał na długoletnie więzienie w większości europejskich krajów. Jeśliby nasz kontynent stał się kiedyś grupą sowieckich republik, to międzynarodowa „kompartia" w nich rządząca byłaby nieco tym, czym sto dwa lata temu byli Metternichowie, Gorczakowie, Bismarckowie, Terciery, Thunowie, Wielopolscy – oczywiście, o ile by oni wcześniej wzajemnie się nie zagryźli. Tytuły, dziś brzmiące staroświecko, wówczas miały sens polityczny, a nazwiska wymienione powyżej były czymś więcej niż ozdoba Herren Klubu z Berlina, Jockey Klubu znad Newy, Klubu Myśliwskiego z Warszawy, a Kasyna „Końskiego" ze Lwowa. Polemika Wielopolski – Metternich była w owych warunkach tym mniej więcej, czym w dzisiejszych byłaby kłótnia dwóch europejskich quislingów, lub spór socjalisty duńskiego z socjalistą szwedz-

kim. Miała rezonans nie tylko w salonach, ale i w kancelariach. Była wydarzeniem politycznym.

List był pisany z pasją, z talentem, z logiką. List był wielkim aktem oskarżenia godzącym osobiście w austriackiego męża stanu, w jednego z największych ludzi w ówczesnej Europie, jako w sprawcę jednej z najbardziej perfidnych politycznych zbrodni. I znowu czasy sprzed stu laty były nie tylko okresem, kiedy premierowali książęta i hrabiowie, a intrygi siostry cesarza czy ciotki najjaśniejszego pana mogły mieć wcale poważny wpływ na decyzje rządowe. Były to jeszcze czasy, kiedy żaden rząd nie podpalił swego Reichstagu, żaden premier nie wkroczył po nocy do swych pederastycznych przyjaciół, by kierować ich egzekucją – i tylko galowe przedstawienia w operach przypominały ludziom, że były kiedyś jakieś „noce Bartłomieja", palenia Żydów na stosach, lub mordowania po nocy w gościnnym zamku szkockim. – Książę Metternich był dyskretnym, starszym panem, który gdzieś w Sudetach czeskich miał swój Kingswart niczym w Kieleckiem margrabia Gonzaga-Myszkowski swój Chroberz. Nawet jego dom wiejski – (zwiedzałem go

kiedyś przed wojną) – miał rozłożystość, swojskość, bezpretensjonalność właściwą polskim domom na wsi, a jakże inną od westfalskich burgów. Mało sobie robił z europejskiej hołoty, ulicznej czy dziennikarskiej, ale list „polskiego szlachcica", a raczej wielkiego pana, był wcale innym zarzutem. „Na starość, mości książę, twoja noga poślizgnęła się we krwi".

Pisany w języku polskim list do Metternicha przeszedłby do historii literatury jako jedna z najostrzejszych polemik w wielkim stylu, znacznie mocniejsza od listu Sienkiewicza do Wilhelma II, od polemik Kołłątaja, od kamiennego sarkazmu Niemcewicza. Ale list do Metternicha nie doczekał się nigdy polskiego wydania. Dlaczego? Okazji nie brakło. Pozostaje jedno tylko wytłumaczenie. Margrabia nie chciał. List był bowiem wypowiedzeniem wojny nie tylko niemieckiej Austrii, ale i podaniem ręki słowiańskiej... Rosji. Był to pierwszy, jawny i publiczny, akt Wielopolskiego prorosyjski, a także procarski. Ustępy za carem i Rosją były nie o wiele słabsze niż poprzednie ustępy przeciw Austrii. Publikując to po niemiecku i francusku,

Wielopolski chciał działać u góry i na zewnątrz. Francuski język był językiem elity umysłowej, polskiej i rosyjskiej. Był – wraz z niemieckim – językiem najbliższego Zachodu. Do szerszych mas polskich nie chciał autor dotrzeć. Dlaczego znowu? Czy dlatego, że rozumiał, iż postępowanie rosyjskie w Polsce uniemożliwiło wszelki program porozumienia z Rosją? Czy dlatego, że nie chciał stawać w szeregach oportunistycznej ugody? Czy nie chciał dopuszczać „mas" do polityki? Może i jedno, i drugie, i trzecie.

Gdyby Wielopolski poprzestał był na pierwszej części swego listu, byłby zapewne zdobył nim nie mniejszą popularność polityczną, jak współcześnie poeta Ujejski swym chorałem *Z dymem pożarów*. Ale Wielopolski był zdania, że jeśli się wskazuje, iż pewną drogą iść nie można, to trzeba powiedzieć, którą iść trzeba, że polityka nie polega na czystym biadoleniu, ani na wskazywaniu dróg łatwych choć zawodnych. Toteż mimo że swego listu nie ogłosił po polsku, oberwał cięgi od rodaków. W Poznańskiem – bardzo gruntownie – polemizował z nim Koźmian, w Krakowie Popiel, na emigracji stary Morawski, a w przejeździe między Paryżem,

Rzymem a Opinogórą, Zygmunt Krasiński. Ale w ówczesnej Europie list margrabiego był niemniej wydarzeniem. Był to najsilniejszy, najbardziej donośny, najgłośniejszy protest polski wobec austriackiej zbrodni. Wszystkie inne nie przerwały europejskiej ciszy, gdy jego echa miały jeszcze długo brzmieć w powietrzu. Po wielu latach jeszcze, dziesiątkami wielkich reform, Wiedeń opłacał Galicji wspomnienie swej haniebnej polityki, którą dwa tylko głosy potępiły w świecie równie donośnie, rozdzierając zgodny całun milczenia: Wielopolski i... Marks.

Zawód doznany w Londynie, w grudniu 1830 r., podciął wcześnie w tym człowieku jego polskie zaufanie do Zachodu. Rzeź galicyjska 1846 r., dopełniła reszty. Uraz się pogłębił. Odtąd Wielopolski jest już pewny, że na ów piękny, mądry, światły i podziwiany Zachód jego Polska niewiele może liczyć – i zwraca się w kierunku świata, z którym go naprawdę nic a nic nie łączy. Świata, który nie okazał, że mu na porozumieniu z „bratnim narodem słowiańskim" zależy.

„Margrabia Wielopolski", Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1957.

Czy Ameryka pójdzie na wojnę?

Nastroje wojny i pokoju po drugiej stronie Oceanu

Kraków, 4 czerwca

Dziennikarz polski, który w owym niespokojnym maju 1939 roku miał możność spędzenia paru tygodni w Stanach Zjednoczonych, mógłby opowiadać wiele o Wystawie Nowojorskiej, o polskim pawilonie na tej Wystawie (nawiasem mówiąc, bardzo udałym), o Polonii amerykańskiej, o polityce Roosevelta, o eksperymentach gospodarczych Ameryki i w ogóle o tym kraju olbrzymim i bogatym, prężnym i młodym, niezrozumiałym i źle znanym. Ale w Europie i w Polsce zadadzą takiemu dziennikarzowi przede wszystkim to jedno, chwilowo najważniejsze pytanie:

– Czy w razie wojny europejskiej Stany Zjednoczone się ruszą?

– Czy, jak w 1916, zechcą poprzeć czynnie przeciwników nowych „państw centralnych?"

O tym, że udział Stanów Zjednoczonych w przyszłej Wojnie przesądziłby z punktu o jej wyniku, nikt dzisiaj w świecie nie wątpi. Stany Zjednoczone pod każdym względem są takim rezerwatem sił ludzkich, takim spichrzem surowców, niezbędnych dla wojny, takim „COP-em kuli ziemskiej", jeśli idzie o skupisko przemysłowe, że każdy z tych czynników, osobno wzięty, już wystarczyłby sam przez się, zwłaszcza gdy sobie uświadomimy, jaką potęgą są Francja i Wielka Brytania. W 1918 r., wtedy gdy po raz pierwszy w historii rozstrzygnęły o losach Europy, Stany Zjednoczone, aczkolwiek potężne, nie odgrywały jeszcze tej dominującej roli, jaką odgrywają dzisiaj.

Ale czy ten wielki kraj zechce wziąć udział w wojnie?

Czy sprawy europejskie obchodzą go aż na tyle?

Czy wewnętrzne amerykańskie trudności nie odwrócą uwagi Amerykanów od tych dalekich sporów zza Oceanu?

Czy nie znajdą czasem uzasadnienia rachuby i nadzieje Niemiec, że w drugą wojnę europejską Stany Zjednoczone nie zechcą się wdawać?

Pytanie to stawia dziś Ameryce cała Europa. W Waszyngtonie i w Nowym Jorku, w wielkich miastach i na prowincji amerykańskiej, wszędzie można spotkać dziennikarzy francuskich, angielskich, holenderskich, szwajcarskich, belgijskich, skandynawskich, których wysłano, aby sondowali opinię amerykańską, aby szukali odpowiedzi na to pytanie, tak ważne dla całej Europy. Wszystkim, wszędzie, zawsze, w tej albo innej postaci, stawiają oni teraz jedno jedyne zapytanie:

– Czy Stany pójdą czy nie pójdą na wojnę?

Ani wspaniałości Wystawy, ani innowacje Roosevelta, ani opór, stawiany mu przez Wallstreet, świat giełdy, ani żadne inne kwestie amerykańskie nie interesują dziś w tym stopniu czytelnika europejskiego. Interesuje go tamto jedno, kapitalne pytanie. I dlatego, nim się napisze o Wystawie i o New Dealu, o Polonii i o Ameryce, o wielkich drapaczach nieba, drugstorach i Father Divine, trzeba napisać o tym, właśnie o tym.

Wrażenia pierwszych dni ankiety przynoszą rozczarowanie. Myślimy sobie wówczas:

– Ci ludzie nie chcą wojny, nie pójdą na wojnę europejską, bo i czemuż mieliby

pójść? Zapewne nienawidzą Hitlera i totalizmu, ale i Hitler, i totalizm, i wszystkie sprawy europejskie to dalekie, dalekie rzeczy, echa, które głuszy szum oceanu, na które tłumik przestrzeni nakłada wielki Atlantyk. Może nawet sprawy chińskie są im bliższe i bardziej ich obchodzą? Nie, nasz los nie jest ich losem. Nasz los rozstrzygnie się w tych krwawych latach poza nimi, bez nich.

Oto jest pierwsze, długotrwałe jednak wrażenie, jakie nabiera się z pobytu w Ameryce. Każdy napotkany człowiek jest tu przeciw Hitlerowi, ale jeszcze bardziej jest przeciw wojnie. Za udziałem Stanów Zjednoczonych w wojnie, jaka może wybuchnąć, nie pojawi się żaden wyraźny artykuł, żadna mowa w Kongresie, żadne przemówienie na wiecu czy bankiecie. Jednolitość opinii amerykańskiej, jeśli idzie o te sprawy, wydaje się niezachwiana, ugruntowana, wyraźna. I dopiero trzeba się wpatrzyć w układ sił w tym kraju, poszukać za ośrodkami dyspozycji, centrami wpływów, potęgami, nie zawsze ustanowionymi przez konstytucję, żeby zobaczyć, że może być inaczej. Już dziś pracują czynniki i działają momenty, dzięki którym Ameryka nie może pozostać zbyt długo neutralna.

Stany Zjednoczone są bowiem krajem, gdzie wielkie decyzje zapadają jako wspólny wyraz, jako wypadkowa dążeń:

a) paru odrębnych od siebie ośrodków dyspozycji,

b) nastroju szerokich mas.

Mamy na świecie kraje, prowadzone przez jeden tylko ośrodek dyspozycji, i mamy kraje, gdzie szeroka opinia nie ma właściwie nic do powiedzenia. W Stanach Zjednoczonych jest jeszcze inaczej. Tu działają i pewne skrystalizowane ośrodki dyspozycji, i oddziaływa w przełomowych momentach nastrój szerokich mas. I oto obserwacja tego rozkładu sił każe przypuszczać, że to, co nazywamy tu „ośrodkami dyspozycji", liczy się z koniecznością wojny, a to, co nazywamy „nastrojami mas" oswaja się jednak z dniem każdym z widokiem wojny światowej.

Ośrodki dyspozycji. W Stanach dzisiejszych, jak zwykle od lat kilkudziesięciu, są dwa główne „ośrodki dyspozycji". Jeden reprezentuje amerykańskie państwo, drugi amerykańskie życie gospodarcze. Jeden rezyduje w Waszyngtonie, w Białym Domu, drugi w Nowym Jorku, w załamanych kanionach Wallstreetu. Czasami szły

zgodnie, czasami się kłóciły. Teraz właśnie się kłócą. Ośrodkiem pierwszym jest prezydent Roosevelt. Ten człowiek pozostał głęboko popularny wśród mas. Otóż niewątpliwie polityka prezydenta Roosevelta, aczkolwiek umiarkowana i spokojna, jest polityką udziału w sprawach europejskich. Dlatego jego przeciwnicy wewnętrzni i przeciwnicy zewnętrzni, Niemcy, widzą w nim stale zwolennika interwencji Stanów w razie zbrojnego konfliktu w Europie.

Jak to tłumaczyć? Rozmaicie. Może idealizmem amerykańskim, niechęcią do dyktatury i totalizmu, może pragnieniem, aby wewnętrzne kłopoty i porażki przykryć sprawami zagranicznymi, może względem na interes Stanów Zjednoczonych, podkopywany przez Niemcy w Ameryce Południowej i Meksyku. W każdym razie Roosevelt nie jest zwolennikiem niemieszania się w sprawy europejskie. Ośrodkiem drugim jest Wallstreet, świat prywatnego kapitału. Świat ten zajadle zwalcza Prezydenta, bo Prezydent wprowadził w Ameryce ustawodawstwo socjalne, ubezpieczenia robotnicze, wiele socjalistycznych i europejskich urządzeń. Ale oto kamieniem obrazy między Rooseveltem a Wallstreetem jest sprawa bezrobocia.

Bezrobocie jest dziś stałym zjawiskiem w Ameryce, przy wszelkiej *prosperity*, przy wszelkiej koniunkturze.

Ale bezrobocie obraża uczucia opinii amerykańskiej. Przypomina, że nie wszystko jest w porządku. O bezrobocie wini Roosevelt kapitalistów, bo ci od paru lat nie inwestują, nie wydają pieniędzy, nie tworzą nowych fabryk, nowego zatrudnienia. „Jakże możemy to tworzyć – jęczy w odpowiedzi amerykański «Lewiatan» – jeśli ustawy socjalne Roosevelta, obłożywszy nas olbrzymimi ciężarami, czynią wszystkie inwestycje nieopłacalnymi?" Oto, w grubych zarysach, obecna walka Białego Domu z ulicą Wałową. Kto na kogo przerzuci odpowiedzialność za bezrobocie? I otóż w chwili obecnej jest jedna gałąź przemysłu, która pracuje pełną parą, idzie pełnym gazem, na trzy zmiany w stuprocentowym tempie.

To produkcja lotnicza i zbrojeniowa.

Już od paru miesięcy przemysł Stanów Zjednoczonych wykonuje forsownie obstalunki angielskie i francuskie. Są to wszystko obstalunki wojenne. Gdyby nie groza wojny europejskiej, obstalunków tych by nie było. Groza wojny umniejsza w Ameryce widmo bezrobocia. A bezrobocie to groźna rzecz dla

rządzących w tym kraju. I dla ludzi z Wall-streetu, i dla człowieka z Białego Domu.

A wreszcie jest opinia amerykańska.

Opinia ta jest przeciw wojnie, bo przeciw wojnie jest opinia każdego wolnego społeczeństwa, bo przeciw wojnie są dziś masy nawet w Niemczech, tylko że w Niemczech masy nie mają nic do gadania, w Ameryce wiele. Ale oto w chwili obecnej wiadomości z prasy, nowe książki, nowe filmy już pracują w nastrojach Ameryki. W czasie mego pobytu w Nowym Jorku wyświetlano 18 filmów wojennych z polami Flandrii i Szampanii, z francuskim *poilus* walczącymi obok amerykańskich chłopaków, obok angielskich spieszonych marynarzy. Wojna z tych filmów była smutną, heroiczną koniecznością. I im nowszy jest film, tym mniej dawno opuścił wytwórnię, tym więcej heroizmu i wielkości ocieka z ekranu. Wystawy księgarskie przeładowane są nowymi książkami. Pięć książek o szpiegostwie niemieckim w Ameryce. Tom za tomem o intrygach niemieckich podczas wojny światowej. Przypomniano żywo, plastycznie, wstrząsające zatapianie okrętów, walkę łodzi podwodnych, „Lusitanię". O właśnie, „Lusitania".

Każda mowa Hitlera, każdy nowy zatarg graniczny, przygotowują opinię amerykańską do wojny. Urabia ją wspomnienie tamtej wojny, sublimowane dzisiaj przez książki, przez film. I to, na co czeka jeszcze opinia amerykańska, to na prawdziwy wielki wstrząs. Jak motor spalinowy na tę iskrę, która spowoduje wybuch benzyny, wybuch pierwszy, po którym dalsze pójdą już same. Aby Ameryka poszła jak jeden mąż na wojnę, potrzebny będzie wstrząs.

Co może być tym wstrząsem?

Tym wstrząsem może być wszystko. Bombardowanie wielkich europejskich stolic przez eskadry niemieckie, postępy wojsk hitlerowskich w Europie, zagrożenie Londynu czy Paryża, jakieś storpedowanie neutralnego statku, może zbombardowany szpital. Nie wiadomo, co będzie tym wstrząsem. To jedno wiadomo, że wojna przynosi takich wstrząsów setki. Może nie od razu, może nie w pierwszym okresie. I wreszcie motor amerykański zapali się i ruszy. Ale ruszy. A dziś życie gospodarcze amerykańskie pracuje na rzecz zbrojeń francuskich, na rzecz zbrojeń angielskich, na rzecz zbrojeń antyniemieckich. Ameryka nie pozostanie neutralna.

„IKC" 1939, nr 153.

Księga ponurych niedopowiedzeń

O „Kampanii wrześniowej 1939 w Polsce" gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera

– Jak się nasi biją? – pytał działacz socjalistyczny, późniejszy minister polskiego rządu, rannego oficera polskiego, napotkanego we wrześniu 1939 r. pomiędzy Katowicami a Warszawą.

– Nasi się nie biją; nasi umierają – odpowiedział ranny. – Człowiek może walczyć z człowiekiem. Ale jeśli naprzeciwko człowieka idzie maszyna, człowiek wobec maszyny bezbronny, może tylko umierać.

Sprawa, której nie da się przemilczeć

Po rozgromie państwa polskiego, we wrześniu 1939 r., od razu podniosły się głosy, by nie podnosić rekryminacji, nie oskarżać, nie badać, nie potępiać. Nazywało się to walką z judzeniem, z „opluwaniem poległych", z „jątrzeniem

ran", z nieposzanowaniem żałoby. Na moment zapomniano o mądrym zdaniu Żeromskiego, że „trzeba rozrywać rany polskie, by się nie zabliźniły blizną podłości". „Blizny podłości", jak widzimy, nie dla wszystkich są wstrętne. Ci sami, którzy najgorliwiej komasowali wokoło jednej postaci, formacji czy obozu, całość zasług odbudowania państwa polskiego, obecnie, gdy państwo to runęło w okolicznościach i tempie, którego jednak nie przewidywał ani jeden z trzydziestu pięciu milionów obywateli, orzekli, że za to o przyczynach, winie i błędach, które spowodowały upadek, mówić nie należy. Używano nawet argumentu szczególnie fałszywego: „Popatrzcie na Francuzów i Anglików, czy oni w takich wypadkach żrą się, kłócą, wspominają o przeszłości? Nigdy w życiu; mówią o tym, co teraz być powinno". Tego rodzaju „argument" jest używany albo przez ludzi, którzy nie znają ani Anglii, ani Francji, albo którzy sądzą, że ich rozmówca czy czytelnik tej Anglii i Francji nie zna. Przeciwnie. Katastrofa francuska wywołała nie jedną, ale szereg książek, oskarżeń, polemik, analizujących przyczyny upadku, szukających winnych, wypatrujących, jakie popełniono błędy. Polityka Anglii i Francji, polityka europejska owych lat

ostatnich, doczekała się już teraz licznych opracowań, w których nb. polityka Marszałka Piłsudskiego występuje w świetle nader korzystnym, co oczywiście nie znaczy wcale, by w tym samym świetle występowała i jej beckowska kontynuacja. To nie kto inny, niż Winston Churchill powiedział publicznie, że „badanie błędów przeszłości jest drogą do poprawy na przyszłość". Święte, mądre, uczciwe słowa. (W ogóle jaka szkoda, że nasi mężowie stanu nie biorą i w tym i w niejednym praktycznego przykładu z brytyjskiego premiera i że polski podziw dla tego niezwykłego człowieka ogranicza się w praktyce do zamieszczania jego fotografii w urzędówkach i obkadzania go w artykułach).

Raz jeden jeszcze w naszej historii krzyk tych, co nie chcieli „rekryminacji", wziął górę nad rozsądkiem tych, co jednak chcieli jakiejś odpowiedzi na pytanie: „Jak się to stało?". Wrzesień 1939 i to, co mu towarzyszyło stało się jednak istnym „tabu" dla polskich pisarzy, dla polskich pism, dla polskich wydawnictw. O rok późniejsza tragedia francuska, majowa Dunkierka, ba – Norwegia i Holandia, doczekały się omówień. Polska – nie. W 11 książkach i broszurach omówili ją...

Niemcy. U nas przeciwnicy „rekryminacji", zwolennicy świętej zgody narodowej, gdy można nią własne błędy pokrywać, ruszyli nawet do przeciwnatarcia.

Toteż przyklasnąć należy – z zasady samej – książce gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera *, bo z dużym nakładem pracy, z wielką sumiennością, z poważną zwięzłością słowa, rozpoczął nareszcie swą *Kampanią wrześniową* omawianie przez Polaków największej klęski ich historii. Trzeba ją przeczytać. Trzeba się nad nią zastanowić. Trzeba ją przemyśleć. Albowiem istotą demokracji (o której, niestety, mamy na razie raczej frazesy od święta) jest właśnie to, że społeczeństwo jest wdrożone nie tylko do ofiar na rzecz swego państwa, ale także do myślenia o swym państwie, jak chłop myśli o swym gospodarstwie, kupiec o sklepie, robotnik o warsztacie. I z tą jedyną, jak dotąd, książką o naszej klęsce, napisaną przez generała, przez zwolennika i b. ministra niedawnych rządów, nachylmy się poważnie i badawczo nad tym, co się stało.

* Mieczysław Norwid-Neugebauer, generał dywizji. *Kampania wrześniowa w 1939 w Polsce*, M.I. Kolin (Londyn), 1941.

Za ciasno i za krótko

Prawdopodobnie, wielu czytelników już po pierwszych rozdziałach dojdzie do wniosku, wraz z autorem niniejszych słów, że książka ta ujęła zagadnienie, na które szukamy odpowiedzi, za ciasno i za krótko. Albowiem ujęła je wyłącznie jako pewne zagadnienie wojskowe i wyłącznie jako pewną kampanię wojenną, od dnia jej rozpoczęcia do dnia jej zakończenia.

Niestety jednak, przyczyny, jakie się złożyły na klęską wrześniową, sięgają znacznie głębiej i rozpościerają się znacznie szerzej. Są to zagadnienia z dziedziny polityki zagranicznej, jak Rosja, jak Słowacja, jak sojusz brytyjski. Jest niewytłumaczalne, dlaczego – skoro groziła wojna – nie uczyniono nic, choćby dla próby, by pozyskać sobie życzliwość sowiecką? Dlaczego postąpiono tak, jakby za Zbruczem i Horyniem kończył się *orbis terrarurn,* zaczynało polityczne *vacuum,* skąd nic grozić nie mogło? Mniejszym zagadnieniem, ale jeszcze jaskrawszym błędem była nasza polityka słowacka. Nikt nigdy nie wiedział, o co Polsce chodziło, kiedy podniecała przeciwko Pradze irredentę sło-

wacką: czy o przyłączenie Słowacji do Polski (czego bodaj nie chciała), czy o przyłączenie jej z powrotem do Węgier (czego znowuż nie chcieli Słowacy), czy wreszcie Warszawa chciała mieć w Europie Środkowej jedno państwo więcej? Po podbechtywaniu Hlinków, Tisów, Murgaszów i Machów, po uznawaniu Słowaków za to samo, czego gwałtownie o ileż samodzielniejszym Ukraińcom, tj. za odrębny naród, zagrano po Zaolziu politykę odmienną. Wołano teraz o Spisz i Orawę, odkryto 100 000 „zesłowacczonych" Polaków i ze wspaniałym użyciem siły zbrojnej zagarnięto Słowakom parę skalistych gmin, które w Polsce nie obchodziły nikogo poza taternikami; za to w Słowacji aneksja ta oburzyła na Polskę cały dosłownie naród. Warto przypomnieć, że w tej wojnie tatrzańskiej, to G.I.S.Z. i wojsko pchały nasze ministerstwo spraw zagranicznych po najfatalniejszej już drodze. Nie wolno zapominać, że na uwagi sceptyków, iż nie warto rzucać Bratysławy w ramiona niemieckie dla kilkunastu mizernych wiosek góralskich, odpowiadano nam tajemniczo, że chodzi o „względy strategiczne" i że posiadłszy tych parę dolinek, będziemy zabezpieczeni od południa. W rezultacie

wszystkich wysiłków Słowacja stała się niebawem Prusami Wschodnimi naszej granicy południowej, bo oddała się w ręce niemieckie. Jeżeli zaś chodzi o „walory strategiczne" owych gminek, zabłysły one w całej okazałości i splendorze już w pierwszych godzinach wojny, kiedy armie niemieckie przedostały się bez najmniejszego trudu do Suchej, Zakopanego i dalej. Dzisiaj wiemy wszyscy, że ów marsz na Słowację, jak i pochód na Litwę rok przedtem, były typowym posunięciem kamaryli wojskowej, którą rozpierała żądza „sławy" dość efektownej, a co najważniejsze – jak najtańszej. Stąd nagła żądza „poszerzenia Ojczyzny" o obszar Skalitego i Czadcy. Tym fatalnym posunięciem polskiej dyplomacji, walnie tu wspartej przez jeszcze bezmyślniejsze czynniki wojskowe sztabu, uzyskiwano istotnie „poszerzenie", co prawda nie tyle Ojczyzny, ile frontu. O z górą 600 km.

Wreszcie, istnieją błędy dyplomatyczne z ostatniej już chwili. To błędy polsko-francusko-brytyjskiej umowy sojuszniczej. Jak wiadomo, w wypadkach podobnych sojuszy, obliczonych na działania wojenne, po zasadniczych rozmowach dyplomatów następują rozmowy sztabów. One to dopiero ustalają

pewne ściślejsze okoliczności współpracy, omawiają terminy, formę jaką przybierze, rozmiary. Sojusz brytyjsko-francuski sprzed r. 1914 nie istniał jako akcja dyplomatyczna; oficjalnie były to tylko porozumienia sztabów. Te porozumienia były jednak tak płodne, że wystarczyły na cztery lata wojny. W wypadku polsko-brytyjsko-francuskim sprawa przedstawia się – zdaniem gen. Norwida-Neugebauera – znacznie gorzej. „Rozmowy między kierowniczymi organami sił zbrojnych – pisze on – które odbyły się w maju i czerwcu 1939, obejmowały jedynie wzajemną wymianę informacji, pozostawiając stronom sprzymierzonym zupełną swobodę i niezależność. Bliżej, lecz w najbardziej mało wiążącej formie, był omówiony czynnik czasu jedynie z Francją".

Należy zaprotokołować sobie te twierdzenia wybitnego wojskowego i pisarza. Są one nadzwyczaj cenne. Okazuje się, że nasze władze wojskowe nie uczyniły nic, aby ukonkretnić wojskowo ów sojusz. Nie wytargowały tego, by w razie wtargnięcia Niemiec do Polski, Francja i Anglia pośpieszyły z natychmiastową pomocą. Nie ustaliły jakiegoś terminu takiej pomocy, ofensywy sprzymierzo-

nych, czy czegoś podobnego. Czym wytłumaczyć to zaniedbanie? Prawdopodobnie tą nieprawdopodobną butą i pewnością siebie, jaka cechowała, niestety, wielu naszych rządzących i pozwalała im zapewniać na prawo i lewo, że będziemy niebawem w Królewcu, w Pradze czy w Berlinie. W ten sposób największe dzieło dyplomacji polskiej nie zostało wyzyskane na czas. Raz jeszcze, nawet w dyplomacji, wojskowi psuli.

Jeżeli dobra polityka zagraniczna może wojnie zapobiec, może ją starannie lub niestarannie przygotować przez swe sojusze czy konflikty, to oczywiście istnieje jeszcze i przygotowanie gospodarcze wojny. W książce gen. Norwida-Neugebauera, która jest wyraźnie wojskowa i – z wielką dla przejrzystości korzyścią – unika odbiegania ku innym sprawom, nie ma o tym nic. A jednak nie ma rozumnego człowieka, który by nie wiedział, że polityka gospodarcza państwa może prowadzenie wojny ułatwić lub utrudnić, że na losach przyszłej kampanii wojennej zaważy tak lub inaczej. Nie pragnę się rozwodzić dłużej nad tym zagadnieniem. Nie byłem nigdy zwolennikiem ani polityki, ani osoby ministra Kwiatkowskiego. A jed-

nak jest oczywiste, że wystarczyłoby jedno słowo „drugiej osoby w państwie", jaką stał się marszałek Śmigły-Rydz, aby Kwiatkowskiego przegonić na suche lasy, by zamiast budowania własnych fabryk broni, na co był może czas w r. 1929 i 1930, ale na co w r. 1935 było już grubo za późno, iść na zakup broni u obcych, co niejedno państwo praktykowało z niemałym powodzeniem. Oczywiste jest jednak, że budowanie własnych fabryk stwarzało nieograniczone możliwości posad, czy raczej synekur zarządczych, na których umieszczano zasłużonych ze sztabów. Wreszcie to nie kto inny, tylko czynniki wojskowe regulowały u nas od początku sprawę, której błędne postawienie rozumiało w Polsce najgorsze nawet pismo – z wyjątkiem «Polski Zbrojnej» – sprawę haniebnej motoryzacji. Jeśli kto pamięta choćby taki szczegół, że urzędnik kupujący dwuosobową simkę uzyskiwał ulgi, raty i potrącenia, a rzeźnik nabywający ciężarówkę nie uzyskiwał nic, ten rozumie, że nawet to jedno zagadnienie zaważyło straszliwie na Wrześniu, bo zaważyło podwójnie szkodliwie. Raz, że uniemożliwiło szybki przerzut wojsk na potrzebne odcinki i na czas (do tego brakło wła-

śnie owych rzeźnickich ciężarówek). Po drugie, że umożliwiło elicie posiadaczy nieużytecznych wojskowo simek szybkie przeniesienie się do Zaleszczyk i dalej, na obdarzanie Ojczyzny dalszą, równie owocną, pomocą.

Ale nie tylko wielkie zagadnienia, które przygotowały na swój sposób Wrzesień, są w książce gen. Norwida-Neugebauera pominięte tematycznie. Pominięte jest również i samo wojskowe przygotowanie do wojny. Książka rozpoczyna się właściwie na parę dni przed 1 września, dniem wojny. Nie jestem żadnym strategiem, choć ostatecznie widzieliśmy, że i ci, co się za takich pozwalali podawać, strategami także nie byli. Ośmielę się jednak powiedzieć, że – moim skromnym zdaniem – ciężar wydarzeń spoczywa nie po 1 września, ale przed tą datą, że nasza klęska dokonała się znacznie, znacznie wcześniej, że nastąpiła już przed wojną. W bridżu, który w pewnych kołach w Szkocji znajduje więcej amatorów niż głupie *learn English!,* istnieją dwie odrębne części: licytacja i rozgrywka. Otóż zdarza się często, że licytacja „wadliwa" czy udana, przesądza już o wyniku gry, która po niej nastąpi, że

w „rozgrywce" można potem nadrobić lub nie nadrobić lewy, ale że najlepsza nawet rozgrywka złej licytacji już nie przekreśli. A zwłaszcza licytacji fatalnej.

Wojskowe przygotowanie wojny

Od szeregu lat sztaby europejskie posiadały pewne koncepcje przyszłej wojny. Stosownie do tych koncepcji, kładziono nacisk to na tę, to znowuż na inną stronę przygotowania wojny. Sztaby niemieckie i włoskie, podobnie jak rosyjski, miały dość jednolitą koncepcję przyszłej wojny jako wojny *par excellence* ruchowej. Czołgi, zmotoryzowana artyleria, zmotoryzowana piechota, samoloty – miały umożliwić rzucenie wielkich elementów ognia i nie mniejszych ruchu na pewne konkretne odcinki, przełamanie tam oporu i wdarcie się niewstrzymanie dalej. Sztab francuski (w odróżnieniu od jednego z jego świetnych młodych oficerów, płk. de Gaulle'a) był innego zdania. Sądził, że linia nowoczesnych fortyfikacji zatrzyma na swoim przedpolu i wyniszczy doszczętnie armie na motorach. Wojna hiszpańska nie dała ostatecznie odpowiedzi na

te pytania. Wprawdzie pas obronny wokoło Bilbao udało się wojskom gen. Franco przełamać, ale Madryt z liniami nad Jaramą i z Guadalajarą, wskazywał, że bywa i inaczej. Nieszczęściem i błędem Francji była głównie niekompletność jej koncepcji maginotowskiej. Całe północne odcinki tej linii w ogóle nie powstały, wobec rachuby na belgijskie linie obronne, które były słabe, niepełne, i zostały zdobyte bez trudu. I może nie tyle błędność samego założenia, że linia Maginota zatrzyma wszystko, ile niedoprowadzenie do końca tej koncepcji, było główną przyczyną wojskową załamania się Francji.

Sztab polski miał o miedzę od siebie kilka doskonałych przykładów nowoczesnych koncepcji wojennych. Miał niewielką, ale wspaniale wyposażoną, na wskroś nowoczesną, zaopatrzoną i w linie obronne i w czołgi czy samoloty, armię czechosłowacką. Armia ta nie walczyła. To prawda. Ale nie walczyła dlatego, że i sama armia, i cała Czechosłowacja, wchodziły w skład pewnej koncepcji ogólnoeuropejskiej. Były tylko odcinkiem frontu. Cennym, ale tylko odcinkiem, jeśli główne linie oporu cofają się naraz, obrona odcinka może być heroicznym samobój-

stwem, pięknym symbolem, i koniec. Plan ugody i przetrwania, koncepcja Hachy, może być godna nagany, ale jest koncepcją. Dzięki niemu położenie Czechów jest najznośniejsze w porównaniu z położeniem kilkunastu narodów podbitych przez Niemcy. Że armia czechosłowacka, posłuszna swej władzy, rozbrojona w Monachium, nie walczyła, gdy Niemcy zajęli Pragę, to jedna sprawa, a to, że Czechosłowacja miała swoją koncepcję obrony i była dobrze uzbrojona, to inna. Koncepcja czeska wahała się pomiędzy niemiecką a francuską. Pomiędzy motoryzacją a linią fortów. Miała to i miała tamto. Tylko myśmy nie mieli niczego.

Był jeszcze także o miedzę przykład niemiecki i przykład sowiecki. Oba tym dla nas ciekawsze, że chodziło o naszych sąsiadów. I tym, że obaj finansowali wielki plan zbrojeniowy nie złotem, bo go nie mieli, ale szeregiem innych sposobów, które wzbogacały Niemcy o autostrady, a Sowiety o Dnieprostroje. Specjalnie przykład sowiecki mógł być dla nas ciekawy. Pokazywał, jak kraj zniszczony wojną, pozbawiony kredytów zagranicznych, stwarza sobie ciężki przemysł, sadza parobków na traktory, żołnierzy na

czołgi. Nasi literaci podziwiali w Sowietach dobrobyt ludowy, którego nie było, nasi biurokraci nie mieli słów zachwytu dla tych systemów nowoczesnego brania za mordę, w jakie wyposażyła państwo rewolucja socjalistyczna. Tylko czołgi pozostały niezauważone i niedostrzeżone. Wiedział o nich każdy obywatel Rzeczypospolitej. Pokazywano je na każdej paradzie w Moskwie. Zapraszano na te parady naszego attaché wojskowego. Po czym koła „kompetentne" uspokajały nas, że czołgi te są z tektury i dykty, że ten sam czołg pojawia się na paradzie kilkanaście razy po kolei. O niemieckich czołgach powiadano u nas, że nie przejdą po naszych drogach, że zatrzyma je Wisłok, Pilica, Nida i Bzura. Utrzymywaliśmy masy kawalerii. „Była to broń kosztowna" – stwierdza gen. Norwid-Neugebauer. Dlaczegośmy ją zatrzymali? – pyta mimo woli czytelnik. Gen. Norwid-Neugebauer podaje następujące racje: wzgląd na tradycje narodu, stan dróg, myśl o wojnie na wschodzie i niezmotoryzowanie kraju. Odpowiemy na to: tradycja narodu jest rzeczą bardzo piękną, ale nie w tej dziedzinie. Idąc tak dalej, musielibyśmy reaktywować w naszej armii pancerze spod Wiednia i łuki króla Po-

piela. Stan naszych dróg nie skłonił Niemców do wyrzeczenia się czołgów. A nasz sąsiad ze wschodu, ten właśnie, na którego mieliśmy ruszyć po staremu, po polsku, z lancą i szabelką, a na koniku, gramolił właśnie swoich kozaków na stupudowe czołgi... O, tak! Kawaleria była to broń kosztowna. Kosztowała nas ogromnie wiele. O wiele więcej niż mogły liczyć najśmielsze budżety kawaleryjskich pułków.

Polska tedy nie miała ani stałej linii obronnej, ani motoryzacji. Nie miała ani francuskiej, ani niemieckiej czy rosyjskiej koncepcji. Nie miała też czeskiej nowoczesności. Sprawa lotnictwa jest tu może najbardziej ponurą sprawą. Nie tylko wojskowości. W ogóle rządów naszych, niestety – od r. 1926. Dnia 8 września 1939 r. okazało się, że po 13 latach rządów wojska mamy znikomą cyfrę 377 samolotów bojowych. Mniejsza już – jeśli wolno tak mówić – że bombowiec niemiecki był szybszy od polskiego myśliwca, że – jak stwierdza mimochodem gen. Norwid-Neugebauer – samoloty niemieckie i szybkością, i uzbrojeniem górowały nad polskimi. Pozostanie faktem, że w r. 1926, w tym samym, gdy zamierzona została, nie przeprowadzona po-

tem, motoryzacja armii, posiadaliśmy samolotów bojowych więcej niż po 13 latach rządów wojskowych. Jak to? Jak to się stało? – zapyta każdy myślący czytelnik. Co za szkoda, że w książce gen. Norwida-Neugebauera nie znajdzie na to pytanie żadnej odpowiedzi.

Byliśmy bez czołgów, byliśmy bez linii obronnych, byliśmy bez samolotów. Ale za to sławiliśmy się, że w żadnej armii europejskiej dzień marszowy piechoty nie jest tak długi jak w naszym. Rekord 70 km dziennie! Niestety, zmotoryzowane jednostki innych armii europejskich odbywały tę przestrzeń w ciągu dwóch godzin. Posiadaliśmy żelazną dyscyplinę. Posiadaliśmy wreszcie idealny materiał żołnierski. O, takiego nie posiadała w Europie żadna armia. Ale znowu, że tak było, to nie było zasługą ani sztabu, ani G.I.S.Z.-u, ani wojska. Była to zasługa polskich tradycji, zasługa polskiej matki, polskiego domu, polskiej szkoły powszechnej, ludu polskiego, że młodzież nasza wchodziła w życie z pozytywnym stosunkiem do wojska, a heroicznym – do wojny. Toteż, jeśli kto wspomina, jak gen. Norwid-Neugebauer, że nie mieliśmy czołgów, ale mieliśmy świetny materiał żołnierski, żaden myślący człowiek

nie może tego zapisać ani na benefis wojska, ani na benefis państwa. Był to benefis narodu. Istotnie, naród we Wrześniu dał z siebie tyle, ile Kartagińczycy w drugiej wojnie punickiej, ile Hellada pod Termopilami, ile Lwów w listopadzie 1918 r. Tym większa szkoda, że państwo nie umiało gospodarować tym wspaniałym materiałem, jaki otrzymało. Że nie umiało go ani nowocześnie uzbroić, ani nowocześnie wyszkolić. Że nie umiało z tylu ofiarnych śmierci wydobyć maksimum korzyści.

A przestróg jednak nie brakło. Mniejsza o prasowe i polskie. Stanisław Mackiewicz został przecież w r. 1939 osadzony w Berezie za „podważanie wiary w siły obronne naszej armii" właśnie po swych artykułach o motoryzacji, o czterech zmotoryzowanych dywizjach, których się domagał wbrew zdaniu organu kół wojskowych, po swych uwagach o Słowacji. Ależ były i przestrogi niepolskie; Abisynia pokazała, że czołg przejdzie i po bezdrożach górskich – i to jakich, Hiszpania pokazała, jak się z czołgiem walczy. To wcale nie oddziały zdyscyplinowane mikołajewską wprost dyscypliną zatrzymały czołgi na dolinie Guadalajary. To były „bandy", jakby

to u nas określano, anarchistów, komunistów, ludu. Potrafiły trzymać dwa lata. Można było te metody poważnie, przez ludzi inteligentnych, przestudiować, wnioski wyciągnąć. Tymczasem tym, co o tym pisali, robili potem nasi dwójkarze najbardziej łajdackie kanty. Co gorsza, z nauki hiszpańskiej nie wyciągnęli żadnej, najmniejszej, lekcji. Polska zapłaciła za to krwią swoich najlepszych żołnierzy, męką, hańbą. Ci, co byli winni, zmienili tylko miejsce pobytu.

Nawet, jeśli się miało mało czołgów i mało samolotów, były w Polsce wielkie możliwości obrony. Należało obarykadować i bronić każdego miasta w wojskowych walkach ulicznych. *Costa lo que costa,* jak mi mówili bohaterzy osmoleni z Ciudad Universitaria. Masowo użyty karabin przeciwpancerny, świetne dzieło polskiego technika, inżyniera, oddałby tu usługi. Ale ileż ich było, tych karabinów? Należało kontratakować co nocy, zamiast odsuwać się coraz dalej. Należało nie sprzedawać zagranicy broni pancernej, co pochwalała znowu «Polska Zbrojna» a co krytykował znowu Mackiewicz, ale zatrzymać te działka przeciwlotnicze do obrony kraju. Należało wprowadzić pistolet automa-

tyczny, rozpowszechnić moździerz, broń tanią, łatwiejszą dla nas. Należało oprzeć łączność nie na antycznym telefonie, ale na radiu. Nie uczyniono i tego.

Byliśmy wprawdzie biedni, ale byliśmy niezwykle ofiarni i niezwykle entuzjastycznie nastrojeni do armii. W parlamencie francuskim głosowanie nad budżetem wojskowym zamieniało się w sarabandę karczemnych awantur. W brytyjskim powstawały obiekcje zasadnicze. W Polsce ten sam budżet przechodził przez aklamację. Ba, głosowało za nim nawet ukraińskie Undo! Od r. 1926 armia była faktycznie wyjęta spod kontroli sejmu. Gdybyż to tylko! Ale armia coraz faktyczniej rządziła i kontrolowała wszystko. Po politykach, co przeszli *stage* legionowy, przyszli po prostu wojskowi do ministerstwa spraw zagranicznych, wojskowi – do spraw wewnętrznych, wojskowi – do skarbu, wojskowi na wojewodów, na starostów, na wychowawców młodzieży, wojskowi – do ciężkiego przemysłu. Gdzież nie było wojskowych? Jakich spraw w Polsce nie ogarniała ich „kompetencja"? Wszak obejmowali już i sprawy agrarne, gdzie toczyli zaciekłe boje z ministrem Poniatowskim, i sprawy mniejszościowe, gdzie powoływali do

życia nowy naród Hucułów, wynaleźli 100 000 szlachty zagrodowej, nawracali na katolicyzm w pasie K.O.P.-u, burzyli cerkwie na Chełmszczyźnie, wydawali czasopisma i książki, dożywiali dzieci, budowali luksusowe jacht-kluby, eksplorowali Madagaskar. Słowem, robili szereg rzeczy potrzebnych lub niepotrzebnych, pożytecznych lub szkodliwych, o to mniejsza, ale najniezawodniej nie należących nigdy i nigdzie do kompetencji armii. Czy to przemysłowcy z Łodzi, jak czasem sądzono, albo ziemianie z Nieświeża, jak tłumaczyli inni, rządzili w ostatnich czasach wszystkim w Polsce? Nigdy: – rządzili wojskowi.

Nieskrępowanie armii prawem, oddanie państwa w jej zarząd, zemściło się srodze właśnie na armii. „Moral" wojskowy wygniwał sprawami takimi, jak okaleczenie Nowaczyńskiego czy najohydniejszy już, plamiący w oczach uczciwego Polaka honor munduru, samosąd nad Cywińskim. W Niemczech, kiedy Reichswehra próbowała rządzić albo mieszać się do rządzenia, Hitler parokrotnie i brutalnie wyperswadował jej te niewczesne, szkodliwe dla niej, pomysły. Los gen. Schleichera, zastrzelonego przez „Gestapo", kilku pułkowników i majorów powystrzelanych jak kaczki

z okazji Röhma, pouczył kogo należy. (W Sowietach Stalin nie zawahał się przed rozstrzelaniem dwóch marszałków, kilkunastu komdywów i kombrygów (generałów), nie mówiąc już o całej czeredzie pomniejszych pułkowników). Nie przeszkodziło to armii niemieckiej osiągnąć niezwykłych sukcesów. I dlatego twierdzę, że oddaje armii najgorszą przysługę ten, kto chce, by stanowiła ona o wszystkim, umieszczała swoich ludzi wszędzie, kontrolowała wszystko. Twierdzę, że odsunięcie armii, mówiąc konkretnie – wojskowych, od tych zadań, do których ani rodzajem wykształcenia, ani zawodem nie są odpowiedni, jest prawdziwą usługą oddaną właśnie armii.

I historia nasza wzniesie jeszcze pomniki temu człowiekowi w Polsce, który zerwie z tym, co się działo u nas w ostatnich latach. A obarczy straszliwą współodpowiedzialnością tych ludzi, co tego stanu rzeczy, kiedy mogli, po klęsce 1939 r., nie potrafili zmienić, okazali się na to za słabi.

Oto w czym można oddać Polsce historyczną usługę albo obciążyć własne karty najczarniejszym z błędów.

„Wiadomości Polskie" 1941, nr 18, Londyn.

W Polsce było inaczej

Wskazując na stary portret, mówił Sir Wyndham: „Majorze,
Oto mój przodek. Był posłem przy duńskim królu i dworze.
Ów miecz, to miecz jego chwały, tam stoi kielich godowy,
Z którego tęgo popijał, gdy wracał zmęczony z łowów...
Gdzież nasze szkliste kielichy? Gdzie koncerz?
Gdzie jest tarcza wierna?
Pewnie w moskiewskim muzeum lub w Szwecji
u Oxenstjernów."
(Mieczysław Lisiewicz, *Na szkockim zamku*)

– Generał powiadał mi – mówi stary lord – że pan, majorze, jest synem polskiej rodziny ziemiańskiej. Cieszę się, że pan zna angielski. Będzie mi miło oprowadzić pana po naszym starym rodzinnym domu. Może przypomni to panu wasze domy wiejskie w Polsce?...

Dom jednak, ciemny wiejski zamek, nie przypomina z wyglądu niczym typowych dworów. W Polsce, kraju ziemiańskim, były one szerokie, rozsiadłe, niechętnie pnące się piętrami w górę, częściej rozbudowane pół-

kolisto dwoma bocznymi skrzydłami. Były bielone jasno i miały podjazd na wysokich białych kolumnach.

Zamek lorda jest cały z szarego kamienia, który jeszcze z biegiem lat pociemniał i zlał się z ciemnym tłem gór, które wyrastają gdzieś za nim. Jest to budowa gotycka raczej niż klasyczna, bliższa w swym duchu tumom średniowiecznym niż kolumnadzie helleńskiej; są jeszcze dwie wieże obronne, są ślady zwodzonego mostu. Był tu niegdyś dostęp zbrojny i trudny, a nie brama, jak w Polsce na wciąż otwarta...

Pokoje, które rzędem ciągną się w tej pięknej szkockiej siedzibie wiejskiej, także nie mają nic z polskich ziemiańskich pokoi. Są wysokie, w Polsce były niskie. Posiadają ciemne boazerie, kiedy w Polsce znano ich mało. I jedynie kominki, w miastach polskich dawno zastąpione piecami, ale na wsi jeszcze istniejące, płoną jednakim czerwonym blaskiem w szkockim kasztelu i w polskim dworze. Jednako rozścielają się przed nimi włochate kilimy i szorstkie skóry zabitych zwierząt. Podobne sztychy z polowań, *chasse à courre* i wyścigów przytrafiają się tam i tutaj.

A stary lord, gościnny gospodarz, pokazuje portret na ścianie.

– To mój prapradziadek – powiada. – To za jego czasów spaliło się pierwsze piętro. Częściowo tylko. Tak że tamta część domu nie pochodzi, jak ta nasza, z końca XVII w. Jest tylko z w. XVIII, majorze.

A ten nad kominkiem, to mój prapradziad: służył we flocie. Był pod Trafalgarem i był w Egipcie.

A tamten, jego brat stryjeczny, był posłem w Petersburgu. Przywiózł stamtąd te zbiory rogów żubrzych i skóry niedźwiedzie. Skóry już wyliniały: to było temu lat sto dwadzieścia. Ale rogi wiszą w hallu nadal.

A to mój dziad. Brał udział w stłumieniu powstania Tippo-Sahiba w Indiach. I bił się także pod Sewastopolem, a pod Małakowem był ranny. To on z pobytu w Grecji przywiózł te wazy, wykopane na wyspie Chios, gdzie ponoć narodził się Homer.

A tu jest biblioteka rodzinna. Jest w niej i druk o Polsce, opowiadanie, jak to wnuczka waszego króla, Jana Sobieskiego, co Wiedeń od Turków ocalił, wyszła za mąż za młodego Stuarta, pretendenta do tronu szkockiego. Moja rodzina była wtedy wierna Stuartom.

Nawet jeden z naszych majątków został wtedy skonfiskowany. I dopiero w dwadzieścia lat potem zwrócony prawym właścicielom.

Opowiadam to panu, majorze – powiada lord – bo myślę, że to może panu przypomni coś z waszej własnej przeszłości? Polska jest krajem starym, była kiedyś państwem, które miało swoich królów i szlachtę, prowadziło wojny, wysyłało poselstwa na dwory obce. Rodzina pana, jak moja, służyła krajowi w wojnie i pokoju. Tak samo pochodziła ze wsi. Tak samo musiała przechowywać pamiątki po swoich najbliższych, zbroje, portrety i książki? Jest pewno w Polsce tak samo?

– Nie, drogi lordzie – powiada major polski. – W Polsce, masz rację, było to samo. Moja rodzina i wiele, wiele innych rodzin miały, jak twoja, jak tyle rodzin szkockich czy angielskich, czy irlandzkich swoją dawną przeszłość. W mojej rodzinie kiedyś sługiwało się wojskowo, jak w twojej, i posłowało po dworach obcych. Jak w twojej, kochało się w łupach łowieckich i wojennych, w starych książkach, w pięknych obrazach i pamiątkowych zbrojach.

I tak samo, jak wy tutaj, miało się swój niegdyś własny kąt ziemi, gdzieś od miast

wielkich daleko, a za to blisko cmentarza rodzinnego i kościoła, gdzie brano chrzest. I tak samo niegdyś pokolenia rodziły się w takim domu, i pokolenia w nim marły. Ale w twoim kraju takie domy, jak twój, pozostały. A w naszym dziś ich nie ma.

Posłuchaj, lordzie, jeśli pragniesz, jeśli ci moja polska przeszłość nie jest daleka, a przeciwnie, jeśli ciekawi ciebie, tak jak nas ciekawią stare tradycje szkockie i zwyczaje. Mój dom rodzinny? Nie ma mojego domu rodzinnego. Spalili go kozacy rosyjscy w tym samym roku, kiedy padł na pobojowisku Tadeusz Kościuszko, bohater naszej pierwszej walki o niepodległość i kiedy trzy państwa podzieliły nasz kraj między sobą.

Mój pradziad wtedy wyszedł na Zachód, aby walczyć. Bił się w Hiszpanii za Napoleona. Bił się pod Austerlitzem i pod Jeną, i w śniegach Moskwy. Przywiózł do kraju patent na kapitana, szablę ze stali toledańskiej, Legię Honorową od Cesarza i ranę postrzałową z kampanii włoskiej.

Odbudował dom spalony, orał, siał. Ale rana odezwała się, a także malaria zawleczona znad Ebra. Umarł na rok przed nowym powstaniem polskim, które wybuchło u nas

w 1830 r. na wieść, że Francja obaliła Burbonów, Belgia oddzieliła się od Holandii, a wy pomagacie i Belgii, i Grecji, i wszystkim, którzy chcą w Europie być wolni.

W powstaniu nie był już więc on sam, ale tylko jego obaj synowie. Jeden z nich, wzięty do niewoli, został zesłany przez cara w głąb Azji, skąd nie wrócił już nigdy. Drugi poszedł na emigrację. Bił się potem jako oficer za wolność Włochów pod Custozzą, a Węgrów pod Vilagos. Na starość osiadł w Galicji, gdzie żona wniosła mu w posagu wieś niedużą. Jako ojciec, pobudował dom i wprowadził do niego dwie ostatnie pamiątki rodzinne po ojcu. Ów krzyż Legii Honorowej i szablę hiszpańską. Patent pergaminowy na kapitana gdzieś się zagubił po świecie czy zniszczał.

Kiedy byłem małym chłopczykiem, wybuchła wielka wojna. Tamta. Nasz dom rodzinny był koło Gorlic. Artyleria rosyjska zmiotła go w pół godziny z powierzchni ziemi. Walki trwały dalej i w trzy dni potem artyleria niemiecka poprawiła jeszcze robotę rosyjską. Po wojnie mój ojciec, wróciwszy z frontu, grzebał w gruzach długo. Ale jedyna rzecz, jaką odnalazł, to była owa szab-

la hiszpańska. Dobrej stali nie chwyciła się rdza.

Ja już nie odbudowałem domu. Nie miałem za co. Ojciec, jak pradziad, leczył się długo z ran i jak pradziad nie wyleczył nigdy. Jeździł do różnych lekarzy, którzy dużo kosztowali, ale nic nie pomogli. Ja służyłem w wojsku i mieszkałem tam, gdzie stał mój pułk. Raz na granicy łotewskiej i rosyjskiej, a raz na niemieckiej. Szabla hiszpańska, ostatnia rodowa pamiątka, była zawsze ze mną. Powołany niespodzianie, zostawiłem moje mieszkanie w Warszawie. Dom ten spłonął podczas bombardowania we wrześniu. Nie wiem, co się stało z szablą.

Widzisz więc, lordzie, jak to jest z nami, Polakami. Wielu, wielu ludzi jest w Zjednoczonym Królestwie, nad Clyde i nad Tamizą, w Kent i w Walii, takich właśnie, jak ty. I wiele jest domów jak twój dom, gdzie wieki spokojnie przechodziły po wiekach i tylko pył osadzały grubszy. A u nas nie ma domów innych niż mój, i nie ma historii rodzin innych niż moja. I u mnie każde pokolenie nowe traciło jedynie w nowych nieszczęściach te jeszcze pamiątki przeszłości, których nie

zdołało utracić poprzednio. Jak my najpierw ów patent kapitański, potem ową wstążkę orderu, a wreszcie nawet tę szablę.

Mieliście wy historię. I myśmy mieli historię. Wasi i nasi przodkowie chadzali ongi w zbrojach. Wasi i nasi byli wierni swemu królowi, zbierali pamiątki swych łowów, czynów wojennych i zamiłowań. Ale wam było dane to wszystko zachować i jeszcze pomnażać. A nam tylko tracić. Wasze domy trawił pożar raz na trzy stulecia. Nasze co jedno pokolenie. Was osłaniało morze. Do nas wiodły pola szerokie. Nasz los waszemu nierówny.

Dlatego może, lordzie, zatraciliśmy wreszcie serce do tych wszystkich rzeczy, które ty kochasz i któreśmy niegdyś kochali – do pamiątek historycznych. Co z miłości, umieszczanej lekkomyślnie w przedmiotach, które wiatr wydarzeń wciąż niszczy? Co z przywiązania, które nie ostoi się żadnej zagładzie? Za każdym naszym nieszczęściem, za każdym naszym pożarem, jedno pozostawało: ziemia. Ziemię zastał mój prapradziad, kiedy z Hiszpanii w kraju się zjawił, i ziemię mój pradziad, kiedy z Francji do Galicji przybył, i ziemię mój ojciec, kiedy z wojny światowej powrócił. I ziemię, tylko ziemię, ja, lor-

dzie, zastanę, kiedy wrócę. Jeśli wrócę. Nagą ziemię. Nie domy swoje, lecz ziemię nagą zastaną w Kraju Polacy.

Ale dlatego właśnie ziemia ta jest nam tak szczególnie droga. Poza nią nie mamy nic. Ani domów, które gdzieś w Szkocji czy Walii czekają na brytyjskiego żołnierza z Libii, marynarza z Singapuru. Ani pamiątek po przodkach, których pełno w tylu domach brytyjskich. Ani starych książek, ani starych zbroi, ani starych portretów. Niczego, prócz jednej ziemi. Teraz jednak, lordzie, rozumiesz, że dla Polaka ta ziemia, to nie tylko ziemia. To jego dom rodzinny, to jego przeszłość, jego pamiątki.

Jego wszystko.

Rozumiesz to, Brytyjczyku?

„Wiadomości Polskie" 1941, nr 41.

Wobec Rosji

Człowiek po przybyciu z Rosji jest atakowany całą masą pytań, zadawanych w różnych celach i przez różne osoby. Po takich kilku dniach biegania na cenzurowanym rozróżnia już intencje pytań i klasyfikuje je według ich zabarwienia. Są więc pytania szare, szare od śmiertelnego banału swej treści („No, jak tam w Rosji? Tak, w paru słówkach..."). Są dalej pytania czerwone, jak nabrzmiałe krwią tamtej walki, napęczniałe obawami („Czy długo, panie, czy długo?... Bo już, pod Stalingradem..."). Są wreszcie pytania czarne, wytrawione sepią goryczy najbardziej gorzkiej, no i są pytania żółte, pytania zatrute, faryzeuszowej barwy śniedzi. (To są w małym londyńskim getku pytania najczęstsze). Pytania podchwytliwe. Jeśli odpowiem, że Armia Czerwona jest wspaniała, taki łaps, podziękowawszy serdecznie, roz-

kolportuje to potem w sosie własnej przyprawy z nieodzownym komentarzem: „Zbolszewiczał do reszty." Jeśli odpowiem, że trudności gospodarcze rosyjskie są olbrzymie, łaps wykręci z tego, że pragnę tryumfu Hitlera. Ale prócz tych wszystkich pytań są jeszcze takie, w których drga przejrzystość prawdy. Są ludzie, którzy chcą naprawdę wiedzieć, jak jest, czego się spodziewać, czego oczekiwać, czego się obawiać, czym cieszyć. Są jednak ludzie, którzy o Rosji nie myślą komunałami ukutych powiedzeń, ale którzy zbierają jedne po drugim każde wrażenie, jak na półkach biblioteki zbiera się książki poświęcone temu samemu tematowi. Są ludzie, którzy nie chcą gotowych zdań, ale którzy chcą z pomocą czyjegoś zdania skrystalizować swoje własne. Ci ludzie spokojnie, bez histerii, bez podejrzliwości wysłuchają każdej relacji, która ich zdaniem na wysłuchanie zasługuje, jej myśli nie przeinaczą. Ci ludzie, gdy są to Polacy, mają na pewno swój obraz Rosji, nie trzeba tu zaczynać od Adama i Ewy. Natomiast może niejednokrotnie przyjmą do wysłuchania pewne korektury, korektury, które jedne barwy ich obrazu przyćmią, inne uwydatnią.

Armia sowiecka

To, co tu piszę, jest może tylko pierwszym naszkicowaniem pewnych myśli czy uwag rocznego mego sowieckiego dorobku, aby prędzej powiedzieć rzeczy uważane za ważne. Od czego zacząć warto (i co by należało potem rozwinąć w całym cyklu osobnych artykułów), to sprawa armii sowieckiej. Obawiać się należy, że armia sowiecka nie jest doceniana tak, jak należy, że armia sowiecka nie jest doceniana tak, jak na to w pełni zasługuje. Rozwleczenie się wojny, brak stanowczych sukcesów, koniec „blitzkriegu" – wszystko to zbyt często tłumaczymy klimatem i geografią, przestrzenią i ogromem. Jest to pomyłka bardzo wielka. Istotnie, przestrzeń i klimat odegrały swą rolę w zatrzymaniu Niemców, istotnie, czynniki te nie były zlekceważone przez sztab Stalina, ale wyzyskane przez ludzi rozumnych, nowoczesnych, śmiałych, swego zawodu świadomych. Dobry jest sowiecki czołg, dobry sowiecki samolot, dobry sowiecki pistolet automatyczny, ale najlepszy jest sowiecki żołnierz. Raczej nie tyle żołnierz, ile oficer sowiecki. Nieraz, pisząc o innych armiach, podtrzymywałem, że

ich dołowe elementy wydają mi się najwartościowsze, ale w wypadku sowieckim jest się raczej innego zdania. Sowiecki dowódca (nie powiem „oficer", bo oni tego terminu nie uznają) wydaje mi się materiałem lepszym od przeciętnego sowieckiego żołnierza, który jest raczej bierny, posłuszny, o mniejszej niż nasza inicjatywie własnej. Dowódca sowiecki robi wrażenie człowieka o umysłowości żywej, o wiedzy wojennej i nowoczesnej, i rzetelnej, o odwadze niewątpliwej, ale kierowanej rozumem. W Rosji słyszy się wiele komunałów, jak wszędzie na świecie, ale niemal każda rozmowa z oficerem sowieckim uderza człowieka inteligencją rozmówcy, samodzielnością jego myślenia, solidnością rozumowania. Niewątpliwie w szeregach oficerskich skupiła Rosja sowiecka swój najlepszy, najbardziej wartościowy element ludzki, jakim obecnie rozporządza. Nie umiałbym przewidzieć, jak rozwinie się bitwa o Kaukaz albo jak rozegra się kampania na Wschodzie, jedno mogę powiedzieć tym, dla których piszę ten „raport rosyjski", tj. czytelnikom „Wiadomości Polskich": „Panowie, ci ludzie będą rządzili kiedyś Rosją." Nie wiem, jak prędko się to stanie, nie wiem, pod czyją wo-

dzą, nie wiem, czy wtedy będzie się wznosiło nowe cerkwie czy też ostatnie istniejące pozamienia się na składy i kluby; nie ma na świecie siły, która by mogła przekreślić w Rosji Rewolucję Październikową, ale jej ewolucja może pójść jeszcze różnymi szlakami, albowiem tylko rzeczy martwe nie znają metamorfoz i przemian. To pewna, że tylko ci ludzie będą rządzili Rosją za kilka lat, albowiem innych nie ma. Oczywiście, nie nastąpi to wcale na zasadzie jakiejś legendy, nie stanie się to w myśl owego dziwacznego poglądu, że ojczyzna po wojnie powinna komuś solidnie władzą zabulić. Rosja jest państwem zbyt nowoczesnym, aby było w nim miejsce na poglądy meksykańsko-albańskiego autoramentu. Ludzie ci dojdą w Rosji do władzy, albowiem oni jedni w tym olbrzymim kraju mają wszystkie konieczne do tego walory, a poza nimi nie ma nikogo. Odwaga, inteligencja, wykształcenie, zmysł organizacyjny, wyczucie społeczne, młodość, energia, nawet doświadczenie – wszystko jest po ich stronie. Jasne jest, że nie przewiduję w Rosji restauracji Romanowów, ale można powiedzieć, że nawet gdyby nastąpiła restauracja Romanowów, i ona musiałaby się oprzeć na tych lu-

dziach, tak samo jak Burbonowie po upadku Napoleona nie mogli się obejść we Francji bez jakobińskich ministrów i napoleońskich prefektów. Partia komunistyczna wie o tym doskonale – toteż wciąga tych ludzi setkami do swych szeregów, Hitler wie o tym także – i jego propaganda radiowa (a podobno i polityka w obozach jeńców) z tym się liczy. Byłoby źle, gdyby w nas, najbliższych sąsiadach Rosji, ludzie, którzy będą o losach Rosji decydowali, nie wzbudzili zainteresowania.

A poza tym wszystkim zbyt poważnie zajmowałem się w ostatnich latach zagadnieniami armii, bym nie miał zastanawiać się nad tą armią już nie jako człowiek czy Polak, ale jako wojskowy innej armii, a świeżo *last not least* – także i ... oficer. Ten sowiecki oficer uderza prostotą swego zachowania się, chwalebną powściągliwością manier, stosunkiem do żołnierza, skromnością. W takim Teheranie, gdzie po ulicach spacerują przedstawiciele kilku różnych armii, oficer sowiecki jest niemal niewidoczny, niemal bezszelestny. Wieje od niego prawdziwie republikańską skromnością, czymś, co na ulicach Czkałowa czy Syzrania przypomina nam nieraz stare powieści Stendhala o tych armiach rewolucji

francuskiej w nieparadnych mundurach i nie najnowszych butach, które to armie jak orły strącał z Alp na nizinę lombardzką pewien młody blady generał o włoskim, korsykańskim nazwisku.

Rodacy

Profesor Kot dobrze zrobił, że ku zgorszeniu naszych dyplomatów zabrał ze sobą artystę, który jest angielskim Goyą tej wojny: Topolskiego. (Szkoda, że inne nasze czynniki w Rosji nie doceniły należycie rysownika i że wbrew najlepszym staraniom Topolskiego do jego albumu rysunków z Rosji nie weszło więcej rzeczy polskich.) Ale też tych kilkanaście sylwetek żołnierzy polskich z Rosji mówi światu i potomności więcej niż jakiekolwiek pióro, niż jakikolwiek opis. Jest w nich patetyczna ponurość Grottgera. Wojciech Kossak ukazał całą buńczuczność dawnej armii polskiej. Myślę jednak, że do trzewi prawdy dobrnął właśnie Topolski i oddał to, co od przeszło stulecia jest, niestety, istotną treścią naszych poczynań zbrojnych: tragizm, bezbrzeżny tragizm poczynań, w których męstwo

i ofiara splatają się w popioły jakiegoś helleńskiego całopalenia, rzadko obrastając w twardy mięsień zwycięstwa.

Więzienie na ogół jest raczej złą szkołą życia, nieraz wychodzą z niego typy świetlane, rzadziej ludzie życiowi. Jeśli chodzi o katedry wiedzoznawstwa o Rosji, obawiać się bardzo należy tego, czy Polacy, którzy przybyli teraz z Rosji, aby na pewno ją znają. Musimy pamiętać, że ci ludzie znają Rosję od jednej strony, a mianowicie od strony więzienia. Więzienie zaś nigdy i nigdzie nie nastraja ludzi pozytywnie do kraju, z którego systemem penitencjarnym zapoznali się praktycznie. Polak, który przebyłby te dwa lata w angielskich więzieniach, nie byłby zbyt gorącym zwolennikiem Wielkiej Brytanii, Polak, który by na podstawie swych obserwacji więziennych wyrokował o całości tego kraju, nie uchodziłby w naszych oczach za znawcę przedmiotu. Niewątpliwie, Rosja sowiecka trzyma się wojennie i organizacyjnie znacznie lepiej, niż to sądziliśmy wszyscy czy niemal wszyscy. Ten fakt powinien nas skłonić do poważniejszych rozmyślań.

[...]

Chciałem pojechać do Rosji jako dziennikarz, wysłano mnie jako dyplomatę, ale praca naszej ambasady miała charakter bardzo daleki od normalnej dyplomacji. Była to raczej wielka ekspedycja ratunkowa, która w kraju wielkości jednej szóstej kuli ziemskiej szukała, zbierała i ratowała w taki czy inny sposób masy ludzi tak wielkie, że chyba nigdy żadna ekspedycja ratunkowa, żadna wielka akcja humanitarna nie przybierała podobnych rozmiarów. Oto był, jak mi się zdaje, prawdziwy sens posłowania do Moskwy. Bilans tego posłowania byłby zapewne przedwczesny, ale można powiedzieć, że w rezultacie, po roku, sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi znalazło się poza granicami Rosji, setki zaś tysięcy opuściło więzienia, łagry czy posiołki albo też odzyskało swobodę ruchów. Jeśli powiemy, że w ilości owych ponad stu tysięcy znajduje się kilka dywizji, kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, że dzięki temu na nowo mamy prawdziwą armię, fakt ten w znaczeniu swoim niepomiernie jeszcze urasta. Ale nie uszczuplając w niczym tego znaczenia, trzeba powiedzieć, że misja do Rosji miała przede wszystkim ów charakter

ratowniczy. Ratowała odzieżą, lekarstwami i interwencją, opieką, pieniędzmi, ratowała sierocińcami i domami dla inwalidów, ratowała kuchnią wojskową, ratowała polską książką i polskim słowem pisanym. Ratowała polskie dziecko, polską kobietę, polskiego żołnierza. Ratowała polskiego obywatela. Sama ambasada, gdzie po siedem i dziesięcioro osób spało w jednym pokoju, gdzie na jeden deputat żywnościowy wypadały cztery mocno wygłodniałe żołądki, mogła była doprowadzić do apopleksji niejednego dyplomatę starego obrządku. (Szkoda może, że to nie nastąpiło.) Nie chcę wcale twierdzić, że ta opieka była najlepsza, że jej organizacja była wzorowa, że nie myliła się w niczym. Takich arcydzieł natura nie zna. Nie zna ich przede wszystkim Polska. Ale też zorganizowanie aparatury kilkunastu delegatur, ponad stu ich podagentur, w tak olbrzymim kraju, przy tak słabej sieci komunikacyjnej, tak wielkich trudnościach wojennych, było też zadaniem bez precedensu. Ludzie, na których się oparto, byli niedawno więźniami. Bardziej należał się im długi pobyt w sanatorium niż opieka nad dziesiątkami tysięcy rodaków. W tych warunkach zrobiono naprawdę wiele. Wi-

docznie dosyć, bo już dzisiaj można zauważyć w pewnych kołach w Teheranie licytację, czyją to „właściwie" było zasługą. A zatem okazuje się teraz, że w tej polityce rosyjskiej są takie rzeczy, które zaczyna się uważać za zasługę.

Humanitarny, ludzki, polski charakter tej ambasady pozostanie na pewno jej najbardziej wyraźną cechą. Jej charakter polityczny schodził w zestawieniu z tym na plan dalszy. Politycznie, w stosunku do Rosji, staliśmy zawsze na sztywnym stanowisku pełnej nienaruszalności naszych granic według traktatu ryskiego. Wanda Wasilewska mówiła o „Polsce Bolesława Krzywoustego". Jeśli nie jest to tylko frazes, oznacza to jedno: Polskę, która na wschodzie sięga ledwo po Bug czy San, ale na zachodzie przesuwa się do Szczecina i obejmuje Wrocław. Przed oczami nas, Polaków w Anglii, poprzez czerwone sztandary rewolucji powiała jakby zachęta, jakby zaczepka, taka właśnie propozycja: „Przekreślcie pięćset lat historii, wyrzeczcie się wschodu, a otrzymacie Bałtyk, wrócicie nad Odrę, odzyskacie ziemie, o które ostatnimi słowami swych dziejów Polski modlił się Długosz." Ale by odpowiedzieć w takiej spra-

wie, trzeba być czymś więcej niż ambasadorem, czymś więcej niż premierem. Trzeba być Chrobrym, Piotrem Wielkim, Kemalem Paszą. Trzeba brać na swe barki decyzję za cały naród i na całe stulecia; trzeba ciąć i trzeba łamać. Nie dziw, że trudno o barki dość mocne, by znieść ciężar decyzji tak olbrzymiej i tak straszliwej. Człowiek myślał o tym, chodząc po szerokich ulicach Kujbyszewa, patrząc się z góry na olbrzymi, oceaniczny nieomal, wylew potężnej Wołgi [...]

Wieczna Rosja

Historyk francuski czy angielski rozcinają swe dylematy ostrym mieczem decyzji. Historyk francuski, jeśli wielbi Robespierre'a, nie będzie na drugiej karcie swego dzieła ronił łez nad Marią Antoniną. Polityk angielski po nawróceniu się na antysemityzm nie będzie jednocześnie prowadził wojny z Hitlerem. Ale polscy historycy z rodzinnej historii robili niemal zawsze ciężki, gęsty barszcz, w którym było i uwielbienie dla konfederatów barskich, i komplement dla Stanisława Augusta. To, że konfederacja i Stanisław August byli wrogami,

wcale im nie szkodziło. Polscy politycy...? Jeszcze ćwierć wieku temu byli oni zupełnie inni. Piłsudski i Studnicki zapatrzeni byli w Wilno i w Kijów – ale wtedy nie rozprawiali o swej miłości do Poznania czy Śląska. Popławski i Dmowski mówili o Gdańsku i Prusach Wschodnich – ale wtedy nie patrzyli na wschód. O ileż aktywniejszy charakter posiadałaby ambasada polska w Moskwie, gdyby z mogiły na warszawskim Bródnie podniósł się na nowo Dmowski... albo gdyby w dzisiejszej Polsce Dmowski, mając tylu zwolenników, posiadał choćby jednego ucznia.

Nie byłem nigdy narodowcem. Nie jestem uczniem Dmowskiego. Ale niewątpliwie, jeśli co w myśli politycznej tego wielkiego człowieka sprawia wrażenie głębi, jeśli co posiada ciężar spiżu, to właśnie jego rozważania o Polsce i Rosji. Dmowski miał dziewiętnaście lat, gdy rozpoczął karierę polityczną i rozpoczął ją jako zwolennik porozumienia z Rosją. Miał lat ponad sześćdziesiąt, gdy ją zakończył. Ale nigdy tego swego zdania nie zmienił. Rosja w ciągu tych lat kilkudziesięciu zmieniła się tak, jak nie zmienił się w podobnym okresie żaden inny kraj w historii świata. Z carskiej, prawosławnej, półfeudalnej – stała się komunistyczna,

bezbożna, proletariacka. Dla Dmowskiego pozostała – Rosją. Wiecznym sąsiadem Polski, obok którego żyć musimy, z którym powinniśmy – jego zdaniem – żyć możliwie najzgodniej. Stąd Dmowski był największym wrogiem jakiejkolwiek akcji antyrosyjskiej w Polsce i nic go to nie obchodziło, jaki ustrój ma w danej chwili Rosja. Dla bolszewików nie miał na pewno większych sympatii niż jego epigoni, ale różnił się od tych epigonów i tym, że w jego oczach upodobania ustrojowe nie przesłaniały istotnych założeń. Założeniem tym było: wrogiem Polski są Niemcy, Polska na dwa fronty walczyć nie może. Polska powinna więc szukać porozumienia z Rosją. O, oczy Dmowskiego były naprawdę wpatrzone w niebieską Odrę i w szary, kaszubski Bałtyk! Dzisiaj Dmowski byłby najlepszym naszym ambasadorem w Rosji. Jego wyjazd tam wywołałby nieopisaną wściekłość Berlina, zmusiłby Niemcy do wielu, wielu rzeczy. Prasa sowiecka mówiłaby o polskości Pomorza i zachodniej części Prus Wschodnich, o polskości Opola i Wrocławia. Świat by się przyzwyczajał do myśli, że nasza granica zachodnia z traktatu wersalskiego była krzywdą nie dla Niemiec, ale dla Polski. Niestety, Dmowski nie żyje i doprawdy „nie zosta-

wił po sobie żadnego dziedzica, ani dla swojej myśli, ani dla imienia". A szkoda.

Oczywiście, można myśleć kategoriami doznanych krzywd. Straszliwych, bezrozumnych rzeczy, doznanych przez setki tysięcy naszych rodaków. Damy wtedy dowód czułego serca – co jest wiele. Ale nie będziemy składali dowodu politycznego myślenia. Albowiem przede wszystkim na to, co było, nic nie poradzimy, a natomiast jeśli chcemy szybko, jak najwięcej i jak najrealniej pomóc naszym rodakom w Rosji, możemy to zrobić tym łatwiej, im nasze stosunki z rządem sowieckim są lepsze, tym trudniej, im są gorsze. Możemy się targować, możemy się opierać, ale musimy łagodzić. Po drugie, musimy pamiętać, że od samego początku tej wojny większość narodu polskiego – a obecnie i olbrzymia większość – cierpi od Niemców, i to cierpi coraz gorzej, coraz dotkliwiej. To jest okupant. To jest wróg.

Cokolwiek by się stało, Rosja pozostanie. Przetrwa [...]

„Wiadomości Polskie" 1943, nr 40.

Biblioteka Wolnej Polski w Gdańsku – Pelplin

Spis treści

Przedmowa 5
Wspomnienia
Na czarnym szlaku 17
W Belwederze 61
Pogrzeb Józefa Piłsudskiego 70
W śniegu na stepie 90
Krzyż 104
Noc na Kremlu 107
Na polu bitwy w Normadii 136
Lot do kraju 173
Reportaże
„Był to niegdyś kraj bogaty..." 209
Właściciel galerii portretów 226
Węgiel i człowiek 232
O wóz i o konia 247
Żółci ludzie z Łodzi 264
Ślubowanie 285
Przytyk i stragan 306
Petach Tikwa 325
W czerwonej Hiszpanii 328
Artykuły
Istota samotności Piłsudskiego 371
Potomstwo diaka Kostii 388
Michał Kleofas 408
Stanisław Staszic 417
Margrabia Wielopolski 447
Czy Ameryka pójdzie na wojnę?. 497
Księga ponurych niedopowiedzeń 506
W Polsce było inaczej 528
Wobec Rosji 537

„Czytałam zdaje się wszystko, co Pan napisał i muszę powiedzieć, co myślę i czuję, chociaż to niepotrzebne Panu, ale chcę, żeby Pan wiedział.

Otóż przed wojną 1939 r., kiedy nieraz mierziło życie w Polsce, opanowywał wstręt do rodaków i rządu, na jakieś »pocieszenie duszy« mówiło się sobie: przecież nie wszyscy są marni, źli, są w Polsce ludzie szlachetni, są utalentowani, są ludzie wielkiej duszy i serca, jest taki Paderewski, mamy Szymanowskiego, Zofię Kossak-Szczucką, Dąbrowską i innych. A dziś, kiedy ogarnia zniechęcenie i złość, widząc jak dużo nieprawości, kiedy ogarnia wstręt do ludzi, których lata ciężkich doświadczeń losu niczego nie nauczyły i nie uszlachetniły, znów mówię do siebie: a przecież w tych czasach jest taki Pruszyński... Odnajduję wiarę w Polskę i ludzi, czytając Pana książki i artykuły. Za to dziękuję Panu!

Łódź, 14 kwietnia 1948

Czytelniczka A.K."
(z listu do Ksawerego Pruszyńskiego)

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA
Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14
161175

-X
9 788371 631917

Twój STYL

Cena 37 zł